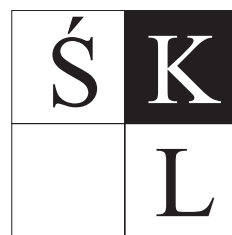


# ŚWIĘTOKRZYSKI KWARTALNIK LITERACKI



KIELCE 2014 NR 1-2 (43-44)

ISSN 1429-849-X

NAGRODZONY PRZEZ MARSZAŁKA WOJEWÓDZTWA ŚWIĘTOKRZYSKIEGO



Władysława Szproch: *Róża*, suchy pastel



27 marca 2014 roku wiceprezes Kieleckiego Oddziału ZLP Władysława Szproch otrzymała Statuetkę „Świętokrzyskiego Gustawa” za całokształt twórczości artystycznej. Piękna uroczystość wręczania statuetek odbyła się w Wojewódzkim Domu Kultury w Kielcach. Obok Władysławy Szproch (z prawej) ks. Eligiusz Dymowski i Jadwiga Jaśkowiak Fot. z archiwum W. Szproch

**WŁADYSŁAWA SZPROCH** (ur. 01.11.1951) to wybitna poetka, plastyczka i działaczka społeczna w związkach twórczych – wiceprezes Kieleckiego Oddziału Związku Literatów Polskich, wiceprezes Stowarzyszenia Artystów Plastyków Świętokrzyskich w Kielcach, członkini Polskiego Stowarzyszenia Edukacji Plastycznej, członkini Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych w Kielcach, Grupy Literackiej „Gronie” w Żywcu, Fundacji Sztuki na rzecz Integracji w Warszawie, Forum Kobiet Katolickich w Warszawie. Jedna z najaktywniejszych twórczo osób w naszym mieście i województwie w ostatnim trzydziestoleciu. To kobieta wielu pasji, uzdolnień i zainteresowań o bogatym dorobku artystycznym. Oto jej dorobek twórczy:

### **I. Twórczość literacka**

Uprawia głównie poezję, a także prozę w gwarze świętokrzyskiej. Pisze wiersze, fraszki, aforyzmy, humoreski i recenzje literackie. Od 20 lat należy do Związku Literatów Polskich. Na przestrzeni tych lat wydała 15 zbiorów wierszy i 2 zbiory opowiadań gwarą świętokrzyską. Jej twórczość literacką pomieszczono w 42. antologiach, almanachach i pracach zbiorowych, zarówno regionalnych, jak i ogólnopolskich. Jest laureatką wielu znaczących konkursów ogólnopolskich i regionalnych. Jej twórczość jest dobrze oceniana przez krytykę polską, a także czytelników. Poetka przez wiele lat należała do Kielecko-Radomskiego Nauczycielskiego Klubu Literackiego, w ramach którego reprezentowała kieleckie środowisko literackie na forum ogólnopolskich zjazdów, plenerów, mityngów literackich, m.in. w Poznaniu, Wrocławiu, Kazimierzu Dolnym, Radomiu. Posiada duże grono odbiorców swojej twórczości literackiej w kraju i wśród Polonii. To sprawia, że chętnie jest zapraszana przez szkoły, kluby i centra kultury na spotkania autorskie. W latach 1988–2013 odbyła 85 takich spotkań, w tym 52 w Kielcach, 33 w województwie świętokrzyskim i w innych miastach kraju, m.in. w Żywcu, Legnicy, Przedborzu, Drezdenku, Kazimierzu Dolnym. W okresie tym brała czynny udział w 97. Biesiadach Literackich: miejskich, wojewódzkich i ogólnopolskich. Z racji dużego dorobku artystycznego, a także twórczego doświadczenia bywa od wielu lat jurorką wojewódzkich i ogólnopolskich konkursów literackich, recenzentką zbiorów poetyckich, a także promotorką twórczości młodych. Bezinteresownie pracuje z uzdolnioną literacko i plastycznie młodzieżą. Utwory literackie i reprodukcje prac plastycznych Władysławy Szproch są od wielu lat drukowane w prasie regionalnej i krajowej. Jest ona także ilustratorką książek i projektantką okładek książkowych. Zrealizowano z jej udziałem kilkanaście audycji radiowych i TV. Na temat twórczości literackiej Władysławy Szproch powstały prace naukowe, napisane przez historyków literatury, a także praca magisterska na Akademii Świętokrzyskiej pod kierunkiem prof. zw. dr. hab. J. Paławskiego w roku 2000.

Poetka debiutowała w roku 1982 na łamach miesięcznika „Przemiany”. W roku 2007 obchodziła 25-lecie pracy twórczej w dziedzinie literatury. (Ciąg dalszy na III str. okładki)

# ŚWIĘTOKRZYSKI KWARTALNIK LITERACKI

ISSN 1429-849-X

KIELCE 2014 NR 1-2 (43-44)



Wydawca: Związek Literatów Polskich – Oddział w Kielcach  
Adres redakcji: 25-009 Kielce, ul. Zamkowa 5

**Numer przygotowany dzięki finansowej pomocy  
Samorządu Województwa Świętokrzyskiego  
przy współdziałaniu Oficyny Wydawniczej „STON 2”  
oraz Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej im. Witolda Gombrowicza w Kielcach**

Redaguje Zarząd Kieleckiego Oddziału ZLP  
STANISŁAW NYCZAJ – prezes, redaktor naczelny  
BOGUSŁAW PASTERNAK – członek Zarządu, KAZIMIERA SZCZYKUTOWICZ – skarbnik,  
ANDRZEJ PISKULAK – sekretarz, WŁADYSŁAWA SZPROCH – wiceprezes  
oraz KRYSZYNA CEL, JAN LECHICKI

Korekta: IRENA NYCZAJ  
Opracowanie komputerowe: PAWEŁ NYCZAJ

Redakcja dziękuje autorom za nieodpłatne przekazanie utworów i artykułów do publikacji.

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych; zastrzega sobie prawo do redagowania i skracania tekstów,  
a także zamieszczania fragmentów dłuższych utworów.

Zdjęcia niepodpisane pochodzą z archiwum „ŚKL”.

## OD REDAKCJI

Kielecki Oddział ZLP uhonorowany Nagrodą Miasta Kielce w 30-lecie działalności .....	5
A. Błachucka: Żyją sobie literaci . . .	13

## WSPOMNIENIA

S. Nyczaj: Wspomnienie o Tadeuszu Różewiczu (1921–2014) .....	14
J. Lechicki: Wiersze .....	20

## ROZMOWY

„Ta książka sama się czyta” (O powieści W. Lubawskiego i T. Natkańca <i>Małgorzata idzie na wojnę</i> rozmawiają B. Gumowski i R. Koziej) .....	21
--	----

## WYDARZENIA

S. Nyczaj: Na inauguracji XIV Światowego Dnia Poezji UNESCO w Londynie .....	23
XIV ŚDP w Warszawie i Kielcach .....	28
B. Koziej: XIV ŚDP w Staszowie .....	29
A. Piskulak: Świętokrzyska Wiosna Literacka na Ziemi Zagarnańskiej... 32	
Jubileusz 50-lecia pracy twórczej Stanisława Nyczaja .....	34
S. Jurkowski: Liryka i filozofia (O poezji S. Nyczaja) .....	34
S. Nyczaj: Kielecka promocja <i>15 listów M. Wawrzkiwicza</i> .....	38
S. Nyczaj: „Moje wołanie niech do ciebie przyjdzie” .....	42
A. Patey-Grabowska: Wiersze .....	43
Poezja i malarstwo lekarzy: B. Koceli, S. Śliwy, J. Wiśniewskiego 45	

## TWÓRCZOŚĆ

L. Abraham Zubińska: Wiersze .....	48
Z. Antolski: Wiersze i opowiadanie .....	49
A. Bartyński: Wiersze .....	51
B. Białowąs: Wiersze .....	52
R. Bielenda: Wiersze .....	52
A. Błachucka: Opowiadanie i limeryki .....	53
J. Chruśliński: Fragment powieści .....	55
W.J. Domagała (1923 – 2013): Wiersze .....	57
P. Dumin: Wiersze .....	57
A. Fornal: Wiersz .....	58
S. Fornal: Aforyzmy .....	58
B. Gajewska: Wiersze .....	59
K. Guranowska-Stolarz: Rys. z cyklu: Zielnik .....	59
S. Grabowski: Wiersze .....	60
E. Jach: Wiersze .....	61
G. Jusiega: Wiersz .....	61
S. Jurkowski: Wiersze .....	62
H. Kawiorski: Opowiadanie .....	63
B. Kępińska: Fragment powieści i wiersz .....	67
J. Kłaczyńska: Wiersz .....	69
Z. Korzeńska: Wiersze .....	69
J. Lechicki: Wiersze .....	70
M. Mazur: Wiersze .....	71
H. Morawski: Wiersze .....	72
E. Musiał: Wiersze .....	73
A. Maria Musz: Wiersze .....	74
T. Nietyska: Wiersze .....	75
I. Nyczaj: Haiku .....	75
T. Opoka: Fragment powieści .....	77
B. Pasternak: Wiersze .....	81

I. Paździerz: Fragment powieści .....	82
U. Przyboś: Wiersze .....	86
W.M. Rak: Haiku .....	87
B.M. Sierakowska: Fragment dramatu .....	88
M.A. Spychaj: Wiersze .....	89
S. Stanik: Wiersze .....	90
I. Stopierzyńska-Siek: Wiersze .....	91
K. Szczykutowicz: Wiersze .....	92
W. Szproch: Wiersze .....	93
Z. Walas: Wiersze .....	94
M. Węgrzynowicz-Plichta: Wiersze .....	95
M. Włodno: Wiersze .....	96
B. Wrońska: Wiersz .....	97
S. Wroński: Komedia tragiczna .....	97
A. Zielińska-Brudek: Wiersze .....	112
I. Zielińska-Zamora: Wiersze .....	113
J. Zieliński: Wiersze .....	114
E. Zyman: Wiersze .....	115
M. Zynger: Wiersze .....	117

## ESEJE — SZKICE — RECENZJE

Z. Antolski: Skazany na heroizm .....	118
Z. Brzuchowska: Liryczne spotkania .....	122
K. Cel: Recenzje książek A. Bartyńskiego, A. Gnarowskiego, S. Jarmakowicz .....	123
K. Czejaek: Spotkanie z Janem Chruślińskim w Chmielniku .....	127
Z. Korzeńska: Wiersze M. Włodno na tle nurtów i modeli poezji .....	129
R. Koziej: Recenzja książki K. Jaworskiego .....	132
A. Maria Musz: Książki poetyckie S. Jurkowskiego .....	134
E. Musiał: Recenzja książki A. Borowicz .....	139
S. Nyczaj: Recenzje książek W.M. Raka, B. Kępińskiej .....	143
J. Termer: Recenzja książki J. Kłaczyńskiej .....	145
Dwugłos S. Grabowskiego i S. Nyczaja o poezji J. Zielińskiego .....	148

## NOTY

J. Rychner: O plenerze w Kazimierzu Dolnym .....	153
K. Szczykutowicz: Wiekowe różnice .....	154



Kolaż Ireny Nyczaj

## Kielecki Oddział ZLP uhonorowany Nagrodą Miasta Kielce w 30-lecie działalności

Kielecki Oddział ZLP o imponującej liczbie 49 członków, czwarty co do wielkości i znaczenia wśród 20. oddziałów w kraju, mający w chwili powstania w 1984 r. zaledwie 6. współzałożycieli (Sylwestra Banasia, Agnieszkę Bartóg, Ryszarda Miernika – nieżyjących, Stanisława Nyczaja – prezesa od 1996, Bogusława Pasternaka – byłego prezesa, Stanisława Rogalę – pierwszego prezesa, który w 2012 wystąpił z ZLP), obchodzi w bieżącym roku 30-lecie owocnej działalności. Obecnie kieruje nim wybrany w marcu 2011 r. Zarząd w składzie:

– prezes Stanisław Nyczaj (członek Prezydium Zarządu Głównego ZLP i jego Komisji Kwalifikacyjnej) – poeta, eseista, satyryk, edytor, red. nac. „Świętokrzyskiego Kwartalnika Literackiego” (od 1997), zam. w Kielcach,

– wiceprezes Władysława Szproch – poetka, prozautorka, satyryk, regionalistka, także malarka, rzeźbiarka, zam. w Kielcach,

– sekretarz Andrzej Piskulak – poeta, prozaik, dziennikarz mediów regionalnych i ogólnopolskich, red. nac. gazet samorządowych, zam. w Zagnańsku,

– skarbniczka Kazimiera Szczykutowicz – poetka, regionalistka, zam. w Kielcach,

– członek Zarządu Bogusław Pasternak – poeta, publicysta, regionalista zam. w Kielcach.

Oddział ten skupia pisarzy (zarazem animatorów kultury i zamiłowanych regionalistów) uprawiających różne gatunki literackie z zakresu poezji, prozy, dramatu, eseistyki, legitymujących się dużym ilościowo i znaczącym pod względem wartości artystycznych dorobkiem książkowym, adresowanym do szerokiego odbiorcy, w tym także do młodszych czytelników. Ilościowo dorobek ten za okres minionego 30-lecia obejmuje ponad 1200 pozycji indywidualnych i zbiorowych (w tym antologijnych), dostępnych w bibliotekach miasta, regionu, kraju, jak również dzięki tłumaczeniom na kilka języków (m.in. angielski, białoruski, chorwacki, czeski, francuski, niemiecki, rosyjski, włoski) za granicą – w Europie, USA, Kanadzie. Znane jest szeroko główne czasopismo Oddziału: „Świętokrzyski Kwartalnik Literacki” – nagrodzone w 1999 r. przez Marszałka Województwa Świętokrzyskiego, promieniujące z Kielc już od 17 lat, dostępne na portalach: Świętokrzyskiej Biblioteki Cyfrowej kieleckiej Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej im. Witolda Gombrowicza i ogólnopolskim [www.pisarze.pl](http://www.pisarze.pl)

Kielecka literatura współczesna autorstwa dotychczasowych członków Oddziału – w tym,



Władysława Szproch i Stanisław Nyczaj odbierają Nagrodę Specjalną Miasta Kielce od Prezydenta Wojciecha Lubawskiego oraz Przewodniczącego Rady Miejskiej Tomasza Boguckiego (10 lutego 2014)



pamiętajmy, także nieżyjących (prócz wyż. wym. trojga współzałożycieli: Bolesława Garbosia, Jana Krzysztofczyka, Jerzego Włodzimierza Miszteli, Zbigniewa Nosala – byłego prezesa, Stanisława Pająka, Bożeny Piasty, Feliksa Raka – od 2007 r. rozstrzygany jest w Krasocinie doroczny Ogólnopolski Konkurs Poetycki jego imienia, Jana Stanisława Stefaniaka, Jerzego Stokłosa, Zbysława Śmięgielskiego, Wacławy Zimoląg-Szczepańskiej) oraz z różnych względów nieobecnych na aktualnej liście (Jadwigi Fillman-Zwierskiej – przeniosła się do Oddziału Krakowskiego, Henryka Jachimowskiego – związanego z Oddziałem Krakowskim duchowym współzałożycielem naszego Oddziału, Marcina Kozłowskiego – przeniósł się do Warszawy, po czym w 2010 wystąpił z ZLP, Andrzeja Lenartowskiego – byłego prezesa, który w 2010 wystąpił z ZLP, Adama Ochwanowskiego – w 2003 wystąpił z ZLP, Szczęsnego Wrońskiego – przeniósł się do Oddziału Krakowskiego, został jego prezesem, następnie przeszedł do SPP) – jest, zdaniem nauczycieli wszystkich typów szkół (w tym akademickich), odczuwalnie obecna w mieście i regionie dzięki licznym lekcjom literackim, spotkaniom publicznym pisarzy w miejskich, gminnych i powiatowych placówkach kulturalno-oświatowych. Każda nowo wydana książka ma swoją promocję z efektowną oprawą muzyczno-plastyczną, z recy-

tatorskim i instrumentalno-wokalnym udziałem młodzieży. Tak działo się przez lata

- wpieryw w Ośrodku Kultury Literackiej (pierwszej siedzibie) Oddziału) na ul. Wspólnej i w Rynku przy Miejskim Ośrodku Kultury (do roku 1990),

- Klubie MPiK przy Warszawskiej,
- w Politechnice Świętokrzyskiej przy al. Tysiąclecia, gdzie w latach 80. Stanisław Nyczał prowadził dla studentów 5. roku na wszystkich trzech wydziałach zajęcia z jedyne go w skali kraju na uczelniach technicznych przedmiotu pn. wybrane zagadnienia kultury współczesnej, m.in. z udziałem pisarzy i publicystów (zajęcia kończyły się egzaminem z oceną w indeksie; wielu absolwentów PŚ pracuje na odpowiedzialnych stanowiskach i sprzyja rozwojowi kultury w regionie),

- w WSP (później Akademii Świętokrzyskiej, obecnej UJK) zwłaszcza przy Leśnej, gdzie odbywały się przez lata liczne popularyzujące współczesną literaturę kiermasze książek, zawiązała się owocna współpraca z naukowcami, Oddział współtworzył Stowarzyszenie Literacko-Kulturalne im. Mikołaja Reja, z powodu braku wspomagających dotacji zawieszono w działalności,

- potem w Wojewódzkim Domu Kultury (od trzech lat miejscu cyklicznych spotkań „U Muz),

- Domu Środowisk Twórczych (obecnej siedzibie Oddziału, miejscu najczęstszych spotkań promocyjnych, dyskusyjnych, zebrań Oddziału),

- na małej scenie Kieleckiego Centrum Kultury,

- w Wojewódzkiej Bibliotece Publicznej w Rynku (organizatorce m.in. edytorskiego konkursu pn. „Świętokrzyska Premiera Literacka”), obecnie im. Witolda Gombrowicza przy Ściegienego (częstym miejscu różnorodnych spotkań, gdzie też mieści się Świętokrzyska Biblioteka Cyfrowa, na której portal od 2013 r. przeszedł „Świętokrzyski Kwartalnik Literacki”),

- filiach Miejskiej Biblioteki Publicznej (zwłaszcza przy Konopnickiej, Warszawskiej, na Barwinku, na Podkarczówce, przy Mieszka I, Zagórskiej),

- Pedagogicznej Bibliotece Wojewódzkiej, wespół z którą dwukrotnie Oddział uczestniczył w Targach Edukacyjnych, gdzie z dużym powodzeniem od trzech lat prowadzony jest cykl pn. „Głośno czytanie dramatu”,

- w klubach kultury (zwłaszcza w byłym Klubie Nauczyciela przy Okrzei, Klubie KSM „Miniatura” przy Zagórskiej – z którym stała

współpraca oparta jest na warunkach specjalnej umowy, „Zameczku” przy Słowackiego, Civitas Christiana na Okrzei – od kilku lat miejscu częstych spotkań),

– w Świątokrzyńskiej Izbie Lekarskiej przy Wojska Polskiego, gdzie Jan Lechicki (poeta, satyryk, prozaik, publicysta – często występujący autorsko z dużym powodzeniem w buskim Sanatorium „Marconi”, współzałożyciel Stowarzyszenia Literacko-Kulturalnego im. Mikołaja Reja, w obecnej kadencji Oddziału przewodniczący Komisji Rewizyjnej, inicjator upamiętnienia Domu Pracy Twórczej „Astoria” w Zakopanem przy Do Białego 12 jako miejsca, w którym Wisława Szymborska otrzymała wiadomość o przyznaniu Nagrody Nobla), z zawodu lekarz, m.in. były długoletni dyrektor Szpitala w Morawicy, był przez kilkanaście lat red. nac. „Eskulapa Świątokrzyńskiego”,

– w pobliskim Centrum Edukacyjnym „Szklany Dom” w Ciekotach (od momentu otwarcia w październiku 2010 r. m.in. w wyniku inspirujących działań Oddziału); tam w listopadzie 2014 będzie obradowało jury II Konkursu Literackiego im. Stefana Żeromskiego,

– w Pałacyku Henryka Sienkiewicza w Obłęgorku (m.in. pamiętne dyskusyjne spotkania pisarzy z przewodnikami świątokrzyjskimi i regionalistami),

– od 15 lat w ostrowieckim Klubie Literackim „Aspekt” przy Miejskim Centrum Kultury, działającym od początku pod auspicjami Kieleckiego Oddziału, któremu do 2013 r. przewodziła Zofia Walas (poetka, w obecnej kadencji Oddziału członkini Komisji Rewizyjnej), ukazały się prezentujące twórczość ostrowian dwa almanachy,

– od 15 lat w skarżyskim Klubie Literackim „Wiklina”, który zainicjowała (głównie z myślą o adeptach literatury) i prowadziła z ramienia Kieleckiego Oddziału Bożena Piasta (poetka, prozautorka, malarka, zmarła w 2012 r.); obecnie Klubowi przewodzi poetka i satyryczka Elżbieta Jach, kandydująca do ZLP; w przygotowaniu do druku znajduje się drugi obszerny klubowy almanach,

– w GOK-ach, Domach Kultury (późniejszych Centrach Kultury) i bibliotekach Bodzechowa-Szewnej (kilkakrotnie), Bogorii, Brodów, Buska-Zdroju (kilkakrotnie), Chmielnika, Ćmielowa, Daleszyc (parokrotnie), Gnojna, Końskich (kilkakrotnie), Kij (parokrotnie), Krasocina (dorocznie), Kunowa, Łopuszna (dorocznie), Łubnic, Mało-



goszcza (kilkakrotnie), Michałowa (wielokrotnie), Mirca, Nagłowic (kilkakrotnie), Oleśnicy (dwukrotnie), Pawłowa, Pińczowa (kilkakrotnie), Połańca (kilkakrotnie), Rakowa (kilkakrotnie), Rytwian (kilkakrotnie), Sitkówki-Nowiny (parokrotnie), Skalbmierza, Skarżyska-Kamiennej (kilkakrotnie), Skarżyska-Kościelnego, Starachowic (wielokrotnie), Staszowa (często), Stąporkowa, Stopnicy, Strawczyna (kilkakrotnie), Suchedniowa (kilkakrotnie), Waśniowa, Wąchocka, Włoszczowy (kilkakrotnie), Zagnańska (kilkakrotnie).

Rozstawiły pisarzy regionu organizowane w Kielcach ogólnopolskie konkursy, z których warto przypomnieć szczególnie ten im. Stefana Żeromskiego na tom wierszy, powieść, zbiór opowiadań z 2003 r. uwieńczony pokłosem aż 20. wydanych książek. Ważną rolę w wyławianiu młodych talentów spełniają: doroczny Ogólnopolski Konkurs Literacki im. Leopolda Staffa na przemian w Skarżysku-Kamiennej i Starachowicach, doroczny Ogólnopolski Konkurs Poetycki im. Feliksa Raka w Krasocinie. Ciekawe książkowe wydania przyniósł Ogólnopolski Konkurs Literacki im. Mikołaja Reja w Nagłowicach z 1998 r. Udał się Ogólnopolski Konkurs Satyryczny z 2002 r. w Wąchocku. Popularność zyskują: doroczny Konkurs „O Złote Pióro” w Łopusznie, gminne

konkursy literacko-dziennikarskie w Sitkówce-Nowinach, Zagnańsku (mający dwie edycje).

Rozsławiły pisarzy inscenizacje w Teatrze im. Stefana Żeromskiego (sztuki Jana Krzysztofczyka, Henryka Jachimowskiego, Andrzeja Lenartowskiego). Popularyzowały pisarzy bardzo częste i starannie przygotowywane audycje literackie i literacko muzyczne w Radiu Kielce (zwłaszcza prowadzone przez red. Stanisława Fornalę – obecnie zamieszkałego w Lublinie, Bohdana Gumowskiego (autora nagradzanych słucho-wisk), Ryszarda Kozieja, Andrzeja Maćkowskiego (obecnie dyrektora kieleckiej Miejskiej Biblioteki Publicznej), Magdaleny Smożewskiej-Wójcikiewicz. Ogromnie ważną popularyzującą rolę spełniły publikacje w „Magazynie Słowa Ludu”, „Echu Dnia”, „Gazecie Wyborczej” i w periodykach, jak „Przemiany”, „Ikar”, „Radostowa”, „Dedał”, „Teraz”, a zwłaszcza wspomniany wyżej „Świętokrzyski Kwartalnik Literacki”.

Ambitne kieleckie środowisko pisarskie zostało docenione zaproszeniami do udziału w dorocznej Warszawskiej Jesieni Poezji na występy autorskie w Domu Literatury, bibliotekach publicznych Mokotowa, Ursynowa i w Bibliotece Głównej stolicy przy ul. Koszykowej, zaproszeniami do udziału w Światowym Dniu Poezji pod patronatem UNESCO czy do udziału w Festiwalu Poezji Słowiańskiej na spotkania m.in. w warszawskim Muzeum Literatury im. Adama Mickiewicza na Starym Mieście; obydwa te międzynarodowe wydarzenia miały też swoje piękne epizody w Kielcach, Staszowie, Połańcu, Rytwianach Suchedniowie.

Do tekstów kielczan była wielokrotnie komponowana muzyka, np. przez Karola Anbilda, Mirosława Niziurskiego, Cezarego Stawskiego, Kamila Kondka, Bronisława Opałkę.

Od kilku lat przyjęła się w Kielcach i regionie impreza o rozmachu festiwalowym, zwana Świętokrzyską Wiosną Literacką, podczas której obok spotkań autorskich w szkołach nt. związków twórczości współczesnych pisarzy z kulturowo-literacką tradycją regionu powodzeniem cieszą się Giełdy Książki Literackiej.

Pisarze z Kieleckiego Oddziału często bywali jurorami licznych konkursów literackich w Kielcach i regionie, np. 6 edycji Ogólnopolskiego Konkursu Poetyckiego im. F. Raka w Krasocinie, konkursów dla młodych w WDK, KCK, w gminach Zagnańsk, Sitkówka-Nowiny, Łopuszno (sześci-

krotnie). Ważna też jest ich rola konsultacyjno-doradcza w stosunku do adeptów literatury i w już pozyskiwaniu młodych talentów.

Kielecki Oddział ZLP znany i ceniony jest w mieście, regionie i kraju z organizacji sprzyjających nowym twórczym inspiracjom plenerów literackich i literacko-plastycznych w Mąchoci-cach-Scholasterii, Sandomierzu (czterokrotnie), Staszowie (sześciokrotnie), miejscowościach nadmorskich (w Kołobrzegu, Dźwirzynie, Ustro-niu Morskim, Międzywodziu), Kazimierzu Dol-nym (trzykrotnie), Zakopanem (siedmiokrotnie; w 2013 r. we współpracy oddziałów kieleckiego i krakowskiego odbyły się cztery Posiady Literac-kie „U Szymborskiej” w DPT „Astoria”, promu-jące współczesną twórczość). Wielkie wrażenie wywarły na kielczanach utwory powstałe na plenerze w Jałcie w roku 2008, zaprezentowa-ne po powrocie w kieleckim WDK i w Ośrodku Kultury na warszawskim Ursynowie.

Trzeba wreszcie podkreślić, że nasi literaci zaskarbili sobie od lat uznanie krytyków literac-kich i naukowców literaturoznawców. Twórczość kilkunastu została podsumowana obszernymi szkicami w 10 tomach z serii *Pisarze regionu świę-tokrzyskiego* pod red. prof. Jana Paćławskiego:

- Zdzisława Antolskiego w ujęciu Anny Kur-skiej (t. 7),
- Sylwestra Banasia w ujęciu Iwony Mityk (t. 5),
- Agnieszki Barłóg w ujęciu Marty Zielińskiej (t. 8),
- Bolesława Garbosia w ujęciu Stanisława Żaka (t. 6),
- Henryka Kawiorskiego w ujęciu Jana Paćławskiego (t. 9),
- Jana Krzysztofczyka w ujęciu Mirosława Wójcika (t. 10),
- Jana Lechickiego w ujęciu Marka Kątnego (t. 9),
- Andrzeja Lenartowskiego w ujęciu Jana Paćławskiego (t. 7)
- Ryszarda Miernika w ujęciu Jerzego Rut-kowskiego (t. 1),
- Zbigniewa Nosala w ujęciu Mariana Jan-kowskiego (t. 3),
- Stanisława Nyczaja w ujęciu Harry’ego Dudy (t. 4),
- Adama Ochwanowskiego w ujęciu Iwony Mityk (t. 10),



Z OBCHODÓW 30-LECIA KIELECKIEGO ODDZIAŁU ZLP  
Spotkanie jubileuszowe w Kieleckim Centrum Kultury



Spotkanie prowadził Stanisław Nyczaj, a Władysława Szproch i Bohdan Gumowski prezentowali utwory członków Oddziału



Scenografię stanowiły obrazy Władysława Szproch



Autografy po spotkaniu

Fot. z archiwum Władysława Szproch



## Spotkanie jubileuszowe w Końskich



Pelagia Borowska, Stanisław Nyczaj i Elżbieta Musiał na spotkaniu w koneckim Miejsko-Gminnym Domu Kultury Fot. Kamila Dobrowolska



Władysława Szproch oraz Barbara i Szczęśny Wrońscy czytają utwory ostrowieckich pisarzy w Miejskiej Bibliotece Publicznej przy ul. Wardyńskiego 26 Fot. Elżbieta Pomiankiewicz

## Spotkanie jubileuszowe w Ostrowcu Świętokrzyskim



U góry z lewej: Zofia Walas i Stanisław Nyczaj, z prawej  
Elżbieta Chuchmała



Obok wokalistka Małgorzata Siemieniec i Stanisław Nyczaj

Poniżej od lewej: Beata Kępińska, Jarosław Edward Gryz  
i Małgorzata Spychaj

Fot. Elżbieta Pomiankiewicz



- Teresy Ewy Opoki w ujęciu Stanisława Rogali (t. 9),
- Stanisława Pająka w ujęciu Iwony Mityk (t. 3),
- Bogusława Pasternaka w ujęciu Marii Pieńiążek (t. 1),
- Feliksa Raka w ujęciu Tadeusza Hołdy (t. 4),
- Stanisława Rogali w ujęciu Janusza Detki (t. 5),
- Władysławy Bożeny Szproch w ujęciu Agnieszki Smagi (t. 9),
- Ryszarda Zamojskiego w ujęciu Iwony Mityk (t. 9),
- Wacławy Zimoląg-Szczepańskiej w ujęciu Macieja Równickiego (t. 10),

w książce Jerzego Korey-Krzeczowskiego, żeromszczaka z Polonii Kanadyjskiej, *Powracam tutaj z własnej woli* (o Zdzisławie Antolskim, Bolesławie Garbosiu, Stanisławie Nyczaju, Bogusławie Pasternaku, Andrzejku Piskulaku, Stanisławie Rogali),

w czterech książkach eseistycznych Krystyny Cel: *Tajemnice przeżyć nieuchwytnych, Między dawnymi i młodszymi laty*

(m.in. o Bolesławie Garbosiu, Jadwidze Filman-Zwierskiej, Elżbiecie Musiał, Stanisławie Rogali, Elżbiecie Kwasowskiej-Jachimowskiej, Janie Adamie Borzęckim, Jerzym Stokłosie, Szczęsnym Wrońskim, Janie Krzysztofczyk, Janie Lechickim, Włodzimierzu Kłaczyńskim, Bohdanie Gumowskim, Marii Włodno, Henryku Kawiorskim, Zbigniewie Leoniaku, Bożenie Piaście, Iwonie Zielińskiej-Zamorze, Monice Mazur, Pawłowi Rejdałowi),

małej monografii *Stanisław Nyczaj* z serii „Sylwetki Współczesnych Pisarzy” AW „Gens” i małej monografii *Wobec tajemnicy istnienia. Portret literacki Benedykta Koziela* z serii „Portrety Literackie” OW „STON 2”,

w książce Liliany Abraham Zubińskiej *W drodze do siebie. Portret literacki Jadwigi J. Paźdierz* w serii „Portrety Literackie” OW „STON 2”,

w książce *Zobaczyć rzeczywistość. Włodzimierz Kłaczyński w rozmowie z Januszem Termerem* w serii „Portrety Literackie” OW „STON 2”,

w obszernej monografii Zofii Korzeńskiej poświęconej twórczości Zdzisława Antolskiego *Walka anioła z demonem*,

w obszernym zbiorze artykułów o twórczości Stanisława Rogali *Otarłem się o życie, otarłem się o słowa*.

Dowodem tego uznania są liczne opinie zawarte w zbiorowej publikacji *Współcześni pisarze Kieleccyzny w oczach krytyków* (o autorach antologii *Współcześni pisarze Kieleccyzny* z 2000 r. pisarzach z Grupy Literackiej „Ponidzie”, laureatach konkursu edytorskiego pn. „Świętokrzyska Premiera Literacka”), liczne szkice, eseje, recenzje w „Świętokrzyskim Kwartalniku Literackim” oraz recenzje ukazujące się na łamach ogólnopolskich czasopism: jak np. „Akantu”, „Gazety Kulturalnej” czy na portalu internetowym [www.literaci.eu](http://www.literaci.eu).

Pełniejsze informacje o kieleckich pisarzach z najbogatszym dorobkiem można znaleźć w leksykonie Lesława M. Bartelskiego *Polscy pisarze współcześni 1939-1991*, w 2-tomowym *Leksykonie polskich pisarzy współczesnych* Piotra Kuncewicz, w zakończonej w 2007 r. edycji 10-tomowego słownika biobibliograficznego *Współcześni polscy pisarze i badacze literatury* i w na bieżąco uzupełnianej Wikipedii.

Kieleccy pisarze za swe osiągnięcia twórcze i animatorskie otrzymali liczne prestiżowe nagrody ogólnopolskie, m.in. imienia Andrzeja Bursy, Ryszarda Milczewskiego-Bruno, Jarosława Iwaszkiewicza, Witolda Hulewicza, Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Wielu przyznane zostały odznaczenia, w tym też parokrotnie Krzyże Kawalerskie OOP czy Medale „Gloria Artis”.

Przyznanie zespołowej Nagrody Miasta *in gremio* Kieleckiemu Oddziałowi ZLP za wybitne zasługi dla Kielc poprzez twórczy wkład w rozwój kultury artystycznej i stworzenie silnego środowiska literackiego w sprawdzalnym długim okresie minionych 30. lat stało się ukoronowaniem jego wymiernych osiągnięć, zaświadczonego znaczącym dorobkiem ponad 1200 książkowych publikacji, które wniosły we współczesne życie Kielc i regionu ogromny potencjał wartości moralno-duchowych.

Z wnioskiem wystąpiła przew. Komisji Kultury, Turystyki i Promocji Miasta Kielce ALICJA OBARA.

10 lutego 2014 r. przedstawiciele Zarządu Kieleckiego Oddziału ZLP – prezes Stanisław Nyczaj i wiceprezes Władysława Szproch – odebrali z rąk Prezydenta i Przewodniczącego Rady Miasta Honorową Nagrodę Zespołową Miasta Kielce.

## Żyją sobie literaci...

Żyją sobie literaci, niezamożni – acz bogaci,  
fiskus z nimi kłopot ma.  
Nie nadają się ich zdania do opodatkowania,  
stan ten trwał i trwa.

Coś tam zjedzą, czymś popiją, koń by zszedł, a oni żyją,  
hej, o hej!  
Samym słowem się uraczą, świat od słowa chętni zacząć,  
hej, o hej!  
Uporczywi w swym milczeniu jak kaszel przy przeziębieniu,  
hej, o hej!  
I choć marne u nich siły, ranią niczym ryby-piły,  
hej, o hej!

Pisarz ma być dziś rynkowy, a poeta rozrywkowy,  
ma się sprzedawać jak sól.  
Kto nie pojmie w porę tego, nie ma za sobą ważnego,  
zbiera tylko ból.

Ref.  
Coś tam zjedzą...

Choć już dziś nie gnębi przysmus, aby w wierszu dojść do rymu,  
z ceny spadł metafor miód.  
Tajemnicą nadal sposób, jak przez słowo dojść do głosu.  
Jak iść, by iść w przód.

Ref.  
Coś tam zjedzą...

W pismach podają poetów według reguł alfabetu,  
trudną drogę ma cnót głód.  
By dojść w prozie do wartości, trzeba świętej cierpliwości,  
sens nie lubi mód.

Ref.  
Coś tam zjedzą...



Stanisław Nyczaj

## Wspomnienie o Tadeuszu Różewiczu (1921–2014)

I

Wszyscy stawiający w poezji pierwsze kroki i potem te kolejne, śmielsze – musieli zmierzyć się z Różewiczowskim wzorcem czy modelem wiersza wolnego. Wydawał się najprostszym z prostych. Był arażliwie bezpośredni w szczerych zwierzeniach-oznajmieniach, prawie bez metafor (jako zbędnych ozdobników? – na nie my-wygodni, a poeta miał logiczne uzasadnienie). Łatwiejszy więc w konstruowaniu, o krótkich wersach i swobodnym układzie ich wiązek w strofy bezrymowe. Po hekatombie wojennej, obozach zagłady Różewicz obwieszczał rozpad wypracowywanych mozolnie przez ludzkość wartości i w ślad za tym także śmierć poezji. Oto zwersyfikowany surowy zapis pt. *Od jakiegoś czasu*:

Od kilku lat  
proces umierania poezji  
jest przyspieszony  
zauważyłem  
że nowe wiersze  
ogłaszane w tygodnikach  
ulegają rozkładowi  
w ciągu dwóch trzech godzin  
umarli poeci  
odchodzą szybciej  
żywi  
wyrzucają z siebie  
w pośpiechu  
nowe książki  
jakby chcieli zapchać papierem  
dziurę

– tj. „jakby chcieli zapchać” bolesne spustoszenie w psychice każdego, kto tę straszliwą wojnę przeżył.

Tadeusz Różewicz, który tego doświadczył, obsesyjnie obwieszczał koniec poezji, a sam jednak nadal pisał wiersze, publikował regularnie kolejne tomiki. Nie zajmował się niczym innym oprócz literatury, z której żył, utrzymywał nie-



Tadeusz Różewicz

małą rodzinę. I trzeba przyznać, że ziarno jego niepokoju (naznaczone tytułem debiutanckiego tomiku *Niepokój* z 1947 r.) nie dawało bynajmniej plonów marnych. Przeciwnie, wszyscy podziwialiśmy niebывały rozkwit talentu poety, nieodstępną przychylność weny. Miał w nas gorliwych, uważnych czytelników. Narzucał swój poetycki światopogląd. Naśladowano Różewicza, co bez trudu wychwytywali krytycy, mówiące o jego poetyckiej szkole.

II

Poeta rekomendowany był do nagrody NIKE we wszystkich jej początkowych czterech edycjach. Mógł być proponowany za każdym razem, bo z imponującą częstotliwością, rok po



roku, wydawał kolejne książki. Wreszcie odniósł tryumf w 2000 bezapelacyjny, zyskując zarówno uznanie jury pod przewodnictwem Marii Janion, jak i zwyciężając zdecydowanie sześciu rywali – Andrzeja Czycior-Piotrowskiego, Wilhelma Dichtera, Krystynę Kłosińską, Ryszarda Przybylskiego, Jarosława Marka Rymkiewicza i Adama Zagajewskiego – w plebiscycie czytelników „Gazety Wyborczej”. Otrzymał NIKE za książkę *Matka odchodzi*, opublikowaną w 1999 przez Wydawnictwo Dolnośląskie.

Jaka jest to książka? Monotematyczna w treści i polifoniczna pod względem formy. Poświęcił ją pisarz swojej matce Stefanii (1896-1957), której też „oddaje głos”, zamieszczając w książce dwa jej wspomnienia: o wsi zapamiętanej z dzieciństwa i o roku 1921, kiedy to przyszedł na świat 9 października w Radomsku, przy ul. Reymonta 12, koło rzeczki Radomki. Oddaje, zresztą, po kilka stron także swym braciom: Januszowi (zamordowanemu przez gestapo w 1944 r.) i Stanisławowi (znanemu reżyserowi filmowemu).

O matce Tadeusz Rózewicz pisze z czcią (prawie zawsze przez duże „M”) i przede wszystkim z tkliwością. Jako osobie sercu najbliższej. Matka jest obecna w licznych wierszach, na kartkach

dziennika, we wspomnieniowych zapiskach. Właśnie z tej polifonii różnych gatunkowo form wylania się jej obraz, poparty kilkoma fotografiami. Matka jest opiekuńcza, wyrozumiała. Nie narzuca swej woli nikomu, spiesząc z pomocą dyskretnie. Uczestniczy w życiu rodziny z czułością i dobrocią. Wiadomo, kim dla wszystkich jest, więc nie wymaga, żeby jej roli uwydatniać. Samorzutnie realizuje ją sama, obdzielając sercem jednakowo męża, synów... Ale to jej prawie anonimowe, naturalnie ofiarne życie nie zostaje przeoczone. Odwzajemnione jest serdeczną opieką, gdy zaniemogła i wdzięczną pamięcią po śmierci.

Oto bolesny wizerunek matki z ostatnich jej miesięcy i dni pod czułym i troskliwym okiem poety. Chorej nieuleczalnie. Ukazuje go najwyraźniej, poruszający czytelnika głęboko, *Dziennik gliwicki* z okresu 23 maja – 22 lipca 1957 – w szczerym, bezpośrednim zwierzeniu z dotkliwych przeżyć. Przeżycia bezsilnej rozpaczyny wynikłej z niemożności skutecznego ulżenia cierpiącej. Przeżycia rozterki twórczej wskutek niezdolności do koncentracji przy „warsztacie”; poeta jest przejęty niepokojem o stan fizyczny i duchowy znękaney matki. „Kiedy odchodziła korytarzem – notuje – była jak mała dziewczynka. Kocham Matkę, jakby była moim chorym małym dzieckiem”. Oto kolejny zapis po upływie dwu dni: „Nie potrafię się skupić. Wściekłość narasta we mnie. Ani nie odpoczywam, ani nie pracuję. Siadam rano do pisania. W domu jakiś niepokój – choć niby wszystko jest spokojnie”.

W tym czasie, 1 czerwca 1957 r., umiera w Skarżysku-Kamiennej darzony przez poetę wielką atencją i przyjaźnią Leopold Staff. Przytłoczony tym wydarzeniem, odkłada Rózewicz dziennik prawie na dwa tygodnie. Wracając doń, pod datą 12 VI 57 notuje w związku z wizytą szpitalną u matki: „dałbym swoją krew, żeby ją utrzymać przy życiu”, a 18 VI: „Matka z dnia na dzień umiera. [...] Chyba boi się śmierci. Lekarz [...] chwalił ją jako opanowaną, spokojną, dobrą pacjentkę. Nie histeryzuje. Ale życie z wyrokiem śmierci (w sobie) nie jest łatwe. Tym bardziej, kiedy czas oczekiwania jest wypełniony cierpieniami i bezczynnością. Widzę, jak ta choroba zjada matkę”. Pod datą 20 VI czytamy: „nie chcę się zgodzić z jej śmiercią. Jestem jak nierozumne zwierzę, które karmi swoje małe martwe”, zaś 26 VI: „Widzę, jak się ona męczy i powinienem

jej życzyć śmierci. A tak pragnę, by jeszcze żyła, żebyśmy mógł wyżebrać chociaż pół roku jeszcze; żebyśmy mógł na nią czasem popatrzeć. Czy to jest egoizm – nie, przecież można tak kochać... niech się męczy strasznie, ale niech oddycha, niech ma otwarte oczy, niech patrzy, niech mówi – jeszcze trochę ciepła w tym biednym, pokrajanym, zmaltretowanym ludzkim ciele”. I wreszcie w niespełna miesiąc później: „Oddałem ziemi moje kochanie. Moje dobre cierpiące dziecko – moją duszę” – trudno o wyrażenie większego uczuciowego i duchowego zespolenia z uwielbianą osobą.

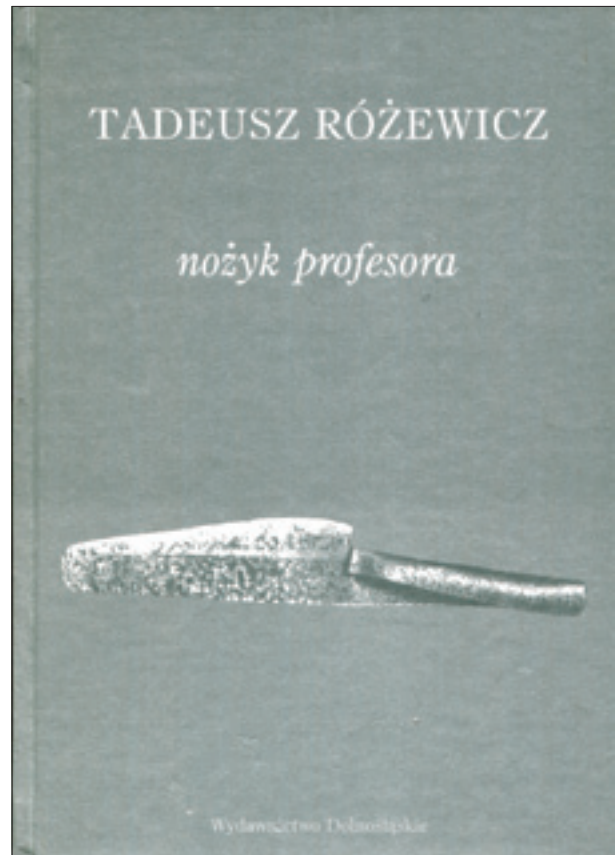
Wobec tego subtelny i czystego w harmonijnej tonacji wyznania, gniew, bunt, surowe oskarżenia moralne i sarkazm poezji, wyrażającej nie piękne i podniosłe uczucia, a najokrutniejszą prawdę – są wstydlwym dysonansem. Krzykiem ostrzegawczym po przeżytej apokalipsie. II wojna światowa i te wszystkie wojny, jakie dotąd jeszcze tu i tam na świecie się toczą, sprawiły, że poeta musiał rozstać się ze złudzeniami piękno- duchostwa. „Ja domek dla umarłych / znaleźli tu swoje / ostatnie schronienie” – uchyla „gościnnie” swoje opuszczone przez humanistyczne wartości wnętrze.

Nic nie zostało z ludzkich starań i trosk  
nie wierzę od brzegu do brzegu  
mojego życia  
nie wierzą tak otwarcie  
głęboko  
jak głęboko wierzyła  
moja matka

– czytamy w wierszu *Cierni*. Nim dotrzemy do stron-partytur miłości, dobra, tkliwości, książkę otwiera donośny ostrzegawczy imperatyw: „jeśli [...] nie zagospodarujemy tego rosnącego Nic to... [...] zgotujemy sobie takie piekło, na ziemi, że Lucyfer wyda nam się aniołem, wprowadzie aniołem upadłym, ale nie pozbawionym duszy, zdolnym do pychy, ale pełnym tęsknoty za utraconym niebem pełnym melancholii i smutku... polityka zamieni się w kicz, miłość w pornografię, muzyka w hałas, sport w prostytutkę, religia w naukę, nauka w wiarę” (s. 12).

Jakież to straszliwe fatum, że matki, te jedyne ostoje naszej wiary w nadzieję, odchodzą! – zdaje się puentować retorycznym żalem Tadeusz Różewicz.

Podpisywany kielczanom przez Tadeusza Różewicza tomik *Nożyk profesora* (2001) jest



jeszcze jednym, naocznym wprost, przykładem zmagania poety z materią słowa. Naocznym, gdyż prócz tytułowego poematu i kilku wierszy zawiera zdumiewającą mnóstwem ingerencji fotokopię korekty autorskiej. Ilość skreśleń, poprawek dopisków świadczy, że nawet gdy utwór zdaje się być gotowy, bo przeznaczony już do druku, praca nad nim wciąż jakby nie dobiega końca. Dany autorowi do przejrzania wydruk komputerowy najwyraźniej stał się pretekstem do ponowienia dalszych prób udoskonalenia tekstu. Na dodatek, porównanie zamieszczonej w książeczce fotokopii korekty z wydrukowaną wersją ostateczną (czy „ostateczną”, objawi wgląd w papiery pośmiertne) przekonuje, że był to autorski wysiłek nie jedyny. A już na pewno nie ten ostatni przed decyzją o druku. Oto pod koniec fotokopii widnieje ręcznie dopisana data: 1950-2001, której w druku brak, a w innych miejscach dowodów na wcześniejszy wariant korekty można by przytoczyć wiele.

Szczególnie poruszają skreślenia i dopiski, czynione niespokojnym, niepewnym decyzji piórem. Tadeusz Różewicz – równie konsekwentnie



jak kiedyś Jarosław Iwaszkiewicz – nie korzystał nawet ze zwykłej maszyny do pisania. W długim wywiadzie, jaki przeprowadził z Nim przed trzema laty prof. Stanisław Bereś (przy współudziale Joanny Kiernickiej) – pomieszczonym w t. 1 *Historii literatury polskiej w rozmowach XX-XXI wiek* (2003)-wyznał:

„Należy zacząć od tego, że wszystko, co napisałem, było pisane ręką. W tym byłem bliski malarzowi czy rzeźbiarzowi. Ręka do dziś jest podstawowym narzędziem mojej pracy. Wszystko oczywiście płynie z mózgu, ale ręka jest w pewnym sensie jego przedłużeniem. W pisaniu bierze udział cały organizm, włącznie z nogami, które teraz cierpną, a nawet niechętnie wspominanym siedzeniem. [...] W latach czterdziestych i pięćdziesiątych używałem pióra. Napisałem kiedyś w jednym z wierszy, że moje pióro zamienia się w suchy patyczek. Nie była to żadna przenośnia! Z tych wszystkich piór został mi jeszcze taki prosty patyczek z niedużą blaszaną obsadką, do której wkładałem krzyżówkę albo rondówkę. Pisałem wtedy atramentem. Bardzo często obok słów i liter napotykałyśmy pewien czas rysunek, jak gdyby ręka zsuwała się na marginesie w jakąś linię, figurę geometryczną czy abstrakcję. Ponieważ druk w moich książkach jest jednobarwny, czarno-biały, trudno zobaczyć, co rzeczywiście działo się dawniej na powierzchni tych rękopisów. Żeby przerwać monotonię płaszczyzny skonstruowanej z liter i wersów, zakłócić jej jednowymiarowość i szarżę, zawsze miałem pod ręką kolorowe kredki lub długopisy, którymi skreślone słowa brałem w niebieskie, fioletowe bądź czerwone ramki. Tak samo zresztą jak tytuły. Układ tych malutkich abstrakcyjnych figur, kwadratów, prostokątów i trójkątów przerywał monotonię rękopisu. Pomagał mi w pisaniu, dynamizował formę. Element wizualny ingerował zatem w układ formalny utworu. U mnie zaś budowa, konstrukcja, montaż utworu – że tak się wyrażę w języku filmu – odgrywały często rolę decydującą. Przesunięcie kilku słów czy złamanie wersu było dyktowane nie tylko składnią lub logiką, ale również kształtem graficznym utworu, jego logiką plastyczną. Moje wiersze to nie tylko myśli i pojęcia, ale również rzeczy namacalne, sensualne”.

Czyli i ta korekta *Nożyka profesora*, jak miało to miejsce choćby w przypadku głośnej *Płaskorzeźby* (1991), była kolejnym artystycznym dopracowa-

niem, dopełnieniem dzieła. 1 tu wzorem dawnych ulubionych zwyczajów Autora – spotykamy tytuły ujęte w ramki, liczne zmiany wersowe czy przedstawienia kolejności całych fragmentów. Nożyk z roli, jaką pełnił w obozie oświęcimskim, służąc profesorowi Mieczysławowi, przyjacielowi poety, do krojenia chleba czy obierania ziemniaków, przemienia się w symbol wielu funkcji, niespodzianie także do „ciąćcia” wersów. Przede wszystkim służy jako wewnętrzny „przyrząd” do artystycznego porządkowania pojęć, obrazów na najbardziej chybotliwym, kapryśnym i najtrudniejszym do okiełznania planie myślowyobraźni.

#### IV

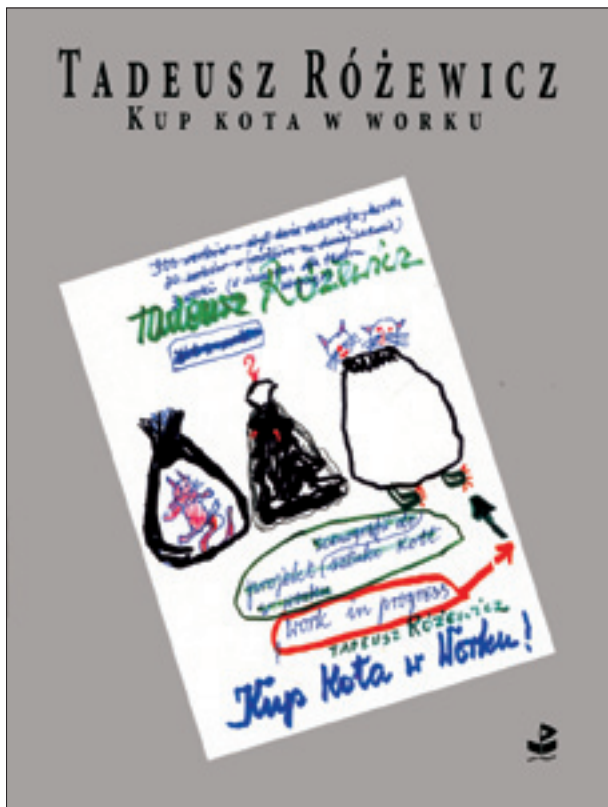
Ostatni raz spotkaliśmy się z sędziwym już Poetą w Kielcach 25 czerwca 2009 r. podczas uroczystości nadania Mu przez Uniwersytet Jana Kochanowskiego tytułu doktora *honoris causa*. Było to spotkanie radosne i zarazem smutne.



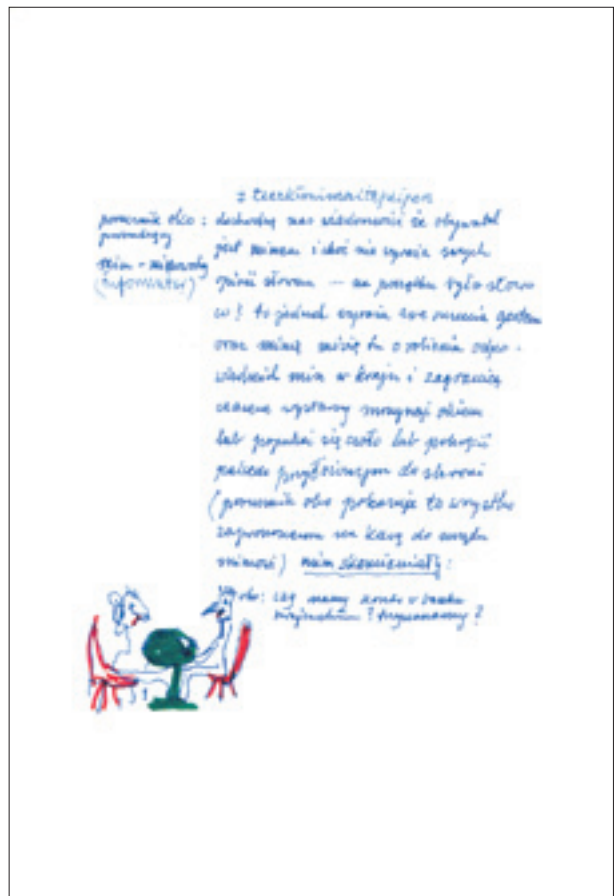
Wykład Tadeusza Różewicza – doktora *honoris causa* Uniwersytetu Jana Kochanowskiego w Kielcach

Radosne z powodu, że tytuł przyjął i do Kielc znowuż przybył. Smutne, gdyż słabe zdrowie nie pozwoliło mu na zamierzoną pełniejszą wypowiedź. Przywdziana dostojna toga trochę już, zapewne, Poecie ciążyła.

Nabyłem wówczas Jego tomik *Kup kota w worku* (2008), w którym na ostatniej stronie okładki pod zdjęciem z archiwum Autora (przedstawiającym Go przy posągu byka-bóstwa) widnieje podpis: „Poeta polski bada kondycję złotego cielca w roku 2008”. W tomiku tym jest 3-częściowy utwór z datą 2007-2008, kończący się znamienym odautorskim wyznaniem:



zaczynam od początku  
zaczynam jeszcze raz  
zaczynam od końca



jestem poszukiwaczem poezji  
od roku 1938<sup>1)</sup>

pochylony nad mętną  
gnuśną pełną odchodów  
rzeką życia  
próbuję

czerpię z morza mowy  
przelewam sto razy  
z próżnego w pustę  
przesiewam piasek słów  
zmęczony zasypiam  
wtedy bóg rzeki  
czysty zimny porwijający  
ucieka  
budzę się z grudką  
błota w zaciśniętej dłoni

w blasku słońca  
w świetle księżycy widzę  
złoto  
złoto złoto złoto

guano rozpylone w kosmosie  
w „nieskończoności”

Niech za komentarz do tego urywku i moich wspomnieniowych refleksji posłużą tu niezwykle ciekawe spostrzeżenia Ireny Górskiej, odnoszące się do metody twórczej Różewicza – w oparciu o dramaturgię i poezję z uwzględnieniem prze-myśleń wielu literaturoznawców – zawarte w jej najnowszej książce *Literatura na próbę. Między literaturą a komentarzem: Różewicz – Witkacy – Kantor* (2013). W podrozdziale *Odgrywanie aktu pisania* znajduje się punkt *Napisać tekst – napisać siebie*, a w nim po analizie tematu cytam m.in.

„Pisanie jest więc aktem, w czasie którego autor/podmiot przypomina <ruchomą, nie-ustabilizowaną funkcję, która pisze się sama> [z przytoczeniem słów D. Wojdy – SN] albo – mówiąc inaczej – <liczy na to, że tekst nada mu tożsamość> [z przytoczeniem A. Skrendy – SN]. Warto zatem zapytać nieco przewrotnie: czy poeta, który nie pisze wierszy, jest poetą? Rozwijając tę myśl, można powiedzieć, że narodzinom każdego kolejnego wiersza za każdym razem od nowa towarzyszą narodziny poety. Sam akt pi-

<sup>1)</sup> tj. od roku, w którym Poeta zadebiutował wierszem *Modlitwa* w czasopiśmie: majowym numerze miesięcznika sodalicyjnego „Pod znakiem Maryi”.



Poeta polski bada kondycję złotego cielca w roku 2008  
Fot. z archiwum Tadeusza Różewicza

sania jawi się jako odegranie nie tylko biografii dzieła, własnej refleksji nad aktem twórczym, ale także własnej tożsamości. Za Tomaszem Kunzem warto powtórzyć, że <Różewiczowskie zabiegi na własnych utworach są w gruncie rzeczy zabiegami na własnym -ja->, które odgrywane w rytm aktu pisania – mówiąc słowami Wojciecha Kalagi – <nigdy *całkowicie* nie należy do siebie – mgławicowe obszary jego jestestwa rozpraszają się w semioprzestrzeni i łączą, nachodząc na siebie, z innymi mgławicami>. Podmiotowość artysty i <podmiotowość> utworu w akcie pisania wzajemnie warunkują swe istnienie. <Później wiersz żyje i może żyć [by przypomnieć słowa samego Poety – SN], nie ma potrzeby, aby wiersz jeździł razem ze swoim twórcą od miasta do miasta, od kraju do kraju w celach nie tylko artystycznych, ale reklamowych i zarobkowych... [...] utwór raz napisany, gotowy żyje życiem własnym> [...]

Tak jak wiersze przesuwają twórcę z tomu do tomu, tak też nieustannie przemieszcza biografie własnych utworów, komentarze do nich, by jego

dzieło pozostawało dziełem w ruchu, które, niczym sztuka *environment*, zmusza do aktywności odbiorcę, który sam winien zdecydować, czy dany tekst będzie czytał jak <literaturę>, czy raczej jak komentarz do niej. Niczego nie rozstrzyga twórca, niczego nie rozstrzyga potencjalna forma, niczego nie rozstrzyga tytuł tomu, który – jak można powiedzieć – wystawia na próbę czytelnicze przyzwyczajenia. Wszelkie rozstrzygnięcia pozostawia twórca czytelnikowi. Dzieło – by posłużyć się słowami Lamberta Wiesinga – <nie tworzy niczego wymiernego ontologicznie>, lecz <zależy jedynie i wyłącznie od chwilowego nastawienia podmiotu>. [...]

Można powiedzieć, że twórczość autora *Kartoteki* wciąż się [zmieniam czas na przeszły, dokonany! – SN] stawała, nieustannie na nowo zastygała, krystalizowała się, by za chwilę znów ulec rozchwianiu na przykład przez zmianę kontekstu, w który wpisywał się wiersz, czy przez nieznaczną korektę utworu w jego kolejnym wydaniu bądź przez zderzenie na sąsiadujących stronach tomiku wersji <na czysto> i <na brudno>. Pisarstwo Różewicza jawi się jako próba słowa (stąd nieustanne skreślanie i poprawianie), próba formy (stąd na przykład praktyka budowania wiersza na obszarze prozy [i idąc jeszcze dalej, choćby we wspomnianym tomie *Kup kota w worku*, proza niejako naturalnie przechodzi w wiersz, ustępujący potem w płynnym toku miejsca prozie na s. 16-18 – SN], próba własnej świadomości artystycznej (stąd na przykład eksponowanie pomysłów i ich unieważnianie)”.  
*Stanisław Nyczaj*



Kołaż Ireny Nyczaj

**Elegia na śmierć poety**

Bez orkiestry dętej  
 podpierając się swoimi  
 wierszami  
 odszedł do innego bytu  
 a może niebytu  
 mały Duży poeta  
 Tadeusz Różewicz  
 Nad światem  
 deliberował całe życie  
 i żonglował słowami  
 jak sztukmistrz cyrkowy  
 Nie wymyślał  
 dziwacznych metafor  
 bo sam był  
 Wielką Metaforą  
 życia  
 życia które obserwował  
 z zamkniętymi  
 oczami wyobraźni  
 Żył samotnie  
 Pośród bytów – niebytów  
 o przyspieszonym  
 metabolizmie  
 żyjących za zasłoną  
 cywilizacji  
 Dla tych co udają  
 Greka i don Kichota  
 dla doszłych i niedoszłych  
 Noblistów  
 dla zwykłych  
 i niezwykłych  
 ludzi  
 zostawił swoje  
 życiowe DNA  
 aby pamiętali  
 że świat  
 składa się  
 z wątpliwości  
 niepewności  
 oraz nadziei  
 I tak będzie  
 dopóki poezja  
 nie zginie pod kołami  
 oszalałego pociągu

Kielce 24/25 kwietnia 2014

Mój mistrz Tadeusz Różewicz  
 oświadczył kiedyś:

„Dawniej  
 bardzo bardzo dawno  
 bywało solidne dno  
 na które mógł się stoczyć  
 człowiek” ...  
 Mistrzu mój drogi  
 dno nie zniknęło  
 co więcej  
 dziś dno jest niejedno  
 którego sięga  
 minister  
 prostytutka  
 i naukowiec  
 człowiek prosty  
 i wykształcony  
 wierzący  
 i ateista  
 i tak dalej  
 i tak dalej  
 ale jest  
 zasadnicza różnica  
 pomiędzy dnem dawnym  
 a dzisiejszym  
 dno dawne było  
 karą i potępieniem  
 dno dzisiejsze  
 jest sukcesem  
 i zbawieniem  
 i tak dalej  
 i tak dalej

Dawniej ludzie  
 z dna się  
 dźwigali  
 dziś na dnie  
 czują się dobrze  
 a może nawet  
 wyśmienicie  
 Dziś ludzie  
 z dna  
 odchodzą na  
 zasłużoną emeryturę

PS

Wiersz ten napisałem w nocy z 20/21 kwietnia nie  
 wiedząc o tym, że Tadeusz Różewicz jest ciężko chory

## „Ta książka sama się czyta”

(O powieści Wojciecha Lubawskiego i Tomasza Natkańca *Małgorzata idzie na wojnę* rozmawiają Bohdan Gumowski i Ryszard Koziej)

**Bohdan Gumowski** – O co chodzi w tej książce? Zadając to pytanie, myślę o dwu względach: chęci wypróbowania pióra w twórczości literackiej i napisania o czymś, co jest związane z Kielcami i regionem, naszą tradycją historyczną. I oto mamy powieść, którą można by nazwać, w pewnym sensie, nawet przygodową. Ale gdyby tylko przy tym pozostać, to sądzę, że takich powieści mamy bardzo wiele i niekoniecznie czytelnicy chcieliby po tę akurat sięgnąć. Natomiast jeśli chodzi o wątek historyczny, to mam pewną poradę dla nauczycieli, by wpisać ją w kanon lektur szkolnych, ponieważ poza dużą lekkością, z jaką została napisana i z jaką się czyta, napotykamy wiele faktów z przeszłości, które w sposób niejako samorzutny docierają do czytelników a ci, czasem całkiem nieświadomie, w ten właśnie sposób poszerzą swoją wiedzę na temat Legionów, marszu I Kadrowej do Kielc, jak też okoliczności związanych z tymi wydarzeniami.



**Ryszard Koziej** – Czy w lekturowym przeznaczeniu z pewnych względów nadawałby się – bardzo ciekawy skądinąd, przyznaję – epizod o spotkaniu bohaterki powieści z postacią historyczną, Wieniawą-Długoszowskim?

**B.G.** – Nie doceniasz rozeznania młodzieży, która ma dzisiaj dostęp do dużo śmielszych ujęć kategorii obyczajowej, do jakich myśmy w latach naszej młodości dostępu nie mieli. Ja mógłbym zwrócić uwagę na inną scenę, szczególnie dramatyczną, z podryzaniem gardeł. Tyle że dziś już jesteśmy tak uodpornieni na tego rodzaju sceny, że nie robią już na nas wrażenia.

**R.K.** – Zatrzymajmy się więc przy tym pierwszym fragmencie. Czy zauważyłeś, jak on jest pięknie napisany, jak ta relacja namiętnego uniesienia zostaje zręcznie wpleciona w pewne słowa charakterystyczne dla przełomu XIX i XX wieku. Stylizacja wyraźna.

**B.G.** – Zwracasz uwagę na język, a ja chciałbym jeszcze przyjrzeć się formie narracji. Czy zechciałbyś o niej coś powiedzieć? Pytam, ponieważ mamy tu dwóch piszących i narrator bardzo często nie jest pojedynczy, tylko wypowiada się zbiorowo w rodzaju: mieliśmy, zobaczyliśmy...

**R.K.** – Skoro dwóch autorów tworzy książkę i są do nich odwołania w narracji, to nie może być inaczej, gdyż narracja powstaje *in statu nascendi*. I to jest, jak zauważyłeś, czas przeszły.

**B.G.** – Jednocześnie narratorzy odnoszą się z dużym dystansem, często poprzez swoje sytuacje, które opisują.

**R.K.** – Ależ oczywiście, bo to jest wzorowane wyraźnie na początkach powieści z okresu oświeceniowego. Wtedy też pierwsi twórcy mieli problemy z narratorem. Wcześniejszy narrator to opowiadacz eposów. Natomiast tu jest przede wszystkim ów dystans, ta liczba mnoga, która kojarzy się z kolei z *pluralis majestaticus* w rodzaju: my, pan na włościach, powiedzieliśmy, zobaczyliśmy...

No i sama kwestia czasu. Czas generalnie jest terazniejszy, np. Małgorzata jedzie, Małgorzata spotyka się, Małgorzata strzela itp. Ale są tak-

że, rzecz jasna, retrospekcje, czyli coś tam się już wydarzyło, zatem czas już przeszedł. Ba, jest również czas przyszły, dlatego że narratorzy są autorialni. Wiedzą, co się będzie działo w przyszłości, czego bohaterowie nie mogą wiedzieć. Często spotykamy się z narracją w stylu: „Ale Małgorzata nie mogła przewidzieć, że za trzy lata się wydarzy...”. I to jest też typowe nawiązanie do narracji z pierwocin powieści – bardzo miłe, sympatyczne i trochę archaiczne. Ona też wprowadza nas w epokę, którą dziś już uważamy za dawno minioną. Tamte czasy I wojny światowej, nie samochodów, lecz automobili, nie pociągów, tylko kolei żelaznych.

**B.G.** – Warto, patrząc na całość, podkreślić szaloną lekkość pióra. Co mam na myśli? Jeśli ktoś zacznie czytać tę powieść – będzie ją chłonał bez oporów, błyskawicznie. Ta książka sama się czyta. I to nie jest żaden komplement, a fakt.

**R.K.** – Komplement też, bo trzeba mieć zdolność tworzenia fabuły, akcji, by czytelnik tak odbierał powieść.

**B.G.** – Z drugiej strony, oczywiście, nie oczekujemy tu jakichś przesłań filozoficznych, intelektualnych najwyższych lotów. Ów walor historyczny trzeba zauważyć i zaakcentować. I z tego względu książka jest ważna dla miasta i regionu.

**R.K.** – Ten walor historyczny jest, jak powiedziałaś na początku świetnie wpleciony. To zabawa konwencjami. Mówiliśmy o nawiązaniach do

powieści oświeceniowej. Zarazem jest też konwencja powieści-drogi, dlatego że rzecz dzieje się podczas marszu I Kompanii Kadrowej. Akcja rozpoczyna się w przeddzień wymarszu strzelców z krakowskich Oleandrów, czyli dokładnie 5 sierpnia 1914 roku. Dlaczego ta data jest tak ważna? Gdyż jest u źródeł powstania samego pomysłu i jego powieściowego spełnienia. To, że jest to rok 1914 i czyn legionowy – ma swą bardzo istotną wymowę. Prezydent miasta, do którego 12 sierpnia 1914 roku wkroczyli legioniści Józefa Piłsudskiego, wybrał tę historię do opowiedzenia, nie ukrywajmy, w stulecie czynu legionowego. Taka też była geneza powstania tej powieści. No i topografia Krakowa, topografia Kielc. Przede wszystkim będziemy tutaj mieli Karczówkę, kieleckie ulice, place, sklepy, miejsca odtworzone z gazet z tamtych czasów, ich opis. Będziemy po prostu w Kielcach z 1914 roku.

Na koniec tylko dodam, że fabuła jest tak prowadzona, iż u finału będą czytelnicy totalnie zaskoczeni. Ale to też znak dobrego pióra, bo jeżeli pisarze potrafili prowadzić czytelnika tak, że podświadomie pewien jest zakończenia, a wtem się okazuje, że nie bardzo tak, jak sobie wyobrażał, to świadczy o świetnym zmyśle tworzenia przygodowej literatury.

Opracował na podstawie audycji w Radiu Kielce 25 marca 1914 „Wieczór z literaturą” pod red. Ryszarda Kozieja Stanisław Nyczaj.



Autorzy podpisują książkę w księgarni „Pod Zegarem”

Fot. Andrzej Nyka

Stanisław Nyczaj

## Na inauguracji XIV Światowego Dnia Poezji UNESCO w Londynie

### I

W piątek po południu 21 marca londyńska kielczanka, malarka i poetka, Marzena Kaspro-wicz wraz ze swym przyjacielem Brianem przywitała nas (tj. mnie z żoną Ireną i synem Pawłem), umęczonych po przylocie i długiej podróży autobusami z lotniska do centrum stolicy Albionu. Było to zaproszenie do zakładu fryzjerskiego Briana, w którym ona zawodowo z artystyczną inwencją modeluje paniom fryzury. Brian, nieodmiennie zafascynowany Marzenką, zaśpiewał na powitanie kilka piosenek poetyckich do jej tekstów. Wzruszył i ujął nas tym bardzo.

Z zakładu pełnego fotosów uszczęśliwionych klientek, więc z pewnością chętnie odwiedzanego, Brian powiózł nas swoim lexusem na kolację do osobliwego baru-restauracji „The Churchill Arms”. Lokal jest osobliwy pod kilkoma względami. Przepustowy mimo ciżby konsumentów obsługiwanych z szybkiej kuchni smacznymi daniami wedle zachcianek. Pod sufitem kłębi się istny rój podwieszonych ozdób. Do toalety damskiej zaprasza królowa, do męskiej – Churchill. Jakim cudem mieszczą się tam jeszcze akwaria? – nie mam pojęcia. Wszystkie kelnerki z pośpiechu obsługi szczupłe, gibkie, w lot chwytające komu co podać. Nikt nie narzeka na tumult przy ladach i stolikach. Stojący, nim zdążą się zniecierpliwic, już po chwili oczekiwania w bajecznej scenerii, zasiadają na zwalnianych, jak na rozkaz apetytu, miejscach. Nikt nie pyta, co ile kosztuje. Tu się pospólnie ucztuje. Nad grzywami przedniego piwa brody i czupryny miarowo potakują z zadowolenia.

Nie mogli tego zobaczyć pozostali kompani eskapady: główny organizator światowego festiwalu Aleksander Nawrocki (poeta, tłumacz, red. nac. „Poezji dzisiaj”) oraz poeci Juliusz Erazm Bolek i Jerzy Paruszewski, którzy po wspólnym przylocie udali się gdzie indziej.

Marzena i Brian mieszkają w dzielnicy Northolt w domu piętrowym z małym ogródkiem

wypoczynkowym pośrodku szeregowej zabudowy. W przestronnym salonie, z którego drewniane schody prowadzą do sypialni na piętrze, mnóstwo rozstawionych na stole i półkach pamiętek z podróży. Na ścianach dookoła obrazy Marzeny. Zatrzymuje wzrok pejzaż wzburzonego morza z wykwittem spiętrzonych fal, nieopodal akt siedzącej dziewczyny, dalej portret Briana nad szachownicą, kilka autoportretów malarki, m.in. z wiolonczelą (jako nastolatka uczyła się gry na tym instrumencie). Z zewnątrz długi szeregowiec z czerwono-brunatnej cegły, niczym śląskie familoki, nie prezentuje się atrakcyjnie, za to mieszkaniowe wnętrza zdają się być funkcjonalne, upiękkszzone zdobniczą fantazją pomysłowych domowników. Ci, gdy znudzą się telewizją i komputerem, wybiegają pogrillować w ogródku.

Żyją wygodnie, przed każdą furtką z wejściową alejką markowe samochody. Czują się bezpiecznie w obcym żywiole, ale w większości – wynika ze szczerych rozmów – są zawiedzeni sytuacją, jaka przymusiła ich do emigracji za pracę. W wielkim molochu różnych ras i nacji najlepiej odnajdują się rozprzestrzeni w grupach. Tych skupisk jest już na tyle dużo, że co raz widać sklepy z szyldami w języku polskim. Tłok w centrum jednak niesłychany. Zgubiłem się podczas wycieczki szlakiem zabytkowych budowli, przeciskając w tłumie na bulwarze Tamizy, wpatrzony w London Eye otwarte z okazji milenium.

### II

Nasze młode małżeństwa – przybyłe z kraju bądź zawiązane tu, na emigracji – licznie odwiedzają POSK [Polski Ośrodek Społeczno-Kulturalny] przy King Street. Przyjazne, ciepłe miejsce.

Tam właśnie 23 marca odbyła się inauguracja XIV Światowego Dnia Poezji pod auspicjami UNESCO. Spore grono zainteresowanych imprezą witali: znany nam już z wizyt w Polsce, także na Kielecczyźnie, Adam Siemieńczyk (który przed kilkoma laty zespolił w Londynie uzdolnionych



Wieczór w pubie The Churchill Arms



Irena, Stanisław i Paweł Nyczajowie w gościnie u Marzeny Kasproicz i Briana





London Eye, zwane Kołem Milenijnym, nad Tamizą      Fot. Paweł Nyczaj



Spotkanie z młodzieżą Szkoły im. Lotników Polskich przy Ambasadzie RP  
Fot. Irena Nyczaj

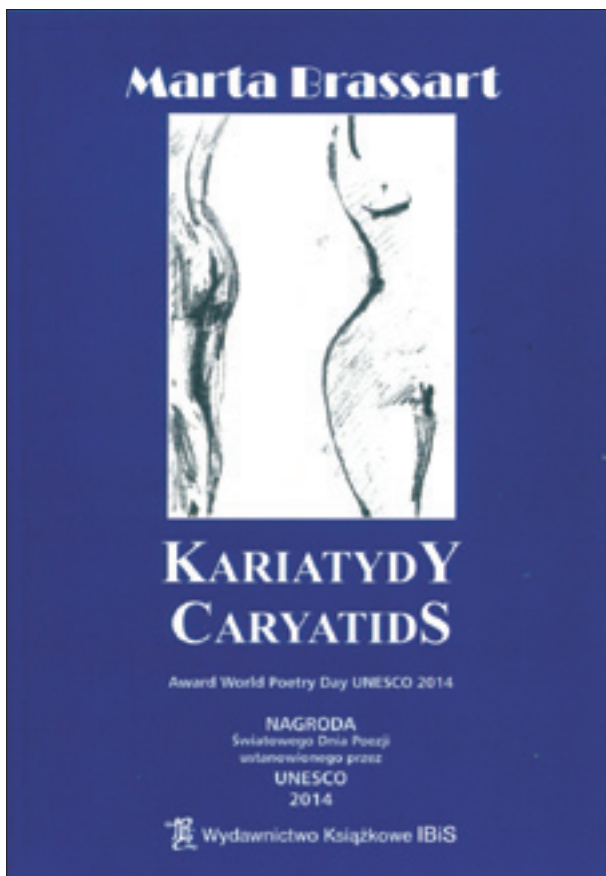


Słynny londyński Big Ben      Fot. Alina Tabisz

twórczo Polaków, dając szanse pierwszym publikacji) i nowo odkryta Marta Brassart (40-latką z organizatorskim temperamentem), nagrodzona przez Aleksandra Nawrockiego za debiutancką książkę *Kariatydy / Caryatids*. Cytuję z niej wiersz *Pokolenie* – w wymowie niemalże programowy:

my – pokolenie bez traury  
 lecz w transie  
 pokolenie bez wojny  
 jakże nie-spokojne  
 cedzimy słowa oszczędnie  
 w boga –  
 – tych wierzymy  
 w wysiugu, by mieć...  
 święty spokój  
 naturalności wysoka cena  
 wartości zniżają głowę  
 i loty

pokolenie bez traury wojny  
 kłosa komunizmu  
 cenzury  
 z nihilizmem  
 rewolucja to ewolucja  
 która wpała w ramiona recesji  
 pokorna świadomość  
 na kartki spisana  
 na stratę



W konkursie poetyckim uczestników imprezy zagłosowaliśmy na Annę Marię Różańską – okazało się trafnie, bo w wyniku podliczenia złożonych na kartkach głosów laureatkę nagrody publiczności.

### III

W przeddzień przeżyłem najbardziej pamiętne zdarzenie: autorski występ w Szkole im. Lotników Polskich przy naszej Ambasadzie. Uczą w niej świetnie przygotowane, eleganckie i elokwentne panie, lubiane przez młodzież. Atmosfera spotkania, zainteresowanie i skupienie wyjątkowe. Wyczuwalny u wszystkich słuchaczy kult dla ojczystej mowy wprost mnie uskrzydlał. Recytowałem wiersze w transie, uniesieniu, że zadziwiłem moich najbliższych, choć wiedzą na co mnie stać. Wzruszyłem siedzącą obok mnie świetną nauczycielkę i przewodniczkę polskich wycieczek Alinę Tabisz, matkę uroczej i uzdolnionej Ani (a na niejednym takim spotkaniu były). Towarzyszył mi, zamieszkały od 2005 r. w Irlandii, poeta Tomasz Wybranowski, absolwent polonistyki, doktorant Wydziału Nauk Politycznych UMCS poruszający w artykułach problematykę mediów emigracyjnych, również dziennikarz prasy i radia (pracował w kieleckim „Radiu Tak FM”, był korespondentem radiowej „Trójki”, jest autorem i prezenterem programu *Polska tygodniówka*, nadawanego w dublińskiej rozgłośni NEAR 90,3 FM – wyróżniony przez środowiska polonijne w Irlandii nagrodą „Dziennikarza Roku 2010”). Autor czterech tomików; czytał wiersze z najnowszego *Nocne czuwanie* (Łódź 2012), wynikił m.in. z inspiracji poezją Zbigniewa Herberta. Przemówił do mnie pełnym dramatyzmu głosem sumienia (jego i podmiotu lirycznego) w rozrachunkowym wierszu *Pętla*:

Tyle lat przemierzam tę samą ścieżkę  
 A mimo to potykam się codziennie  
 Nowy, krwawy ślad jak kropla  
 Znaczą powrót do wnętrza siebie

Spaceruję tam nago  
 Dlatego nie oglądam się  
 W lustrze

Nie spłaciłem pierwszej raty  
 Rachunku sumienia  
 I nie przeprowadziłem  
 Tej najważniejszej rozmowy

Nie wpatrzyłem się jeszcze  
W amplitudę skurczów serca  
Nie przeczytałem tego jednego  
Prostego wiersza

Nie wiem dlaczego  
Uciekam w opary atramentu  
I samotność polnych kwiatów  
Utkanych z czasu...

Byłem blisko poznania  
I o krok od spełnienia  
Nie wyciągnąłem dłoni

Nieskończoność poczuła się  
Urażona



Tomasz wiedział o uczniu, który niedawno wygrał konkurs poetycki w kategorii młodzieżowej. Chłopiec śmiało wyszedł na środek i piękną polszczyzną wiersz zadeklamował, nagrodzony gorącymi oklaskami (mówił z pamięci i nie miał przy sobie tekstu, jaki chętnie bym tu przytoczył).

#### IV

Z Northolt odwiózł nas na lotnisko Aleksy Wróbel pochodzący ze Śląska. Okazał się świetnym kumplem, życzliwie wspomagającym z własnych skromnych środków wędrowną brać

poetycką, przenocowywaną w czasie jesiennych imprez w swoim domu na materacach, żeby oszczędzić funty na wyżywienie. Zaprosił nas na organizowany przez siebie mały październikowy festiwal. Wymawiałem się planowanymi akurat na ten czas uroczystościami 30-lecia Oddziału ZLP. Nie wiem, na ile skutecznie, jeśli będzie w swym uporze zaborczo konsekwentny. Na ten czas wypadnie przecież promocja nowego tomu wierszy Marzeny Kasprowicz *Drzazgi* o finalnym znaczeniu w dotychczasowym dorobku, wypełnionego reprodukcjami jej malarstwa i osobistymi zdjęciami, nad którego ostatecznym kształtem wspólnie od kilku miesięcy pracujemy. Jak nie pochwyć w ramiona przemiłą autorkę i rozentuzjzmowanego nowym jej sukcesem Briana?!

#### V

Osobna sekwencja należy się Frederickowi Rossakovsky-Lloydowi – poecie (autorowi ośmiu tomików), noweliście, dramaturgowi wystawianemu przez kilka teatrów, artyście malarzowi (twórcy charakterystycznych postaci bez rysów twarzy, nazwanych przez krytyków „The No-ughtes” od pierwszej dekady XXI wieku), red. nacz. wydawanego w Londynie kwartalnika „E = Sztuka do Kwadratu” (pisałem w „ŚKL” – 2013, nr 1-2, s. 153 – o naszej w nim dwujęzycznej, polsko-angielskiej prezentacji). Jest on m.in. przew. International Polish Artists Association, czł. Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie w Londynie i Stowarzyszenia Autorów Polskich – Oddziału Warszawskiego II. Zajmuje się promowaniem kultury polskiej na świecie. Współpracując z licznymi organizacjami polonijnymi, organizuje różne imprezy. Prowadzi także działalność wydawniczą. W roku 2013 nakładem wydawnictwa 2Kings&Luv Publishers ukazały się: antologia *Niosący słowa* i *Wielka encyklopedia współczesnej poezji polskiej*. Z kolumny autorskiej pamiętnego numeru 2. „E = Sztuki do Kwadratu” (s. 80) przytaczam otwierający ją przejmujący wiersz *Emigrant*:

odleciał ku zachodzącemu słońcu  
w stronę pięknych willi oczekujących  
sprzątaczy i ogrodników

do miast gdzie obsypują złotem  
za niewielkie poharńbienie  
i utratę tożsamości

utknął na lata – zapomniany  
stał zgięty w pół z butelką piwa  
zbyt ciężki by odlecieć

obojętnie patrząc w przyszłość  
wtopił się w obce powietrze  
nasz duch polski

Redakcja „E=Sztuki do Kwadratu” zaprasza pisarzy i ludzi sztuki z kraju do bliższej współpracy. Interesuje ją wszystko, co jest z literaturą i sztuką związane. Teksty i zdjęcia można przysyłać wyłącznie na adres e-mail: [kwartalnik@e-sztuka.com](mailto:kwartalnik@e-sztuka.com) (z prośbą o opisanie zawartości w temacie). Osobiście gorąco zachęcam.

## XIV ŚDP w Warszawie i Kielcach

### I

W Warszawie tradycyjnie spotkaliśmy się w dość licznym gronie 4 kwietnia na Starym Mieście w Muzeum Literatury im. Adama Mickiewicza, kierowanym od paru lat przez Jarosława Klejnockiego – poetę, powieściopisarza i krytyka literackiego (m.in. autora zbioru szkiców i polemik *Literatura w czasach zarazy*, 2006, który mnie zaciekał).

Przybyło znaczne grono pisarzy, m.in. spośród moich przyjaciół z Prezydium Zarządu Głównego ZLP Aldona Borowicz, Stefan Jurkowski, Zbigniew Milewski, z Zarządu Oddziału Warszawskiego ZLP Juliusz Erazm Bolek, Piotr Dumin. Stanisław Grabowski – poeta znany już Czytelnikom naszego kwartalnika (długoletni, nieoceniony na trudne czasy, prezes LSW, od połowy 2013 prezes Fundacji Arkona im. Jarosława Zielińskiego), sprawił nie lada niespodziankę książką – przygotowaną, głównie własnym zapobiegliwym staraniem – o młodo zmarłym Jarku z Ursynowa (autorze zbioru wierszy *Słowa i linie*, wyróżnionym nagrodą im. ks. Jana Twardowskiego; miałem szczęście mówić o nim w ursynowskiej bibliotece) pt. *Pamiętamy*, z wypowiedziami krytyków literackich i nie tylko. Jakaż to była radość dla rodziców Jarka, Heleny i Eugeniusza Zielińskich, takich z samej dobroci serca, współzałożycieli Arkony, mającej wspierać młodych utalentowanych twórców.

Były recytowane przez mistrza mowy polskiej z 2012 Dariusza Bereskiego i aktorkę o pięknym

głębokim alcie Agnieszkę Wielgosz wiersze Jarka, potem gości zagranicznych i nasze, również Benedykta Koziela – ofiarne animatora międzynarodowych spotkań w Staszowie, Połańcu, z długimi nocnymi rozmowami o współpracy, rewizytach, przekładach, publikacjach przy biesiadnym stole w Rytwianach, gdzie, jak nigdzie indziej, ozdrowieńczo smakuje bezgrzeszny sen w Pustelni Złotego Lasu.

W przeddzień 3 kwietnia wieczorem w Rumuńskim Instytucie Kultury w szczerych zwierzeniach dzielili się z nami swoimi dokonaniem i doświadczeniami Alexandru Șerban (poeta, prozaik, eseista, dramaturg, wybitny tłumacz i popularyzator literatury polskiej w Rumunii od blisko 40 lat) i Valeriu Butulescu (jeden z najwybitniejszych rumuńskich pisarzy, poeta, aforysta – w Polsce wyszedł jego zbiór *Piaskowe oazy* w 2000, prozaik, dramaturg – 10 jego sztuk grały rumuńskie teatry, tłumacz – opracował antologię poezji polskiej *Lirica poloneza* i publicysta – założyciel kilku czasopism rumuńskich; autor 40 książek; zaskakującą ciekawostką stanowi fakt, że za młodo ukończył w Krakowie Akademię Górniczo-Hutniczą, a obecnie jest doktorem nauk inżynierskich z zakresu górnictwa Uniwersytetu Technicznego Petrosani).

### II

W Kielcach gości festiwalu w sali portretowej Wojewódzkiego Domu Kultury im. J. Piłsudskiego powitał dyr. Jarosław Machnicki – inicjator WDK-owskich wieczorów literacko-artystycznych „U Muz”. Na tych wieczorach poznaliśmy wokalistkę Małgorzatę Siemieniec, która tym razem na początek zaśpiewała piosenkę z repertuaru Anny German. Po czym atmosferę skupienia nad każdym słowem i zaśłuchania stworzył Bohdan Gumowski. Wdzięczny mu jestem za wspaniałe wysublimowaną interpretację mojego *Poliptyku krymskiego*. Chciałem właśnie tą poetycką reminiscencją z 2008 roku w szczególności dramatycznej obecnej chwili podziękować Aleksandrowi Nawrockiemu za zaproszenie na inaugurację Światowego Dnia Poezji do Londynu. Krymski obraz Władysławy Szproch (jaki w porę zdążyła zostawić, nie mogąc wziąć udziału) czuwał, by wszystko się udało. Zgrały się w tonacji recytacji i wypowiedzi Romualda Bielendy, Anny Błachuckiej, Beaty Kępińskiej, Jana Lechickiego,

Andrzeja Piskulaka, Kazimiery Szczykutowicz, spięte przez Elżbietę Musiał fragmentami poematu *Ars moriendi*.

Prócz wspomnianych pisarzy z Rumunii, Siergieja Głowiuka z Moskwy, Marty Brassart z Londynu, kielczanie poznali dwie poetki białoruskie: Janinę Grigorowicz i Liubov Kraszewską.

*Stanisław Nyczaj*

**Benedykt Koziół**

## **XIV ŚDP w Staszowie**

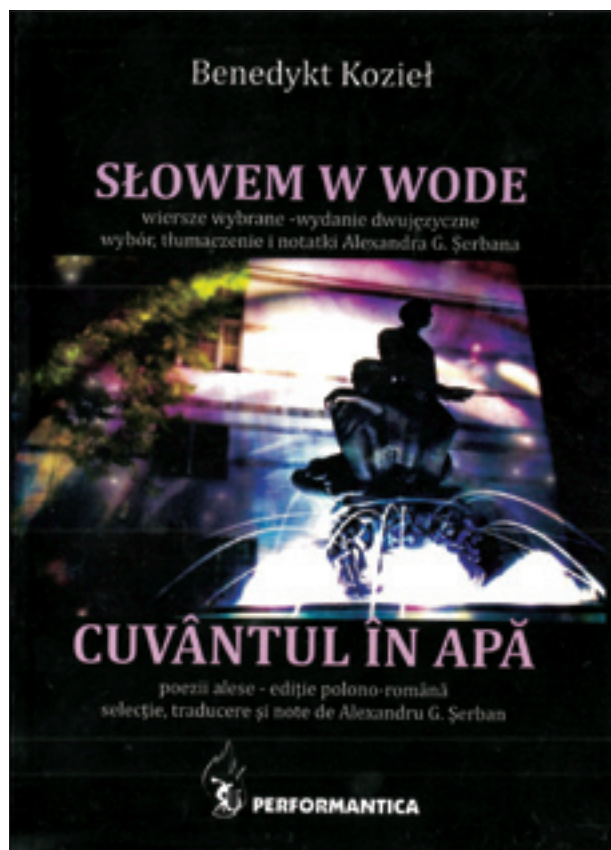
W dniach 5 i 6 kwietnia 2014 roku Staszowski Ośrodek Kultury oraz Pustelnia Żółtego Lasu w Rytwianach gościły uczestników XIV Światowego Dnia Poezji UNESCO. Staszów kolejny raz znalazł się w programie tego święta poezji. Z głównym organizatorem imprezy Aleksandrem Nawrockim, poetą, prozaikiem, eseistą, tłumaczem, wydawcą, redaktorem naczelnym „Poezji dzisiaj”, laureatem prestiżowych nagród międzynarodowych przybyło do Staszowa grono poetów i tłumaczy z kilku krajów. Z Rumunii przyjechali prof. Alexandru Șerban, poeta, tłumacz literatury polskiej, wy-

różniony Nagrodą Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego oraz dr Valeriu Butulescu, z Rosji Siergiej Głowiuk, z Anglii Maria Brassart, z Białorusi Liubov Kraszewskaja i Janina Grigorowicz, z Warszawy Barbara Jurkowska i Juliusz Erazm Bolek. Oddział Kielecki Związku Literatów Polskich reprezentowali: Stanisław Nyczaj, Włodzimierz Kłaczyński, Kazimiera Szczykutowicz, Zofia Walas, Irena Paździerz, Ewa Wojtasik i Benedykt Koziół. Wszyscy autorzy prezentowali swoją twórczość, a sekcja teatralna Staszowskiego Ośrodka Kultury, prowadzona przez Aleksandrę Lipiec, przedstawiła program poetycko-muzyczny oparty na poezji Benedykta Koziół. Z twórcami spotkali się starosta staszowski Andrzej Kruzel oraz burmistrz miasta i gminy Staszów Romuald Garczewski.

Dopisali też wszyscy, którym tak wiele od sześciu lat bliskiej współpracy zawdzięczamy: dyr. Miejskiej i Powiatowej Biblioteki Publicznej Ewa Cygan, dyr. Zespołu Szkół im. Stanisława Staszica Izidor Grabowski (gospodarz naszych nieocenionych plenerów), dyr. SOK-u Katarzyna Ciepela.

Usatysfakcjonowani prezentacją w Staszowie pisarze udali się na ciąg dalszy ważnych rozmów (m.in. o możliwościach tłumaczeń) w swym gronie do rytwiańskiej Pustelni Żółtego Lasu.

*Benedykt Koziół*



Promowane w Staszowie książka i płyta z muzyką do wierszy Benedykta Koziół



Burmistrz Romuald Garczewski i starosta Andrzej Kruzel gratulują grupie teatralnej SOK i jej instruktorce Aleksandrze Lipiec, która przygotowała program poetycko-muzyczny oparty na wierszach Benedykta Koziela



Na zdjęciu z prawej: Valeriu Butulescu, Alexandru Șerban, starosta Andrzej Kruzel i dyr. SOK Katarzyna Ciepela



Wiersze recytowali m.in. Ljubow Kraszewskaja z Białorusi, Marta Brassart z Londynu

Fot. Barbara Jurkowska



Dyrektor WDK Jarosław Machnicki wita uczestników XIV Światowego Dnia Poezji w Kielcach

Fot. Barbara Jurkowska



Aleksander Nawrocki i Siergiej Głowiuk prezentujący wiersz Benedykta Koziela w języku jakuckim z antologii prezentowanej obok



Aleksander Nawrocki wręcza Benedyktowi Kozielowi antologię z jego wierszami w języku jakuckim



Irena Paździerz i Stanisław Nyczaj  
Zdjęcia pochodzą z zasobów B. Koziela, B. Jurkowskiej i SOK

## Świątokrzyska Wiosna Literacka na Ziemi Zagnańskiej

**W gminie Zagnańsk 7 kwietnia br. spotkaniem na Ziemi Zagnańskiej rozpoczęła się tegoroczna Świątokrzyska Wiosna Literacka. Impreza podsumowująca wyniki konkursu oraz wieczorna gala literacko-muzyczna zorganizowane zostały w odnowionym obiekcie OSP Samsonów, który od tej pory nosi nazwę świetlica „Staszicówka”.**

Cykl spotkań miał na celu zaprezentowanie zagnańskiej młodzieży szkolnej i dorosłym twórczości świątokrzyskich pisarzy o znaczącym dorobku w sposób ciekawy poznawczo i wartościowy pod względem artystycznym, w nawiązaniu do żywo dyskutowanych problemów współczesności i z odniesieniami do bogatych tradycji literackich regionu, w szczególności do pisarstwa i społeczno-patriotycznych idei Stefana Żeromskiego (w roku Jego Imienia w regionie świątokrzyskim w 150. rocznicę urodzin).

Do południa pisarze Jan Lechicki, Elżbieta Musiał, Stanisław Nyczaj, Bogusław Pasternak, Irena Paździerz, Andrzej Piskulak, Kazimiera Szczykutowicz, Ewa Wojtasik zaprezentowali w sposób ciekawy swą twórczość we wszystkich szkołach gminy, łącząc każdą lekcję literacką z prezentacją książek.

W południe w „Staszicówce” swą twórczość zaprezentowała młodzież, która nagrodzona została i wyróżniona podczas konkursu literacko-dziennikarskiego. Recytacje nagrodzonych wierszy i fragmentów prozy oraz rozdanie nagród przeplatane były popisami wokalnymi i tanecznymi, które oceniała zgromadzona publiczność.

Jury w składzie: przewodniczący Stanisław Nyczaj, sekretarz Andrzej Piskulak i członkini Krystyna Cel ogłosiło werdykt i uzasadnienie. Nagrody wręczali wójt Szczepan Skorupski i prezes Kieleckiego Oddziału ZLP Stanisław Nyczaj.

Jurorzy uznali, że wszystkie prace, jakie wpłynęły na konkurs, spełniają jego warunki i są wartościowe. Ze względu na niewielką ich ilość w poszczególnych kategoriach wiekowych i zróżnicowany poziom jury postanowiło ocenić je łącznie, przyznając nagrody, wyróżnienia i słowa uznania.

Dwie pierwsze nagrody w dziedzinie poezji przyznano Konradowi Stawiarskiemu i Sylwii Pytce. Dwie drugie nagrody w dziedzinie prozy przypadły Mateuszowi Dworakowi i Maciejowi Dworakowi. Trzecią nagrodą w dziedzinie prozy nagrodzono Magdalenę Janowską z Zespołu SP nr 2 Przedszkola i Gimnazjum w Zagnańsku. Nagrody równorzędne w dziedzinie prozy i form dziennikarskich przyznano Kamili Zagórskiej i Dominice Jeruzalskiej z Zespołu SP nr 2 Przedszkola i Gimnazjum w Zagnańsku. Opiekunką uczennic jest Ewelina Kundera. W dziedzinie poezji nagrodzona została Maria Cieślak z kl. V SP nr 1 w Zagnańsku. Opiekunem uczennicy jest nauczyciel Roman Piskulak. Jury zwróciło też uwagę na wiersze i opowiadania uczniów z SP na 2 w Zagnańsku i wyróżniło: Małgorzatę Ludwinek, Dominikę Jędrzejczyk, Agatę Lisińską i Weronikę Dachowską. Opiekunką uczennic jest Marzena Pawlik. Wyróżniony został także zestaw wierszy Jerzego Strzelca z Zabłocia, podopiecznego Warsztatów Terapii Zajęciowej w Belnie.

Występy artystyczne przygotowane były przez uczniów z ZSP nr 2, PiG w Zagnańsku, Samsonowie i Tumlinie. Ze szkoły w Zagnańsku wystąpili: przedszkolak Kacper Muszyński (taniec), Weronika Krzyżak (recytacja), Dominika Jędrzejczyk (śpiew), Natalia Jończyk (śpiew) oraz Oskar Majewski (śpiew), który otrzymał nagrodę publiczności. Poezję recytowały dzieci z przedszkola w Samsonowie: Maja Duś, Kacper Pasiak, Janek Foksa. Blok artystyczny w wykonaniu uczniów ZSPPiG w Tumlinie składał się z występu chóru pod przewodnictwem nauczycielki Katarzyny Macek oraz solisty Tomasza Kiniorskiego.

Wieczorem odbyła się gala literacko-muzyczna. Było to spotkanie głównie w formie satyrycznej, lekkiej i wiosennej konwencji lirycznej. Swą twórczość zaprezentowali członkowie Związku Literatów Polskich. Imprezę poprowadził prezes Stanisław Nyczaj. Na zgromadzonych czekało wiele niespodzianek, gdyż także zaproszeni goście próbowali swych sił w recytacji i śpiewie. Byli to m.in. posłanka Renata Janik (czytała wiersz Ewy Wojtasik) i wójt Szczepan Skorupski (zaprezentował własny wiersz), Lidia Putowska



(opowiadała o Stanisławie Staszycu i prezentowała wiersze zmarłego tragicznie w ubiegłym roku Janusza Głowczyńskiego).

Muzycznie imprezę uświetniły Zespoły Ludowe Tumlinianie i Jaworzanki. Swój talent wokalny zaprezentowała wokalistka Maja Wojtaszek, która zdobyła ostatnio nagrodę Grand Prix w finale XVI edycji Festiwalu „Scena dla Ciebie” dla najzdolniejszych z województwa świętokrzyskiego. Oprawę plastyczną stanowiły rzeźby i płaskorzeźby Krzysztofa Wesołowskiego oraz eksponaty Towarzystwa Ziemi Samsonowskiej. Na zakończenie odbył się wspólny występ zespołów ludowych i publiczności.

Organizatorami II Festiwalu Świętokrzyska Wiosna Literacka na Ziemi Zagnańskiej był Kielecki Oddział Związku Literatów Polskich, wójt gminy Zagnańsk oraz Gminny Ośrodek Kultury, Sportu i Rekreacji w Zagnańsku.

*Andrzej Piskulak*



Wójt gminy Szczepan Skorupski gratuluje Sylwii Pytce – laureatce młodzieżowego konkursu literacko-dziennikarskiego



Pisarze z laureatami konkursu



Pisarze na spotkaniu z młodzieżą (od lewej): Irena Paździerz, Kazimiera Szczykutowicz, Bogusław Pasternak, Elżbieta Musiał, Ewa Wojtasik



Od lewej: Lidia Putowska (przew. Towarzystwa Ziemi Samsonowskiej), Elżbieta Korus (kier. GOPS), Mirosława Badińska (sekretarz Gminy), wójt Szczepan Skorupski



Zaprezentowano też stroje historyczne

Fot. Andrzej Piskulak

# Jubileusz 50-lecia pracy twórczej Stanisława Nyczaja w blasku „światlnych szpad”

## Od Redakcji

Spotkanie jubileuszowe odbyło się 24 kwietnia br. w kieleckiej Wojewódzkiej Bibliotece Publicznej im. Witolda Gombrowicza. Wypadło, jak raz w dniu, w którym nad ranem zmarł **Tadeusz Różewicz**, i rozpoczęło minutą ciszy dla uczczenia Wielkiego Poety. S. Nyczaj jest autorem obszernego wspomnienia o Nim, jakie publikujemy w tym numerze.

W zaistniałej sytuacji tym większej ekspresji nabrał *Pojedynek z Losem*. Stanisław Nyczaj stanął w szranki, wygłaszając kwestie Poety. Ciosy jego gniewu i buntu odparowywał Los, w którego rolę wcielił się poeta-aktor **Szczęśny Wroński**, prowadzący spotkanie. W sukurs szły im szpady silnych światlnych promieni, jak było onegdaj w pamiętnym dla jubilata roku 1960, na spektaklu *Kaina* wg Marlowe`a w reżyserii Jerzego Grotowskiego, gdzie Kain toczył spór z wszechmocnym Omegą. Do tego właśnie historycznego spektaklu w opolskim Teatrze 13 Rzędów chciał S. Nyczaj nawiązać, gdyż wywarł on na nim, podówczas licealiście, silne wrażenie i stał się po latach inspiracją do *Pojedyнку*.

PS: Poemat potem był prezentowany ponadto m.in. na spotkaniach w księgarni Matras w Kołobrzegu, w warszawskiej Bibeloty CAFE, w Strzelcach k. Nałęczowa u Marii Szyszkowskiej i Jana Stępnia, na jubileuszowym zjeździe absolwentów polonistyki Uniwersytetu Opolskiego w kawiarni Piramida.

O twórczości jubilata mówił poeta i krytyk literacki Stefan Jurkowski. Oto tekst jego wystąpienia:

Stefan Jurkowski

## Liryka i filozofia

(O poezji Stanisława Nyczaja)

Jeśli by spytać o to, czym się zajmują poeci, można by odpowiedzieć słowami Stanisława Nyczaja. Oto poeta wyznaje:

Sięgam po słowo;  
ono po mnie sięga.  
Mijamy się w ciemności.

Sięgam po słowo  
całym niemym wysiłkiem  
bezciesnym ramieniem,  
ręką niepochwytą.

Słowo po mnie sięga,  
chce mieć mnie przy sobie,  
ze mną jedno znaczyć?

Od wzajempragnienia  
wokół się rozwidnia.  
Zda się – dosięgam słowa?  
Ono mnie – zda się – dosięga?

Poezja Nyczaja jest zanurzona w słowie. Ono bowiem jest jej tworzywem, światy poetyckie, znaczenia, przesłania w słowie się ukrywają, w jego obrębie nabierają nowych barw i blasków. Jest jednak tworzywem dość opornym, wymagającym ustawicznego czuwania. Ciągłego sięgania po nie „całym niemym wysiłkiem”. I z wzajemnością. Poeta mówi: „słowo po mnie sięga”. Jest wciąż osławiane, aby „ze mną jedno znaczyć”.

Trzeba powiedzieć, że poezja Nyczaja wynika z owego zjednoczenia. Stąd autor *Arcymiały* osiąga precyzję wypowiedzi, kreuje swój świat, interpretuje zastaną rzeczywistość, odnosi się z jednej strony do konkretnego, z drugiej zaś wprowadza elementy metafizyczne.

Konkret jest tutaj podglebiem, bez którego wszelka refleksja o losie człowieka byłaby bezzasadna; prawa, które nami kierują, i które nas determinują, byłyby niezrozumiałe. Poeta powiada, że ludzka egzystencja jest reakcją na konkretne doświadczenia, na cały otaczający nas kontekst historyczno-kulturowy. Dopiero poprzez ów kontekst można pełniej dokonywać uogólnień, analizować wszelkie zjawiska, określać proporcje pomiędzy determinantą a wolną wolą człowieka, analizować „niestrawne racje zwątpienia / w jakikolwiek sens”. Także sens konfliktu pomiędzy jednostką a zbiorowością, cywilizacją a naturą.

W jednym z wcześniejszych wierszy czytamy:

Człowiek  
najszcześniejszy traf  
intuicji genów

A w *Apostrofie do dumy* z niejakim sarkazmem poeta powie:

Unoś się w pysznej swawoli, Człowieku,  
choć Kosmos zawsze powita cię chłodem

Ale to człowiek jest tym, który stworzył bogów i tak ich skłócił, że w konsekwencji unieszkodliwił, i dlatego stał się posiadaczem wszelkich praw. Wiersz ten kończy się podszytą ironią puentą:

Drży Kosmos, kulą ogony komety,  
Niech to ci doda zwycięskiej podniety

Z jednej strony podmiot liryczny doskonale wie, że jest to pyrrusowe zwycięstwo, ale z drugiej... Tak, to pewien paradoks... Poeta wierzy w człowieka. A jeśli nie w samego człowieka, to w jakąś nieokreśloną siłę (czy prawo?), która mu nie pozwoli przekroczyć ustalonych granic w jego szale twórczym, poznawczym, amoku destrukcyjnym, co w konsekwencji mogłoby doprowadzić do zniszczenia Wszechświata. Poezja Nyczaja jest bowiem „stąd”, ze świata globalnego, i z kosmosu. Czyli z materii i ducha. Ten dualizm prowadzi do równowagi i do wieloznaczności poetyckiej wypowiedzi.

Należy zwrócić uwagę na bardzo szeroki wachlarz tematyczny poezji Stanisława Nyczaja. Człowiek i świat, cywilizacja i natura, przemijanie, niedoskonałość języka nie zawsze nośnego dla danych komunikatów, wreszcie miłość pojmowana w kategoriach erotycznych i psychologicznych. Także historia, dzieje ludzkości, owa „intuicja genów”, ustawiczna ewolucja. Tak w największym skrócie można przedstawić tropy tej przebogatej poezji, tak różnorodnej, ale jakże spójnej.

Twórczość Nyczaja jest trudna, nasycona filozofią i metafizyką, ale w żadnej mierze nie jest przeintelektualizowana. Jest to poezja w najwyższym stopniu emocjonalna, odwołująca się do wrażliwości, często – jak zwłaszcza w wierszach dotyczących relacji damsko-męskich – nosząca znamiona najczystszej liryki. Przy czym poeta kreuje rzeczywistość, stara się ją zrozumieć, ale

nie opisuje, nie tworzy płaskich, pozbawionych głębszych odniesień, obrazków.

Nie ma tu czułości, patosu, dydaktyzmu. Bo Nyczaj nigdy nie jest dosłowny, jednoznaczny, konwencjonalny w poetyckim języku i diagnozach. Postępuje się niedopowiedzeniem, ironią, bywa sarkastyczny. Warsztat poetycki Nyczaja jest bardzo precyzyjny, a nieokiełznana wyobraźnia, ciągłe przekraczanie samego siebie, wreszcie wycucie języka, umiejętność zestawiania słów w taki sposób, aby powstawały nowe zakresy semantyczne, wielość kręgów tematycznych oraz indywidualne, osobne widzenie świata – to wszystko sytuuje twórczość Nyczaja w samej czołówce poetów polskich.

Spotkanie jubileuszowe z udziałem pisarzy z naszego Oddziału, bibliotekarzy z Kielc i świętokrzyskiego regionu, licznego grona przyjaciół – w tym z Warszawy, przybyłych wraz z prezesem Zarządu Głównego ZLP **Markiem Wawrzkiwiczem**, **Aldony Borowicz** i **Andrzeja Tchórzewskiego**, **Stefana Jurkowskiego**, **Bożeny** i **Janusza Termerów**, redaktora „Gazety Kulturalnej” **Andrzeja Dębkowskiego** z Zelowa – uświetnili pieśniami: **Bronisław Opałko** (recitalem), **Krzysztof Błaszkiwicz** (arią z dedykacją). W galerii na piętrze przy prezentacji aforyzmów kulinarnych i biesiadnych i toastach śpiewała **Małgorzata Siemieniec**. Była wspaniała atmosfera.

*Red.*

### Słowo od jubilata

Serdecznie dziękuję wszystkim, którzy sprawili, że to moje jubileuszowe spotkanie – zamierzone jako skromne – wypadło okazale. W szczególności wdzięczny jestem za duże organizacyjne staranie nieocenionym: właścicielowi „Hoteliku” w podkieleckiej Dąbrowie **Eugeniuszowi Markowi Cichońskiemu**, dyrektorowi WBP **Andrzejowi Dąbrowskiemu**, **Jackowi Wiatrowskiemu**, **Szczęsnemu Wrońskiemu**.

*Stanisław Nyczaj*

## Święto Kielc 2014



Przy kiermaszu książek. Od lewej: Kazimiera Szczykutowicz, Paweł i Irena Nyczaj, Jacek Wiatrowski, Romuald Bielenda, Stanisław Nyczaj



Od lewej: Jacek Wiatrowski, Henryk Milcarz, Jerzy Koniewski –  
przew. Związków Zawodowych Policjantów



Jacek Sabat, Marek Cichoński, Jacek Wiatrowski  
Fot. z archiwum Jacka Wiatrowskiego

## Plebiscyt „Echa Dnia” na Człowieka 25-lecia



Stanisław Nyczaj (wyróżniony w kategorii KULTURA) w otoczeniu rodziny i przyjaciół

Fot. z archiwum „Echa Dnia”



Pamiątkowy dyplom



## Kielecka promocja *15 listów* Marka Wawrzekiewicza

Na drugi dzień (25 kwietnia) po jubileuszowym spotkaniu zaprosiłem kielczan na promocję nowo wydanego tomu poetyckiego prezesa Marka Wawrzekiewicza *15 listów*. Znowuż wypełniła się sala WBP im. Witolda Gombrowicza.



Fot. Marek Rak

Piękny edytorsko, z bogatym wystrojem graficznym, tom, opublikowany w Szczecinie przez Zaulek Wydawniczy „Pomyłka”, był najwspanialszą niespodzianką, jaką mogliśmy miłośnikom poezji sprawić. Przypomniawszy dorobek literacki prezesa, poprosiłem wpiery Bohdana Gumowskiego o przeczytanie kilku poetyckich listów, a potem o prezentację utworów i wypowiedź samego autora.

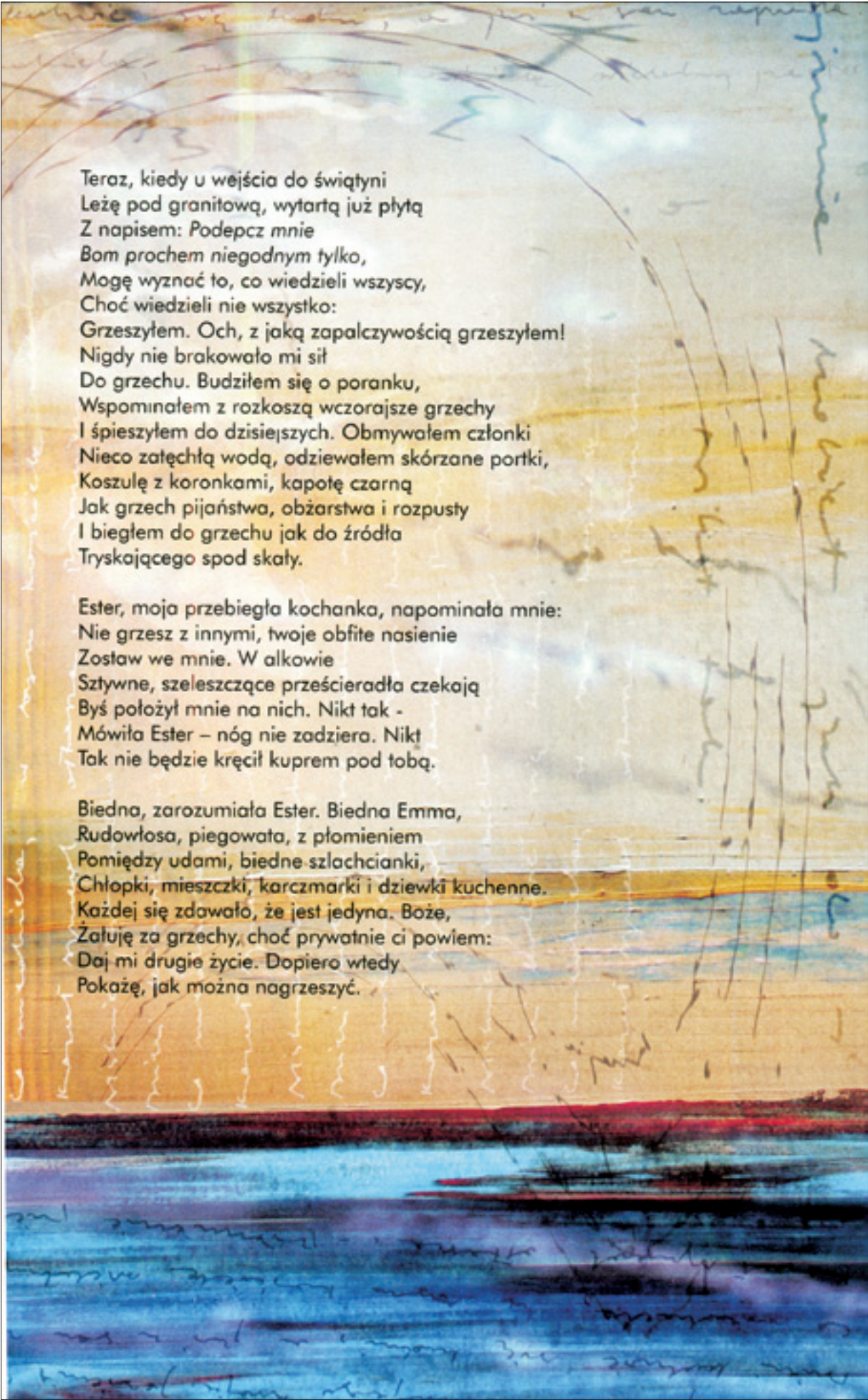
Tom jest poszerzonym wydaniem *Dwunastu listów* z 2005 r. i można go nazwać zbiorem apokryficznych tekstów o miłości, śmierci i przemijaniu.

– Występują w nim – objaśniał poeta – zarówno postacie historyczne, jak i całkowicie wydumane, podobnie jak i zmyślone sytuacje. Ale w gruncie rzeczy te wiersze są czymś w rodzaju pewnego kostiumu. *List spod płyty nagrobnej (Estonia, XVIII wiek)*, dedykowany mieszkającemu w Krakowie przyjacielowi Estończykowi Arne Puu, powstał na podstawie legendy estońskiej. Byłem kiedyś w tym kraju i w jednym z tamtejszych zborów ewangelickich przy wejściu do świątyni wmurowana jest płyta z prawie wytartym, wydeptanym napisem, że

pochowany tam został wielki grzesznik i rozpustnik. Legenda mówi o tym, że grzesznik ten pod pretekstem, iż niby to zamierzał odpokutować swoje winy i żeby w związku z tym ludzie go deptali, w gruncie rzeczy chciał po śmierci spod tej płyty zaglądać pod sukienki kobiet wchodzących do środka. *List lorda Henry’ego do Jej Królewskiej Wysokości Elżbiety I* jest też w pewnym sensie fikcją historyczną, ponieważ nie było lorda Henry’ego, kochanka królowej wygnanego do Francji. Owszem, był inny jej kochanek, którego skazała ona na wygnanie, ale nie nosił takiego imienia. Wiersz ten może się odnosić do czasów współczesnych, do dzisiejszych uczuć dwojga kochanków, tyle że umiejscowionych w dawnych wiekach, w innej scenerii.

Z niesłabnącym ani przez moment zainteresowaniem słuchaliśmy nowych wierszy poety, które łączyły w sobie – jak napisałem kiedyś w posłowie do jego tomu *Ostateczność* (wydanego w 50 lat od debiutu) – filozoficzną, stoicką mądrość z liryzmem wypowiedzi, spokojny obrazowo-refleksyjny tok kreacji rzeczywistości z fikcją, fakty historyczne z apokryfami w sugestywny ciąg czy też splot prawdopodobnych zdarzeń, unaoczniających trwałość przymiotów i właściwości natury ludzkiej – powodowanej tyleż namiętnościami występku, co i wartościami budującymi życiorodny ład. Poeta odwołuje się do formy listu, tj. szczerzego, intymnego wyznania, i równocześnie przez ironię, humor kreuje dystans podmiotu lirycznego, umiejętnie wciągając nas – jak trafnie zauważył St. Jurkowski – w „fascynującą poetycką grę”.

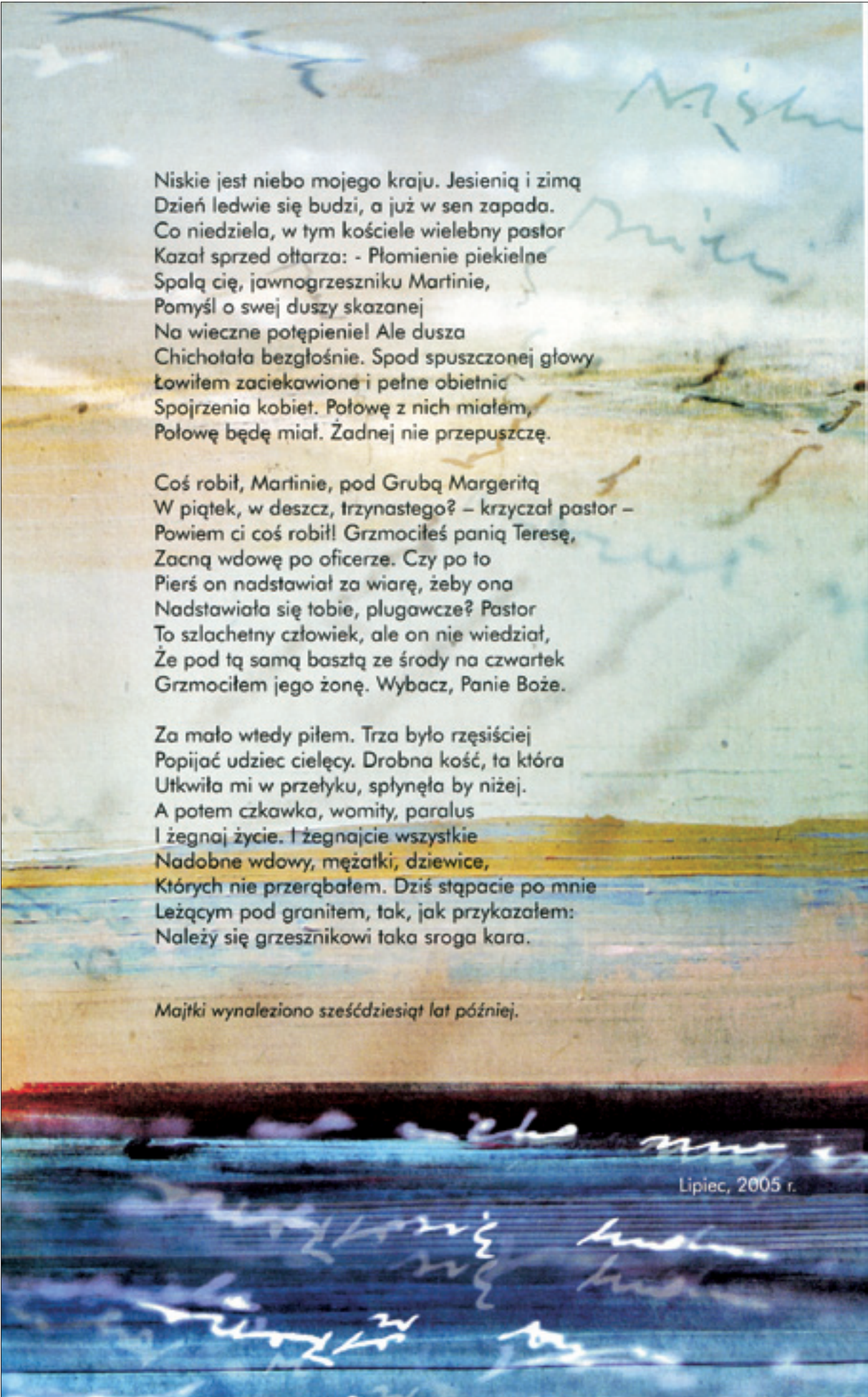
Nie obyło się bez pytań z sali o problemy związane z aktualną sytuacją w polskiej kulturze, a w szczególności dramatycznie złą kondycją literatury i pisarzy. Także z sytuacją związków twórczych, przede wszystkim ZLP. Prezes mówił o zagrożeniach z powodu dotkliwych kłopotów finansowych dla kontynuacji tak ważnych imprez zespalaających środowisko, jak Warszawska Jesień Poezji. Ale też wyczuwało się, że ani on, ani też grono twórców ambitnych i mocno zaangażowanych w działalność naszej pisarskiej organizacji, nie podda się, podejmując wysiłek przetrwania kryzysu i przełamania trudności.



Teraz, kiedy u wejścia do świątyni  
Leżę pod granitową, wytartą już płytą  
Z napisem: Podepcz mnie  
Bom prochem niegodnym tylko,  
Mogę wyznać to, co wiedzieli wszyscy,  
Choć wiedzieli nie wszystko:  
Grzeszyłem. Och, z jaką zapalczywością grzeszyłem!  
Nigdy nie brakowało mi sił  
Do grzechu. Budziłem się o poranku,  
Wspominałem z rozkoszą wczorajsze grzechy  
I śpieszyłem do dzisiejszych. Obmywałem członki  
Nieco zatęchłą wodą, odziewałem skórzane portki,  
Koszulę z koronkami, kapotę czarną  
Jak grzech pijaństwa, obżarstwa i rozpusty  
I biegłem do grzechu jak do źródła  
Tryskającego spod skały.

Ester, moja przebiegła kochanka, napominała mnie:  
Nie grzesz z innymi, twoje obfite nasienie  
Zostaw we mnie. W alkowie  
Szttywne, szeleszczące prześcieradła czekają  
Byś położył mnie na nich. Nikt tak -  
Mówiła Ester – nóg nie zadziera. Nikt  
Tak nie będzie kręcił kuprem pod tobą.

Biedna, zarozumiiała Ester. Biedna Emma,  
Rudowłosa, piegowata, z płomieniem  
Pomiędzy udami, biedne szlachcianki,  
Chłopki, mieszczyki, karczmarki i dziewczki kuchenne.  
Każdej się zdawało, że jest jedyna. Boże,  
Żałuję za grzechy, choć prywatnie ci powiem:  
Daj mi drugie życie. Dopiero wtedy  
Pokażę, jak można nagrzeszyć.



Niskie jest niebo mojego kraju. Jesienią i zimą  
Dzień ledwie się budzi, a już w sen zapada.  
Co niedziela, w tym kościele walebnny pastor  
Kazał sprzed ołtarza: - Płomienie piekielne  
Spalą cię, jawno grzeszniku Martinie,  
Pomyśl o swej duszy skazanej  
Na wieczne potępienie! Ale dusza  
Chichotała bezgłośnie. Spod spuszczonej głowy  
Łowiłem zaciekawione i pełne obietnic  
Spojrzenia kobiet. Połowę z nich miałem,  
Połowę będę miał. Żadnej nie przepuszczę.

Coś robił, Martinie, pod Grubą Margeritą  
W piątek, w deszcz, trzynastego? – krzyczał pastor –  
Powiem ci coś robił! Grzmociłeś panią Teresę,  
Zacną wdowę po oficerze. Czy po to  
Pierś on nadstawiał za wiarę, żeby ona  
Nadstawiała się tobie, plugawcze? Pastor  
To szlachetny człowiek, ale on nie wiedział,  
Że pod tą samą basztą ze środy na czwartek  
Grzmociłem jego żonę. Wybacz, Panie Boże.

Za mało wtedy piłem. Trza było rześściej  
Popijać udziec cielęcy. Drobna kość, ta która  
Utkwiła mi w przetyku, spłynęła by niżej.  
A potem czkawka, womity, paralus  
I żegnaj życie. I żegnajcie wszystkie  
Nadobne wdowy, mężatki, dziewice,  
Których nie przerąbałem. Dziś stąpacie po mnie  
Leżącym pod granitem, tak, jak przykazałem:  
Należy się grzesznikowi taka sroga kara.

*Majtki wynaleziono sześćdziesiąt lat później.*

Lipiec, 2005 r.



## Spotkanie autorskie w księgarni Matras i Noc Poetów w Kołobrzegu



Spotkanie autorskie Stanisława Nyczaja w księgarni Matras. Wśród słuchaczy m.in. pisarka z Gdyni Elżbieta Strzałkowska

Z interludiami wokalnymi wystąpiła Małgorzata Siemieniec



Noc poetów w kawiarni Abadar. Na pierwszym planie Wojciech Czaplewski. W głębi Janusz Kowalkowski, Stanisław Nyczaj

Fot. z archiwum Małgorzaty Siemieniec

## „Moje wołanie niech do ciebie przyjdzie”

Pięknymi i poruszającymi głęboko zdarzeniami podczas naszych plenerów literackich w Kazimierzu Dolnym, Staszowie, Kołobrzegu, Międzywoździu były spotkania z liryką Alicji Patey-Grabowskiej. Tegoroczny kazimierski przyjął jako wiodące zawołanie dla wspólnych prezentacji uczestników formułę: IMIONA MIŁOŚCI – od tytułu jej najnowszego tomu (Kraków 2013, „Miniatura”). Tomu efektownego pod względem edytorskim, wzbogaconego o ekspresyjne malarstwo Wilhelma Kottarbińskiego. W wydaniu tym poetka nawiązuje celowym powtórzeniem części wierszy do swych dwu pamiętnych z bogatego dorobku zbiorów: *Ody do ciała* (Warszawa 1998, LSW) oraz *Rozum i serce* (Kielce 2010, OW „STON 2”), w którym wyodrębniony cykl *Trenów* upamiętnia zmarłego męża, profesora medycyny Jana Steffena.

Tom ten otwiera autorski wstęp, jeden z najzwięźlejszych, jakie zdarzyło mi się napotkać: „Miłość jest antytezą nienawiści i śmierci. Miłość niejedno ma imię. Może być do mężczyzny –

kobiety, dziecka, przyrody, kraju. Może łączyć ludzkość. I taka jest tematyka i układ zbioru”.

Zaklęcie wybrane na tytuł mojej refleksji wynika z magicznego gestu. „Czyni” go energia i moc sprawcza słowa. Poetycki obraz-akt („obnażone ciało i spragnione wargi”) ukazuje i wyraża jednocześnie, jak niewiele trzeba, by wyzwolić przemożne uczucie miłosego pożądania, silnego i wielkiego niczym „ogień, który obejmuje niebo”.

Od czego się to zaczyna? Od niezwykłego trafu odnalezienia się i zespolenia obojga, którzy rozkochują się w sobie z „łaski olśnienia” dla „jedni szczęścia” w nieodłącznym niepokoju i lęku, „aby tak wypełnione po brzegi / donieść / wspólnie / do końca” (*Olśnienie*).

Ci dwoje, będący względem siebie „twarzą w twarz w zachwycie milczenia”, są poza przestrzenią i czasem mali i zarazem najważniejsi. „Tkwimy w źrenicy kosmosu / jak dwa drobne pyłki gwiazd” – tak kończy się wiersz *Pigmalion*.



Alicja Patey-Grabowska na spotkaniu w Kazimierzu Dolnym

Otóż ci dwoje, „wybrani przez dobroć przypadku” i złączeni swymi krwiobiegami i oddechami, zostają „scaleni w jedno” („Adama–Ewę” – ważny jest tu spajający w dwuimię łącznik), ale też „koniecznością losu” mogą być rozdzieleni: „rozdarci na dwoje rozpruci do serca / ptakami słów które nigdy nie odnajdą gniazda”, pozostając odrębnymi bytami: „Adamem Ewą” (zapisanymi z dużym odstępem, w książce jakby po przeciwległych skrajach szerokiego domyślnie wersu).

Zresztą, bywają też „samotni sobą” zespoleni pożarem pożądania w błysku chwili: „Na nitce bezpamięci / zawieszeni” (*Zespoleni*). I bywają zespolenia szczęśliwie trwałe, sprawione „nie namiętnością”, a „czułością tkliwą”, gdy w czas „dzieciństwa starości” wystarczy, żeby być ze sobą „w ogrodzie życia / na ławeczce licząc obłoki” (*Po latach*).

Jak wyczerpać różnorodność możliwych – zwłaszcza tych duchowych – powiązań? Także tych „na odległość” lub – pochwytnych tylko najsubtelniejszym zmysłem intuicji – gdy następuje „odpływ” i „cisza jak twarz śmierci / pozdrowienia śle”, a leżący obok siebie cisi pozostają „nieczuli na dotyk / jak ryby na stole / nakrytym do stypy” (*Cisi*). Patrzymy na pogorzelsko po „żalu namiętności” wypalonym „w popiół”, gdzie „morze znowu ma barwę bladą / jak wargi

zatrzaśnięte / i dłonie w których brzęczy pustka” (*Pogorzelsko*). A przecież autorka tworzy jeszcze – zgodnie z zapowiedzią w cytowanym *Wstępie* – liryczne wyznania miłości do „dzieci Gai” („by małe płuca wykrzyzczyć w jutrzeńkę”), przyrody, kraju, ludzkości (skoro „jestem częścią wszechświata”) – również poprzez bunt i sprzeciw wobec głuchoty i ślepoty na pleniącą się „obłudą jak pleśń”, często bezkarnie, krzywdę. Poprzez współczujące wyczulenie na „kruchość ludzkiego życia”, dopóki „mój kosmos moje serce / bije” (*Przemijanie*). A to przecież nie wszystko, bo przecież miłość dotyczy również Ojczyzny doświadczonej przez Historię, gdzie „każdy skrawek ziemi / jak z popiołu urna” (*Polska nekropolia*).

Inkrustuję tę wypowiedź fragmentami wierszy, by dowieść, jak – słuchając ich w z lekka śpiewnym, sugestywnym przekazie autorki – myśli się odczuciami i odczuwa rozbudzoną metaforami wyobraźnią. I jak się w wystawianym ciągle na surową próbę sumieniu refleksyjnie niepokoi! Niech, teraz czytając, Czytelnik spróbuje wywołać w sobie ów szczególny nastrój tyleż duchowego przeżycia wezbranych emocji, co i uczciwego zatroskania, ocalającego jak najwięcej z tego, co dla człowieka i natury najcenniejsze.

Stanisław Nyczej



Alicja Patey-Grabowska

## Pigmalion

Wyłaniasz się z mroku  
jak ze snu  
Pigmalionie  
którego wyrzeźbiłam w nocy

To ciebie wzywałam  
ale nie słyszałeś  
oddzielony ode mnie  
szklanym murem

Prysnęło szkło  
a my twarzą w twarz  
w zachwycie milczenia

Nie istnieje przestrzeń  
ani czas

Tkwimy w żrenicy kosmosu  
jak dwa drobne pyłki gwiazd

## **Opowiedz miłość**

Opowiedz miłość –  
Tak w wieczorny taniec  
zaplątał się wąż  
Szepnął Ewie –  
jabłko  
Adamowi –  
Kęs

I żółta nienawiść  
jak skóra cytryny  
pokryła ich oczy

I w czerwonej fali  
narodził się Kain  
na pohybel

Opowiedz miłość –  
Nasze głowy białe  
może anioł tym razem zagości?

## **Jest taki blask**

Jest taki blask  
oślepiający blask  
w chwili narodzin  
i śmierci  
w chwili olśnienia

Kiedy zasypia rozum  
a budzi się serce  
Blask – moc  
czerwona stal  
światlista kula na tęczy życia

KTÓRE NAM DANE JEST

## **Gra w szachy z naturą**

Szachownica metali  
w pion  
wzdłuż wszcz  
Szachownica tworzyw plastycznych

Wieża cieniem na horyzoncie  
Mat

Gdzie człowiek? Gdzie człowiek?  
Koła okolicie toczą niebo  
i księżyc syntetyczny z plastyku i plazmy  
(autentyk nie nadaje się do użytku  
anachronizm –  
wymarli sentymentalni)  
Gdzie człowiek? Gdzie człowiek?  
Strateg czy bezdomny  
zgubiony w polu zimnej szachownicy  
Komu mat? Komu szach?  
suną czarne pionki  
Metaliczna wieża wżarła się w horyzont

## **Kobieta i wszechświat**

Mam geny  
Praojca i Pramatki  
Jestem człowiekiem  
a wszyscy ludzie moimi braćmi

Skład mojej krwi  
taki sam jak skład morza  
Wyrośłam z piany

Jestem kopalnią minerałów  
mam w sobie ślady  
złota miedzi żelaza i rtęci  
(która zagraża)  
Wyrośłam z ziemi

Przez moje ciało  
przeptywa strumień neutronów  
pulsuje słońce  
a księżyc przypomina kobiecość

Jestem częścią wszechświata

*Alicja Patey-Grabowska*



## Poezja i malarstwo lekarzy

W marcu i kwietniu br. lekarze twórcy: Barbara Kocela (poetka) oraz Stanisław Śliwa i Janusz Wiśniewski (malarze) zaprezentowali swój dorobek w Galerii Świętokrzyskiej Izby Lekarskiej przy ul. Wojska Polskiego w Kielcach – wiersze tematycznie powiązane z wystawionymi obrazami. Prezentujemy je jako kolejny ciekawy przykład inspirujących powiązań literatury i malarstwa.

### Wiersze Barbary Koceli

#### Gontowa kapliczka

Przy rozstajnych ścieżkach  
w kwitnącej dolinie  
przykucnęła mała  
gontowa kapliczka  
spogląda ku górom  
strzegą jej spokoju  
zamyślane brzozy  
w jesiennych sukienkach  
szafirowe niebo  
czesze włosy w chmurach  
przy kamiennych schodkach  
gorejące krzewy  
pyszną się czerwienią  
a w środku kapliczki  
zamkniętej na skobel  
odpoczywają zmęczone Anioły



Stanisław Śliwa: *Gontowa kapliczka*

#### Leśna droga

Tajemnicza ścieżko  
utkana ze śladów  
pośpiesznych stóp  
i spotkań niespodziewanych  
by odtąd już razem

Tajemnicza drogo  
uwita między drzewami  
iluzjo nadziei splecionych rąk  
zapisana w horyzoncie oczu  
z rozwiniętą nicią Ariadny  
by wyrzeźbionych kolein  
nie ukryła puszysta zima



Janusz Wiśniewski: *Leśna droga*, akryl

## Nad Lubrzanką

Popatrz  
jesień zagościła  
nad modrą Lubrzanką  
ubrała Radostowę  
i pasmo Klonówki  
feerią swoich barw  
dołem płynie rzeka  
a niebo szmaragdowe  
przegląda się w tafli  
w powietrzu stopiony bursztyn  
nie wychodź z takich chwil  
zostań na dłużej w zachwycie  
nad jedwabnym woalem  
turkusowej wody  
nad wrzosową łąką  
i bajkową paletą  
jesiennych kolorów



Janusz Wiśniewski: *Nad Lubrzanką*, akryl

## Samotny wiatrak

Tamte wiatraki  
więziły posłuszny wiatr  
w pracowitych ramionach  
nawet Don Kichot z La Manchy  
nie zdołał pokonać ich siły  
drewniany paltrak  
zatrzymany w obrazie  
sentymalna ozdoba  
naszych krajobrazów  
dobre lata ma już za sobą  
nie dogoni wiatru  
stoi w cieniu dumnych  
żółcistych brzoź  
żyje wspomnieniami  
urodzajnych łąków  
na rencie  
w skansenie Tokarni



Stanisław Śliwa: *Samotny wiatrak*

## Noty o autorach

**BARBARA KOCELA** jako lekarz okulista zorganizowała poradnię okulistyczną dla dzieci, którym poświęciła dużą część swojego zawodowego życia.

Związana z klubem literackim „Irys” od 10 lat pisze wiersze, limeryki i haiku.

Wydała dwa tomiki poezji: *Panaceum* (2010, z kolażami Ireny Nyczaj i postowiem Stanisława Nyczaja), *Wirująca przestrzeń* (2012, ze wstępem Wandy Nowik-Pali). Publikowała wiersze w „Radostowej”, „Akancie”, „Eskulapie Świętokrzyskim”, „Świętokrzyskim Kwartalniku Literackim” oraz w wydawnictwach zbiorowych (np. *Pomiędzy*, *Wokół Staffa XI*, *Leopold Staff w Skarżysku-Kamiennej*, *Wiklinowe rymy*, *Irysowe nitki*, a także w zbiorze utworów *Świętokrzyskich Eskulapów*. Wiersze jej były trzykrotnie wyróżniane w Konkursie Staffowskim, tłumaczone na język serbski i publikowane w kilku antologiach w Serbii. Obecnie przygotowuje „obrazy malowane słowem” wspólnie z malarzami Stanisławem Śliwą i Januszem Wiśniewskim.

**STANISŁAW ŚLIWA** – emerytowany lekarz stomatolog, z zamiłowania kolekcjoner, regionalista. Mieszka w Wodzisławiu, działa w Towarzystwie Przyjaciół Wodzisławia. W 2006 r. wspólnie z żoną utworzyli Galerię „Pod Brzozą”, określaną jako muzeum regionalne, gdzie prezentowane są m.in. archiwalne pocztówki o tematyce patriotycznej i literackiej, grafika, ekslibrisy, medale, sztuka ludowa. Kolekcjonerskie zbiory pocztówek prezentowane były na 50. wystawach w kraju, np. w Muzeum Henryka Sienkiewicza w Oblęgorku, któremu przekazał zbiór 203 pocztówek sienkiewiczowskich (portrety pisarza i ilustracje jego dzieł) wraz z dwoma antykwarycznej wartości albumami z ilustracjami do *Krzyżaków* z 1900 roku, za co został uhonorowany Srebrną Odznaką „Za zasługi dla Muzeum”. Należy do Podgórskiego Stowarzyszenia Przyjaciół Sztuk Wszelkich im. Karola Wojtyły w Krakowie, z ramienia którego uczestniczy w plenerach i wystawach malarsko-fotograficznych.

**JANUSZ WIŚNIEWSKI** – emerytowany lekarz specjalista chorób płuc i otolaryngologii. Jego zainteresowania pozazawodowe związane są ze sztuką – to teatr, śpiew i malarstwo. Występował w sztukach muzycznych i operetkach, m.in. w *Wesołej wdówe*. Miał także nagrania radiowe w Kielcach, udział w chórze Filharmonii kieleckiej, koncertach oraz operze *Straszny dwór* w 1998 r.

W malarstwie uważa za niezwykle ciekawe połączenie rysunku i koloru oraz ich wzajemne przenikanie. Nastrojowe pejzaże są dla niego źródłem niewyczerpanej fascynacji, zwłaszcza harmonia barwnych zestawień. Jego obrazy są eksponowane na wystawie w Świętokrzyskiej Izbie Lekarskiej.



Liliana Abraham Zubińska

**Skarb**

Czuję radość, jakby ktoś  
 mnie czymś obdarował,  
 zastanawiam się i rozglądam,  
 jeszcze nic nie dostałam.  
 Nic?  
 Gdzie podarek, gdzie prezent,  
 gdzie ten skarb?  
 przecież tu i teraz – nikt i nic, tylko  
 ja.

**To**

Nic nie przynosi ulgi,  
 nic, oprócz tego Słowa,  
 Ono wewnątrz niewypowiedziane  
 jest jak melodia,  
 która koi zmysły.  
 Słucham, choć to nie dźwięk,  
 brzmi,  
 choć nikt nie usłyszy.  
 Obudzona (choć to jak sen)  
 nie znajduję nic,  
 co nie byłoby Tym.

**Bezkrę**

Świat nie pozostawia żadnych szans,  
 gdy to się zdarza po prostu płoniesz,  
 choć nikt twojego ciała ogniem nie nazwie.  
 Nie widziałam siebie dotąd,  
 raczej myślałam, że znam słowa,  
 którymi opisuję to, co za siebie uznałam.

Jednak  
 gdzie początek, gdzie koniec?  
 gdy wszystko jak jeden oddech,  
 jak jedna miara, która siebie mierzy.  
 Obliczam wynik tego równania –  
 w swoją nieskończoność.

**Wietrzny dzień**

Proszę,  
 właśnie teraz rozkrusz moje serce na pył.

\* \* \*

Co krąży w moich żyłach?  
 Myślałam, że krew.

Radość jak powietrzne pęcherze  
 wypływa,  
 i bawię się słowem, które jest –  
 moim imieniem.

**Strona światła**

Wróciłam z podróży,  
 ale ciągle tam jestem.

Czy to możliwe, że dźwignęłam  
 zabierając z sobą cały świat.

Otwieram serce  
 jak oceaniczną muszlę,  
 a tam  
 błękitna perła,  
 jak piąta strona światła.

Z tomiku *Qi Strona Światła*





## Pod daszkiem

Drewniany święty  
Franciszek przydrożny  
pamięta czasy baroku

Stoi przy drodze  
na jednej nodze  
kamiennego słupa

W dłoniach trzyma  
świecącą czaszkę  
którą straszyc podróżnych

Tylko ptaki  
nic sobie nie robią  
z nabożnego skupienia

Sprzeczą się i krzyczą radośnie  
pod daszkiem kapliczki

*Piotrkowice*

## Święty ma prawo

Przy drodze ze Stopnicy  
do Zborowa stary  
święty kamienny  
zszedł ze słupa  
i położył się w polu

W końcu po tyłu  
Stuleciach  
ma chyba prawo  
poczuć się zmęczony

Wreszcie chyba może  
położyć się w wysokiej trawie  
popatrzeć w niebo  
i posłuchać skowronków

## Gołębnik

Madonna w Starym Korczynie  
taka drobna, taka dziewczęca  
w białej sukience

Niżej smutni święci  
zatroskani i poważni

A ona jak biały gołąbek  
który chce polecieć zwinnie  
nad polami i nad łąkami

I wrócić do kapliczki  
jak do gołębnika

## Chłopski Chrystus

W Piestrzecu czterech Ewangelistów  
patrzy w cztery strony świata

Chrystus góruje nad nimi  
podparty łokciem jak sołtys nad chłopami

Wszystko przeboleł  
Wszystko przemyślał

Patrzy jak rośnie zasiane przez niego  
Ziarno  
jak zboże

## Madonna z Wiślicy

Matka Boska radosna  
i Jezusek uśmiechnięty

Twarz u Niej okrągła  
jak u wiejskiej dziewczyny  
(można się domyślać warkoczy  
pod chustką?)

Widać że praca jej nieobca  
Jakby się wybierała w pole  
i w wolnej chwili  
zajęła się dzieckiem

Jakby pozowała do fotografii  
taka jest współczesna

## Kwaśne jabłka

Była wysoka ponad miarę, przy tym niezgrabnie się poruszała, jakby wstydziła się swojego ciała. Chuda, koścista i płaska. Długie, proste nogi. Przezywali ją złośliwie: gidyja. Pewnie miała jakieś imię, ale wszyscy mówili do niej tylko po nazwisku – Kowalska. Tak zwracało się do gospodarzy, a tu o młodej dziewczynie – Kowalska – jakby była mężczyzną, a nie dorastającą panienką. Cicha, skromna, zawsze gdzieś z boku. Nie chichotała zalotnie z innymi, nie strzelała oczami na boki, jak tamte. Milcząca, prawie nigdy się nie śmiała. Cesała się gładko, bez warkoczy, krótko ostrzyżona. Głowę miała małą, idealnie okrągłą, ładną.

Na wsi ludzie mówili o niej: żyłasta jest, robotna, będzie dobrą gospodynią. I chyba tak było; na dużych dłoniach miała zgrubiałą skórę, jakby na stałe poszarzała od pracy w ziemi, w polu i ogrodzie. Rzadko się odzywała, uczyła się słabo, coś tam wydukała, zawsze na jakąś trójczynę wyciągnęła. Ale jak dostawała gorsze oceny, to się tym nie przejmowała, wszystko przyjmowała z jakimś denerwującym, stoickim spokojem. Wkurzało mnie to, taki odwieczny chłopski fatalizm: przyjmować wszystko, co los zsyła, ze spokojem, a nawet z uśmiechem. A teraz myślę, że to nie było takie głupie, denerwując się nic nie ułatwiamy, a często pogarszamy sprawę.

Zaszedłem kiedyś do ich zagrody, odwiedzić jej młodszego brata, Krzyśka. Chciałem wymienić się z nim znaczkami pocztowymi. Zwłaszcza zależało mi na znaczku z żałobnym Piłsudskim, z czarną obwódką, wydanym po śmierci Marszałka w 1935 r. Ale Krzyśka nie było w domu, gdzieś poleciał na wieś, nikogo nie było, wszyscy w polu, u sąsiadów tak samo, tylko sama Kowalska. Kury i gęsi wałęsały się po podwórzu. Pachniało zwierzęcym potem z chlewa i ze stajni. Parował gnój złożony w kącie. Jaskółki przecinały powietrze polując na muchy. No i pies, uwiązany na łańcuchu przy budzie. Było to wielkie płowe bydło, czekał na mnie jak oszalały, ale potem, widocznie znudzony, położył się w cieniu na wiązce słomy i zasnął.

Głupio mi było tak odwrócić się na pięcie i wracać do domu. Było koło południa, jakoś nudno i sennie. Słońce mocno grzało, ostre i palące, czułem, jak jego promienie niemal parzą mi szyję. Kowalska powiedziała, żebyśmy poszli do sadu za domem, bo tam jest cień. Usiedliśmy na trawie. Wokół wałało się w trawie pełno olbrzymich jabłek i soczystych gruszek, dalej rosły rzędem krzewy porzeczek.

Nagle zauważyłem, że ta Kowalska wcale nie jest taka brzydka, jak o niej mówią. Nogi ma długie i nawet całkiem, całkiem zgrabne, mocno opalone. Oczy... sarnie, wielgachne na pół twarzy, wilgotne. A że jest duża, a właściwie wysoka, to cóż, przecież to wcale nie wada, a raczej zaleta. Zgrabna jest, prosta. Przecież wszystkie

modelki, jakie oglądałem w kolorowych magazynach, były rosłe i chude, tylko na wsi ludziom podobają się dziewczyny niskie i grube. Może piersi ma zbyt małe, ale jeszcze jej urosną, przecież ma dopiero siedemnaście lat.

To dziwne, jej zielone oczy wyrażały jakiś podziw dla mnie i pewną łagodność. Oddanie, uległość, a w dodatku matczyną tkliwość. Poczuję się bardziej dorosły, ważny, wyjątkowy. Prawie... mężczyzną. Nigdy dotąd tak się nie czułem, było mi z tym dobrze, a jednocześnie jakoś dziwnie.

Siedzieliśmy na trawie gryząc jabłka, które były mocno kwaśne. Słońce świeciło poprzez gałęzie i liście. Wszędzie wokół latały owady: włochate trzmiele, jakby owinięte w poprzeczne pasy, małe czarne muszki, brązowoczerwone motyle, a także żółte osy, które chowały się w wydrążonych w owocach otworach. Na zewnątrz widać było tylko poruszające się rytmicznie ich żółte odwłoki. Czułem się ważny, doceniony, może nawet... lubiany? Przypomniało mi się nagle, że Kowalska ma na imię Halina. Mówiliśmy o wszystkim i o niczym, właściwie to wcale nie było ważne, o czym mówimy. Opowiedziałem jej jakiś film, który widziałem w mieście. Śmiała się szczerze i radośnie.

I nawet tak powiedziałem do niej, po raz pierwszy w życiu, jakimś nieswoim głosem, przez ściśniętą krtań: – Halinko! A kiedy podawała mi gruszkę, to jakoś tak szybko uciekła z dłonią, kiedy nasze palce się dotknęły, jakby się sparzyła.

Ale kiedy zrywała kolejne owoce, to nagle się potknęła, ale tak nieszczęśliwie, że wpadła wprost na mnie. Przytrzymałem ją w ramionach, a nasze wargi, jakoś tak niechcący, się dotknęły. Zaczęliśmy się całować. A potem Halinka wpadła w nierozumny szal i całowała mnie po całym ciele. Zaciągnęła mnie do stodoły i tam, ukryci w sąsiedku, kochał się jak dorośli. A wszystkiego uczyła mnie Halinka, bo to był mój pierwszy raz i jakoś wstydziłem się, nie bardzo wiedziałem, jak postępować, żeby jej nie urazić.

Kiedy wracałem do domu, czułem się innym człowiekiem, pewny siebie, odważny, wesoły. I trochę tym swoim nowym uczuciem – zawstydzony. I zdumiony byłem, jak mogłem uważać, że Kowalska jest brzydka. Piękna dziewczyna. I przypomniało mi się jej nagie ciało, długie nogi, znów poczułem falę ciepła, od brzucha, aż po koniuszki uszu.

W ustach miałem jeszcze smak jabłek, które jęliśmy w sadzie, kwaśny, jakby owoce jeszcze nie były w pełni dojrzałe. Ale dręczyła mnie też jedna myśl, która zatruwała mi tę chwilę tryumfu: czy ja byłem pierwszym chłopakiem, z którym Halinka to robiła? I ta myśl, zamiast odstręczać od Kowalskiej, jeszcze bardziej mnie do niej zbliżała. Bo nie chciałem, żeby to robiła z kimś innym, a tylko ze mną.

*Zdzisław Antolski*

## Niepodległa

Nieśmiertelna!  
Niepodległa!

W ciszy leśnego runa  
czerwienią zasnutego nieba,  
jesiennym złotem otulona  
wracała Ojczyzna  
pod strzechy pradziadów.

Boleśnie na sercu zraniona,  
niosła ciężar jak kuźniane miechy  
i tchnęła w Naród wolność,  
aby Polak strach pokonał  
i Ojczyznę w sumieniu nosił  
jak własny skarb,  
dozgonnie szanował.

## Niepewność

Na zmarszczkach pamięci  
zawieszony korowód wydarzeń  
nie zadaje bólu,  
śladów krzywdy nie zostawia.

Odeszło cierpienie jak zła karta.  
Pozostała tęsknota  
za niedoszłym spełnieniem.  
Czy nadzieja znów jest otwarta?

## Nad grobami nieznanymi żołnierzy

O świcie w czas złotej jesieni  
polski naród wolność utracił.  
Za Ojczyznę ginęli  
nasi frontowi żołnierze,  
w ciemnym borze bezimiennie chowani.

Smutną zadumą ogarnięci,  
znak krzyża czynimy  
dla ich chwały  
i wiecznej pamięci.

## Moja ojczyzna

Moja Ojczyzna jest niebem i ziemią  
domem drogą i dróżką  
po której idę z białym orłem w ręce  
walczyć o Polskę  
Moja Ojczyzna jest słońcem nad Lwowem  
i mieszka w piosence nuconej pod nosem  
Moja Ojczyzna jest sercem Europy  
którego tętno życia  
słyszę w kamieniu dłutem Fidiasza  
Moja Ojczyzna jest rzymskim prawem  
które ogłasza porządek rzeczy  
Moja Ojczyzna jest drukowana  
przez Gutenberga na papierze  
Moja Ojczyzna gazowana  
Moja Ojczyzna spopielenia  
w niemieckich krematoriach  
oto historia  
Drugiej Wojny Światowej  
Majdanek Auschwitz Birkenau  
śmierć człowiekowi człowiek dał  
miliony ludzi poszły z dymem  
Moja Ojczyzna jest polskim rymem  
jest ona wylśniona  
świata poetą Norwidem  
jest ona wylśniona  
świata poetą  
Gałczyńskim Baczyńskim  
Leśmianem Tuwimem  
Jak argonauta z nimi płynę  
po złote runo ludzkich marzeń  
Jak Feniks wstaje po pożarze  
z popiołów Auschwitz i Majdanka  
moja Ojczyzna Marsylianka  
Moja Ojczyzna na Dolnym Śląsku  
jest w Polanicy pod fontanną  
gdzie się zjeżdżają zagraniczni  
różnojęzyczni Mickiewicz  
spotkać Homera przy Źródle Słowa  
by bezgranicznie świat miłować  
W mojej Ojczyźnie malują obrazy  
śpiewają pieśni piszą wiersze  
Moja Ojczyzna jest twą Ojczyzną  
podajmy sobie ręce  
Ludzie się uczą ludzie się trudzą  
by nasze życie było piękniejsze  
Moja Ojczyzna – moje wiersze

## Głosy wieczoru

Głosy wieczoru jak fale na wodzie  
obudziły nabrzmiałą w nas dal,  
rozszeptały się liście w ogrodzie,  
wyłynął smutkiem ukryty żal.

Skąd między nami szarość, zniechęcenie,  
pretensje, nieukożone zgryzoty,  
dni tak zwyczajne jak przyzwyczajenie  
i niescałowane tęsknoty?

Może sami żeśmy się oszukali,  
chcąc widzieć siebie zupełnie inaczej?  
A może za mało starali,  
aby sobie wzajem wybaczyć?

Co znaczą nasze drobnoliste wady –  
skoro wrosliśmy w swoje dusze drzewem?  
I te zrzęczenia, o drobiazgi zwady –  
skoro jesteśmy dla siebie niebem?

W nas są przecież chłody i radość poranków,  
rozdroża zmęczony południowy żar,  
bieg za marzeniami, namysł przystanków,  
odnalezienia siebie nawzajem – dar.

## Z wieczora

(piosenka)

Wszystko twoje, a zarazem cudze –  
w chłodzie wieczoru ulga wytchnienia  
po upalnym i ciężkim dnia trudzie,  
czyhające w powietrzu zwątpienia.

Wszystko jest takie, jakie być powinno.  
Niebo za oknem, a pies przy tobie.  
To co minęło, co kiedyś było  
jawi się znowu spod przymkniętych powiek.

Wszystko mieści się w chwili wytchnienia,  
co przeszło, co jest i co zaraz będzie.  
Pryzmat widzenia może ona zmieniać.  
A wieczność pulsuje w każdym źdźbła pędzie.

Wszystko zasiane w przeczuciu spełnienia  
cierpliwie teraz oczekuje zbioru.  
Przelatują cicho cienie wieczoru  
przez sad, twą ręką wezwany do istnienia.

## Dzielić się słowem

*Stanisławowi Nyczajowi w 50-lecie twórczości*

Nikt tak jak On  
nie walczy o byt  
Słowa  
nie cieszy  
ojczystej mowy  
metaforą trafną  
właściwym czasem  
poetyckiej rozmowy  
nie dzieli  
Słowem  
mądrym

*Kielce, 24.04.2014, WBP im. W. Gombrowicza*

## Nieznanej pamięci

Kochała ludzi  
niczym  
Helena Parysa  
stąd pewnie wojna  
o Słowo – Słowa  
o najwyższy stopień  
stopniowania poezji  
Czytałem jej  
oceny – postowia  
wydobywała w nich  
kunszt słowa  
zawsze  
z życzliwością Pegaza  
w obronie  
piszących Trojan

*Kielce, 13.12.2013*

Wiersz ten poświęcony Pani dr Helenie Wolny zajął I miejsce w X Ogólnopolskim Konkursie Literackim pod hasłem „Godność człowieka” organizowanym przy Katolickim Stowarzyszeniu „Civitas Christiana” w Kielcach.

## Izol

Izol pojawiał się na zajęciach sporadycznie. Na tych jedynie, na których musiał. I gdyby nie metoda projektów, nigdy by się pewnie nic nie wydało, bo zdolny był jak sam Banach. Zaliczał nie ucząc się wcale i prawie nie chodząc na zajęcia. Na trzecim roku studiów rozpoczęła się praca w grupach. Studenci się znali i według sobie tylko wiadomego klucza wchodzili w różne tematy i składy osobowe. Tym razem też tak było. Wszyscy się już ukonstytuowali i podzielili kto? co? kiedy?, gdy na salę wpadł Izol. Wykładowca popatrzył na niego, dostrzegł zapewne niestaranność stroju, fryzury, bladeść lica i zapytał:

– No i co ja mam z panem zrobić?

Patrzyliśmy wszyscy na kolegę, który wszedł z opakowaniem pizzy i czekaliśmy co się wydarzy. Zapach „neapolitańskiej” rozchodził się szybko. Wciągaliśmy nosami aromat i odruchowo przykładaliśmy dłonie do brzucha. Głód się odezwał. Sprawdzaliśmy czas na komórkach. Dochodziła czternasta. Wykładowca skubał brodę i mruczał coś o sterze, żeglarzu i okręcie. Potem zaczął:

– Mam tu jeszcze jeden temat, ale nie słyszałem nigdy, żeby jedna osoba stanowiła grupę. Może który zespół pana przyjmie? Niech pan poprosi. Rozszerzymy jakiś punkt.

Izol oczywiście nie poprosił, to znaczy nie powiedział ani słowa, ale wzrokiem prawie błagał, żeby go przyjąć. Po kolei, jak w jakimś przewidzianym dobrze scenariuszu teatralnym spuszczaaliśmy wzrok, a nawet całe głowy opuszczaliśmy w dół. Wreszcie wykładowca niby to proponował, ale tak, że odmówić nie wypadało. Powiedział w naszą stronę:

– W czwartym zespole same panie... Temat trudny, a pan Mariusz głowę ma tęgą. Zgadza się pan? Panie coś wymyślą. Ja podpowiadam czwarty punkt projektu.

I nawet nie czekał na naszą zgodę ani na zgodę pana Mariusza, tylko zebrał papiery i skierował się do wyjścia. Izol podszedł do naszego stolika. Pozostali zbierali się w pośpiechu. Może chociaż poczęstuje pizzą – pomyślałam. Ale kiedy podszedł bliżej, odechciało mi się poczęstunku. Przez zapach pizzy przedarł się smród niemyte-

go ciała i niezmiętej odzieży. Wymieniliśmy spojrzenia. Ala, pierwszy rezolut grupy, odpaliła:

– Słuchaj, Izol, odezwij się jutro. My usiądziemy w akademiku i coś ci odkroimy z projektu. Dobra? Wiesz, gdzie mieszkamy?

– Wiem. Jutro wpadnę.

I tyle go widziałyśmy. Ani jutro, ani pojutrze, ani za tydzień. Zbliżał się termin oddania projektu, a Izol się nie pojawił. Zrobiliśmy za niego co trzeba, a faktycznie musiałyśmy poprosić o pomoc kolegę, który funkcje miał wykute na blachę. Sporządziliśmy opisy i stronę pierwszą z naszymi danymi. Tam też, w jednej z rubryk trzeba było wstawić po jakiegoś czorta PESEL i własnoręcznie podpisać się.

– Po co ten PESEL? – pytałyśmy jedna drugą.

Postanowiłyśmy, że go odnajdziemy. Niech się chociaż podpisze i poda ten numer. Szukamy więc. Nikt nie wie, gdzie on mieszka. W dziękuję powiedzieli, że informacji o jego czasowym miejscu zamieszkania nie mogą nam udzielić, bo nie gromadzą takich danych.

– Dziewczyny, może na policję trzeba to podać? – służbowo stwierdziła sekretarka, bo jakby co (tu spojrzała wymownie zza okularów), to mogłoby być na nas. Ledwie ją uspokoiłyśmy, choć w nas również niepokój narastał.

W sobotę poszłyśmy na pizzę. Gadamy o tym projekcie, obmyślamy sposoby dotarcia do Izola. Na pierwszym roku go nie było. Pojawił się dopiero na drugim. Od razu był Izol. Kto go tak nazwał? Studia od drugiego roku rozpoczął też Krzysiek. Do niego trzeba iść. W pewnej chwili rozmowa ucichła. Nie wiem co się dzieje. Odwracam się. Przy barze stoi Izol. Barman podał mu pizzę, ten nawet nie zapłacił, tylko odwrócił się i wybiegł.

– Za nim! – krzyknęła Anka.

Poderwałyśmy się w cztery. Jolka została, żeby uregulować rachunek. Idziemy, a właściwie biegniemy. Już nawet nie mamy siły kryć się za drzewami czy słupami, bo idzie bardzo szybko. Izol kieruje się w stronę osiedla. Wpada do bloku i po dwa schodki pokonuje wysokość czwartego piętra. My zdyszane naradzamy się co zrobić. Anka rozkazuje, żebym to ja poszła i zbadała sprawę, a one będą na tyłach. Chcę wsparcia. Dołącza Ala. Akcja jak w wojnę. Komórki w garści.

Pukamy. Nikt nie odpowiada. Boję się. Pod drzwiami podchodzą dziewczyny. Nacisnęłam le-

ciutko klamkę. Drzwi ustąpiły. Do naszych uszu dotarły głośnie komendy:

– Ustaw się u góry! Pal! Co się k...gapisz!  
Ty z prawej! Padnij!

W przedpokoju półmrok. Ala krzyczy:

– Halo, jest tu kto?

Nikt nam nie odpowiada, tylko jakieś ryki i wrzaski dochodzą z pokoju. Otwieram drzwi. Smród! Pokój zarzucony plastikowymi butelkami po napojach. Jakby fale morskie zastygły na moment. Na parapecie okiennym całe sterty opakowań po pizze, aż szyb nie widać. Przed komputerem siedzi Izol i rozgrywa jakąś batalię. Krzyczy, komenderuje, wzywa do boju...

Ala szarpie go za ramiona. Izol odwraca się. Wrzeszczy, jakbyśmy były głuche:

– Jak śmiecie mi przerywać! Won! Won, bo nie ręczę za siebie!

Wyglądał przerażająco. Jak w jakimś amoku. Wzrok nieprzytomny, usta gotowe wypowiedzieć każde straszne słowo. Chyba nas nawet nie poznał. Wycofałyśmy się z pokoju i mieszkania najszybciej jak tylko mogłyśmy. Zrezygnowałyśmy z rozmowy z Izolem. W poniedziałek Ala powiedziała o wszystkim opiekunowi roku. Nie wiedzieliśmy, co dalej robić, więc w ten sposób zrzuciłyśmy z siebie odpowiedzialność. Zajęłyśmy się swoimi sprawami. Wykreślono go z projektu. Oblał rok. Pozostał jakiś niesmak.

Studia przeszły i życie nabrało cech codzienności. Praca, dom, dzieci... Po dziesięciu latach od zdarzenia kupujemy dla naszego malucha grę komputerową. W domu doczytuję wszystko. Autor gry... Mariusz? Izol? To niemożliwe. A jednak. Kilka telefonów do koleżanek ze studiów i już jestem pewna. Izol jest autorem tej gry i wielu innych.

Edukacja i wiedza chadza różnymi drogami.

## Limeryki

\*

**Na niż demograficzny szukają leku w Rykach,  
Radzili się w tej sprawie nawet matematyka.  
Ten rzekł: – Rozwój nacji  
Ja widzę w edukacji,  
Na „Katedrę Mnożenia” powołajcie – królika.**

\*

**Biznesmen („mongol”) – nie z Ułan Bator  
Wielofunkcyjny miał kalkulator.  
Interes kwitł, ale zanim  
Nauczył się liczyć na nim.  
Już podsumował go prokurator.**

\*

**Natknęła się na niego w laseczku pod Ostrówkiem,  
(była pełnia, więc w pełni zrozumcie młodą wdówkę).  
Noc dla takich stworzona,  
On pędził i szła ona.  
Ona szła do księżyca, on pędził „księżycówkę”.**

\*

**Wieść obiegła stolicę, (ksiądz aż się zalał potem).  
– W Łazienkach śpi X... goła! – i to do góry „kotem”!  
... już są jawnochrześnicy!  
Lecz każdy odszedł z niczym.  
Z bezgrzesznym manekinem tylko stróż miał robotę.**

\*

**Podobno do dziś mieszka prześliczne dziewczę w Łubnej,  
Rozsmakowane wielce, bo literato-lubne.  
Ci zasłużeni i nagrodzeni,  
Są jeszcze przez nią – zauważeni,  
Choć czytanie ich książek jest dla niej wciąż za trudne.**

*Anna Błachucka*

## Starość zaczęła się wczoraj...

(Fragment powieści)

W maju 2010 roku wykonałem kolejne badania markerów nowotworowych prostaty. Wynik sprzed pięciu miesięcy był na pograniczu normy, a aktualny tę normę nieznacznie przekroczył. Lekarz zlecił wykonanie biopsji gruczołu krokowego.

W oczekiwaniu na wynik bardzo się niepokoiłem, chociaż nie odczuwałem żadnych zmian w funkcjonowaniu organizmu.

I oto jest telefon:

– Mam wynik pana biopsji, proszę do mnie zgłosić się w najkrótszym terminie.

Już następnego dnia, a było to 8 czerwca 2010 roku, byliśmy z Izą, moją żoną u doktora Chwalińskiego. Marcin, nasz młodszy syn, który przywiózł nas samochodem, czekał na nas w poczekalni.

Lekarz z zatroskaną miną oznajmił:

– Ma pan raka. Jest to nowotwór w stopniu klinicznego zaawansowania, w skali Gleasona od 1 do 10 – na poziomie 8. Na tym poziomie zaawansowania nowotwór może dawać przerzuty na kości kręgosłupa, żeber i kości biodrowych. Rokowania mogą być różne. Nic panu w tej sytuacji nie mogę zagwarantować. Proszę już jutro zgłosić się do Szpitala Onkologicznego do doktora Skrockiego.

Dopóki nie usłyszałem zdania „ma pan raka”, sądziłem, że wiem, co to znaczy strach. Ale po tym stwierdzeniu prawdziwy strach opanował całe moje ciało. Nagle poczułem się tak, jakby krew zaczęła płynąć w odwrotnym kierunku. Wcześniej żyłem w strachu. Ale był to strach innego rodzaju. Bałem się, kiedy przechodziłem po czterdziestoletniej służbie wojskowej na emeryturę. Bo nie wiedziałem, jak będzie wyglądała przyszłość moja i mojej rodziny. Obawy, które prześladowały mnie w życiu – takie, jak koniec kariery sportowej, niepowodzenia w pracy czy jeszcze inne, które miały miejsce wcześniej, okazały się błahe, nieistotne.

Kiedy tamtego wieczoru wróciliśmy z wynikami badań do domu, usiedliśmy wszyscy w kuchni: ja, Iza, Tomek i Marcin, początkowo wszyscy milczący, zapatrzeni każdy gdzieś daleko przed siebie. Informacja o mojej chorobie była dla wszystkich szokiem. Nie czułem się na siłach, żeby wypowiedzieć choć jedno słowo. Kolejny raz naszły mnie czarne myśli.

Widziałem, jak Iza ostatekiem sił i woli opanowała się i starała się mnie pocieszyć. Była osobą, która nie zwykła rozczulać się nad sobą. Jednocześnie usiłowała mnie przekonać, w czym pomagali jej Tomek i Marcin, że ta choroba jeszcze niczego nie przekreśla.

Nagle wstała; znów była mocną kobietą, na którą zawsze można było liczyć.

– Dobrze – powiedziała zmienionym głosem. – Twoja choroba to jedna z przeszkód na twojej drodze życia. Musimy ją pokonać. Wszyscy jesteśmy z Tobą.

Tomek i Marcin przerażeni i bladzi przytulili mnie mocno do siebie. Padły słowa:

– Nie martw się, tato, wygrasz tę walkę przy mamy i naszej pomocy.

Z naszych oczu popłynęły łzy. Ala szybko je wytarliśmy, bo wiele kwestii musieliśmy omówić. Usiedliśmy w pokoju. Wziąłem głęboki oddech i powtórzyłem diagnozę, którą postawił doktor Chwaliński. Robiło się późno, a ja wciąż miałem parę spraw na głowie.

Gdy nieco doszedłem do siebie, usiadłem w swoim pokoju i zadzwoniłem do rodzeństwa, które – jak mi się wydawało – powinno o wszystkim wiedzieć. Zatelefonowałem do Haneczki, mojej starszej siostry do Buska Zdroju. Z Haneczką jestem bardzo zżyty, chociaż różnią nas poglądy na pewne sprawy, co nas w pewnych okresach konfliktuje. Ale po pewnym czasie zawsze wszystko wraca do normy. Gdy dodzwoniłem się do niej, wciąż byłem nieswój.

– Muszę ci coś powiedzieć – zacząłem niepewnie. – Stało się coś strasznego.

– Co? Coś w domu? – zapytała Haneczka.

– Mam raka.

Pragnąłem powiedzieć Haneczce, jak się czuję. W słuchawce zapanowało milczenie. Haneczka nie wiedziała, co ma odpowiedzieć.

– Nie przejmuj się, Jasiu – wypaliła po chwili. – Może to nic poważnego.

– Nie wiem – odpowiedziałem. – Siedzę teraz sam w pokoju i naprawdę się boję.

– Wszystko będzie w porządku – powiedziała do słuchawki. – Nie dawaj się. Bądź dobrej myśli. Pokonasz chorobę, a ja i moja rodzina jesteśmy z tobą.

W końcu nadszedł czas, aby się położyć spać. To dziwne, ale tej nocy miałem spokojny sen. Podświadomie chciałem być w jak najlepszej formie, aby sprostać temu, co czekało mnie w najbliższych dniach.

Nazajutrz zgłosiłem się do Mazowieckiego Szpitala Onkologicznego Uczelni Warszawskiej im. Marii Skłodowskiej-Curie w Wieliszewie. Towarzyszyła mi Iza. Przekroczyłem próg szpitala. Zacząłem nowy rozdział w swoim życiu. Stałem się pacjentem chorym na raka. Najpierw wykonano serię badań, w tym tomografię komputerową, scyntyografię kośćca i analizę krwi. Miałem nadzieję, że po tych badaniach lekarze zmienią zdanie. Powiedzą, że poprzednia diagnoza była błędna albo że choroba nie jest tak poważna. Niestety, nic takiego się nie stało.

Teraz nastąpiło spotkanie z doktorem onkologiem radio-terapeutą, Edwardem Skrockim, aby omówić wyniki badań histopatologicznych wyciętych tkanek, scyntyografii kośćca, analizy krwi oraz metody leczenia. Pocieszałem się nadzieją, że rak nie musi oznaczać najgorszego. W wielu przypadkach chorych na raka całkowicie wyleczono. Wyniki biopsji były jednak niepokojące. Pocieszające były wyniki badania kości, bowiem nie było przerzutów.

W moim przypadku zastosowano radioterapię w skojarzeniu z hormonoterapią. Napromienianie planowane było na aparacie do tomografii komputerowej. W trakcie tomografii wykonano mi trzy tatuaże – punkty, na podstawie których realizowane było napromienianie. Jeden z tych punktów znajduje się na spojeniu łonowym.

– Napromienianie będzie się odbywało na okolicę miednicy na trzy, a następnie na pięć pól. W polu napromieniania znajduje się odbytnica, pęcherz moczowy, część jelita cienkiego. Mogą się pojawić objawy wczesne i późne związane z uszkodzeniem popromiennym tych narządów. Do objawów wczesnych należy uszkodzenie popromienne jelit i dolnej części przewodu pokarmowego, co może spowodować biegunkę, wzdęcia, uczucie parcia i krwawienia.

Ponieważ brat pana zmarł na raka prostaty, proponuję wykonanie badań genetycznych. Czy wszystko pan zrozumiał, może ma pan jakieś pytania?

– Nie mam pytań.

– Wobec tego radioterapię zaczynamy od 27 września – zakończył rozmowę doktor Skrocki.

Uważałem, że o chorobie powinienem powiedzieć Henrykowi Nowickiemu z Tarnowa. Nie było w tym nic dziwnego, że był jedną z pierwszych osób, którym przekazałem tę informację, ponieważ Heniu jest moim przyjacielem. Kiedy tamtego wieczoru po powrocie do domu z gabinetu doktora Skrockiego zadzwoniłem do Nowickiego, przelałem do słuchawki wszystkie swoje żale. Kiedy mówiłem mu o diagnozie i o szoku, którego doznałem, i kiedy wyrzuciłem z siebie to wszystko, w słuchawce zapanowała cisza. Dopiero po długiej chwili usłyszałem głos po drugiej stronie linii.

– Nie martw się – Nowicki mówił łagodnie, prawie tak samo jak zawsze. – Jestem z tobą. Nie zawiodę cię.

Było to bardzo miłe. Heniu mówił prawdę. Nie opuścił mnie. A nie były to tylko słowa. Niebawem przekonałem się, że za tymi słowami idą również czyny. Żona Nowickiego też chorowała na raka. Dlatego Heniu doskonale rozumiał powolny, ale niszczący wpływ choroby na psychikę pacjenta. Wiedział, że radioterapia działa na chorego zniechęcająco. Pacjent czuje się znużony i zmęczony, i właśnie wtedy bardzo łatwo może poddać się chorobie. Żeby temu zapobiec, Nowicki nieustannie podtrzymywał mnie na duchu. Przystał mi pewne specyfiki wspomagające leczenie nowotworu. Umówił dla mnie wizytę u lekarza dietetyka.

Doktor Grzebińska dała mi kilka wskazówek dotyczących sposobu odżywiania się. Otrzymałem również listę potraw, które nie zakłócały procesu leczenia radioterapią i dodawały sił w walce z rakiem. Przede wszystkim powinienem jeść mięso z drobiu, kurczaki, kaczki pochodzące z naturalnej hodowli (bez skóry), cielęcinę, chude ryby. Potrawy z mięsa gotowane, duszone, ewentualnie pieczone bez tłuszczu oraz brokuły, buraki ćwikłowe, pomidory... Miałem usunąć ze swojej diety wszelkie sery twarde oraz tłuszcze, ograniczyć słodczy. W trakcie radioterapii istotne było również to,

abym przyjmował witaminę „C” naturalną oraz pewną ilość suplementów diety, które pomagały zwalczać substancje trujące – produkt uboczny radioterapii.

W tym czasie otrzymałem ze Szczecina wynik badania genetycznego, który dla mnie okazał się pozytywnym.

Iżę przekonałem, aby na wszelki wypadek uregulować aktem notarialnym wszystkie sprawy majątkowe.

Radykalną radioterapię przeprowadzono fotonami na obszar gruczołu krokowego i pęcherzyków nasiennych o dużym stężeniu dawki. Leczenie realizowano codziennie, w ciągu 33 dni z dość dobrą tolerancją. W trakcie leczenia napromienianiem otrzymałem kolejną iniekcję Eligardu 22,5 mg.

Po zakończeniu leczenia radioterapią otrzymałem zalecenia badania markerów nowotworowych co trzy miesiące i podawania analogu przez okres trzech lat – ostatnia iniekcja w październiku 2013 roku.

Jeśli drodzy czytelnicy nie byliście nigdy na oddziale onkologicznym, to muszę wam powiedzieć, że jest to przynębiająca wizyta. Zobaczycie tam ludzi zawiniętych w koce, bez włosów na głowie, podłączonych do kroplówek, białych, często załamanych psychicznie i śmiertelnie chorych. Zapamiętajcie jednak jedno. Ci wszyscy ludzie są tam z tego samego powodu, co i ja byłem: chcą wyzdrowieć!

Zbliżała się jesień, najbardziej beznadziejna ze wszystkich jesieni, jakie dane mi było przeżyć. A jesień ma już to w sobie, że ogałając pola, rozszerza horyzonty, pod nogami szumi strąconym listowiem i dla mnie była zawsze czymś, co nie zakańcza okresu, a zapowiada nowy. W pamięci na zawsze utrwalała została mieszanym zapachem tornistra szkolnego, mokrych drzew, dźwiękiem książek, czegoś, co dopiero nastąpi, hen! gdzieś poza świętami Bożego Narodzenia, po pierwszym śniegu, o pierwszych odwilżach.

Utrwaliła mi się wierszem Staffa:

*Skarżyć się będą drzewa, co więdną i mokną,  
A ja, samotny, może znów będę przez okno  
Patrzył za małym skrawkiem błękitu na niebie...*

Jesień usposabia raczej do marzeń, niż do snu. Jesień zbliża do lat dziecinnych, staje się rachunkiem sumienia przeszłości, bodźcem przyszłości.

Teraz była całkiem spowita w niepewność. Była to pierwsza jesień, która nie zapowiadała nic konkretnego na przyszłość, zamykając jednocześnie przeszłość, jesień jak ciężkie wieko trumny, mające zatrasnąć minione dni. Przychodziły bezsenne, długie i ciemne noce, wśród których wytrzeszczałem oczy, usiłując coś dojrzeć przed sobą, a gdy wysiłki okazywały się złudne, szedłem już po omacku.

Minęły trzy miesiące od radioterapii. Zdawałem sobie sprawę, że przede mną jeszcze daleka droga do wyzdrowienia. Zacząłem też odczuwać skutki uboczne leczenia radioterapią, o których uprzedzał mnie dr Skrocki.

Jan Chruśliński



## Oj, kobiety!

Oj, kobiety, kobiety!  
Same najlepiej widzicie.  
Tak postępować nie można,  
Tu chodzi o nasze życie.

## Przechwałki

Nawet świętego złości,  
Gdy kobieta mówi  
O swej niewinności.

## Wolał pannę

Z seminarium wystąpił,  
Co nie znaczy, że zwątpił.  
Wolał pannę,  
Niż sutannę.

## Sprytna

Koleżanka kolegę  
W domu odwiedzała  
I szybko żonę jemu  
Wykolegowała.

## Rozkoszne manowce

Żeby nie z tą Zytą,  
Byłby jezuitą.  
Ona swym wdziękiem kusząc sprawiła,  
Że na manowce go sprowadziła.

## Tajemna mowa myśli

Nic do mnie nie mów,  
O nic nie pytaj.  
Przytul się, tylko  
Z myśli mych czytaj.

Z przygotowywanego do druku tomiku pt. *Rozkoszne manowce*

## Wenus w Parku Saskim

Ślady kul  
jak ślady gwałtu  
czynią ją  
bardziej pożądaną  
Mocne nogi  
rzymskiego legionisty  
albowiem natura  
jest hermafrodytyczna  
Twarz raczej męska  
Uda  
kwitną barokowo  
jak saska fontanna  
pieniąca się obok  
Ten nadmiar prowokuje  
by z nim się zmierzyć  
Więc Król Staś  
brał czasem model  
do sypialni  
1 jak pisze ksiądz Jędrzej Kitowicz  
sztychował dłutem przyrodzonym

2004

## Pałac Krasińskich

W attykach grecki Panteon  
Niżej herosi w kwadrygach  
rozjeżdżają niebo  
które nawet w dni mżące i dżdżące  
jest tu śródziemnomorskie  
Pod zwieńczeniami kolumn  
antyczne twarze  
Zwisają z okien liście winogrodu  
Ganki są puste  
lecz jakby na kogoś czekały  
Wewnątrz portrety  
kobiet wyniesionych  
jak boginie  
że potrafiły być tajemnicą  
I herosów  
co świata uczyli się za nas  
I bitwy  
te wielkie ceremonie odchodzenia  
które uwalnia przyszłość

7.08.2009

## Smutek

smutek jest przeciwieństwem radości  
produkcją smutku zajmują się  
wyspecjalizowane firmy  
jedno lub wieloosobowe

produkt wysokiej jakości jest  
gęsty  
szary  
oblepiający  
posiada atest nieskończoności

głównymi komponentami produktu są  
manipulacja  
szantaż  
bezradność

produkt the best wyróżnia się  
wyrafinowanym opakowaniem  
ma bezlimitowy czas przydatności  
reklamowany jest jako  
niezniszczalny

nie kupujmy smutku!

## Stanforyzmy czyli aforyzmy STANISŁAWA FORNALA

Filozofia – lot myśli nad lasem rzeczy.

\*

Rejestr dokonań powinny otwierać chwalebne zaniechania.

\*

Dzięki Ci, Bachu, za dźwięki Bogu.

\*

Reklama lokaty bankowej: „U nas najmniej stracisz!”

\*

O, łzesz ty, polityko!...

\*

Prekursorzy polują w dobrach (i złach) przyszłości.

\*

Najostrzej potępiają tępi.

\*

Bywają postponujące honory i honorujące pominięcia.

\*

Mała kasa – krótki bal.

\*

Tajemnice są rozciągliwe – wtajemniczenia się kurczą.

\*

Nonsens: posuwanie kawałka marnej kiełbasy na kromce  
pysznego chleba.

\*

Życie jest skrajnie niezyciowe.

\*

Ambitna wina nie przyznaje się do marnego sprawcy.

\*

Wiara czyni cuda, niewiara je odczynia.

\*

Zdrowie rewolucji spełnia się koktajlami Mołotowa.

\*

Aforyzm żywi się passą treściwą.

\*

Metryka urodzenia: orzeczenie wyroku dożywocia.

\*

Szafa zdobi kobietę.

\*

Nie buduj posłuchu na podłuchu; nie opieraj poglądów  
na podglądach.

\*

Egalitarysta kocha smak równości.

\*

Wierność jest cnotą, łatwowierność – głupotą.

\*

Kij: argument uderzająco skuteczny.

\*

Pogodę ducha zapewnia pogodzenie się z losem.

\*

Śmiech będzie pochwalony. Ale nie przez wyśmiewanych.

\*

Dobra żona przeciwności losu znosi zamężnie.

\*

Rzecznicy przegranych szefów zarabiają nadrabianiem miną.

\*

Zły pasterz ma owieczki za barany.

\*

Nietakt: przekonywać pisarza, że słowa niewiele znaczą.

\*

Lepiej trafnie kpić, niż o drogę głupio pytać.

\*

Literalne egzekwowanie prawa jest świadectwem pogardy  
jego ducha.

\*

Bieda biada, bo biada biedzie.

\*

Skąpy rzeźnik skazuje psa na szukanie karmy u ogrodnika.

## stary mężczyzna przy fontannie

stary mężczyzna wyszedł z domu  
ubrany w przykurzoną przeszłość  
miał przy sobie resztki życia  
w lewej kieszeni snu  
znak szczególny –  
płomień wiolonczeli w szarych oczach

ktokolwiek widział...

stary mężczyzna nie zaginął  
wspiął się powoli na najwyższy akord ostatniej pieśni  
by zobaczyć cień Marii w sadzawce Siloe  
przywołanej szemraniem kolorowej fontanny

stary mężczyzna oswoił cień w sadzawce  
zanurzył drzenie kolan w falującą krągłość brzucha Marii  
która przy fontannie karmiła gołębie  
i miała twarz obcej kobiety

stary mężczyzna wierzył  
w cudowną moc wody w sadzawce Siloe

gdy pękło serce od nadmiaru Marii  
był szczęśliwy  
mógł jeszcze raz zachłysnąć się cieniem nad jej kolanami  
.....  
i rozbrzmiało Alleluja w Galilei  
i stał się cud spełnienia

## dwoje starych ludzi o poranku

ona  
otworzyła szeroko świat za oknem  
zdjęła resztki nocy z pomarszczonego t e r a z  
zanurzyła dłonie i stopy  
w radosny chłód przebudzenia  
nałożyła na policzki róż darowany przez Eos  
oddała ceniom biel włosów  
pod miękkością flaneli  
ukryła dwie chorągiewki piersi  
i łuk bramy tryumfalnej w zaułku bioder  
zdziwiona  
że w spokój brzucha  
znowu wdarło się trzepotanie motyli –  
była kobietą

on  
wtulony jeszcze w jej ciepło rozlane na pościeli  
zatrzymywał pod powiekami resztki snu  
w którym jędrność zbudzonego w środku nocy pragnienia  
sprowadzała smak raju  
próbował zrzucić z siebie szorstki pled siedemdziesięciu lat  
pozwolił palcom smakować drgnienia jej skóry  
pozwolił krwi na przerwanie tamy  
zbudowanej przez serce  
i odnalazł kierunek nabrzmiewającej rozkoszy  
jeszcze raz pod bramą tryumfalną –  
był mężczyzną

dwoje starych ludzi o poranku  
zapomniało  
że za progiem czyha zmierzch

Krystyna Guranowska-Stolarz

Z Zielnika



## Dorobek

Mój dorobek,  
Trzy morgi wierszy  
W ziemi lichej,  
Pełnej żwiru i perzu.  
Oset i kąkoł  
Tam wyrastał.

Mój dorobek,  
Poematu domek  
Z krzywym kominem.  
Czerwieni się  
W oknie pelargonia,  
Jak u mamy.

A ja z sierpem chodzę,  
Boso,

Nogi objam o kamienie,  
Może wyplenię,  
Wyrośnie metaforą.  
Mój dorobek,  
Tylko mój.

## Wieczne pióro

Myślałem,  
Życie całe spędzę  
W służbie wiecznego pióra.  
Nie dam się ewakuować  
Z pierwszej linii frontu,  
Będę Jego rycerzem  
Na pegazie,  
Jak na kawaleryjskim koniu.

A tu maszyna do pisania  
Niby transporter,  
A tu komputer  
Niby wyrzutnia,  
Więc ja do piechoty,  
A może na głębokie tyły?

Nawet nie patrzę  
W okop szuflady,  
Gdzie leży  
Z rozdartym brzuchem  
I złamaną stalówką.

Bo co mu powiem.  
Wybacz,  
Zdradziłem cię o świecie.  
Ale kim byłbym  
Z nim u boku?

Ostatnim sprawiedliwym,  
Czy raczej śmiesznym staruszkim,  
Który spadł z konia  
I niczego nie rozumie?

## Tadeusz Nowak

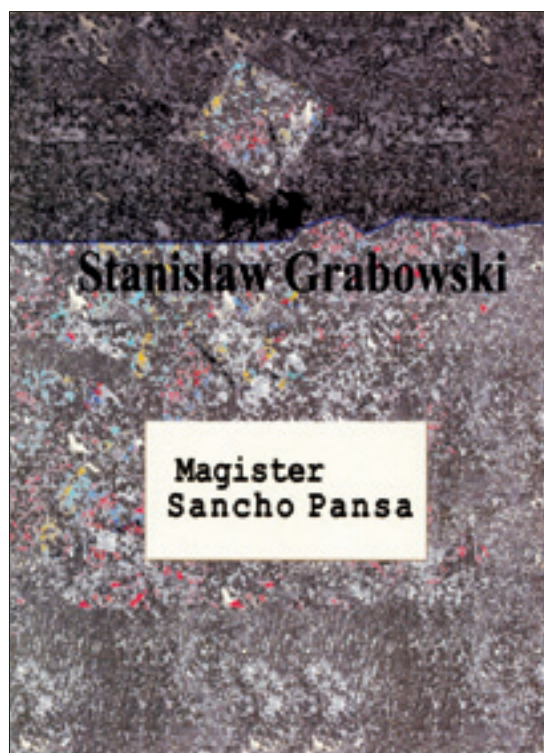
(1930–1991)

Lata wozem drabiniastym odjechał,  
Gdy w trawie jabłek czerwień  
I brązował orzech.

A stodół pełnych kielichów  
Nie strącał wiatr  
Z półmiska wioski.

Koń w wodę wchodził  
Z dzieckiem na grzbiecie,  
Kobieta piersi myła w rzece.

Za lasem kucnęła jesień,  
Paliła ognie,  
Kostur leżał na ziemi.



**Podarunek**

Na jedwabistych krosnach nocy  
tkam w ukryciu  
kilimek wiersza  
Motek czarnych trosk  
chowam głęboko – by zapomnieć  
W błękitny wątek marzeń  
wplątam zieleń nadziei  
Różowymi radościami  
przetykam pasemka słonecznych promieni  
Szarością letniego cienia  
pomarańczową pogodę umacniam  
Dodaję kilka wersów  
dojrzałej czerwieni miłości  
i odrobinę złota –  
na szczęście  
Tkam  
cierpliwie rozplątuje supełki  
związuję rozerwane  
dobieram słowa  
jak kolory nitek  
Jeszcze tylko  
magicznymi cekinami metafor  
ozdobię  
W wigilijną noc  
zamiast szalika  
podaruję Tobie

15.12.2013

\* \* \*

Dniami  
skrzydełkiem pióra  
tworzyłam lekkie  
fraszki-frywolitki  
kolorową nicią wspomnień  
haftowałam kwieciste łąki dzieciństwa

nocami tkiałam  
chodniki wierszy  
wplatając w wątek  
kroki codzienności

13.12.2013

**Gotyk**

Smutne wysmukłe madonny  
siedzą w łukach okien  
po bezdrożach obcych państw  
tułają się rycerze  
piki i lance przesiąknięte  
krwią niewiernych  
ciążą blaskiem sławy

wierni wznoszą katedry  
„pokój z Wami”  
wieże pną się ku niebu  
jak najdalej  
od nędzy ziemskiej  
w wysokich zacienionych  
przestrzeniach ostrołuków  
jasnymi smugami słońca  
spływa łaska Boska

starzejące się poblądłe madonny  
siedzą w łukach okien  
nie wszyscy rycerze  
dostąpili łaski przeżycia  
okaleczeni leżą  
krzyżem na posadzkach  
niebiańskich świątyń





## Wibracja

– Klara! Klara! Chodź no jeszcze na chwilę!

Ostry, nieznoszący sprzeciwu kobiecy głos rozdarł na strzępy względną ciszę sprażonego przez lipcowe słońce, niemal idealnie kwadratowego Rynku w Pińczowie. Adresatką wezwania była któraś z trzech nader skąpo przyodzianych dziewczyn lekko po dwudziestce, rajcujących na wypródki w pobliżu przystanku autobusów i busów zmierzających od dworca w kierunku na Kielce bądź Busko-Zdrój.

– Zaraz, mam!

– Nie zaraz, ale już!

Smukła, płowowłosa i sowiooka wykonała prawą dłoń wymowny, pełen rezygnacji gest, pozostawiła przyjaciółki na chodniku i w chwilę później zniknęła w ciemnej czeluści szeroko otwartych, przeszklonych drzwi Domu Chleba.

Pomimo żaru lejącego się z nieba, przechodzący w pobliżu wolnym krokiem spacerowicza Feliks Strojny, facio lekko po czterdziestce, poczuł na plecach i rękach gęsią skórę, jak dawno, dawno już, przed wieloma laty, kiedy przed internatem tutejszego Liceum Ogólnokształcącego natknął się na trzech przyczajonych osiłków z Technikum Mechanicznego, którzy zamierzali spuścić łomot komuś, kto im nadepnął na honor. Tym kimś miał być oczywiście Felek, a to z tej przyczyny, że zanadto wzdychał i pisywał liściki do licealnej pięknotki Zosi Zach, która w owym czasie chodziła na poważnie z Jurkiem Sztosem, jednym z tych trzech. Byłby może i zebrał żniwo niewczesnej zachciewajki, gdyby nie to, że kiedy kumple sponiewieranego miłośnika kwaśnych jabłek i słodkich dziewczuch, z jaką chudziwą, jaką nędzą, jakim chmyzem mają do czynienia, wybuchnęli śmiechem, poklepalili zazdrośnika po ramieniu i z serca poradzili, żeby sobie odpuścić zemstę na konkurencie, bo to żadna frajda sprać szczeniaka, który im sięgał ledwo do ramion. Tak też się stało. Nie dość na tym. Najpierw ci dwaj, bardziej ludzcy, uściśnieli Strojnemu prawicę jak równemu sobie. Po namyśle podobnie postąpił główny sprawca zamieszania. Odchodząc wprost zataczali się ze śmiechu.

Słońce oslepiło oczy, więc nie miał sposobności przyrzeć się stojącej w progu sklepu kobiecie. Jednak głos był jakby znajomy. Właśnie taki, ostry i nieznoszący sprzeciwu. Imię wywołanej, Klara, też posiadało własne znaczenie. Naraz wszystko ułożyło się w umyśle Strojnego w logiczną, sensowną całość. To nie musiała być, fakt, ale to mogła być Zosia Zach. Wypadło tylko, ba, należało sprawdzić. Do sklepu każdemu wolno wejść, chociażby w tym celu, żeby

zlustrować półki i spytać o cenę czegośkolwiek. Wziął na ambit i wszedł. Usłyszał urywek rozmowy.

– Klara, ile wzięłaś pieniędzy z kasy?

– Trzy dychy.

– Nie kłam! Gdzie jest ta pięćdziesiątka, którą włożyłaś kwadrans temu? Gadaj zaraz!

– Może się pomieszała z innymi pieniędzmi.

– Kiedy w kasie nie ma żadnych papierków, tylko bilon, pięćdziesiątka chyba nie wyparowała!

– No dobrze, już dobrze, wzięłam. Przecież nie pojedę do Kielc goła i wesoła.

Strojny głośno, znacząco odchrząknął. Klara, korzystając z zamieszania, w trymiga opuściła sklep. Stojąca za kontuarem ekspedientka, rówieśnica Strojnego, przywołała na urodziwe oblicze służbowy uśmiech, szeroki jak Nida pod Pasturką.

– Słucham pana!?

Wykrzyknik z pytajnikiem, albo raczej bardziej wykrzyknik niż pytajnik. Co prawda krótko, po chłopięcemu obcięte i gładko przyczesane włosy otrzymały barwę kaliningradzkiego bursztynu, lecz pozostały wciąż te same sowie oczy o lazurowym poblasku. Wypisz wymaluj, oczy Klary. I oczy Zosi Zach. Po tych oczach poznałby właścicielkę na antypodach. Twarz Strojnego, stojącego plecami do drzwi, okrywał cień. To i lepiej, bo dzierżąca władztwo Domu Chleba nie mogła dostrzec nerwowych tików i fali wzruszenia. Ani tego, jak lata grdyka przy przełykaniu nadmiaru śliny w ustach. Odruchowo pociągnął nosem. Po raz nie wiadomo który skonstatował ze stuprocentową pewnością, że na świecie istnieją tysiące zapachów, od krowiego łajna po najwykwintniejsze francuskie perfumy, ale nic tak nie pachnie cudnie jak świeżo upieczony chleb. Nie chałki, nie pączki, nie rogałe, tylko chleb. Bochen jeszcze gorącego chleba z chrupiącymi w zębach przylepkami.

– Słucham pana? W czym mogę pomóc?

Jednak nieco spuściła z tonu. W końcu lepiej zarobić cokolwiek aniżeli nic i złożyć bezgłośnie klientowi opuszczającemu przybytek z gołymi rękami i pełnym portfelem.

– Co byś mi mogła, Zosiu, polecić? Coś ma się rozumieć ekstra. Jak dla specjalnego konsumenta.

Uśmiech raptownie zgasł jak zdmuchnięta świeca przed głównym ołtarzem po zdanym nabożeństwie.

– Pan mnie zna?

– Jaki znowu pan. Jak mawiała nasza niezapomniana profesorka od historii, pani Poraj, panowie byli, owszem, przed wojną, aż się zmyli. Ja ciebie poznałem od razu, chociaż nie widzieliśmy się, Zosiu, poczekaj, dwadzieścia trzy lata z małym haczykiem. Pozwól, niech stanę twarzą do światła. I co, i jak?

Wielkie, sowie oczy stały się jeszcze większe.

– Jakżebym mogła nie poznać. Kogoś takiego jak ty. Jak Felek Strojny. Doktor historii Feliks Strojny. Boże łaskawy. Aleś ty wyrósł. Zawsze byłeś taki chmyz. Taki, za przeproszeniem, kurdupel.

– Z prostej przyczyny, Zosiu. Za wcześniej poszedłem do szkoły. Wyobraź sobie, że nie miałem nawet sześciu lat. Ojciec był kierownikiem szkoły. Matka nauczycielką od historii. Mieszkaliśmy w szkole na piętrze. I tak byłem w klasie najlepszy. I zawsze najmniejszy, najstarszy, w konsekwencji nikomu do niczego niezdatny. Na pewno pamiętasz.

– Musowo.

– Dlatego mnie nie chciałaś, prawda?

– Prawda.

– Powiedziałaś mi kiedyś, że nie zadajesz się z dziećmi.

– No tak.

– Twoją dewizą było nic przez pół.

– Faktycznie. Jakbym słyszała samą siebie dwadzieścia kilka lat do tyłu.

– Mogło być inaczej.

– Mogło, ale jakoś nie chciało.

Przybrała zasadniczą postawę jak dyżurny podoficer składający codzienny raport dyżurnemu oficerowi.

– Czego więc chcesz ode mnie?

– Prawda. Byłbym zapomniał. Przecież jestem w Domu Chleba. Więc tak. Pączki są?

– Są.

– Po ile?

– Bez lukru po półtora złotego, z lukrem po dwa.

– Dużo tego jest?

– Ze dwadzieścia pewnie zostało.

– Pamiętasz, lubiłaś pączki.

– Lubię do dziś. Tyle tylko, że nie jadam. Za bardzo idą w biodra – wykonała wymowny gest ręką wokół kształtnego pasa. Należy przyznać, trzymała formę. Jak się patrzy. To znaczy w figurze Zosi Zach pełno było wszystkiego, co kobiece, okrągłości, wcięć, załomów, wszakże bez przesady. Tyle, ile potrzeba, żeby znającego się na rzeczy mężczyznę rzuciło o ścianę. Lekka różowa sukienka w grochy na wąskich ramiączkach raczej uwypuklała, aniżeli zasłaniała owe malownicze wzgórza i dolinki. Obfite, jędrne piersi zdawały się rozsadać stanik. Właśnie ów biust za szkolnych czasów szczególnie zamieszał Stojnemu w rozumie. Jego matka była kobietą drobną i szczupłą, więc zapewne dla przeciwwagi, kiedy podrośł, właśnie bujne piersi uznał w pierwszej kolejności za atrybut pełnej kobiecości. Nic się nie zmieniło mimo upływu bez mała ćwierćwiecza. Ani biust, ani gust. Dlatego grdyka znów zaczęła chodzić w górę i w dół jak pompa ssąco-łocząca, w tym konkretnym przypadku odprowadzająca nadmiar śliny w głębi jestestwa.

– Halo, co jest?

– Nic, nic. Zamyśliłem się.

– Nad czym tu dumać? Co było, minęło i nie wróci. Nie ma takiej możliwości. Chociażbyś zmajstrował profesurę z filozofii na Sorbonie.

– Nic przez pół?

– A jak myślisz?

– Nic?

– Zgadza się. No to ile tych pączków i z czym, albo bez czego?

– Sto z lukrem. Płacę gotówką dwie stówki.

– Przecież mówiłam, nie zostało tyle. Najwyżej dwadzieścia, z lukrem i bez.

– Nie szkodzi. Teraz zjemy, jeżeli pozwolisz, po dwa lub trzy. Pozostałe zostawiam na pamiątkę. Żebyś nie narażając kasy na straty mogła sobie od czasu do czasu pozwolić na pączusia na miłą po płatniku pamiątkę. Chyba że niemiła? – z bezpośredniej odległości zająrał głęboko w sobie oczy, tak przepastne jak wody Bajkału.

– Miłą.

– Na pewno?

– Czy kiedykolwiek kłamałam?

– Nigdy. Pod tym jednym względem byłaś wobec mnie bez zarzutu. Rąbałaś prawdę w oczy bezlitośnie. Aż mnie do dzisiaj ciarki przechodzą. Proszę, oto są pieniądze.

– Nie dla mnie, żeby była jasność: Dom Chleba należy do mojego wujka. Ja tylko sprzedaję i zmiatam.

Skasowała należność i podała Stojnemu paragon. Nie patrząc, zmiął papierek i wrzucił do kosza.

– Zosiu, jesteś z kimś? – spytał ostrożnie.

– Bywam.

– Czyli co?

– Nic więcej ponad to, co właśnie słyszysz.

– Odkąd sięgam pamięcią, stale z kimś byłaś.

– Niestety. Taki mój los.

– A Klara? Co z Klarą? Podobna do ciebie jak dwie krople wody. Zwłaszcza oczy. Kto jest ojcem Klary?

– Jurek Sztos.

– Ten Jurek? Z Technikum Mechanicznego?

– A był inny Jurek Sztos?

– Chyba nie. Dlaczego nie jesteście razem?

– Bo mnie nie chciał.

– Przecież wszyscy cię chcieli. Bili się o ciebie. Sam o mało nie dostałem przez ciebie lania i to nie od kogo innego, jak od Jurka Sztosa i jego kumpli z technikum. Coś mi tu nie gra.

– Gra, nie gra. Dziecka nie chciał, kiedy już było w drodze. Kazał mi usunąć ciężę. Wtykał mi pieniądze na skrobankę. Przecież kochałam Jurka. Czemu miałabym stracić dziecko człowieka, którego pokochało moje serce? No powiedz sam. Może i byłam latawicą, ale czegoś takiego bym nigdy nie zrobiła. Rozumiesz? Nigdy!



– I co dalej?

– A nic. Ma w Radomiu warsztat samochodowy. Buli alimenty i już. Dopóki Klara się kształci. Najwyższe, jakie byłam w stanie wytargować w sądzie. Znasz mnie, myślę, od tej strony?

– Nic przez pół?

– Nic. Żebyś wiedział. Nazwisko też jest po mnie. Klara Zach.

– Klara!

– Co ci znowu chodzi po głowie?

– Pewna scena. Jeszcze w maturalnej klasie. Pani Poraj zadała nam wypracowanie domowe na dowolnie wybrany temat, byle miał związek z historią Polski.

– I ty napisałeś o Klarze Zach, kochance księcia Kazimierza, późniejszego króla zwanego Wielkim.

– Właśnie.

– Mnie na złość.

– Nie, nie na złość. Z rozpaczy. I z zemsty. I jeszcze po starej, dobrej znajomości. Ty Zach i tamta Zach. Mieliliśmy w domu trochę historycznych książek. Pogrzebałem, aż znalazłem. Jeżeli cię wtedy obraziłem, po stokroć przepraszam. Nie to było moim zamiarem.

– Pewno, że nie. Przecież wiedziałam, co cię i jak dręczy. Nawet było mi przyjemnie, nie powiem nie. Powiem więcej. Przejęłam się tą historią tak bardzo, że kiedy urodziła się dziewczynka, nie miałam chwili wątpliwości, jakie dostanie imię. No dobrze. Przejdźmy na zaplecze. Nie będziemy jeść pączków na stojąco i w dodatku na sucho. Zaparzę kawę. Jeżeli pozwolisz.

– Po starej, dobrej znajomości pozwolę.

Przy trzecim pączku z lukrem Zosia z kolei, jak najbardziej ostrożnie, żeby nie spłoszyć aury porozumienia między starymi, dobrymi znajomymi jeszcze z ławy szkolnej, zagadnęła pomiędzy jednym kęsem a drugim, jak ułożyło się Strojnemu życie prywatne, gdyż o publicznym wiedziała, nawet kupiła jedną z jego książek. Jak? Byle jak. Co najmniej tak źle jak interlokutorce, albo jeszcze gorzej. Co znaczy, że jest kawalerem.

Sowie oczy zapłonęły ogniem jak Etna podczas erupcji.

– To nie może być!

– Czemu nie może, skoro jest?

– Chyba nie powiesz, że jesteś sam?

– Nie, nie powiem, bo bym skłamał, a czym jak czym, kłamstwem brzydziłem się najbardziej, chociaż prawda bolała niewąsko, z ręką na sercu. Myślałem sobie nawet raz, drugi i trzeci, że ty mi byłaś jako jedyna pisana i właśnie ty, ty mnie nie chciałaś. Odpadłem w przedbiegach. Zostałem skoszony na amen. Później było mi w zasadzie już wszystko jedno.

W zadumie sięgnął po czwartego pączka z lukrem. Odurzona Zosia postąpiła podobnie, bez względu na

szkodę w okolicy bioder, na zasadzie raz kozie śmierć, kiedy stało się, co się stało, czyli zapomniawszy o dniu dzisiejszym, obiema nogami i całą resztą ciała bogatego w symptomy dojrzałej kobiecości wstąpiła po raz drugi w dziewczęcy wiek, gdy dostawała miłosne liściki od klasowego kolegi i kochała się na zabój z chłopakiem z Technikum Mechanicznego. Kiedy to było? Aż strach pomyśleć jak dawno. Aliści usłyszała hałas w sklepie i odłożywszy na talerzyk nadgryzionego pączka wyszła obsłużyć klienta bardzo nie w porę. Wydała chleb krojony i cztery kajzerki, przyjęła zapłatę, wydała resztę, zafiksowała operację na kasie fiskalnej, podała paragon, wymieniła zwyczajne przy podobnych, nierujnujących finansowych transakcjach grzeczności, pożegnała najuprzejmiej drogiego zakupowicza, a raczej zakupowiczkę i powróciła na zaplecze w stanie podwyższonego wtajemniczenia w sprawy arcyważne, jeżeli nie jedynie ważne i słuszne, albowiem na nic, z wyjątkiem ukąszenia przez osę, nie była tak uczulona jak na miłość, w każdym owej miłości wcieleniu. O! kawaler. Niegdyjszy miłośnik. Jaki by był czy nie był w przeszłości, teraz objawił się Zosi jako nader przystojny mężczyzna w stosownym wieku, z pozycją i świetlanymi perspektywami, zasobny w gotówkę, bez obciążeń rodzinnych. Gdyby ułomna wiedziała, gdyby mogła przeczuć, co to za ziółko, jakie w Strojnym drzemią ukryte możliwości, zamiast sztywność w żywe oczy z niedojrzałego emocjonalnie i fizycznie maminsynka i niedojdy, roztoczyłaby nad frustratem macierzyńską opiekę, włączyła do zaprzęgu już ujarzmionych kochasiów, przywiązała do siebie, zniewoliła do reszty. W teorii brzmiało, zaiste, dosyć egzotycznie i kusząco. Bo rzeczywistość skrzeczała niczym sroka na płocie. Z pracy w Domu Chleba wyciągała nie za dużo. Gdyby nie alimenty Klary, ledwo wiązałyby koniec z końcem. Kiedyś marzyła o dalekich podróżach, wystawnym życiu, podboju męskiego świata od Argentyny po Japonię. Co wyszło, widać było gołym okiem. Licha посадка, harówka sześć dni w tygodniu, czasem miłe sam na sam z kimś na poziomie wyższym o dwa palce od poziomu krzywego pińczowskiego chodnika, żadnych oszczędności i ogromnie daleka droga do emerytury.

Z gracją usiadła przy kwadratowym stoliku. Nogę założyła na nogę. Wysoko podciągnęła kropiastą sukienkę. Prowokująco wypięta piersi pyszniące się pod ciasno opiętym stanikiem niby dwie dorodne dynie. Bił od niej na odległość żar istic lipcowy. Mocna kawa w towarzystwie pełnej oczekiwań i obietnic, seksownej kobiety spowodowała żywsze krążenie krwi w żyłach, mocniejsze niż zazwyczaj bicie serca, a nawet zdradliwe drżenie rąk.

– Na czym to stanęliśmy? – spytała, misternie składając zmysłowe wargi w kształt serduszka, która to sztuka z dawien dawna wywoływała prawdziwe spustoszenie

wśród co godniejszych uwagi przedstawicieli płci przeciwnej, generalnie brzydkiej, aczkolwiek z pewnymi wyjątkami.

– Bo ja wiem? Kiedy cię nie było, wspominałem stare, dobre czasy.

– Co na ten przykład?

– Kiedy cię nie mogłem podnieść i przerzucić w mazure podczas Wieczorku Mickiewiczowskiego, zostałem wykluczony z zespołu i zamiast mnie, pomiałał tobą na scenie, a i poza nią też, Sławek Kolemański. Chciałem cię przeprosić, kupiłem pół kilo krówek na przeprosiny, że ze mnie taka oferra i nieudacznik, a ty, Zosiu, oddałaś mi wszystkie, nawet bez zagładania do papierowej torebki, co jak na ciebie, łakomczucha, było chyba wyzwaniem na miarę sił i możliwości człowieczych, jak na przykład skok z mostu do Nidy na główkę.

– Serio?

– Jak najbardziej serio.

– Jakoś nie przypominam sobie podobnego zdarzenia.

– Bo byłaś zauroczona Sławkiem. Wcale ci się nie dziwię ani nie mam pretensji. Sławek grał w piłkę, rzucał kulą, jeździł na motorze. Niejedna miała chrapkę na Sławka. Wykosiał wszystkie w przedbiegach.

– Na krótki dystans.

– Tylko dlatego, że na arenę wkroczył Jurek Sztos. Tak czy nie?

– Coś koło tego. Wiesz, że Sławek zabił się na motorze?

– Naturalnie.

– Przykro mi, że narobiłam w przeszłości tyle zamieszania. Ale to się nie wróci.

– Ano nie. Możemy pojedynczo albo wspólnie wspominać. To nam wolno bezapelacyjnie.

– Skoro tak, przypomnij mi tę historię z tamtą Klarą Zach. Wtenczas na lekcji historii byłeś przewspaniały.

– Czemu nie? Otóż w 1329 roku Kazimierz wyjechał na dwór króla węgierskiego Karola Roberta, którego żoną była starsza siostra polskiego królewicza Elżbieta. Rodzeństwo nie widziało się prawie dziesięć lat, więc przyjęcie było jak trzeba. Bale, uczyty, tańce, łamańce, umizgi. Jedną z dwórek Elżbiety była nasza Klara Zach. Od razu wpadła Kazimierzowi w oko. Ale za nic nie chciała iść z nim do łóżka. Taka była, Zosiu, jak nie szukając daleko, ty dla mnie dawno już, przed wieloma laty. Nie, nie protestuj. Tak było i inaczej być nie chciało, za chiński mur. Słuchaj dalej uchem, a nie brzuchem, jak zwykła mawiać profesorka Poraj do gapiowatych uczniów. Kazimierz był wściekły. Nie nawykł, aby mu odmawiano. Jakaś pierwsza lepsza dwórka. Siostrunia pospieszyła ukochanemu braciszkwowi z pomocą. Uknuła mały spiszek. Kazimierz leżał w łóżku niby chory. Siostra wzięła kilka panien z fraucymeru i poszła odwiedzić chorego. Po chwili mrugnęła okiem na paniny. Wyszły pospiesznie z wyjątkiem Klary. No cóż. Zgwałcił

biedaczkę. Ta poskarżyła się ojcu. Ojciec, w końcu waśniak węgierski, wpadł do komnaty z obnażonym mieczem, żeby ugodzić Bogu ducha winnego króla Karola Roberta. Elżbieta zasłoniła męża własnym ciałem. Zamachowiec trafił w nią, odcinając cztery palce u prawej ręki. Której zachowała, kroniki milczą. W każdym bądź razie od tej pory nazywano Elżbietę królową-kikutą. W niebezpieczeństwie znalazł się też Kazimierz, ale zanim Zach go dopadł, został śmiertelnie ugodzony przez podczaszego królowej. Kara była straszna i nieodwołalna. Ciało Zacha poćwiartowano, jego części rozestano do wszystkich większych miast węgierskich, a głowę zatknięto na zamku w Budzie. Siostrę Klary i jej męża Kopaya zamęczono na śmierć. Jedyne go brata nieszczęsnej rozerwano końmi, a jego ciało rzucono psom na pożarcie. Wszystkich krewnych męskich do trzeciego stopnia ścięto, natomiast wszystkich powinowatych wygnano precz z kraju.

Zasłuchana Zosia w porywie serca ujęła w obie szorstkie, spracowane dłonie drobną, wąską dłoń Felka o długich jak u pianisty palcach. Aż się wzdrygnęła. Ta dłoń nie pchnęłaby kuli dalej niż na trzy metry, nie podniosła worka kartofli, nie udźwignęła kosza z chlebem. Faktycznie, kiedy na próbach przed Wieczorkiem Mickiewiczowskim tańczyli mazura, wszyscy obserwujący, parę Zach – Strojny stroili głupawe miny, wykrzywiali się zniesmaczeni i dyskretnie popukiwali palcami w czoła na znak dezaprobaty, aż profesorka od gimnastyki, pani Mądro, czuwająca nad choreograficzną stroną przedstawienia, nie zdzierżywszy jawnej i skrytej krytyki gapiów, zdjęła Feliksa ze sceny pod zarzutem totalnego partactwa, co zresztą było oczywistą prawdą, gdyż Zosia łakomczucha ważyła jak na jego ówczesną kondycję stanowczo za wiele. Nie pogniwał się nawet, przyjmując surowy i hańbiący werdykt z należyłym zrozumieniem. Tyle tylko, że było mu strasznie, ale to strasznie przykro i tyso. Ale co tam. Stare dzieje. Ważniejsze było to teraz, czyli silny, jakby macierzyński uścisk gorących dłoni niegdysiejszej platonicznie adorowanej oblubienicy. Nigdy w życiu nie byli tak sobie bliscy jak w tej właśnie chwili. Oczy w oczy, oddech w oddech, dłoń w dłoniach, kolana przy kolanach.

– Wtedy ty, Felku, pozwoliłeś sobie na kiepski żart, że moja rodzina, rodzina Zachów, jest spowinowacona z tamtymi wygnanymi Zachami, którzy uciekając przed srogą zemstą własnego króla, znaleźli schronienie w kraju sprawcy całego dramatu i trwają w Pińczowie do dziś.

– Zgadza się. Tyle w tej całej historii było naprawdę mojego.

– Ulżyło ci wtedy chociaż, mój biedaku?

– Trochę ulżyło. A później poszliśmy własnymi drogami. Ty zostałeś w Pińczowie. Mnie poniosło do Łodzi. Też dziura, tyle że sto razy większa od Pińczowa. Jakoś się ciągnie. Są wakacje. Zateśkniałem za Ponidziem, Nidą, Pińczowem,

szkołą, wspomnieniami. Co złe, zatarło się w pamięci. Co dobre, zajaśniało i wciąż jaśniej pełnym blaskiem. Przechodząc przez Rynek, usłyszałem znajomy głos wzywający pilnie Klarę. Jakbym dostał obuchem w łeb, słowo daję i tamto stare, dobre wróciło z siłą wodogrzmotu. W przelocie zobaczyłem sobie oczy Klary. Pomyślałem, wypisz wymaluj Zośka Zach. Tamta z ogólniaka. Wzięłem na ambit i wszedłem za nią do Domu Chleba. Dalszy ciąg jest ci znany. Skoro jednak mowa o twojej Klarze, pozwól, że skończę dla porządku opowieść o tamtej, sprzed prawie siedmiuset lat. Tamtej Klarze obcięto nos, wargi, palce u rąk i tak okaleczoną, zamkniętą w klatce obwożono po kraju pokazując maluczkiemu na pośmiewisko, przy czym kazano jej krzyknąć: „niech tak się stanie każdemu, kto podniesie rękę na króla”. Te praktyki musiała znosić przez pięć lat, aż do śmierci. O romansie Kazimierza i Klary, albo raczej o zgwałceniu przez przyszłego króla, znajdujemy wzmianki u czterech autorów: Jana Długosza, czeskiego kronikarza, weneckiego historyka i austriackiego poety.

Tymczasem Zosia, szlochając, przycisnęła dłoń Strojnego do warg i wycisnęła długi, gorący pocałunek. Gorący jak dorodny podpłomyk świeżo wydobyty z pieca chlebowego. Chociażby chciał, nie mógłby pozostać obojętny na podobne wyznanie wiary. Albo i miłości? W końcu, co do sztuki kochania, była w ogólniaku jedną z najbardziej kochliwych i od czasu do czasu zde gustowany Felek zadawał sobie w skrytości ducha pytanie, co też w tym czy owym przedstawicielu płci zwanej potocznie brzydką zobaczyła takiego, czemu nie potrafiła się oprzeć. Stary kawaler, cóż tak naprawdę wiedział o kobietach? Wolną lewą dłonią w porywie emocji musnął delikatnie jedwabiste włosy Zosi. Poddawa się pieszczocie niczym kociątko. Wobec powyższego przygarnął zalaną łzami twarz do nieco zbyt cherlawej klatki piersiowej. Po chwili oboje klęczeli zwarci w uścisku, całując się jak opętani, gdzie i jak popadło. Zachłannie, bez umiaru, do syta, do przesytu. Za stare, dobre czasy i nowe, jeszcze lepsze dzisiaj. Za zmarnowane lata młodości i rodzące się na pnium nadzieje na słoneczną przyszłość. Za dawną i obecną Klarę Zach. Za Pińczów i Łódź. Za Dom Chleba i historię.

*Henryk Kawiorski*

## **Taniec z czarownicą** (Fragment powieści)

Miałam szczęście i zastałam Pawła w jego wiejskim zaciszu. Chyba niedawno przebudził się po sobotniej balandze, chociaż właśnie zapadał późny czerwcowy zmierzch i kończyła się niedziela. Ze względu na gigantycznego kaca, który odebrał mu siły i bystrość umysłu, nie wyjechał jeszcze do Warszawy. Nie miałam okazji poznać jego dwóch homoprzyjaciół, którzy wywołali wzburzenie Patryka. U węgłowia reżysera, jak przystało na zdecydowanego hetero, ujrzałam dwie skąpo odziane panienki. Z pewnym trudem w wymalowanych dziewczętkach rozpoznałam byłe uczennice naszego gimnazjum, Justynkę i Martynę. Nie mogłam tylko sobie przypomnieć, czy skończyły naszą szkołę rok, czy dwa lata temu. Na mój widok nie wykazały nawet odrobiny zmieszania.

– A panienki co tu robią? – zapytałam tak, jakbym przytapała je na wagarach.

– No, po prostu jesteśmy – odparła gburowata Martyna.

– Już skończyłyście gimnazjum i pani nam nic nie może zrobić – napuszyła się druga.

– No, z mojej strony to wam akurat nic nie grozi – powiedziałam z przekąsem. – Ale nie wydaje mi się, żeby wasi rodzice byli zachwyceni.

– My przyszłyśmy na lekcję aktorstwa. Pan reżyser nam wczoraj obiecał, prawda? – pucłowata i cycata Martyna usiadła na łóżku obok zdziwionego i bardzo zmarnowanego Pawła.

– Ja nie bardzo pamiętam, co to było wczoraj. Sorry, dziewczyny – powiedział Paweł, pocierając bolące czoło, i włożył okulary. – Jak ja w ogóle dotarłem do domu?

– Opowiemy ci, jak to było, chcesz? – szczuplejsza nieco i ładniejsza od koleżanki Justyna nachyliła się z dwuznacznym uśmiechem do jego ucha.

Zauważyłam, że gówniary są na ty z niefortunnym balan-gowiczem. Paweł odsunął się od niej gwałtownie i wydawało mi się, że dostrzegłam w jego oczach strach.

– Nie, nie, dajmy teraz temu spokój! Ja mam gościa, nie widzicie?

Chciał im dać do zrozumienia, że mogłyby wyjść. Naiwnie liczył na domysłność dzierlatek.

– Może kawy? – Martyna zwróciła się do mnie, żeby pokazać, jak jest zadomowiona.

– Ja dziękuję, ale panu reżyserowi dobrze zrobi mocna kawa – odparłam.

– Nie, nie, dziewczyny! – wykrzyknął Paweł. – Dzięki za wszystko i idźcie teraz do domu. O tych lekcjach pogadamy przy innej okazji, a teraz cześć.

– Jasne, rozumiemy. Okoliczności się spieszyły.

Martyna odziana w króciutką miniówkę, pochyliwszy się nad Pawłem, wypięła na mnie swój tłusty tyłek. Wyglądało, jakby nie miała bielizny, bo sznurek stringów utonął między mięsistymi pośladkami. Ucałowała wyleniałe czołko Pabla.

– Na nas zawsze możesz liczyć, pamiętaj. I jakbyś przywiózł kolegów, to też zadzwoń wcześniej, żebyśmy się przygotowały. Chodź, Justyna – zawołała koleżankę, a ta wstała i przeciągnąwszy się, wolno podeszła do drzwi.

– Wpadniemy innym razem. Nara, Misiaczk – zawołały równocześnie.

– No, to ładnie się, Misiaczk, zabawiłeś – powiedziałam z naganą. – Ryzykant z ciebie. Jeszcze nie skończyłeś budowy, a już może ci wszystko spłonąć, jak się tatusiowie dowiedzą, że zabawiłeś się z ich córeczkami. Co ci odbiło, żeby z takimi siksami się zadawać?

– A w jakim one są wieku? Skąd się tu w ogóle wzięły? – pytał.

– Ostatnie pytanie to chyba nie do mnie? Nie udawaj, wyglądały na bardzo z tobą zaprzyjaźnione. Ciekawe, co ty im naobiecowałeś i jakiego to aktorstwa je uczyłeś? Będziesz z nimi kręcił filmy niskobudżetowe? Casting wypadł pomyślnie? Ta grubsza ma potencjał, może nawet stać się gwiazdą, co? – kpiłam.

– Znęcaj się nade mną, masz rację, kop leżącego. Możesz mi wierzyć albo nie, ale ja nic nie pamiętam – zarzekał się Paweł. – To znaczy, wiem, że dałem się namówić Wawrzyńcowi i Markowi na dyskotekę w Lipkach. Te dziewczyny przysiadły się do nas i właśnie coś mówiły o kręceniu filmów i lekcjach aktorstwa. Chłopcy się zmyli z jakimiś nowymi znajomymi, a ja zostałem z nimi sam. Trochę je tam bajerowałem, ale właściwie to one mnie rwały – wspominał. – Wiesz, ja podejrzewam, że dały mi pigułkę gwałtu.

– Jasne, a potem cztery kilometry niosły cię na plecach do domu i wykorzystały seksualnie – roześmiałam się głośno. – Biedna ofiara rozerotyzowanych nastolatek. Ty wiesz, jak to brzmi?

– Zdaję sobie sprawę, ale tak to było. Ja mam przecież mocny łeb, a na tej dyskotecce piłem tylko piwo. Dlaczego nie pamiętam powrotu do domu? Tak, to musiała być tabletką gwałtu. A jeśli mnie wykorzystały, to na pewno bez zabezpieczenia. Ja mogłem złapać HIV! – wykrzyknął przerażony Pablo i wyskoczył spod kołdry jak z procy. Był goły jak święty turecki i nie prezentował się zbyt ciekawie.

Odwrociłam się, parsknąwszy śmiechem.

– Weź się przyodziej, bo ja nie jestem ciekawa twoich wdzięków – powiedziałam spokojnie.

Paweł poczuł się chyba trochę urażony moją reakcją. Znalazł obok łóżka spodnie i szybko je wciągnął.

– Ja nic takiego nie planowałem. Chłopaki mnie namówili, żeby zrobić drobny rekonesans. Nie miałem

nawet przy sobie prezerwatywy. Myślisz, że one noszą takie rzeczy na wszelki wypadek?

– Mogę cię pocieszyć, że jest mało prawdopodobne, żeby one miały HIV. Chociaż całkowicie wykluczyć się nie da. Prędzej ty mogłeś coś posiać w ich płodnych, młodych łonach i dziewczynki mogą mieć kłopoty. Ale by było śmiesznie, jakby tak obie naraz, co?

– Nie śmieję się, bo sprawa może być poważna. Nie wiem w dodatku, gdzie są chłopaki, Marek i Wawrzyńiec. A jeśli ich gdzieś tu... no wiesz? W końcu byliśmy w mateczniku świętokrzyskich szczyryków.

## Konsumpcja

Częstuj się, jedz, proszę,  
oto rozgotowane do miękkości  
moje najlepsze lata  
i przysmażone na złoto jesienie.

Skosztuj ostrej zimy w occie.  
Czy ją pamiętasz?

Nie podam ci już na deser  
kandyzowanej w cukrze wiosny.

Co z tego, że znam przepis  
na ucierane do białości  
chwile rozkoszy?  
Minuty mieszane z czułością,  
nawet od czasu do czasu,  
nie goszczą w naszym menu.

Od kiedy słone wieczory spożywam w samotności  
i potulnie tykam karmelowe kłamstwa,  
duszona pod przykryciem prawda  
ma gorzki smak spalenizny.

Na tarce rozdrabniam uczucia,  
marzenia obieram ze skórki,  
plany siekam na drobniutko.  
Jedz śmiało, nie powinno zaszkodzić.

Tyle godzin na wolnym ogniu,  
a ty mówisz,  
że jestem niedowarzona?  
Spójrz, ta rana  
krwawi piekącym tabasco.

*Beata Kępińska*

**Bałtów**

1

Na skamieniałych siadach  
 jurajskich potworów  
 lunapark,  
 zabawa.  
 Śmiech dzieci  
 zagłusza  
 skamieniały ryk  
 pożeranych ofiar.

2

Skamieniałe w błocie  
 pradawne życie.  
 Odciski  
 olbrzymich łap  
 i zębów.  
 Groza potworów.  
 Pomysł,  
 kogo przestraszy  
 skamielina butelki  
 po coca-coli  
 za miliony lat.

3

Łupki jurajskie  
 jak karty książek  
 otwarte,  
 pełne śladów  
 dawnego życia.  
 I my zostawiamy  
 ślady  
 w marszu do  
 skamieniałej przyszłości.  
 Kto to przeczyta?

4

Dziecko  
 na grzbiecie triceratopsa  
 z kamienia.  
 Przemija  
 wszystka chwała  
 i groza świata.  
 A to tylko  
 kolejna pomyłka ewolucji.  
 Teraz człowiek  
 stworzenie prawie doskonałe  
 fotografuje się  
 na błędzie Stwórcy.

**Zdumiona**

Wyrwana z domu po długiej niemocy  
 w wir obcych żywiołów  
 przez katapultę potrzeb  
 wstrzelona w niepewność  
 sama w skomplikowanym świecie  
 Zdumienie za zdumieniem  
 wypiera lęki i niemoc niweczy:  
 tylu dobrych ludzi z ofiarną pomocą  
 tyle życzliwych słów gestów uśmiechów!  
 Czemu mówili że źli są?  
 Nie wierzymy wieściom Złego!

*Warszawa-Kielce, 29.12.2006 (z t. Obudzić jutrzeńkę)*

**Rąbek szczęścia**

Kot włączył swój organ szczęścia.  
 Cudowne mruczenie  
 rozbrzmiewa w mych uszach i sercu  
 jak organy w katedrze.  
 A czymże ja mogę  
 zawtórować?  
 Jaki mam włączyć  
 narząd szczęśliwości?  
 Nucenie już mi nie wychodzi,  
 serce w mym dzwonku śmiechu  
 też się zaplątało  
 w sznurki trosk codziennych...

Lecz czy naprawdę nie umiem  
 radować się z życia?  
 Ależ tak! Potrafię!  
 Mogę jak kamień  
 patrzeć godzinami  
 na kwiaty, na drzewa,  
 na płonący ogień  
 lub płynącą rzekę.  
 I na kocie gonitwy  
 za swoim ogonem.  
 Każdy ma przecież w duszy  
 jakiś rąbek szczęścia.

*22 sierpnia 2008 (z tomu Dary chwili)*

*W hołdzie dla Maestra Szymona Kawalli*

Którędy do nieba?  
– pyta klawiatura.  
Dramatycznie pyta  
i wznosi się, wznosi,  
to znowu opada.  
Na skrzydłach orkiestry wzlata  
ponad horyzonty...  
I już samodzielnie  
ponad chmury,  
nad lęki, nad troski,  
ponad wszelkie żądze.  
Już lekko jej  
jak piórku...  
Śpiewa  
w przestworzach ducha  
aż do zatracenia.

28 sierpnia 2008

### Skronie

Skronie człowiecze –  
kapliczki bólu,  
oparte na kolumnach palców,  
milczące skargi utrapień...  
Modlitwy o wytchnienie,  
pośredniczki miłosierdzia Bożego,  
anteny niepogody,  
padoły samotności,  
zatoki wytrwałości  
albo bezradności...  
pola zamyślenia,  
bramki intelektu,  
figury frasobliwości,  
ikony duchowości,  
sny o poprawie ludzkiej doli,  
matki w bólu rodzące nadzieję,  
doliny naszego losu,  
świeczniki stojące przed Bogiem!

Bądź pochwalony, Boże Trójjedyny,  
przez nasze skronie zatroskane,  
nasze ręce wzniesione do Ciebie,  
i kolana zgięte przed Tobą.

(z tomu *Dary chwili*)

Zofia Korzeńska

### Plitwickie jeziora

Pan Bóg  
znużony tworzeniem  
bałkańskich krain  
pomyślał o jeszcze jednym źródle  
metafor  
i stworzył Plitwickie Jeziora  
aby znudzeni poeci  
znaleźli w nich  
oazę nieskazitelnego piękna  
do którego iść można po drewnianej ścieżce  
nie czując zmęczenia  
bo tu ziemskie bóle  
giną w kaskadach wody  
a potem rozbijają się  
o białe skały wapienne  
które zamieniają je  
w turkusowozielone  
krople szesnastu jezior  
podobnych do nieba  
w dniu jego narodzenia

### Świat zwariował

świat dostał psychozy  
maniakalno-depresyjnej  
ze zdziwieniem przyglądają się temu  
psychiatrzy i psychologzy  
i rozkładają ręce w niemocy  
dzieci zamiast w piaskownicach  
bawią się na ekranach komputerowych  
w wojnę światów

osiemdziesięcioletni staruszek  
rozmawia na skajpie  
z ukochaną wnuczką  
mieszkającą na drugiej półkuli

uczni zastanawiają się  
jakie choroby leczyć by jeszcze  
komórkami macierzystymi

tylko mieszkańcy zaszytej  
między lasami wioski  
pytają dlaczego Pan Bóg  
ukarał ich bezlitosnym  
tornadem.

czas liczy kroki  
niby te same  
a jednak inne  
bo droga prowadzi  
przez kocie łby  
a niekiedy przez  
bordowe chodniki  
ludzie przychodzą  
ludzie odchodzą  
zostawiając po sobie  
dobre i złe wspomnienia  
wiosna lato jesień zima  
serce nie nadąża  
za marzeniami starca  
które wiatr niesie  
donikąd  
noce bezsenne  
wchodzą bez pytania  
do jego podświadomości  
i grają marsza żałobnego Chopina

*Lipiec 2012*

## Epitafia

### Domatora

Leży tu sobie  
W rodzinnym grobie

### Szpiega

Tu leży as wywiadu  
Nie ma po nim śladu

### Internisty

Spoczywa tu internista, ambicje miał duże  
Zmarł niespodziewanie na ostrym dyżurze

### Kardiologa

W grobie tym leży kardiolog, cześć mu i chwała  
Zmarł biedaczysko nagle na zawał

*Jan Lechicki*

\* \* \*

płoną moje pejzaże  
ogrodem myślą mową

sama podnoszę strony światła

w zakamarkach same cienie  
ściśnięte zmierzwione  
przy mnie śpią

zmyślona jestem daleka od rzeczy  
przyśniona od przypadku do przypadku  
splotem iluminacji

wolność stanem skupienia ciała  
chmury tłące się ścierniska  
niebieskie  
wiatry wici złote burze  
moja historia zbawienia

niekończące się szczegóły ślepe grawitacje  
przepowiadanie z ostatniej stokrotki

\* \* \*

składam się ze spojrzeń  
uwalniam od formy duchy rzeczy  
brakujące ogniwa  
splotów namiętności  
pejzaży wiatrów w polu  
jestem gdy śnisz ciałem  
przymrużeniem przepastnym  
gdy zakradasz do cudzych ogrodów  
swoje bluszcze  
gdzie się kończą szczegóły  
zaułki wypowiedane z nadmiaru piękna  
studnie topią pochurność o niebie  
z dymem idą moje symetrie  
zawodzenie ciemności  
pustynia  
na pokuszenie

## Jak albatros

Chciałbym być zawsze jak albatros czarnobrewy:  
mieć skrzydła u ramion i serce ogromne  
by wzlatywać na niebotyczną wysokość  
i pokonywać śmiało przestrzenie nieznanne

Chciałbym odnowić śluby spustoszone  
i gniazdo założyć na wysokiej skale  
skąd do nieba bliżej niżli do przyziemia  
i gdzie chwile tworzą wielką życia pełnię –

nieujarzmiony jak albatros w locie  
wytrwały w biegu do królestwa piękna  
co mieszka w wielu pieśniach o szczęściu  
ukryty na skale wysokiej Kaliopy –  
Niech śpią spokojnie

Niech śpią spokojnie w ziemi-matce  
Ludzie  
niech odpoczywają nareszcie po trudnym biegu  
bo choć zdrożeni wielce i poranieni  
do mety maratonu dobiegli – zwycięscy –

A teraz stoją przed wielkim lustrem tajemnicy  
i sterani czekają z ufnością  
by powiedzieć Panu że biegli uparcie  
i nie bacząc na poranione stopy i serce  
łowili po drodze dorodne marzenia  
bo chcieli posmakować jak smakuje zachwyt –

A kiedy przytuliła ich matka-ziemia  
rosną w niej drzewa – trawami – kwiatami  
i użyźniają ją swoją radością  
szczęśliwi, że mogą odpocząć po biegu  
co się nazywał tak pięknie: ż y c i e

## Jak ci się żyje na obczyźnie...

Jak Ci tam się żyje moja Siostró bliska  
Za tą wodą tak wielką i taką daleką –

Czy na gładkich – bezkresnych autostradach  
Wspominasz jeszcze polskie splątane drogi  
I czy w wielkiej powodzi światła Montrealu  
Wspominasz tkliwie swoje miasteczko –  
z Syreną w herbie

gdzie znałaś na pamięć każdy kamień i kąt  
I skąd wyfrunęłaś w świat obcy – nieznaną

I co się z Tobą dzieje moja Siostró droga  
gdy powidoki rodzinne powracają do Ciebie:  
Twój dom nad łąkami – tataraki – kaczeńce –  
grusza na miedzy – głos kukułki na szczęście –  
stara kapliczka z Frasobliwym w polu –  
I z Matką Polną – gdzie się mogłaś wyżalić –

A najbardziej jak Ci tam jest – Siostró –  
W święty czas Wigilii – gdy Dzieciątko się rodzi –  
Czy widzisz wtedy przez wilgotne powieki  
Rodziców z opłatkiem i swoim sercem na dłoni  
a także Rodzeństwo co śpiewa kolędy – życzenia  
by za rok nie zabrakło nikogo przy stole –

Siostró na obczyźnie – tu na Ciebie wciąż czeka  
Puste krzesło przy stole i nasz kącik pod sercem –  
Ślemy Ci w darze zapach domowego chleba  
aby Twoją i naszą tęsknotę serca  
nakarmić wzruszeniem – co w poezji mieszka

## Dojrzewanie do poziomek

Póki na polanie dojrzewają poziomki  
warto uparcie na czerwiec czekać  
bo z nimi wielka miłość rozkwita zachwytem  
nadzieja kołysze marzenia największe  
i mniej bolą drogi najeżone kłodami –

Więc patrzę z tkliwością na czerwone kropki  
i nie ukrywam niemęskiego wzruszenia:  
bez niego byłbym jak robot nieczuły  
co chociaż – jak mędrzec – posiadał  
wszystkie rozumy  
nie pojmuje że poziomka ocala w nas piękno –

Więc choć skuta jest lodem niejedna rzeka  
to na poziomki wciąż warto czekać –  
z nadzieją czekać –





## Miarka samotności

1.

Punktualnie o 9:45 czekało na mnie. Wizyta po roku  
bez zapowiedzi. A ono jak gdyby nigdy nic i bez  
[skrępowania  
powtarzało swoje autorskie brzmienie. Miarowo  
naprężyło siłą membranę tympani i spinało z brzegiem.  
Stanęłam z nim ramię w ramię, potem tak szliśmy  
donikąd, krok przed nami – samotność  
godzin. Jednoosobowa obecność nie peszyła nikogo.  
Na wyciągnięcie wzroku ani żywego ducha, choć nad  
[samym  
duchem można by się jeszcze zastanowić. Uciekałam  
[w niepamięć  
bez wzajemności. Wyrzucało z trzewi swoje rękopisy,  
nieuczasy  
ostatek portu. W splątanych wodorostach  
zapodrziana butelka po rumie  
dawno wypitym. Niezbity dowód na istnienie morza.

2.

Dopiero ten sznur  
z węzłem, który nazywają gordyjskim, uświadomił mi  
tymczasowość każdego trwania. Morze powiesiło się.  
[Przełata się miarka  
samotności. Wreszcie powięzła dwa końce świata  
w jedno. Nie miałam przy sobie miecza, by odciąć go  
od gardła. Więc to mara idzie teraz  
ze mną, a ten huk i ta woda  
są jedynie do złudzenia wierną atrapą wygnaną przez  
przyptyw na miałąk ziemię. Liżę palec,  
jest słony. Zaiśniało podejrzenie, że to jednak  
[scenografia  
przygotowana na wszelką ewentualność. Już tylko  
w wietrze, w tym otwartym przeciągu przechadza się  
[nieustanność.

3.

Sypią się przez palce i zatrzeć nie potrafią, choć  
same są śladem i ziarnem, bezużyteczną klepsydrą. Piach  
nieskończony. Wystarczy lekki podmuch, a na jaw  
[wychodzi odcisk  
stopy, która szła tędy donikąd i nie wiedzieć kiedy. Może  
[to morzem  
wzdłuż przechadzała się pojedynczość, zapewne  
[Robinson.  
Resztkami myślę o wczoraj, dal nie zdołała  
zmazać jeszcze poszlak, zagłuszyła jedynie telefon.

4.

A jednak tu był. Kilka desek z potrzeby domu skrzyżowanych  
na znak. Zbity z płyt stolik i taboret. Musiał tak siedzieć  
[godzinami  
na wprost scenerii i wpatrywać się w odległe oko, które jest  
[zaledwie  
wstępem do przepaści. Potem gwałtownym odjazdem osierocił  
brzeg, pozostawił rytą chwilę: 30 września 2013 roku. Plaża leży  
teraz martwa z wyplutym mięsem foki, od której rybitwy  
[natychmiast  
pożyczyły sobie oczy. Dopiero ślepotą otworzyła ją na prawdziwe  
morze, ono skryło się w zimnym odtąd tonie.

5.

Migawką utrwalam swoją nie ludzką zdobycz, a kilometr dalej  
w kierunku donikąd – kolejną; to focza matka rzuciła się  
na piach z rozpacz. Już nie rwie sobie włosów z głowy, nie wyje  
z odrąbania krwi z krwi, wokół niej zleciało się na wspólny  
obiad czarne stado skrzydlatej codzienności.  
Spójrz, dokąd zawiodła mnie miłość  
albo jej brak. I znalazłam dowód na istnienie  
fok w moim morzu, morzu bez końca.

6.

Pora usiąść i pomilczeć  
nad topieniem żarzącego się krążka, przecież jestem tu  
dla lekcji samotnienia, a nie pisania poematów.

23 czerwca 2014

## Po co nam zmierzch lata nad morzem

*Łudziłaś się, że nie powróci.  
Tymczasem szum morza i schyłek lata  
odnowiły się w tobie. Jak tęskny brzeg,  
na który powracają i oni.  
Stają z nim oko w oko, a w powietrzu utlenia się już  
zmierzch. I mewy, i milknące grupki ludzi,  
kępy szorstkich traw pochylane w jedną stronę.*

*Ludzie jak żeglowne ptaki zbijają się w gromadki.  
Łatwiej im wtedy zaprzeczyc głębi morza.*

*Choć w tę otchłań i tak każdy sam musi –*

16 lipca 2010

Wiersze z tomiku pt. *Ja, o jednym imieniu*

\* \* \*

wiem już jak chciałabym mówić do ciebie  
to byłby język bezkresu  
język ciemnych dróg po których idziemy za bezpiecznym  
[światłem

czuły jak cisza nad spokojnym snem  
i czujny jak milczenie traw  
wczesnym świtem  
pod wolno wzbierającym niebem

przečułam go kiedyś. uczyłam się szybko –  
miałam mało czasu  
a teraz znajduję ten język w jednym twoim słowie  
więc noszę je pod skórą. odbijam w nieskończonych lustrach  
gdy ci nim kiedyś odpowiem  
niech będzie też moje

## Ze słuchu

Książę, uczymy się naszych światów  
ze słuchu  
dlatego z początku są czystym dźwiękiem  
i brzmia uniwersalnie

ale gdy się zbliżasz  
słowa przechodzą w materię  
ścieżka  
jest jedna na świecie  
właśnie nią idziemy  
miasto  
wyłącznie to które przed nami  
pełne twoich ulic  
i twoje imię  
ma tylko jedną twarz

wszystko jest o tobie:  
wiersz który teraz piszę  
który napiszę jutro  
który pisałam wczoraj  
i każdy przeczytany

teraz modlę się tylko  
by się nam nie wypełniały cieniem konturem  
słowa dramatyczne i nieodwracalne  
niech na próżno wiszą  
obcym echem  
w powietrzu

## Historie

spójrz, kochanie –  
gdy tak rozmawiając sięgamy zbyt głęboko w przeszłość  
przychodzą do nas ci których już nie ma  
długo patrzają nam w oczy zaglądają w twarz  
milczą na pytania  
chcą abyśmy mówili w ich imieniu  
bo już w nich umierają wieczory i świty

musimy ich zmyślać przebierać tłumaczyć.  
jakie ciężkie to wszystko  
na naszą biedną pamięć –  
ból istnieje wyłącznie po tej stronie czasu

spokojnie, to był tylko zły dzień  
trzeba z niego zasnąć aby się obudzić  
unieść żywą historię. naszą. prostą. jasną

## Genesis

„Sam las. Tak sam, że już mu nie przeszkadzasz.  
Kalina Kowalska

ogród. na początku musi być ogród  
każdy świat w nim zaczyna się i z niego wychodzi  
(tak nas przecież uczone: mamy za nim tęsknić  
choć od kiedy mam ciebie – lekceważę  
nawet ogrody edenu i tęsknię jedynie  
za znajomą sylwetką na zarosłej ścieżce)

więc ty – najpierw musisz być ty.  
każdego dnia wszystko zaczyna się od ciebie:  
od ciemnej głowy słońca wschodzącej  
z moich ramion na pogodny dzień

dopiero później – dal. musimy mieć dal  
pagórki na których słowami owocują drzewa.  
całe winnice znaczeń. a my w nich – jak tamci  
którym się kiedyś zdarzył rajski sen:

chodzimy i nazywamy

**Hippokrene**

Między niebem a ziemią  
widziałam dwie tęcze  
Obie były piękne

Jedna sypała kolory  
Druga sypała wiersze

Zdawały się być  
na wyciągnięcie ręki  
na wbiegnięcie

Obie nad podziw  
i prawie dotyk

nieosiągalne

**Na łąkach serca**

Na dalekich łąkach mego serca  
pachnie macierzanką  
a pastele dzwonek  
są jak bańki cerkiewnych wież

Wiatr w błękitnej przestrzeni  
ozłocony słońcem  
nazbyt czuły  
dla kwiatów i dla mnie

Bocian składa  
rozpostarte skrzydła  
do odlotu

Na zielonych łąkach mego serca

**Jedynie**

Z miłości do ciebie  
mogłam żyć

Potem  
zdarzało mi się  
tylko umierać z miłości

Jedynie w miłości twojej  
byłam nieśmiertelna

**Haiku**

\*

W betonie miasta  
za oknami ptakami  
wiosna wyrasta

\*

Przyszedł do nas maj  
kto z was powie ptaszki  
gdzie piekło gdzie raj

\*

Zawiści młody  
staremu brody bo ma  
problem urody

\*

Z jesienią wchodzi  
drzwiami szparami cisza  
nie chcą jej młodzi

\*

Zima nadchodzi  
szepczą drapachy-strachy:  
nam to nie szkodzi

\*

Gdy pesel niski  
choć na panie jest branie  
nie biorą miszki

\*

Artysta malarz  
zrobił z cicią sweet-focię  
portretu blamaż

\*

Dzień w deszczu moknie  
ptaki jak szare znaki  
patrzają nam w okna

\*

Koń stary jedzie  
sam w vanie-karawanie  
ratujcie ludzie

\*

Mieć Kosmos cały  
Mlecznej Drogi bajkowej  
nawierzchnię białą

\*

Gdy syczysz jadem  
twarz usycha zanika  
pełniesz złym śladem

\*

Gdy lubisz ludzi  
gorące słońce rano  
co dzień cię budzi

\*

Koń srebrnogrzywy  
jeźdźca na grzbiecie niesie  
krowa się dziwi

\*

Psa do kąpieli  
zawlec trudno choć brudny  
święci anieli!

\*

Życia szturchańce  
to na talerzu twarzy  
odciski palców

\*

Byli w kościele  
Kuba z Jakubem piją  
całą niedzielę

\*

Na powitanie  
przerwały malwy taniec  
stoją przy bramie

\*

Wieczorem trwoga  
koty niecnoty nie śpią –  
przebiegną drogę

\*

Chcesz ukraść księżyc  
noc prowadzi na krawędź  
jej nie zwyciężysz

\*

Nie bój się ciszy  
złych komentarzy w gwarze  
więcej usłyszysz

\*

Koniec przypadło  
gdy twój umysł zagłuszy  
podstuchu łajno

\*

Na słowa zważaj  
za kulturą stój murem  
i nie obrażaj

\*

Musnął mnie Pegaz  
skrzydłami-symbolami  
sztuki mecenas

\*

Płynie żaglowiec  
chmurami obłokami  
biały wędrowiec

\*

Modna Nikola  
gdy twym gustom nie sprosta  
Amelkę wołaj

\*

Zgódź się mój kocie  
swą czarną duszą zburzyć  
przesądów krocie



Kolaż: Irena Nyczaj

## Żona psychopaty (Fragment)

Kręciła się w kółko po pustym mieszkaniu jak kundel spuszczonej z krótkiego łańcucha, wrzynającego się w szyję. Czy ta psina, często głodzona, a czasem kopnięta, rzuci się do gardła oprawcy i je przegryzie? Nie – cieszy się! Och, jak biega, biega jak szalona po podwórku, wokół swojego kata, i skacze do góry z radości, żeby go polizać po twarzy, po rękach. Ten etap od chwili rozwodu aż do pewnego wydarzenia, które dało jej wreszcie do myślenia, trwało kilka ładnych lat. Dorosła Majka, następczyni głupiej Majki, nazwała go okresem postofiarnym, na wzór okresu postkolonialnego w nowo wyzwolonych krajach.

Prawnie uzyskała wolność, mentalnie wciąż tkwiła w starym systemie. Jej masakrowana przez lata psychika musiała mieć czas, by się zbliznić. Gdyby dorosła Majka mogła pomóc swojej poprzedniczce, wystąpiłaby ją do dobrego psychologa, żeby skrócić ów okres. Niestety, nie istniała taka możliwość. Majka po wyprowadzce Edwarda dostała porozwodowej głupawki.

Przechodziła z pokoju do pokoju zalanego słońcem i stawała uśmiechnięta w drzwiach; tu nie ma potwora, tu nie ma potwora i tu go nie ma. I już go nie będzie! Została uratowana! Wróciła do świata żywych i normalnych. Miała trochę zniszczone zdrowie (dokuczało jej serce i wrzody żołądka), ale to nic, to nic takiego, przejdzie. Wszystko się zagoi, zregeneruje, nie została przecież trwale okaleczona. I co najważniejsze, nie jest jeszcze taka stara!

Nie mogła nacieszyć się spokojem, unosząc ją niczym ciepła woda w basenie. Przechodząc przez przedpokój, zatrzymała się przed odbiciem w lustrze uśmiechniętej, młodej kobiety z podkrążonymi oczami: No widzisz? Myślałaś, że już nigdy nie będziesz szczęśliwa. Uświadomiła sobie, że są dwa szczęścia na tym świecie: gdy ktoś jest przy tobie i gdy już kogoś przy tobie nie ma.

Zajrzała do łazienki. Wszystko lśniło. Przetarła jeszcze raz armaturę i powiesiła przepłukaną ściereczkę nad wanną. Cofnęła się. Przypomniała sobie martwą naturę zajmującą często środek niedużej łazienki; taboret, na taborecie żółta miska z wodą, a w wodzie skarpety. Po dwóch dniach woda nabierała ciemnobrunatnego koloru z jaśniejszymi kępami proszku do prania, wokół których wyskakiwały bąble większe i mniejsze, część w kolorach tęczy, pękające z cichym „pa”. Z gęstego bajora wydobywał się coraz silniejszy zapach siarkowodoru i żaden kwiatek nie mógł wyrosnąć na jego skraju. Gdy odór zaczął wędrować do przedpokoju, Majka zmuszała się i mówiła:

– Uprałbyś wreszcie skarpetki. Niedługo nie będziesz miał co włożyć.

Edward odwracał w jej stronę głowę, mierzył ją chwilę niezadowolonym wzrokiem, bo odrywała go od jakiegoś ciekawego filmu w telewizji, i ucinał rozmowę krótkim „odwal się”.

Wówczas wywalała zawartość miski do wanny i dotąd polewała przysnizem skarpety, aż ulotnił się przyprawiający o mdłości zapach, a woda zmieniała kolor od ciemnego brązu po coraz jaśniejszy aż po żółty, z piaskiem na dnie. Tak je zostawiała, a kiedy Edward wchodził do łazienki, wyżymał skarpety i wieszał na balkonie, a zimą w łazience. Jeśli nie miał już co włożyć na drugi dzień, kładł je na kaloryferze w sypialni, skąd unosił się słodkawo-mdłący zapach, dopóki nie wyschły. Często płukała je ponownie, ale wówczas, gdy nie widział, bo denerwował się, że po nim poprawia.

Odkąd się wyprowadził, wyparowała z niej nienawiść, widocznie musiała zrobić miejsce na szczęście. Ale Majka wciąż czuła coś do niego. Coś na kształt wdzięczności, że już go nie ma. I że jej jednak nie zabił, jak obiecywał tyle razy. Była zadowolona, że żyje. Życie to jest coś. Usiłowała dogonić stracony czas. Skończyła trzydzieści sześć lat. Nie miała na razie pojęcia, czy to dużo, czy mało.

Urszula dzwoniła coraz częściej, i, niestety, nie miała dobrych wieści z Bielska-Białej. Spółka joint venture pod rządami prezesa Rokity miała się z tygodnia na tydzień coraz gorzej. Wystarczyło kilka dni, by Edward wszystkich do siebie zraził; zrobił fatalne wrażenie podczas wycieczki w góry, w której uczestniczyła cała załoga z nowym prezesem, aby wzajemnie się poznać. Jego ignorancja plus buta (nie chciał słuchać rad Urszuli) coraz bardziej pograżała finansowo spółkę. Urszula nie tylko bała się o Edwarda, że zostanie wyrzucony i wróci do Kielc, lecz i o siebie. Aldona była wściekła, że koleżanka poleciła im kogoś, kto miał być przebojowy, rzutki, ze znajomościami w centrali, a okazał się ograniczonym i tępym aparatczykiem. Majka znowu nie mogła spać po nocach. I wreszcie nadszedł ten straszny dzień – Edward został wyrzucony zaledwie po pół roku pracy w nowej firmie, a wraz z nim Urszula.

Majka się zamartwiała. Co teraz będzie? Wróci do Kielc? Czy wolno mu z nią zamieszkać? Co prawda był wymeldowany, jednakże dotąd go nie spłaciła. I co z biedną Urszulą, która straciła wymarzoną pracę projektantki? Już takiej na pewno nie znajdzie w Bielsku-Białej. Biedna, kochana Uleczka zapłaciła zbyt wysoką cenę za uwolnienie Majki od potwora.

Na szczęście Edwardowi nie uśmiechał się powrót do Kielc, wstydził się wracać na tarczy. Niedawno przyjeżdżał bmw i zapraszał kolegów do najlepszych knajp w Kielcach, a teraz miałby wrócić bez samochodu, jako bezrobotny?

Jednak partia nie zawiodła, okazało się, że nie zostawia swoich w potrzebie. Najpierw zatrudniono go w komitecie powiatowym, a wkrótce otrzymał stanowisko dyrektora ekonomicznego fabryki samochodów małolitrażowych, popularnej na cały kraj, produkującej małe fiaciki, o których marzyła każda polska rodzina. Jednak i tę potężną fabrykę udało mu się wkrótce doprowadzić do plajty.

Kiedyś przyjechała w odwiedziny Ulka. Była bezrobotna, miała na razie mnóstwo czasu. Przepelniona wdzięcznością Majka nie wiedziała, czy bardziej cieszyć się jej widokiem, czy martwić, że poniekąd przez nią Urszula straciła tak atrakcyjną i dobrze płatną pracę.

– Moja kochana, moja najlepsza siostrzyczko – powitała ją w przedpokoju. – Uratowałaś mi życie i zostałam przeze mnie na lodzie.

– Przestań, Majka. Przestań, bo dzieci straszysz. Napisałam do ciotki Poli, żeby mi przysłała zaproszenie. Poradzę sobie w Stanach, nie martw się. Najważniejsze, że udało się wykurzyć stąd potwora.

Dzieci wykazały żywe zainteresowanie potworem.

– Jakiego potwora? – chciał wiedzieć Witek.

Ulka wytłumaczyła, że to ktoś, kto w domu rozkłada po kątach koty kurzu, rozrzuca po podłodze zabawki.

Na obiad pojechali do mamy na Sady.

Musiała dużo, bardzo dużo pracować, żeby nakarmić dzieci, jakoś je ubrać, by się nie odróżniały za bardzo od innych dzieci w szkole. Zapraszała Edwarda na święta, ponieważ była bardzo, bardzo dobrą matką. Wyjątkową. Uważała, że skrzywdziła Kasię i Witka, rozstając się z ich ojcem (rozwoły były wówczas dużo rzadsze), starała się więc zapewnić im tatusia na święta i otrzymywały go wraz z bigosem, mandarynkami, sałatką jarzynową, sernikiem oraz makowcem. Nawet kupowała mu pod choinkę jakiś drobiazdek, żeby i dla tatusia leżał podpisany prezent obok tych dla mamusi, Witka i Kasi.

Edward bardzo się cieszył z upominku i świątecznej rodzinnej atmosfery, i był trochę zakłopotany, że znowu zapomniał coś im kupić pod choinkę. Po kryjomu dawał Kasi jakieś pieniądze, żeby coś tam sobie sama wybrała, na potrzebach dziewczynek nie znał się za bardzo, a dla Witka miał jakiś plastikowy samochodek kupiony w kiosku na dworcu. Dla Majki nic; za krzywdę, jaką mu wyrządziła, nic jej się nie należało i niech nie myśli, że go udobrucha tymi świętami dwa razy do roku.

Takie goszczenie świąteczne byłego męża mocno nadszarpywało jej skromny budżet, mimo to jakoś dawała sobie radę, bo wciąż tkwiła w przekonaniu, że jest niezwykle mądrą i kochającą matką. I szlachetną. Zresztą czuła aprobatę rodziny oraz przyjaciół.

Na zimowe ferie dzieci wyjeżdżały do tatusia na narty. Lubiły te wyjazdy, a Majka mogła cały ten czas poświęcić

na to, co kochała robić, czyli na fotografowanie. Ostatnio nawet zaczęła na tym zarabiać jakieś niewielkie sumy. Robiła dużo zdjęć i wysyłała je na różne konkursy. Za pierwsze pieniądze kupiła sobie pralkę automatyczną. Tak! Dopiero w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym ósmym roku mogła sobie pozwolić na taki luksus. Już wszystkie sąsiadki miały automaty i wszystkie koleżanki w szkole, a Edward nie chciał słyszeć o takiej fanaberii. Czyż frania nie pierze sama? Czy nie jest automatem na prąd? Nie przesadzajmy. Jest w dobrym stanie, nie psuje się, więc niech Majka nie narzeka. Że trzeba wyżymać? Dwa razy po praniu, a trzy po płukaniu? Wylewać i wlewać wodę? Trochę gimnastyki jej nie zaszkodzi.

Dobrze zapamiętała jedną taką wizytę. Co za budujący obrazek porozwodowy! Nadający się jako świetny przykład do podręczników dla psychologów, żeby przekonać wściekłe na siebie pary, że jednak można dla dobra dzieci jakoś się porozumieć. Oto w pokoju z telewizorem dzieci oglądają teleranek, a w kuchni tatuś z mamusią piją kawę, siedząc naprzeciwko siebie i gawędząc przyjaźnie. Kilka minut temu zjedli wspólne śniadanie. Dla ścisłości: Majka spała z Witkiem w dużym pokoju, a w pokoju syna spał Edward.

A więc gawędzą, patrząc sobie w oczy, prawie flirtują. Edward uśmiecha się uwodzicielsko, Majka zna ten uśmiech, wszystko zna i wie. Tak jej się wydaje. Jedno jest pewne – podoba mu się. Zawsze mu się podobała i mówi jej o tym. Po prostu kobieta i mężczyzna siedzą razem przy kawie. Coś powiedział, a Majka się roześmiała. Jak ktoś obcy mógłby uwierzyć, że ten człowiek jest potworem, myśli, skoro mnie samej nie mieści się to w głowie, gdy teraz na niego patrzę, kiedy z nim rozmawiam. Czuje się swobodnie, żadnego lęku ani ucisku w gardle i klatce piersiowej. Edward jest ciekawy, czy ona kogoś ma, więc i ona pyta go o to samo.

– Nie – wzdycha. – Miałem raz, drugi, ale niełatwo jest znaleźć odpowiednią kobietę. – Patrzy na nią wymownie.

Nagle Majka decyduje się zapytać go o coś, co ją dręczy od wielu lat.

– Pamiętasz ten dzień, kiedy pojechaliśmy do Zagnańska po parkiet? I mnie zostawiłeś w lesie?

– Pamiętam – Edward uśmiecha się i sięga po kawałek szarlotki.

– Dlaczego to zrobiłeś?

– A pamiętasz ten dzień, kiedy przywoziłem cię po raz pierwszy do tego mieszkania – pokazuje dookoła ręką – a ty nie chciałaś mi się oddać?

Majka siedzi osłupiała. Gdyby szła, stanęłaby jak wryta. Przypomina sobie ten dzień, skakanie po kałużach z kawałka betonowej płyty na drugi kawałek, mieszkanie o nieotynkowanych ścianach, cementową podłogę, drzwi bez klamek huśtające się na zawiasach. Nie to jednak jest szokujące. Od tego nieszczęsnego popołudnia do dnia,

gdy wybrali się po parkiet do Zagnańska, upłynęło dużo czasu – co najmniej trzy, cztery miesiące. I w tym czasie nie było między nimi żadnych nieporozumień; łączyła ich wspólna radość z nowego mieszkania. On po prostu czekał na dogodny moment, żeby się zemścić.

Jej milczenie Edward przyjmuje za dobrą monetę – oświecił ją, że tak się nie postępuje z mężczyzną, bo mężczyzna jest nierychliwy, ale sprawiedliwy. Mówi coś dalej żartobliwym tonem, lecz do Majki już nic nie dociera, bo cały wysiłek włożyła, by przybrać obojętną i znudzoną minę; a właściwie, co mnie obchodzi jakiś kretyński incydent z zamierzchłej przeszłości?

Dlaczego nie zareagowała, nie skomentowała tego, co jej powiedział po latach? Nie oburzyła się? Nie zaczęła krzyczeć, wyrywać sobie włosów z głowy swojej lub o wiele lepiej z jego? Mimo że prawie łysej? Znalazłaby jakieś resztki, by złapać i szarpnąć.

Majka nie mogła odpowiedzieć sama sobie na te niby proste pytania. Przestraszyła się, że tak mało o sobie wie. Dopiero po dwóch, może trzech tygodniach, wciąż myśląc o tej rozmowie, przypomniała sobie, że poczuła w ustach wstyd i zdumienie, zmieszane ze śliną jak piasek z klejem. Po prostu ją zamurowało. Pomyślała, że nie ona jedna, że pewnie wiele takich zamurowanych kobiet chodzi po tym bożym świecie.

W którąś Wigilię Edward przyniósł wielkie pęto wiejskiej kiełbasy i włożył do lodówki – co za wspaniała zdobycz w schyłkowym okresie komunizmu! Jaki zapach! Pochwalił się, że odstąpił mu ją Adam, dawny kolega z Zakładów Metalowych, a jednocześnie sąsiad z drugiej klatki. Ktoś z jego znajomych załatwił mu wędlinę u znajomego gospodarza. Majka bardzo się ucieszyła, że jednak coś do niego dotarło, zaczął rozumieć, że wypada się dołożyć do świątecznego stołu. Więc jej dobry przykład, cierpliwość nie poszły na marne. Jakież było jej zdumienie, gdy po wyjeździe Edwarda otworzyła lodówkę i okazało się, że kiełbasa znikła. Nie zostawił nawet plasterka.

Na ferie zimowe odwiozła dzieci do Bielska-Białej. To było wtedy, gdy już Żyd z Wiednia wyrzucił Edwarda z firmy i partia najpierw przygarnęła go do pracy w Komitecie, a po kilku miesiącach usadziła na fotelu dyrektora ekonomicznego fabryki samochodów. Telefonicznie uprzedziła, że zostanie na jedną noc, miała zbyt mało czasu, by jechać do ciotki Michasi. Rano chciała zjeść z dziećmi śniadanie i pożegnać się, bo musiała wracać do Kielc.

Edward obiecał, że zarezerwuje jej pokój w hotelu robotniczym. Dzieci miały jak zwykle zostać na tydzień w jego niedużym mieszkaniu. Wyszedł po nich na dworzec i pojechali najpierw do niego, a wieczorem wszyscy odprowadzili ją przez las do hotelu. Portier zaprowadził ją do dwuosobowego pokoju, czystego, ze świeżą pościelą

i łazienką na korytarzu – za komuny nie miało się dużych wymagań. Majka od razu zwróciła uwagę na hałas, ale przekonana, że ta maszyna zaraz ucichnie, przeszła przez pusty korytarz i zamknęła się w łazience.

Wracając, nie spotkała nikogo, pod sufitem cicho brzęczały jarzeniówki, a na końcu korytarza widziała przeszkloną portiernię. Wskoczyła do łóżka i czytała do późna, bo nigdzie nie ruszała się bez książki. Hałas, który najpierw wydawał się słaby, dochodzący gdzieś z oddali, zaczął się coraz bardziej nasilać i zamienił się w głośny łomot. Dochodził zza ściany lub z piwnicy. Zgasiła światło, sądząc, że zmęczenie podróży i zarwane noce – pranie, prasowanie, pakowanie – wreszcie pozwolą jej zasnąć. Niestety, piekielna maszyna pracowała bez wytchnienia. Ledwo się zdrzemnęła, hałas natychmiast ją budził. Wstała o czwartej, ubrała się, zabrała książkę i wyszła na korytarz, który na lewo znikał w ciemnościach, a na prawo rozszerzał się w oświetlony hol. W portierni nikogo nie było, hałas tu nie dochodził. Usiadła w fotelu z drewnianymi poręczami i wkrótce przysnęła. Gdy obolała otworzyła oczy, dochodziła siódma, a portier, starszy mężczyzna z sumiastym wąsem, siedział już na stanowisku. Za szybą powkładane były widokówki z gór oraz jakieś zagubione fotografie mężczyzn i sfatygowane legitymacje.

– Umordowała się pani, nie? – zagadnął portier.

– Co to za maszyna tłukła się przez całą noc?

– To agregat od centralnego taki hałaśliwy. Jak już całkiem miejsc nie ma, wtedy i ten pokój ludziom się daje.

– Wszystkie pokoje zajęte? – bardziej stwierdziła, niż zapytała Majka.

– Nie, proszę pani. Cały hotel pusty. Dopiero od jutra bedo się goście zjeżdżać.

– Pusty? – Majka podeszła do okienka i oparła się łokciami o wąski kontuar. – Jak to pusty?

– Żem mówił panu dyrektorowi, że pusty, że można panio położyć na górze albo tu zaraz na początku, jak już musowo na parterze, ale pan dyrektor kazał dać ten pokój. Ten i ten, uparł się. To co ja mogłem? Żem tak myślał, że jakby pani sama w nocy przyszła, żeby pokój zmienić, tobym i zmienił. Pani nie przyszła, to żem pomyślał, że podróżo utrudzona i zasnęła jak kamień.

Tego roku Majka nie zaprosiła Edwarda na Boże Narodzenie. Lekko zaniepokojony zadzwonił w połowie grudnia, by ją uprzedzić, że w Wigilię będzie „przejazdem” w Kielcach po drodze do brata do Sandomierza, gdzie jest zaproszony na drugi dzień świąt, więc oczywiście przenocowałby. Jak zwykle. Nie widząc go, Majka spokojnie czekała, aż skończy swoją przemowę, a potem oświadczyła, że nie życzy sobie jego wizyt w święta. Że się skończyło. Jeśli pragnie spędzić Boże Narodzenie razem z dziećmi, może

je zaprosić do siebie, do Bielska. Był tak zaskoczony, że chrząkał zakłopotany, nie wiedząc, co powiedzieć.

– Zrozumiałeś? Dotarło do ciebie? – dopytywała się z satysfakcją. – Zdrowych i wesołych świąt życzę.

– Ach, to tak, droga pani. Tak się teraz pogrywa w Kielcach. Ciekawe, co na to dzieci.

Nie zauważyła, aby dzieci cierpiały z powodu jego nieobecności.

W przerwie pomiędzy Bożym Narodzeniem a sylwestrem wyjęła ze skrzynki grubą kopertę oraz otwartą kartkę z kolorową choinką. Po starannym, ładnym charakterze pisma poznała rękę Edwarda. Na świątecznej kartce, zaadresowanej do Katarzyny i Witolda, był wydrukowany wierszyk:

Prószy śnieg czysty jak nasze serca,  
gdziekolwiek spojrzeć, tam śnieżne kobierce.  
Cichutko rozbrzmiewa wesoła kolęda,  
niech bardzo piękne będą te święta!

z odręcznym dopiskiem: „Najlepszego na Święta i Nowy Rok. Tata”.

Musiałeś niezłe się wściec, pomyślała, gdy wieczorem usiadła przy kuchennym stole i wyjęła z szarej koperty trzy arkusze A-4 zapisane równym pismem z obydwu stron. Gar bigosu cicho pyrkotał na małym gazie.

Po lewej stronie wpisana była wigilijna data, a pod nią „Bielsko-Biała”. Na środku kartki, kilka linijek od brzegu, widniał nagłówek składający się z dwóch części: górnej – „Cześć, Majka” i dolnej: „Ty bura suko!!!”. Poniżej, od akapitu zaczynało się: „Z okazji świąt Bożego Narodzenia i nadchodzącego Nowego Roku życzę Ci wszystkiego najgorszego. Oraz twoim bachorom, nad którymi się ulitowałem i traktowałem jak swoje”.

Poniżej dokładnie wyliczał, co chciałby, aby ją spotkało i za co. Każde zdanie zaczynało się od „żeby”. Żeby na starość została porzucona przez dzieci, przyjaciółki oraz kochanków. Żeby po nocach słyszała zawrodo noworodków zakopanych przez nią w lasach i porzuconych na śmietnikach. Żeby nie wyszła jej żadna fotografia, a na wystawie, która będzie jej ostatnią, została obrzucona jajkami i wygwizdana. Nie zapomniał o nikim, kogo kochała.

„Żeby ta wiedźma, twoja matka, największa dewotka w Kielcach, gdy będzie pędziła o świcie na swoich kaczkowatych nóżkach do kościoła, wpadła pod ciężarówkę i przeżyła tylko po to, żebyś do końca życia koło niej chodziła. Żeby Paweł splajtował, a za oszustwa podatkowe i długi poszedł do więzienia. Żeby Ewa, ta stara lesbą, zachorowała na raka piersi. Żeby Marylę porzucił mąż. Żeby w Ameliówce, w ogrodzie u Zosi i Ryśka nastąpiła taka inwazja kretów, by nawet trawa nie chciała rosnąć, a drzewa pousychały”. Tu Majka zachichotała.

Mimo że nic, co się uległo w psychopatycznym mózgu, nie miało związku z rzeczywistością (o jej matce napisał, że była Żydówką, która aktywnie uczestniczyła wraz z całą swą żydowską rodziną w pogromie Żydów w Kielcach w tysiąc dziewięćset czterdziestym szóstym roku, aby ukryć swe żydowskie korzenie), Edward osiągnął swój cel: Majka rozchorowała się od tego listu spuchniętego od antyżyczeń potwora. Dlaczego od razu nie spaliła koperty, nawet jej nie otwierając?

Bo zgubiła mnie ciekawość, która jak się okazało, jest jednak pierwszym stopniem do piekła. Dobrze mi tak, mówiła sobie. Mizerna była to pociecha, że życzenia stanowiły dowód, jak plugawa jest dusza psychopaty i jak przebiegły mózg, ponieważ nie można było nikomu pokazać tego listu, bo Edward tak go obmyślił, że nawet kłamiąc, ranił. I jeszcze był w nim haczyk; rodził brudne pytania. Dlaczego on nazwał Ewę lesbą? Dlaczego on w kółko o tych zdradach Majki? Może jednak coś tam kiedyś było? A co z tymi noworodkami? Czyżby coś wiedział o jakichś szwindlach Pawła? I czyżby naprawdę pani Jadwinia pochodziła z żydowskiej rodziny? A jeśli tak, dlaczego rodzina to ukrywała? Niemożliwe, żeby Edward mógł sobie to wszystko wymyślić. Część tak, ale nie wszystko.

Majka osłupiała, przeczytawszy ten bełkot. Nie miała zamiaru kiedykolwiek do tego wracać i przeżywać od nowa, spaliła więc te potworności w zlewie, gdy dzieci poszły spać. Przypalony bigos przerzuciła do mniejszego garnka i wyniosła na balkon. Światła miasta migotały w dole. Uniosła głowę, popatrzyła w ciemne niebo bez jednej gwiazdy i zapytała głośno i wyraźnie samą siebie:

– Dokąd to będzie jeszcze trwało?

Nie czekając nawet minuty na odpowiedź, wróciła do ciepłego pokoju.

*Teresa Opoka*





## Nasze drogi

A kiedy drzewa  
Zakwitną w ogrodach  
Świat staje się lepszy  
Uśmiech rośnie na twarzach

A kiedy trawa na łąkach  
Zakwitnie kaczeńców złotem  
Wesołe ptaki  
Siadają na drzewach

A kiedy cumulusy  
Pomalowane słońcem  
Płyną po nieba błękitnie  
Pójdziemy zdobywać nadzieję

A drogi białe lub zielone  
Nigdy się nie kończą  
Wędrujemy z przekonaniem  
Że coś ważnego się zdarzy

## Oddaję się w niewolę

Kiedy widnokrąg się siania  
Na rumowisku Gołoborza  
Ostre krawędzie skał  
Szarpną szatę jesiennych chmur

Oddaję się w niewolę  
Dobrych wspomnień  
Jak one bystro płynęły  
W potoku marzeń

Unikam ponurych okien  
Nie znajduję w nich mocy  
Która mnie wzywała  
Do odważnych występów

Oddaję się w niewolę  
Leśnych ogrodów  
Płają po wilgotnej ziemi  
Dorodne paprocie

Szedłem ostro do przodu  
Nie dbając o konsekwencje  
Pragnąłem być wolnym  
Za każdą cenę

Bardzo śpieszyłem się w dorosłość  
Błędy stawały w poprzek dróg i ścieżek  
Na tratwę wchodziłem bez wioseł  
Miałem potrzebę płynąć nic więcej

## Przeczuwaj

Przeczuwaj zanim zobaczysz  
Będiesz lepiej przygotowany  
Do wejścia w trudne sprawy  
Mniej będzie chybionych decyzji

Przeczuwaj zanim pojawi się czyn  
Nie zaskoczą cię niespodzianki  
Tyle ich tłoczy się na każdej drodze  
Łatwo ulec diabelskim podszeptom

Przeczuwaj zanim posłużysz się wiedzą  
Będiesz miał pełniejszy obraz  
Aby podjąć potyczkę z przeciwnością  
I szybciej pokonasz własną słabość

Przeczuwaj zanim zrobisz ruch  
W kierunku twoich słodkich marzeń  
Nigdy nie można mieć pewności  
Że idziesz we właściwą stronę

Przeczuwaj zanim poczujesz ból  
Będiesz mógł ominąć głęboki rów  
Gdy wpadniesz jest kropla nadziei  
Że nie skręcisz karku

## Trudne wybory

Gdyby tam u Ciebie  
Panie mój Święty  
Były piękne ogrody  
Poszedłbym bez wahania

Gdyby tam u Ciebie  
Na zielonych łąkach  
Były słoneczne poranki  
Skoczyłbym na jednej nodze

Gdyby tam w błękitnie  
Były piękne dziewczyny  
Dające nieziemskie rozkosze  
Ruszyłbym w te pędy

## Barbakju

Punktualnie o osiemnastej przy Kwietnej 20 zatrzymało się czarne bmw.

Ajrin wyjrzała przez okno. Od dziesięciu minut spoglądała ukradkiem przez firankę. Niecierpliwiła się. Przyjedzie po nią samochód, tak jak obiecywał Radek, czy będzie musiała zadzwonić do niego i mu o tym przypomnieć. Niecierpliwość zawsze ją ponaglała. Tak samo teraz. Miała zamiar przycisnąć biały guzik w ścianie otwierający furtkę. Powstrzymała się. Poczekaj aż kierowca wysiądzie z samochodu i naciśnie na dzwonek.

– Dzień dobry. Waldemar Koceba – usłyszała w słuchawce. – Jestem od pana Radosława Miałkowskiego. Mam panią zawieźć do Dalkoczyca.

„Co za nienaganne maniery – pomyślała. – Niezły wycisk musi Radek dawać swoim pracownikom skoro tak wyszkolił kierowcę”.

– Zaraz schodzę – odparła. Dopiero teraz przypomniała sobie, ubrała się, według niej wystrzałow, ale nie pomyślała wcześniej, że wieczór może być chłodny i wypadaloby zabrać cieplejszy sweter. A jak inni potraktują imprezę bardziej na luzie, jej sukienka będzie nazbyt seksowna na luzacki wieczór. Że też wcześniej o tym nie pomyślała.

Nie zastanawiając się długo wyciągnęła z półki spodnie w kwiaty i wsunęła je do reklamówki wraz z pistacjową tuniką z miękkiej angory.

Dom Radka znajdował się na niewielkim wzniesieniu. Podjeżdżało się do niego długą krętą drogą. Za to widok, jaki się stąd roztaczał, mógł przyprawić o zawrót głowy nawet takiego, kto nie był wrażliwy na uroki Ziemi Świętokrzyskiej ani żadnych innych krajobrazów.

Zatrzymali się na podjeździe przy wielkim klombie z różnobarwnymi kwiatami. Najwyraźniej wszyscy już dobrze się bawili, słychać było głośno nastawioną muzykę i nikt nie zwrócił uwagi na kolejny samochód zatrzymujący się przed wejściem. Kierowca otworzył drzwi. Ajrin wysiadła wpatrując się w oświetlone okna ogromnej rezydencji. To nie była rezydencja. To pałac! Jej dom przy nim wydawał się malutki.

– Witaj – usłyszała głos Radka.

W pierwszym momencie nie mogła zorientować się, skąd pochodzi. Odwróciła się. Szedł do niej od prawej strony, skąd dobiegała muzyka. Wyłonił się nagle z ciemności, stanął w blasku światła, wydawał się jej wyższy i jakiś mniej naturalny, posągowy czy jakiś tam... znaczy się obcy. W jednej ręce trzymał kieliszek, drugą, po chwili zastanowienia, objął ją wóół i przyciągnął do siebie. Cmoknął ją w policzek, ale

jakby tym samym ruchem, przesunął usta w kierunku jej ucha i nieznacznie zahaczył o niego. Poczowała przyjemny dreszcz, ale natychmiast się odsunęła.

– Widzę, że wszyscy dobrze się już bawią.

– Tytus musiał przyjechać wcześniej. Tak mu pociąg pasował z Warszawy. Zabrał Ankę i Sabinę. Marek umówił się z Sabiną godzinę wcześniej. Żle sobie zanotował. Miało być o osiemnastą, a przyjechał o szesnastą.

– A Monika?

– Nie martw się – roześmiał się i delikatnie pogładził ją po biodrze. – Będzie trochę później. W ostatniej chwili jej były mąż zadzwonił i powiedział, że nie może wziąć do siebie Jasia. Musi go zawieźć do matki. Kierowca jeszcze raz obróci i przywiezie twoją przyjaciółkę.

– Nie będzie Grzeska i Janki?

– Z nimi nie udało się nikomu skontaktować. Ponoć pracują gdzieś na Mazurach.

– Razem? – zdziwiła się.

– Już wtedy w Warszawie mieli się ku sobie. Ponoć Janka zostawiła męża. Zabrała córkę i poszła za zewem miłości – Radek spojrzął jej w oczy i roześmiał się. – Chcesz, pokażę ci moje gospodarstwo. Już wszystkich oprowadziłam. Zostałaś mi tylko ty i Monika.

– Najpierw przywitam się ze wszystkimi.

– Masz rację. Napij się szampana – podał jej kieliszek.

– Wszyscy u mnie od tego zaczynają.

Zbliżyli się do nieco podchmielonej gromadki. Wylewne, całusne powitanie. Kto by po latach pamiętał tamte kłótnie, niesnaski. To była przeszłość. Dziś było ważne spotkanie, okazja, oderwać się od wszystkiego, co jest teraz, co jest nierzadko kulą u nogi, zabiera czas zamartwianiem się. Jest okazja, aby pożyć przez kilka godzin wspomnieniami bez rozpamiętywania złych chwil.

Po drugim kieliszku szampana Ajrin poczuła się rozluźniona, ale nie uszło jej uwadze, że nikt, tak jak ona, nie założył wizytowego stroju, bardziej pasującego na spotkanie w foyer teatralnym, niż na grillu. Anka paradowała w przykrótkim tiszercie. Odśmiała wspaniale opalony brzuch. Sabina miała na sobie postrzępione dzinsy, a Radek żółty pulower z głębokim wycięciem w szpic, który, wbrew obecnej modzie, odśmiała owłosioną klatkę. „Pies drapał dzisiejsze mody na bezwłose piersi u mężczyzn, jak u kurczaka – pomyślała Ajrin wpatrując się w Radka. – Mężczyzna, który mnie podnieca, musi mieć w sobie coś z neandertalczyka, chociaż po prawdzie nie wiadomo, czy ten gatunek ludzi był bardziej namiętny, niż samczy homo sapiens.”

– O czym myślisz? – spytał Radek dolewając jej do kieliszka.

– Chciałabym się przebrać.

– Pięknie wyglądasz. – Nachylił się i ponownie musnął ustami jej ucho.

– Wolę się nie wyróżniać – odparła delikatnie odpychając go.

– Oczywiście – odsunął się i mierząc ją wzrokiem od góry do dołu zauważył – nic się nie zmieniłaś. Czyżby dla ciebie czas się zatrzymał?

– Daj spokój z komplementami. Za kilka miesięcy stuknie mi czterdziątka. Nie ma się z czego cieszyć. To niebezpieczny wiek dla kobiet. Potocznie się mówi...

– Daj spokój. Przecież nie będziesz się przejmowała stereotypami. Kto takie bzdury wcisnął ci do głowy. Teraz czterdziątka... Pamiętasz, jak przejmowałaś się, gdy skończyłaś trzydzieści lat? Wpatrywałaś się w lustro, bo koniecznie chciałaś zobaczyć zmarszczki, ale ich nie było.

– Pamiętam – odwróciła się i spojrzała mu w oczy. Poczła zapach drogich perfum.

– Byłaś taka zabawna. Siedziałaś przed lustrem w łazience i płakałaś.

– Nie byłam wtedy trzeźwa. Zbyt hucznie obchodziliśmy moje urodziny. – Chciała dodać, że i ona wszystko z tamtej nocy pamięta. Pocięła ją jak małą dziewczynkę, a potem zaniósł do łóżka. Takiego seksu nigdy potem nie przeżyła, chociaż kochali się jeszcze nieraz. Przypominała to sobie w tych momentach, gdy spocony Steve z ciężkim westchnieniem po odbytym stosunku, odwracał się od niej. Leżał przez kilka minut nie odzywając się, a ona pragnęła, aby ją przytulił i dalej pieścił. Nigdy nie spełnił takich pragnień. Leżała i wzbierała w niej złość. Steve kochał się z nią, ale jakby z przymusu wypełniał małżeńskie obowiązki. Seks mało go interesował. To ona za każdym razem musiała się o to starać. Niekiedy czuła się jak kurwa, która seksownym wyglądem wabi klienta. Wcale nie miała ochoty zakładać przezroczystej czerwonej koszuli nocnej i odsłaniając gołe pośladki, czekać aż jej mąż wreszcie wyjdzie ze swojej nory, znaczy się gabinetu, i wejdzie do sypialni. Nieraz długo musiała czekać. Marzyła leżąc na kołdrze. Wtedy zrzuciła ponętą koszulkę i naga utulała się kołdrą.

– Jesteś smutna. Nie cieszysz się, że wreszcie po latach spotkaliśmy się? – przerwał jej rozmyślenia.

– Nie... nie... – ocknęła się. – Gdzie mogłabym się przebrać?

– Cały dom jest do twojej dyspozycji.

– Raczej pałac, a nie dom.

– Chyba nie myślisz, że potrzebne jest nam aż tyle pokoi. Mieszkamy we wschodnim skrzydle, a reszta to część dochodowa. Ludzie czują się zaszczytzeni, gdy mogą być na weselu w pałacu. Inne imprezy też się tu odbywają. To wszystko musi na siebie zarabiać.

– To jest ten hotel, o którym mi mówiła Monia? Piękny.

– Nie. Ten jest bardziej kameralny. Drugi, znacznie większy jest w Dołuchowie. Gdybyś miała ochotę go obejrzeć, zapraszam.

– To także pałac?

– Nie – roześmiał się. – Tamte budynki postawiłem od podstaw i jak zarobiłem trochę pieniędzy, zajęłem się remontowaniem tego, co widzisz. Nie uwierzyłybyś, że pięć lat temu były tu tylko fundamenty i to byle jakie. To dawna posiadłość hrabiego Małachowskiego. Niemcy w czasie wojny nie zdołali pałacu zniszczyć, ale jak przyszła nowa władza, ludzie pałac rozebrali. Pan nauczyciel z Woli Jesieńskiej stał na czele hordy grabiącej resztki. Mury potraktowali jak materiał do budowy domów. Mój ojciec kupił park i wyszczerbione resztki z pałacu, a potem mnie to подарował.

Ajrin miała na końcu języka, aby przypomnieć niezbyt miłą prawdę. Ojciec Radka był pracownikiem Służb Bezpieczeństwa w poprzednim systemie i to właśnie tacy jak on niszczyli pozostałości po panach II Rzeczypospolitej. Może coś by takiego powiedziała, gdyby na ścieżce nie pojawiła się Monika.

– Wreszcie dotarłam – odetchnęła z ulgą. – Byli mężowie to jednak wredne typy. Niby rozstaliśmy się jak kulturalni ludzie, a ta wredna małpa, mój były mąż, obiecał, że weźmie Jasia do siebie, a w ostatniej chwili się wycofał. Musiałam zaprowadzić go do mojej matki. Gdzie wszyscy? – popatrzyła na nich podejrzliwie. – Wy jak zwykle razem.

– Daj spokój – Ajrin machnęła ręką.

Radek nalał do kieliszka szampana i podał go Monice.

– Wszyscy od tego zaczynają.

Wcześniej Ajrin nie dostrzegła, że przy kamiennym posągu stała taca z kieliszkami. Wyciągnęła rękę: – Nalej i mnie.

Szampian wprowadzał ją w delikatny nastrój lekkiego rauszu. Nie miała zamiaru trzeźwieć. W każdym bądź razie nie teraz. Kiedyś przyjdzie na to czas. Nie chciała, aby to było w tak romantycznej scenarii. Czyż nie lepiej zwałać winę na zawrót głowy spowodowany działaniem szampana niż na instynkt? Coś ciągnęło ją do Radka i nie umiała się temu przeciwstawić.

Towarzystwo było coraz bardziej podchmielone i wylewnie powitało Monikę.

– Znaczący się, jesteśmy w komplecie. – Tytus pochwycił zdeorientowaną Monikę na środek parkietu i mocno przytulił ją w namiętnym tangu.

– Pamiętasz – szepnęła jej do ucha. – Kalwasiński zaprosił nas do „Argentyńskiej tawerny”. Uciekłaś przede mną. A ja wiedziałem, kiedyś zatańczysz ze mną.

– Ja nie umiem tańczyć tanga – próbowała się przed nim bronić odpychając go energicznie.

– Ale ja umiem. Przez pięć lat chodziłem do szkoły tańca, ale poszedłem na studia i wszystko diabli wzięli.

– Puść mnie – próbowała się wyzwolicz z żelaznego uścisku Tytusa, ale na nic się to zdało. Błagalnie popatrzyła na Ajrin, ale nie doczekała się reakcji z jej strony. Rozmawiała z Anką i nie miała zamiaru pomagać przyjaciółce.

– Szkocja jest niesamowita – kontynuowała Anka. – W Glasgow czuje się człowiek tak, jakby nagle Polska w te strony się przeniosła. Co prawda jak popatrzysz na zabytki, wiesz, że nie jesteś u siebie, ale Szkoci są tacy sami jak my. Jakbym dłużej tam była, poszłabym razem z nimi na polityczną demonstrację przeciwko angielskiej dominacji. Gdybym miała gdziekolwiek się wynieść, wybrałabym Szkocję.

– A widziałaś potwora w Loch Ness? – spytała Sabina.

– Daj spokój, to tylko mit. Chociaż trzeba przyznać, że jezioro robi niesamowite wrażenie.

– Po dwóch miesiącach zakochałaś się w Szkocji – Marek przyłączył się do dyskusji. Był już niezłe wstawiony i zachowywał się tak, jakby szukał zaczepki. – Ja... znaczy się... też tam byłem i Anglia nie zrobiła na mnie dobrego wrażenia. Angole traktują Polaków jak intruzów. Przyjechali tylko po to, aby wyłudzić od nich zasiłki na dzieci. Tylko że jak ogłosili nabór na budowę w Yorkshire, to się zgłosiło pięciu z miejscowego biura pracy i dwudziestu Polaków. Z nami Angole nie mieli szans. Jakaś hołota, co nic nie potrafi, ale w gazecie napisali, że myśmy im zabrali miejsca pracy.

– Anglia to nie Szkocja – wyjaśniła wyniośle Anka. – Proszę, abyś nie mylił dwóch zupełnie innych narodów.

– E, tam. Ja ich jednakowo traktuję. Co mi tam Anglik czy Szkot.

– Czy naprawdę Szkoci pod spódniczkami nie noszą majątek?

– To nie spódniczki, Sabinko, ale kilt. Rzeczywiście, kiedyś panowie niczego pod nimi nie mieli.

– A teraz? – dopytywała się Sabina.

– Chyba nie podejrzewasz naszej Ani, że zaglądała im pod spódnicę – Tytus trzymając za ramię Monikę, dołączył do rozdyktowanego towarzystwa.

– Widziałam kiedyś zdjęcie na facebooku. Wiatr powiał zbyt silnie i odkrył jednemu z wartowników seksowną dupeczkę – dodała Monika.

– To chodzenie bez spodni jest bardzo praktyczne. Wyobrażacie sobie, ilu naszych musiało niefortunnie zginąć, gdy w czasie boju złapała ich szarcka i ściągnęli spodnie. A tu kula trach i po żołnierzu.

– Niejeden sfajdał się ze strachu, ale historia o tym nie wspomina, bo i po co?

– Takie gołe tyłki pod spódniczkami... – Marek zachwiał się i przytrzymał stołu. Był już niezłe wstawiony. Zdażył jednak wziąć w rękę kieliszek i wznieść toast. – Wypijmy za Szkotów.

– Za ich spódniczki – zapiszczała Sabina.

– Za kilty – poprawiła ją Anka.

– Za wiatr, żeby im te spódniczki jak najczęściej zadzierał – dodała Monika.

Radek zbliżył do Ajrin i szepnął jej do ucha: – Może chciałabyś zobaczyć moje konie?

– Masz tutaj stadninę?

– Za dużo powiedziane. To nie stadnina, raczej kilka koni dla gości, gdyby któryś chciał pojeździć.

– Chyba teraz nikomu tego nie proponujesz. Wszyscy już mocno mają w czubie.

Dyskretnie oddalili się. Wydawało się im, że nikt tego nie zauważył. Anka szturchnęła Monikę w bok:

– Widziałaś? Oni chyba znowu...

– Daj spokój. Niech każdy robi co chce.

– A Tytus też nie może zapomnieć. Zawsze cię podrywał. Teraz, gdy jesteś wreszcie wolna...

– Ale on nie. Poza tym nie gustuję w żonatych.

– A ty od razu chciałybyś, aby każdy facet był wolny. Najlepiej kawaler i może jeszcze z grubym portfelem.

– Nigdy nie zwracałam uwagi, ile kto zarabia i czy ma dużo na koncie.

– I to był błąd, moja droga. Nie wyszłabyś za artystę, który jak raz na miesiąc sprzedaje obraz, to „są pierogi i bal”.

– Przynajmniej przez sześć lat niezłe się z nim bawiłam.

– I go utrzymywałaś.

– Co z tego? Ty lepiej wyszłaś za mąż. Wiem. Zawsze byłaś praktyczna.

Znowu by się posprzeczaly, gdyby Tytus nie pociągnął Moniki w stronę tańczącego Marka z Sabiną. – Musisz być moja. Moniusia kochana, kiedy wreszcie spojrzysz na mnie inaczej. Ja całe życie tęsknię za tobą.

– Daj mi spokój – odparła ze złością.

– Ja tylko dla ciebie tu jestem.

– I dlatego się schlałeś?

Z tyłu za pałacem stał podłużny budynek. W ciemności widać było tylko jasne ściany. Otwarte wrota odgradzała od wnętrza pomalowana na zielono gruba drewniana belka.

– Zaczekaj, zapalę światło.

Nagle zrobiło się jasno, jak gdyby gwiazdy nagle się przybliżyły do naszej planety.

– Tu jest tak romantycznie – Ajrin rozejrzała się wokół. Teraz naprawdę czuła się jak księżniczka. Obok pałac, przed nią stadnina. „Co za głupie myśli przychodzą mi do głowy – skarciła się. – Nie jestem nastolatką, która rozczytując się w dworskich opowieściach sprzed wieku, marzy o księciu z bajki. W jej wieku powinno się być bardziej stateczną i nie wyobrażać sobie Bóg wie czego”.

– O czym myślisz? – Radek pociągnął ją za rękę.

– Nic... nic... o niczym – odparła. Wszystko, co teraz przychodziło jej do głowy nie nadawało się do powtórzenia.

– Ten arab – Radek podszedł do siwego konia – nie jest do dosiadanania przez wszystkich. Kupiłem go ostatnio okazjnie na aukcji. Co prawda ma już dziewięć lat, ale przynasz, jest piękny.

– Nie znam się na koniach.

– Nie trzeba się znać, aby to zauważyć.

Odsunęła się. Bała się koni. Nigdy nie miała z nimi do czynienia, ale zawsze tak duże zwierzęta napawały ją strachem. Radek objął ją ramieniem i przyciągnął do boku. Koń najwyraźniej wyczuł jej niechęć, odwrócił się do nich tyłem.

– Widzisz, nie lubi mnie. Nie chce, abym go oglądała.

Byli tak blisko siebie, że czuła przyspieszony oddech Radka, gdy ustami dotknął jej szyi. Opuściła głowę, ale gdy ujął ją za podbródek i rozchylił jej usta, nie była w stanie mu się oprzeć.

– Tak nie wolno – zdołała wyszeptać, ale tak niezbyt przekonująco, że odczytał jej słowa jako przyzwolenie. Mocniej przywarli do siebie. Jego ręce błądziły po jej ciele i nie miały zamiaru się zatrzymać, gdy jej kusa sukienka samoczynnie powędrowała w górę, odkrywając coraz więcej nagiego ciała. Oboje wiedzieli, co się za chwilę stanie. Radek oparł ją o metalowe drzwi boku nie przestając jej całować. Nie tylko poddawała się jego pieczętom, ale tak samo namiętnie na nie odpowiadała. Pragnęła go. Tak dawno z nikim się nie kochała. Cały rok seksualnej prohibicji. I teraz on. Z nikim takiego seksu nie miała. Teraz ma okazję na powtórkę tego, co wielokrotnie wspominała. Nagle poczuła miękki dotyk z tyłu głowy. Odskoczyła jak oparzona, odpychając Radka. Obejrzała się. Siwy koń wystawił łeb ponad ogrodzenie i patrzył na nich obojętnie.

– Ale się wystraszyłam – wyszeptała dysząc namiętnie. Wydawało się jej, że jak powie głośniejsze, czar pryśnie.

– A to wstrętny Rozmus. Wepchnął swój pysk pomiędzy nas akurat wtedy, gdy najmniej był potrzebny – Radek roześmiał się wesoło.

– Najwyraźniej koń ma więcej rozsądku. Za bardzo nas poniosło.

– Wcale nie – zaprzeczył namiętnie. Pocałował Ajrin w kark i spytał – zostaniesz dziś ze mną?

– Nie... nie... – zaprzeczyła gwałtownie – tak nie można. Jesteś żonaty. To co kiedyś było, dawno przestało istnieć. Nie... nie mogę – powtórzyła.

– Dlaczego?

– Już mówiłam. Jesteś żonaty. Masz dzieci, swoje sprawy. Nie wrócimy do tego, co było kiedyś.

Chciał powiedzieć, że nikt tu nie mówi o powrocie do przeszłości. Chodzi o seks. Czy nie było im dobrze ze sobą. Nawet więcej, po prostu wspaniale. Nie powiedział jednak tego nie dlatego, aby jej nie urazić, ale nie chciał zaprzeczać sam sobie, a przez to jeszcze raz ją stracić. Nie może być wobec niej cyniczny, że tylko o seks mu chodzi, ale też nie wyzna jej prawdy. Może kiedyś, jakby jakieś sprzyjające zbiegi okoliczności się zdarzyły. W każdym bądź razie nie teraz. Zaprosił wszystkich po to tylko, aby z nią się spotkać. Innego sposobu nie widział. Wtedy, gdy zobaczył ją w galerii, coś w nim pękło, o czym być może przez te wszystkie lata,

od kiedy się nie widzieli, sam nie wiedział. To ona była tą kobietą, która naprawdę była dla niego ważna. Żadna inna, a przecież miał ich kilka. Kinga. Iza. Niby dłuższe znajomości. Za każdym razem rok, a z Izą nawet dwa. Tylko że to były odskocznie od małżeńskich kłótni i wiecznych niesnasek. Myślał, że z którąś zdecyduje się zostać na stałe i rozstać się z Violą. Nic z tego nie wyszło.

– Dlaczego się wzbraniasz przede mną? Czy przed chwilą nie było nam dobrze ze sobą, gdyby nie ten koń...

– On przywrócił nas do rzeczywistości.

– A jaka jest ta rzeczywistość? Zostałaś sama.

– Twoja żona, dzieci.

– Nie mówmy o nich. Bardzo cię o to proszę. Ich nie ma i nie będzie ani dzisiaj, ani jutro. Wysłałem ich do Mielna. I na tym koniec.

– Jak mogę zostać? Wszyscy to zauważą.

Z jednej strony przeważał w niej rozsądek, z drugiej brała w niej górę chęć bycia z nim chociaż przez jedną noc. Pal licho, co się potem stanie. Pragnie go. Tego jest pewna. Wyrzutami sumienia nie będzie się przedwcześnie teraz przejmować. Jeśli się pojawią, to potem, i potem będzie się nad tym zastanawiać.

– Jeśli chcesz zachować pozory, nie mam nic przeciwko temu. Pojedziesz ze wszystkimi, a potem mój kierowca przywiezie cię z powrotem.

– A jak się ktoś upije i będzie chciał zostać dłużej, do wytrzeźwienia?

– Moja w tym głowa, aby nie został. Myślisz, że bym pozwolił, aby ktoś nam wchodził w drogę? – Znowu objął ją za ramię i spojrzał w oczy. – Będziemy tylko we dwoje i przyrzekam ci, że tym razem Rozmus w niczym nam nie będzie przeszkadzał.

– Chyba on tu zostanie na noc. Nie widzę potrzeby, aby konia wprowadzać do pałacu. No, chyba że masz inne zwyczaje – roześmiała się.

– Nie martw się. Jeszcze mi nie odbiło, aby konie trzymać w mieszkaniu. Nie jestem Neronem.

– Ale on swojego konia zaprowadził do parlamentu i uczynił swoim senatorem.

– To jeszcze gorzej. Chodź, idziemy. Chyba długo nas nie było i jeszcze nie wiadomo co sobie o nas pomyślą. Zresztą mniejsza o to. Zgłodniałem. Kalwasiński upiekł dla nas prosiaka.

– A nie chciał się do nas przyłączyć? Przecież był naszym szefem.

– Tego nie wiem. Nie pytałem go, a gdyby nawet chciał, miejsca dla niego tutaj nie ma. Zresztą nikt go nie lubił.

– Może znowu by mu się wydawało, że jest szefem.

– Chyba kuchni, bo kto faktycznie rządzi, dobrze to wie.

Irena Paździerz

## Brzezina

Płyną łzy:  
pnie brzoź wsiąkają w ziemię,  
w mogiły poległych.  
Śnieżną zimą zmarznięte sople  
ociekają ciemnymi gałązkami w niebo.

Zbite na krzyż  
wyznaczają punkt we Wszechświecie

## „Na początku było Słowo”

a teraz tyle tego  
na pięć zmysłów na pięć palców na dwadzieścia rozpisane  
niby gęste i mięsiste  
rozdrapane  
twarde pniami i czaszkami szumne liściem  
murowane budowlami  
niby lepkie i cielesne  
rozmnażaniem  
pożeraniem  
dróg splątaniem

a zanika  
i dopiero którym zmysłem  
prawie czuję zasadę całości...

i znów  
chłód na skórze przenikliwy gęsia skórka  
ciężar ciała  
ludzkie słowa uciążliwe biedne  
paciorkami  
rozsypane

doznają:  
słowo dźwiękiem  
nie znaczeniem  
energiją  
potencjalną

drzę

po sezonie starzy ludzie na wczasach  
szywnym krokiem  
jak kraby  
ćwiczą  
o kijkach o kulach  
wzdłuż morza gibkich fal  
w walce przegranej zawczasu  
przesypują plaży piasek  
jakby krokami chcieli odwrócić klepsydrę

nie lubię ich  
nazbyt bliscy już we mnie

wzdycham  
morskim powietrzem  
nagle widnokrąg odkrywam  
blaskiem morza bliższy  
domknięty  
i jednak kocham  
malutką obłość naszej planety  
krągłość pieszczotliwą  
czułą



Uta Przyboś: *W drodze 4*

## Haiku

\*

Ciesz się z umiarem  
talenty na procenty  
zdolność jest darem

\*

Relikwia krzyża  
i pielgrzyma przetrzyma  
niewiernych zbliża

\*

Szczerość intencji  
im na złość mieli jej dość  
w końcu kadencji

\*

Zmieńmy ekipę  
ten rząd drugi raz pod rząd  
niech dziś gra w klipę

\*

Rodzinny festyn  
a fetę na podniętę  
sprawił Celestyn

\*

Ten chłop w zapusty  
po karnawale stale  
chciwy rozpusty

\*

Biust ma nieduży  
wypcha implantem z kantem  
mały się znużył

\*

Miała wyrękę  
a po rozwodzie w zgodzie  
ma wolną rękę

\*

Bywa udręką  
gdy baca kury maca  
niewprawną ręką

\*

Ma dużo ofert  
biegły w sposób przebiegły  
ekspert od kopert

\*

Satyryk cięty  
zaśpiewa czasem basem  
aż pójdzie w pięty

\*

Dotarł do niszy  
w której pisze pastisze  
szukając ciszy

\*

Choć jej nie wierzył  
ciotce-klotce nad ojcem  
pieczę powierzył

\*

Sprawuje pieczę  
pieniacz nad ciocią-kłocią  
i się nie wściecze

\*

Dają bez łaski  
wielu klientom w burdelu  
cycate łaski

\*

Wyrzut sumienia  
w sumie po świętej sumie  
ludzi odmienia

\*

Gdy zła jest władza  
to i radna bezradna  
jej nie zawadza

\*

Idą wakacje  
las dla nas a nauce  
zrobmy kurację

\*

Kibic ma zadość  
gdy gra w sporcie na korcie  
przynosi radość

\*

Czystość języka  
jest wtedy kiedy całkiem  
gębę zamyka

## Scena 8, czyli finał

BARBARA – No, dzieci, witajcie. Gdzie mój wnusio?

PAWEŁ (*pomaga zdjąć płaszcze, powitanie rodzinne*)

– Dzień dobry, mamusiu, dzień dobry, tato.

(*wymiana uścisków, pocałunki*)

AGATA – Cześć, dzidzius u sąsiadki. Jesteście sami?

RYSZARD – A co, jeszcze czekacie na kogoś?

AGATA – Bo my, tato, przygotowaliśmy dla mamusi przyjęcie zaręczynowe.

RYSZARD – O, to świetnie, jakie dobre rzeczy. (*zacie-  
ra ręce*)

AGATA – Jest i tort, bezowy, taki jak mamusia lubi.  
I coś na ciepło.

RYSZARD – Zjemy, wypijemy, pogadamy.

PAWEŁ – Ale to miało być przyjęcie zaręczynowe,  
rozumiesz, tato, a to znaczy...

AGATA – Że powinni być narzeczony z narzeczoną.

RYSZARD – To może ja zastąpię, wystąpię jako sub-  
stytut...

AGATA – Siadaj, tato.

(*do męża z rezygnacją*)

– A ty mówiłeś...

RYSZARD – Nie miej do męża pretensji. To może ja,  
stary, coś pokręciłem? Taka delikatna sprawa. O ile wiem,  
miałem namówić tu obecną panią do ujawnienia, kto jest  
ojcem jej nienarodzonego dziecka oraz nakłonić do zgody  
na zawarcie małżeństwa z tymże osobnikiem.

(*Sadza Barbarę na centralnym miejscu za stołem, sam  
stoi zwrócony bokiem do widowni, Agata i Paweł w głębi;  
mówiąc, gestykuluje nieco*)

– Oba te zadania zostały wykonane. Pani (*gest ręką*)  
zgodziła się ujawnić osobę tajemniczego ojca i zawrzeć  
z owym indywiduum związek małżeński.

AGATA (*szybko*) – Ale gdzie jest ten jegomość?

PAWEŁ – I kto to jest? Dzisiaj powinien być tu z nami!

AGATA – Myśmy się wykosztowali, a liczą się też straty  
moralne. Nie można bezkarnie grać na uczuciach, wyko-  
rzystywać słabość kobiecą!

RYSZARD – Ależ uspokójcie się, dzieci!

PAWEŁ – Mamusiu, niech mama sama powie!

RYSZARD – Odwagi, droga pani!

AGATA – Och, mamo, mów, taka jestem ciekawa!

RYSZARD – Może zaczniemy od toastu?

(*Paweł napełnia kieliszki, wszyscy wstają*)

– Niech młoda para, której zrękowiny świętujemy  
dzisiaj, zazna we wspólnym życiu wiele radości, jej dom  
niech omijają burze, a serca gorycz zawodu!

AGATA – Ładnie powiedziane, na naszym ślubie tatuś  
też wznosił piękny toast... Ale narzeczonego nadal nie  
ma! (*Wszyscy siadają*) – Mamo, mów!

RYSZARD – Pozwól, że ja wyręcę bohaterkę uroczy-  
stości. Otóż udałem się do pani Basieńki z zadaniem, które  
mi powierzył rodzony syn, także i w twoim, droga synowo,  
imieniu, z zadaniem, abym jako faktyczny, biologiczny  
ojciec dziecka oświadczył się o jej rękę i w najbliższej  
przyszłości pojął za żonę.

(*Nagły huk, Paweł zemdlony spada z krzesła, cuci co  
Agata, Barbara podaje jakieś krople, Ryszard otwiera okno,  
wachluje gazetą nieprzytomnego syna leżącego na dywanie  
z nogami wyżej od reszty ciała. Paweł otwiera oczy, widzi  
wokół siebie zaniepokojone twarze*)

PAWEŁ – Zaraz, co to ja? Zemdlałem? (*Podnosi się*) Co  
ty, tato, mówiłeś?

AGATA – Kochanie, dobrze się czujesz?

PAWEŁ – W porządku. Czy ja się nie przestyszałem? Ty,  
tato, jesteś ojcem dziecka mojej teściowej?

RYSZARD (*zażenowany, nieśmiało*) – Tak.

PAWEŁ – I chcecie się pobrać?

RYSZARD – Stanowczo.

BARBARA – Bardzo chętnie. Bo, widzicie, my się  
kochamy i chcemy wspólnie wychowywać nasze dziecko.

PAWEŁ – A ja, głupi, myślałem... Tato, nabra-  
łeś mnie...

AGATA – Oboje myśleliśmy...

PAWEŁ – Możesz sprzątnąć jedno nakrycie, a do stołu  
zaręczynowego zasiądziemy we czwórkę. Brydżowy stolik!

BARBARA – Ale czy się zgadzacie?

RYSZARD – Choć jesteśmy mocno pełnoletni, jednak  
chcemy mieć waszą zgodę.

AGATA – No i co?

PAWEŁ – Zgłupieć można!

AGATA – Jesteśmy trochę zszokowani, ale decyduję  
się, pobierzcie się i stwórzcie szczęśliwe gniazdo rodzinne.

PAWEŁ (*przytula Agatę*) – Na nasz wzór!

BARBARA – Dziękuję wam za waszą aprobatę, to  
bardzo wzruszająca chwila.

RYSZARD – Jestem bardzo szczęśliwy!

PAWEŁ – To ja proponuję zamiast toastu: „Sto lat!”.

AGATA – Dla kogo?

PAWEŁ – No, jak to? Dla narzeczonych.

AGATA – I dla naszego jeszcze nienarodzonego dziecka.

PAWEŁ – Coo?

RYSZARD – Bądź mężczyzną i nie mdlej. Można to  
nazwać wypadkiem przy pracy, po prostu.

BARBARA – Gratuluję! Więc nasz wnuczek nie bę-  
dzie jedynakiem...

(*Wszyscy śpiewają Sto lat!*)

K u r t y n a



**Smutne myśli w wannie**

*Wisławie Szymborskiej*

Popielaty księżyc bywa smutny  
Wiedzą o tym koty i poetki...  
Bo poetka, powinna być niezależna i złota  
I mieć coś ze swojego kota...  
Co wieczór go wołać  
I czołgać się po podłodze  
Zaglądając pod meble;  
Bo jak on jest nieobecny  
To wszystko staje się obce...

Moja kotka Ramona chodziła  
Po mleko przy nodze  
I spała w łóżku  
W objęciach z Agnieszką  
Jak człowiek...  
Była piękna i czarna jak niektóre noce  
W Ćmielowie...  
Musiała zostać, chociaż płakała...  
Niedługo z tęsknoty za nami umarła...

**Pozwól mi Panie**

*Zofii Korzeńskiej*

Pozwól mi Panie pamiętać  
O zachwycie nad ranem  
gdy noc odsłania pełne świtu okno  
Na balustradzie siedzą ptaki zaspane  
Witając dzień krakaniem  
Potem zaczynają lot z przysiadaniem...

Prezentacja trwa...

Na szarych drzewach  
Ze zroszoną korą siedzą  
Jak atrament na chmurze śniegu  
Potem podskakują, jedząc  
A gałęzie płaczą się z pokorą...

Wiosną rodzą, wdziękając szatę  
Z zielonych liści, dojrzewa owoc  
A świat przypomina raj  
Jest rozśpiewanie  
Dziękuję za radość chwili Panie.

*Martusi Paprockiej*

Kiedy miłość była jak kamień  
I chciała mnie zranić  
Schodziłam do otchłani...  
Teraz jestem dużym dzieckiem.

Czasem przezroczyste cienie migają  
I ożywiają dawną rzeczywistość  
Wtedy marzenia odfruwają  
A lęk porusza firanę...

Ale Bóg zsyła zmiłowanie  
Zasuważąc mgiełką pamięć  
Odchodzą słowa dawno kodowane  
A sens odkrywa stronę nieznaną...

Wiruje przestrzeń myśli  
Gubią się, przeszłość nie śpi  
Więc zawracam i wszystko sobie wybaczam...  
Słyszę nutę anielskiej pieśni.

Wykorzystam piękno i moc melodii,  
Życie nabiera wciąż nowej treści  
I budzi ciekawość szczęścia  
Które jeszcze we mnie umieści.

**O jesieni życia**

Nie liczę na puste orzechy  
Już tyle wszystkiego nie chcę  
Płacę lata przyszłe i przeszłe  
Gdy swobodnie płynie rytm  
Marzę wierszem

Czuję jak smakuje powietrze  
Mam hamak w przestworzach  
Czasem milknie serce  
Robię życia korektę

Znów uczę się mówić szeptem  
I bezwarunkowo kocham  
Tylko niektóre chwile  
Nad ciszą unoszą się słowa  
Chcę słyszeć te najpiękniejsze.

*Wiersz z cyklu Jesienne przemyślenia*

## powrót na ziemię

wzniostem się na szczyty nierozsądku  
w najwyższe rewiry fantazji  
tam się rozgrywa teatr wyobraźni  
tam fantasmagorie snują przedstawienie

było tak  
przez wszystkie lata ucieczek i rozszczepień  
na dwa przez okrągły wiek

teraz wstępujesz  
po przegranej na zwęglone już pobojowisko  
widzisz przez szklane powietrze kontury  
najohydniejszych pająków i mrówczych żyjątek  
powinieneś zostać wielkim realistą  
na zimne dmuchać aby góra z górą  
się zeszała  
więc na ostatek możesz i brzmieć dumnie

po cóż ci było zdobywać szczyty nierozsądku  
snuć mrzonki dziwne plany urojenia  
nie wracaj tam  
śniłeś nadrealizm a stój blisko sensu

## chcę żebyś ostatnia złożyła pocałunek

gdyby moje ciało stało się zimne  
a to nastąpi  
ucałuj mnie ostatnia

jeśli przez ciebie ocaleję  
wystarczy  
bo jesteś całym światem  
będącym ledwo w wyobraźni  
chcącym być  
utrwalonym

dostarczałaś mi energię  
na życie  
jak mężczyźnie rajski owoc

poślij na wieczność  
requiescat in pace  
usta utrwalą jak słowo  
powietrze i woda

po okresie błękitnym  
czy seledynowym  
następuje różowy

w ciepłym nastroju  
w szlafroku  
z widokiem kobiety  
Picasso  
pociągał pędzlem  
po srebrnej przestrzeni

nanosił satysfakcję  
może miłość  
bo mimo różnych czasów  
które przeżył  
stać go było po błękicie  
czy seledynie  
na róż

na domowe barwy  
odstępną  
i oddanie

## słońce van Gogha

krąg  
rozżarzony gorący  
rozchodzi się obręczami

pulsuje  
na krajobrazy zielone  
daje im żółć  
jak ludzie  
nieprzyjaciółom

puklerz van Gogha  
kwitnie i pachnie  
jaskrami  
które choć małe  
ogarniają płomieniem  
ziemię całą



stanisław stanik  
ŚWIATŁO SPOD CZERWIENI

## dramatyczny spektakl mimów

żądni władzy nad globem  
posiadacze armii, broni  
i strzeżonych gór złota  
ogłuchli całkowicie  
mogliby słyszeć, gdyby  
nałożyli na uszy  
unikalne słuchawki...

wolą jednak nie słyszeć  
wrogich okrzyków  
rozstrzeliwanych skazańców  
jęków  
torturowanych nacjonalistów  
skomleń  
konających z głodu...

zmysł słuchu jest  
bardziej wrażliwy  
od otwartych, lecz  
nieczułych oczu  
nawykłych do widoku  
okrucieństwa...

świat rządzących  
nie chce się narażać  
na stres, na frustrację  
cisza  
jaką zapewnia im głuchota  
jest zgodna ze wskazaniem  
specjalistów  
od higieny psychicznej...

mają wrażenie  
że na ekranie  
oglądają spektakl mimów  
a ci po mistrzowsku  
odgrywają  
barbarzyńskie sceny  
nierównej walki  
jednych o niepodległość  
drugich – o własne fortuny...

dlaczego więc po spektaklu  
nie wstają ci, co upadli?  
leżą jak martwi...  
czyżby nie byli jedynie aktorami?

popijająca wyszukane trunki  
„nietykalna” elita polityczna  
nasycona tym widowiskiem  
jednym kliknięciem pilota  
wyłącza rzeczywistość...

## W Dźwirzynie

wąską keją,  
co biegnie wzdłuż kanału  
posuwamy się z wolna  
ku małej przystani  
przez miejscowych dumnie  
portem nazywanej

kutry rybackie  
dawno opróżnione  
stoją wzdłuż kanału  
w sjeście pogrążone

nikogo na przystani  
prócz tęgiej kobiety  
co po sprzedanych rybach  
ławę szorowała

zawracamy ku morzu  
ku falom błękitnym  
jak kopuła nieba  
wiatr przesiewa piasek  
na szerokiej plaży  
zasypuje kanał  
bo bywa swawolny  
a może nieuważny?



Kolaż Ireny Nyczaj

## Urodzinowa zaduma

(w 150. urodziny Stefana Żeromskiego)

„Pozytywne i negatywne kruki i wrony... krakały nad nim, a on myślał o własnej bezsilności. I bał się wierzyć w to, że jest wielkim artystą i że będzie trwał w naszych sercach, póki żyje lęk przed życiem i piękne słowo polskie”.

*Jarosław Iwaszkiewicz*

Z NIM wiąże nas wciąż większa zaduma korzeni  
świętokrzyskiej zapaski pasiaka na wybrzuszeniu wzniesień  
marszczona miedzami  
co u stóp zieloność łąk zgromadziła  
kaczeńców blask słońcu ukradkiem wydarła  
by chmurne zasłony szczytów złoty promyk miały

wiąże nas tęczy pas  
wiatr nad wodą nić babiego lata  
ogród pełen marzeń (tak jak w tobie w nas trwa)  
pachnący poranną łąką  
w rześkiej rosie  
kumkanie żab cykanie świerszczy słowika głos  
i oddech nocy letniej  
gorący jak uczucie bez cienia rozsądku  
błękitna płachta nas wiąże laserami słońca  
granat nocy gwiazdzistej lampionem księżycy  
lecz wciąż gdzieś w głębi ból  
ciernie słów i zapach

szuka drzazg przy pniu  
i zadrę wbija  
stąpamy ostrożnie  
a potem biegniemy nie zważając na kolce  
człowiek przepętiony mądrością – w nim nadzieja

„łaskawość pagórków”  
„czarne cienie jodeł”  
„liczne strumienie, co muszą uciekać w dolinę”  
„grasują wciąż jeszcze czarownice”  
„przyrosły czary nowe” (na dzisiejsze czasy)  
„strach wielkooki” nadal pośród nas

w drodze cel  
ginie w serpentyńce ścieżek  
niebo z ziemią  
namiot sznurowany  
fatamorganą przychodzi

nie bez trudu

po własnych schodach  
otwartą ciszę rozcina ślepy wiatr

dźwięk wiosny  
topi skowronka śpiew  
promyk korzeni coraz wyżej i wyżej  
sięgając serca

w cieniu dnia ożywa wieczór  
z szybkością światła łapiemy we własne żagle  
gubiąc czasami busołą

w kruchości ciała mieszka czas  
ale barwy w słońcu  
zapach ogrodów niezmiennie trwa  
choć poddaje się huraganom chwil

ze źdźbeł odrzuconych  
zapach w bezwonnym przestrzeniach  
piękno zapomniane  
śpiewem słowa  
odwagą polskiej kultury  
brzemienią wierszami rozkosz  
jak kwieciste wiązanki letniego słońca  
zniża pokłony

„Ludzie bezdomni” – wciąż są  
a Szklany Dom w Ciekotach pyszni się sceną  
błyszczą okna gabloty posadzki współczesne

na miarę człowieka twoje imię  
zaszczytnie tytułuje szkoły i ulice i nasz kielecki teatr

słowa twe weszły do programów  
mamy wielką przyjemność  
słowem dotykać twojego nazwiska  
które wtopiono w świętokrzyską aurę

jesteś jakby koroną drzewa Kielecczyny  
wciąż żywą zieloną szepczącą do wiatru  
co w cały świat roznosi echo naszej ziemi  
nie wyrwijając swoistych korzeni

szarość niby a błyszczą pięknem tej krainy  
falują pagórki we wstążkach dróg  
chaty dziś przybrały współczesne kolory  
ale twoje chaty ubrane wzorem lat tamtych  
trwale malują twardość chłopskiej doli  
pot chłopa z czoła kapiący jak łza  
solik skiby przewracał poprawiał smak chleba

dziś czasu potrzeba skiby zamknęła  
zabliźniła trawę  
rolną zabawą – przydomowe ogródki

lecz pagórki i drzewa roślinność pejzaże  
wzbudzają w poecie krocie wielkich marzeń  
skrzydeł dodaje i wzbija na Pegaza grzbiecie ten czar  
wstecznie nazwany czarownic siłą  
czaruje w poecie nastroj  
we mnie urasta przerasta podziwy westchnienia  
prawdziwych pozytywów tchnienia

to ŻEROMSzcZYzNY czara przepelniona  
wpisuje w dzieje wciąż nowe imiona

„Gołoborze”  
bladość czół  
utkana na stoku zachwyty pamięta wieki  
a jodły karmione kamienną dyskietką wznoszą strzelistość  
zaduma sędziwych odartych z szat zieloności obraca się w proch

nawet głązy choć niewzruszone  
co hipnotyzują przestworza  
czas w marszu kruszy  
niby miękkimi stopami

a człowiek  
w swym krótkim trwaniu  
kamerą oczu koduje w sobie  
.....  
w górze niezależny bezkres błękitu  
czysty jak nieskazitelność  
chwycony grotami zieleni  
ostrą modlitwą przyziemnej pokory  
jakby tuż... tuż...

ostania ludzką małość

„Puszcza jest niczyja – nie moja ani twoja, ani nasza, jeno boża, święta!”

„...wołam z krzykiem: – Nie pozwalam! Puszcza królewska, książęca,  
biskupia, świętokrzyska, chłopska ma zostać na wieki wieków, jako las  
nietykalny, siedlisko bożyszcz starych, po którym Święty Jeleń chodzi –  
jako ucieczka anachoretów, wielki oddech ziemi i żywa pieśń wieczności!

„Przyszła znowu na swoje miejsce Polska”  
„Żyj wiecznie, świętńco, ogrodzie lilij, serce lasów!  
Przemięły nad tobą czasy złe, złane ludzką krwią. Ciągną inne, inne...”

*Kazimiera Szczykutowicz*

## Jesienne wcielenia

Roztęsknił się we mnie  
Jesienny muzyk – wiatr  
Wygrywający smętne sonaty  
Smyczkami nagich gałązek

Myśli podążają  
Za sznurem żurawia  
Rozżarzone smutkiem  
Aż do złota  
Aż do czerwieni  
Aż do zatracenia  
Bukowego listka  
Który frunie we mnie  
Ku ziemi  
Ku ziemi  
Owiniętej nokturnem  
Srebrnosinej mgły

Jestem  
Wiatrem  
Żurawiem  
Listkiem  
Mgłą

Kim będę  
Za kolejnym zakolem  
Rzeki przeznaczenia  
Gdy wypłynę z niewodu żył  
Obciążonych kamiennym  
Czasem  
(?)

20.10.2012

## Wiersz na wszelki wypadek

kiedy się stanę Bezcieciem  
wiosną  
niech mi zadzwonią  
dzwoneczki konwalii  
przylecę do Was  
pierwszym skowronkiem  
i słonkiem wysuszę  
żałobne rosy też

kiedy się stanę Słowem  
latem  
niechaj rozniecą o mnie pamięć  
kwietne byliny  
osieroconych grządek  
i kiście soczystych winogron  
przysiadę kolorowym motylem  
na listku płaczącej brzozy  
i rozweselę zapłakane oczy

kiedy się stanę Echem  
jesienią  
będą już tylko wonią chryzantem  
chybotliwym płomykiem znicza  
i poszumem pożółkłych kartek  
w ostatnim tomiku

kiedy się stanę Duchem  
zimą  
będę Waszą śnieżynką  
w oknie zapatrzenia  
białym całunem ciszy  
na połoninach niebieskich

będę pustym talerzem  
i okruczem pamięci  
w wigilijnym opłatku

29.06.2014

### **Wiersz nienapisany**

znów osiadły ptaszyska myśli  
na brzegu czystej kartki

próbują wydobyć ze mnie  
bezpowrotnie utracone światy  
od mgławic dzieciństwa  
po kosmiczny pył wieczności  
od mikroświatów radości  
po makroświaty smutku

rozsuwam epoki dat  
by wydobyć własnodzieje  
z popiołów kalendarzy  
ale kartka wciąż pusta

.....

boi się c z a r n y c h liter  
wyrwanych prosto z duszy

29-30.06.2014

Władysława Szproch

### **Miodny kwiat**

Piszę do ciebie późną nocą  
Tęsknotę topię w atramencie  
Listu nie plamię kroplą smutku  
Przemieniam go w miodny kwiat  
Słowa sączę. Miłość roję.

### **Szalupa**

Do ciebie płyną moje wiersze  
– słowa miłości –  
Wpław się rzucają, by ocalić  
Chwiejną szalupę namiętności

### **Kartki**

Miłość mi podpowiada słowa  
W kolejny wiersz cię przeistaczam  
Wrywam z życia. Tulę w kartkach

### **Tylko wiersz**

A może jesteś tylko wierszem  
Na który czekam wciąż – nie piszę  
Słowami nie ujarzmię zmysłów  
Ich dźwiękiem serca nie uciszę

### **Plewinki**

Miłość odżywia się nadzieją  
A jak jej nie ma obumiera  
W zeschniętych kwiatach uczuć  
Ziaren szukam. Plewinki znajduję  
Z nich nawet wiersz nie wykiełkuje

## Kameleon

pełne niepokoju są rozbiegane  
oczy Kamy – słodkiego  
kameleona z przedmieścia –  
i ruchliwy język oblizujący  
zmysłowo usta

na szyi dynda pozłacany  
łańcuch ze znakiem zodiaku  
na przegubach chudych  
zwinnych rąk brzęczą  
hałaśliwe bransoletki

na wszystkich palcach  
po kilka pierścionków  
które niczym kastety  
wbijają się w ciało  
przypadkowych kochanków

pełne niepokoju są rozbiegane  
oczy Kamy – słodkiego  
kameleona z przedmieścia –  
i szczupłe stopy drepczące  
w sandałach na koturnie

co roku nowe miasto  
co miesiąc – ulica  
co tydzień inny kolor  
włosów raz na kilka dni  
odmiana w fasonie torebki

codziennie ten sam alfons  
co wieczór – zapas prezerwatyw

pełne niepokoju są rozbiegane  
oczy Kamy – słodkiego  
kameleona z przedmieścia –  
i prężne gibkie ciało  
owijające się wokół ofiary

gdy ujrzysz je po zmierzchu  
u zbiegu ruchliwych  
ulic w nędznym zaułku  
lub parku nie osądzaj nie  
odtrącaj nie płać za seks

rankiem niczym detektyw  
słodka Kama szuka wybawcy

wyciętego z brukowca  
z kolumny towarzyskiej lub  
ogłoszenia tanio sprzedam

wykrzywasz usta  
w grymasie pogardy  
niby to spiesząc się na  
umówione spotkanie  
ruszasz z piskiem opon

żałosny z ciebie bohater  
dziewice to prehistoria

jeśli wpadniesz na Kamę  
przypadkiem poznasz po  
rozbieganych migdałowych  
oczach i drobnym wisiorku  
w kształcie wodnika

pod którym bije czyste źródło –  
gorące spragnione serce

## Prośba

„Narysuj mi baranka...”  
„Mały Książę” Antoine de Saint-Exupéry

skąd wracasz  
taki nieprzytomny  
codziennie rano  
zaraz po przebudzeniu

do jakich krain nieznanych  
udajesz się po zmroku

narysuj mi lub napisz

jakkolwiek przybliź

to wszystko  
co jest  
gdy śpisz

p o z a z a s i ę g i e m

mojego wzroku

Wiersze z tomu *Miraże*, Kraków 2014

## **Bazar próżności**

Prawda? Wierność? Uczciwość?

Bezużyteczne cnoty.

Zrozumienie i akceptacja  
dla normalnych,  
z którymi wypijesz,  
za umiejętne kłamstwa,  
zręczną kradzież.

Elita uprawia czary,  
oddycha okultyzmem.

Osiągnęła bowiem profesjonalizm  
w czerpaniu zysków z nierządu.

Tworzy fascynujące osobowości  
przy pomocy  
brudnych banknotów.

## **Prośba**

Wybacz nam ten obłąkany dom  
res publica  
produkujący ludzi ze złamanym sercem  
i przetrąconym kręgosłupem.

Cuchnących pokorą,  
mieszanią poniżenia i niekompetencji.

Latwy tup dla hien, sępów i szakali.

Nie patrz na agresywne opętanie,  
fałszywą odpowiedzialnością.

Nieustanny bulgot rozdrażnienia.

Wybacz czynienie zamętu,  
sianie niepokoju  
i nazywanie złego dobrym.

Uczono nas, że cudze fanaberie  
są ważniejsze niż nasze własne życie.

Wybacz  
traktowanie mężczyzn

jak niepoczytalne monstra  
oraz  
histeryczny wstręt do kobiet.

Wybacz dumę  
z powodu śmierdzącej biedy  
podniesionej do rangi duchowości.

Zarzuć zastonę miłosierdzia  
na wszystkie czary  
i gusta diabelskie,  
którym oddawaliśmy się  
potajemnie.

Rozwesel nas  
w zamian za dni  
gdyś nas utrapił,  
za lata, w których oglądaliśmy niedolę.

Pozwól żeglować bezpiecznie  
przez ten Ocean Strachu.

## **Matka**

Od świtu  
stoi u wrót Nieba  
z petycjami,  
listami pochwalnymi  
i wielką gitarą.

Zna tylko cztery akordy:  
akord miłości,  
akord niezachwianej pewności,  
ufnej, natrętnej prośby  
i uwielbienia.

Uzbrojona w maksymę:  
„Pukajcie i kołaczcie,  
a otworzą wam!” –  
nie daje za wygraną.

Bowiem  
o wielką stawkę chodzi.

Pełna zachwytu  
obserwuje,  
jak z pustki i mgły  
wyłaniają się  
zarysy  
spełnienia.



**Baba Jaga**

I

Współczesna Baba Jaga  
idzie przez życie  
w schodzonych butach  
Siwe kosmyki  
wysmykują się spod czerwonej chustki  
a u nosa wisi kropelka  
jak to u Baby Jagi  
może ła

II

Współczesna Baba Jaga  
powykręcanyimi palcami  
przeczesuje śmietnik  
Odnalazła perłę – suchą kromkę chleba  
Los był dzisiaj łaskawy  
dodał resztkę konserwy  
i podarte buty  
pięć numerów za duże  
trzeba znaleźć sznurek  
żeby nie spadły  
w drodze do nieba

III

Współczesna Baba Jaga  
ucieka przed światem  
boi się dzieci  
nie jest na topie  
i nie jest trendy  
a tak w ogóle  
nie jest glamour

**Hipermarket**

Komedia tragiczna w dwóch odstępach

*Staszewi Pyjasowi i innym*

*Postać romantycznego buntownika zawsze mnie fascynowała. Chłonałem Romantyzm z jego wściekłą szarżą przeciw schematom i bezdusznemu racjonalizmowi. Przystępując do pracy nad tą sztuką, zadałem sobie pytanie: czy Konrad we współczesnej rzeczywistości jest jeszcze możliwy? Czy akcję podobnej do „Dziadów” sztuki można by umieścić tylko w szpitalu psychiatrycznym, żeby stała się uwiarygodniona?*

**OSOBY**

**KONRAD** – poeta w wieku około 50 lat, buntownik z urodzenia, żarliwy i skupiony, w sposób widoczny odmienny od pozostałych postaci, czasami jakby ze snu

**POLITYK** – w średnim wieku, żywiący się władzą, inteligentny, erudyta, swoje wypowiedzi szpikuje wyrazami obcymi, zmuszając tym Senatorem do wysiłku; mimo wszystko o czułym sercu, ten który w istocie pociąga za sznureczki

**SENATOR** – w średnim wieku, postać z ludu, bawidamek o homoseksualnych zapędach, kreujący się na dobrodusznego głupka, lubuje się w wyrazach obcych, jeszcze nie wszystkie rozumie – z przeblyskami demonicznego geniuszu

**KOBIETKA** – kobieta trzydziestoletnia, interesująca i elegancka, grająca na strunie swojej płci, ale też na harfie błyskotliwej inteligencji; gotowa dać, jak trzeba, Panu Bogu świeczkę, a diabłu ogarek

**MŁODY CZŁOWIEK** – przystojny, superwykształcony, nieugięty, zdecydowany na robienie kariery za wszelką cenę

**HOSTESSA I** – młodziutka, zgrabniutka i pięknutki, skora do zabawy, profesjonalna klakierka

**HOSTESSA II** – też młoda, typ bardziej ludyczny, szalony, w myśl zasady „dla każdego coś miłego”, profesjonalna klakierka

*Przed rozpoczęciem spektaklu HOSTESSY rozdają ulotki reklamowe, gdzie sztuka skojarzona jest z targowiskiem, np. piękny liryczny wiersz i reklama butów. MŁODY CZŁOWIEK wprowadza widzów do sali. Mały występ przy światłach widowni. Pojawiają się fragmenty wierszy i jakaś pieśń KONRADA, zmieszane z „dowcipnymi” scenkami reklamowymi – to stwarza atmosferę zbliżającego się festynu.*

## ODSŁONA PIERWSZA

### SCENA I

*Pokój do pracy w rodzaju gabinetu. Na środku niewielki stół i trzy krzesła. Na boku cztery, tak jakby to miejsce służyło do spotkań mniejszej lub większej grupy ludzi. Wchodzi POLITYK z ulotką w ręku, czyta.*

**POLITYK** – Sprzedam sztuczne rzęsy, spod których nie widać szklanych oczu.

*(Uśmiecha się, jak na wspomnienie czegoś przyjemnego. Wchodzi KOBIETKA, zatrzymuje się w pół kroku, jakby nie chciała przerwać mu nastroju. POLITYK zauważa ją, wkłada ulotkę do kieszeni. Witają się jak dawni znajomi)*

**POLITYK** – Pani jak zwykle piękna i nieprzemijająca.

**KOBIETKA** – A pan jak zwykle przystojny i elegancki.

**POLITYK** – Czytała pani ulotkę, którą zaśmiecił dziś ktoś nasze miasto.

**KOBIETKA** – Na ulicy zawsze tyle ulotek.

**POLITYK** *(wyjmuje z kieszeni ulotkę i czyta)* – Sprzedam sztuczne rzęsy, spod których nie widać szklanych oczu... Wie pani, kto to napisał?

**KOBIETKA** – Bardziej mnie interesuje, który jest pan dziś w rankingu?

**POLITYK** – 594. To dosyć marna pozycja.

**KOBIETKA** – Znam się nieco na pozycjach. Ale żeby było ich aż tyle?

**POLITYK** – Ach, wy, kobietki, kobietki!

**KOBIETKA** – Ja znam kilka niezmiennych pozycji od lat. To są stare, dobre pozycje, proszę pana. Te dzisiejsze zmieniają się z dnia na dzień, nim człowiek zdąży się przyzwyczaić.

*Słychać sygnał telefonu komórkowego. POLITYK odbiera i po chwili, rozłączając się, mówi:*

**POLITYK** – Zadzwonili właśnie, że po ostatnim sondażu plasuję się na 537. pozycji. Jak pani widzi, idę w górę.

**KOBIETKA** *(kokieteryjnie)* – A ja spadam. Do miłego!

**POLITYK** *(podejmuje grę językową)* – Proszę jeszcze nie spadać. Według ostatniej prognozy, na najbliższym notowaniu powinienem zejść poniżej pięćsetki. Powiada się, że potem następuje przełom i wszystko dzieje się już lawinowo.

**KOBIETKA** – Jak zaczną spływać czeki na pańskie konto, proszę dać mi znać. Pomogę panu przetrwać ten upadek.

**POLITYK** – Tak. To ekscytujące i smutne zarazem. Rodzi się polityk i umiera człowiek. Pewnego dnia ktoś nada mi imię, może stanę się sławny jak Henryk VIII?

**KOBIETKA** – A ja będę pańską ostatnią żoną.

*Słychać odgłosy zbliżającej się osoby.*

**POLITYK** – Chyba idzie mój promotor. Remontują mu gabinet. Dlatego on przychodzi do mnie.

**KOBIETKA** – Mówi pan o tym senatorze, który od lat deprawuje dzieci swoich sojuszników?

**POLITYK** *(konfidencko)* – On tylko bawi się z nimi w doktora. Przecież na takim pięttrze władzy napięcie jest nie do wytrzymania...

**KOBIETKA** – Ach, wy, politycy! Seks to wasz jedyny temat.

**POLITYK** – Dzięki wam, drogie kobietki. Dzięki wam.

### SCENA II

*KOBIETKA wychodząc zderza się z SENATOREM, który otrze-puje się, jakby zetknął się z kimś nieczystym. POLITYK kłania się SENATOROWI bardzo nisko.*

**SENATOR** – Przestań w końcu spotykać się z tą zdziarą, ona sprowadzi cię na złą drogę.

**POLITYK** – Panie senatorze, ja z nią nawet nie jestem na „ty”.

**SENATOR** – Pies ją trącał. Wiesz już pewnie, że w rankingu opuściłem się poniżej setki i to mnie tak podniosło, że dostałem w końcu imię – Waldemar XIV. Często śni mi się, że się spuszcza po linie w taką ciemną jamę. A jak już jestem na dnie, to nagle się okazuje, że stoję na szczycie góry, w słońcu. Pode mną falujący tłum, chce się żyć.

**POLITYK** – To paradoks.

**SENATOR** – Para... co? A propos czego?

**POLITYK** – A pro po, jak ktoś się opuszcza i podnosi jednocześnie.

**SENATOR** – Coś mi tu ściemniasz, kolego!

**POLITYK** – A pro po kobietek. Zna pan to?... Gdzie diabeł nie może...

**SENATOR** *(sili się twórczo)* – To ja ci... przyłożę... Albo „włożę”? No, jak lepiej?

**POLITYK** – Zależy co do czego.

**SENATOR** *(uśmiecha się chytrze)* – I w „co”.

**POLITYK** – Najlepiej w szkło.

**SENATOR** – A ty mi tu tak nie dowcipaskuj... W szkło. Też ci wymyślił... Miałem taką panienkę, co często mówiła: „nie myśl, bo zostaniesz myśliwym”. Ja sobie kombinuję, takie słowo „myśliwy”. „My” – to wiadomo co, na przykład ja i ty. „Śliwy” też. Ale do kupy to zupełnie bez sensu. My śliwy?

**POLITYK** – Jakie śliwy?

**SENATOR** – No, takie, co rosną na drzewach.

**POLITYK** – Rzeczywiście. Nigdy bym na to nie wpadł.

**SENATOR** – No, widzi pan.

**POLITYK** *(po chwili z innej beczki)* – Panie Waldemarze XIV, jak się pan czuje w nowej roli?

**SENATOR** – To nie żadne tam miody. Gdyby te paroby wiedziały, jak tu trzeba harować, żeby wszyscy uwierzyli w ciebie jak w zbawiciela.

**POLITYK** – Cóż, nie mamy wyjścia. Musimy zbawiać się samoobsługowo.

**SENATOR** – A propos samoobsługi, ja tam wolę, jak ktoś mnie obsługuje. Sondaże mówią, że niedługo mogę zejść nawet do pierwszej dziesiątki. Czujesz bluesa? A ty zbliżyłbyś się do setki.

**POLITYK** – Czekam na zlecenia. Gotowy jestem do najbardziej wyrafinowanych zadań.

**SENATOR** – A propos rafinerii, to będzie odrębny temat.

**POLITYK** – Ciszej... W naszym zawodzie ściany mają uszy. Jeden fałszywy krok i...

### SCENA III

*Polityk daje znak ręką. Muzyka, zaczyna się lekcja tańca. Na początku menuet, potem kaczucho, let's kiss i...*

**POLITYK** – Zatańczy pan?

**SENATOR** (zaskoczony) – Co ty?...

**POLITYK** – Przecież zbliża się posiedzenie sejmku. Trzeba potrenować.

*SENATOR wyjmując z kieszeni piersiówkę, wypija spory łyk, podaje POLITYKOWI, który też wypija. Tańczą gęsto zakrapiając. Menuet nie za bardzo wychodzi SENATOROWI. Próbuje pokracznie, ale bez rezultatu. Przerywa, zły i zniecierpliwiony.*

**SENATOR** – To dobre dla pedałów. Daj coś z jajem.

**POLITYK** – Bardzo proszę.

*Daje ręką znak, wchodzi „kaczucho”. SENATOR rozpromienia się i zaczyna w ślad za POLITYKIEM podrygiwać.*

**SENATOR** (rozpromieniony) – Tu się fika, gra muzyka.

**POLITYK** – Ma pan talent poetycki.

**SENATOR** – Staram się. Co nieco zapisuję.

**POLITYK** – Może by wydać jakiś tomik i pochwalić się przed elektoratem.

**SENATOR** – W dupie mam tomiki! Są ważniejsze sprawy.

*Kończą taniec. SENATOR wygląda na znudzonego.*

**POLITYK** – Może spróbujemy czegoś w bardziej wysublimowanym klimacie.

**SENATOR** – A propos klimatów. Dostałem nową brykę z klimą. Niezła suka. Chciałoby się ją wydymać.

**POLITYK** (śmiejąc się) – Nie słyszałem jeszcze o takiej perwersji.

**SENATOR** – Per co?

*POLITYK daje znak ręką, włącza się let's kiss. Porywa ich. Bawią się.*

**SENATOR** – Super. To jest to! Coca-cola!

**POLITYK** – Jaka coca-cola?

**SENATOR** – Bo tu pasuje „to jest to”. Tak się mówi...

**POLITYK** – Świetnie mi się z panem tańczy.

**SENATOR** (po chwili skakania) – To też pedalskie, ale z sensem... Ale się zmordowałem.

*Przerywają taniec zdyszani.*

**POLITYK** – Muszę stwierdzić, że jest pan również utalentowany baletowo.

**SENATOR** – W życiu robiło się różne balety... A ty skończ z tym panowaniem... Mnie jest Waldek, niekoniecznie XIV. O, mam cię... Mówi się per ty! A tam też było per... ale?

**POLITYK** – ...wersja.

**SENATOR** – Aha... Ten język to daje w dupę. Można się pogubić.

*Podchodzą do siebie jak przy brudziu.*

**SENATOR** – Waldek.

**POLITYK** – Przykro mi, ale nie mam jeszcze imienia.

**SENATOR** – To ja nazwę cię... Pikuś. No, powiedz – „Pikuś”.

**POLITYK** – Pikuś.

*Całują się, ściskają.*

**SENATOR** – To będzie taka utajniona ksywa... (wyjmując piersiówkę, popijając) Nie masz tam jeszcze co do zatańczenia? Patrz, członki same mi się ruszają.

**POLITYK** (patrzy) – Rzeczywiście. Mam dla pana, to znaczy dla ciebie, nowy taniec. Nazywa się Ho-Ho!

**SENATOR** – Ho-ho! A jak to się pisze?

**POLITYK** – Tak jak się słyszy.

**SENATOR** – No, bo po angielsku pisałoby się ho-how. Ale czytałoby się hou-ha! Wczoraj na lekcji powtarzaliśmy cały dzień: ha! du ju du. Ha! ha! ha! Aleśmy se poszczekali. Te... lektory nie mogły nas uspokoić... Poszczekamy se, co?

*SENATOR przyjmuje pozę psa, gotowy do szczekania. POLITYK nie podejmuje tematu.*

**POLITYK** – Pobałujmy lepiej.

**SENATOR** – Ho-Ho! Ekstra. A jakby to przetłumaczyć na angielski?

**POLITYK** – Byłoby Ho-Hol.

**SENATOR** – Też ładnie... A co to znaczy?

**POLITYK** – Myślę, że nic.

**SENATOR** – To super. Dawaj!

*POLITYK daje znak ręką. Włącza się muzyka ho-hoła. Bardzo żywa, beztraska i ogłupiająca. Ludowe techno. Tańczą pokrzykując: „ho-ho!”.*

**SENATOR** (*pełen zachwyty*) – To jest to. Coco-cola. Tym można by zacząć nasz bal zamiast tego bucowatego poloneza.

**SENATOR** (*po chwili ho-holenia*) – Jestem facet, jak się to mówi, z wigrą, no nie?

**POLITYK** – Raczej z wiagrą.

*Zatrzymują się. Rozmawiają kołysząc się w rytmie.*

**SENATOR** – A co tam, połąkłem tylko jedną literkę. Dzisiaj na lekcji pisania zjadłem też kilka, to się zdarza. Wypadek przy pracy, wypadek. (*przyjmuje pozycję, jakby chciał coś do „wypadeczku” zrymować, ale mu nie wychodzi, macha ręką*)

**POLITYK** – Faktycznie, nie ma się co przejmować... Z „wigrą”... Czy wiesz, że to jest neologizm.

**SENATOR** – Coś ty? To też jakieś świństwo?

**POLITYK** (*w swoim toku*) – A gdyby dodać „a” i wyrzucić „g”, to wyszłoby z „wiagrą”. Facet z wiarą.

**SENATOR** – Ty wiesz, gdzie ja mam wiarę?

**POLITYK** – Podejrzewam.

**SENATOR** – W naszym interesie chodzi o pewność, a nie o jakąś tam wiarę.

**POLITYK** – Posłuchaj, a jakby tak z tej „wigrą” wyrzucić „w”, „g” zamienić na „k”, to byłoby z „ikrą”.

**SENATOR** – Co ty pieprzysz. Chcesz ze mnie jakąś rybę zrobić? Ryby i dzieci... Znasz to chyba... A propos „ikry”, nażarłem się ostatnio tego obrzydliwego, czarnego paskudztwa, co mówią na to...

**POLITYK** – Kawior.

**SENATOR** – No właśnie. Cholera, czasem robią mi się dziury w głowie.

**POLITYK** – Za dużo jesz szwajcarskiego sera.

**SENATOR** – Co?

**POLITYK** – Uczeni mówią, że szwajcarski ser powoduje zaniki pamięci.

**SENATOR** – Pies im mordę lizał. Jak oni już coś wymyślą...

**POLITYK** – Ale robili naukowe eksperymenty na szympansie. Przez trzy miesiące jadł tylko szwajcarski ser i dostał zaniku mózgu. A ty od kiedy jesz ten ser?

**SENATOR** – Co?

**POLITYK** – Na początku to ten szympanś ogłuchł.

**SENATOR** – Co? (*reflektuje się*). No, może byłoby to niegłupie jeść jak dawniej twarożek... Wiesz, co wymyśliłem? Żeby podać na balu jedno danie, czarny kawior.

**POLITYK** – Przecież...

**SENATOR** – A niech się buce porzygają.

*SENATOR wyjmuje piersiówkę, popijają.*

**POLITYK** – No, to może...

**SENATOR** – Ho-ho!

*Taniec znów wybucha, osiąga apogeum i przygasa. Zmordowani opadają na stół.*

#### SCENA IV

*Przy stole SENATOR i POLITYK.*

**SENATOR** – Czuję dziwną pustkę. W głowie wiruje mi jakiś taki porypany refren: usrała się bida i płacze, usrała się... I tak w kółko.

**POLITYK** – Jesteś zbyt wrażliwy, uspokój się. Już niedługo będziesz mógł czerpać pełnymi garściami.

**SENATOR** – I ty przy okazji. Po moich plecach. Oczywiście, zawsze będziesz o dwa, trzy szczeble niżej, ale to i tak wysoko. Jak się nie jest z-a-aklimatyzowanym, można dostać zawrotu głowy i porzygać się na starcie.

**POLITYK** – Szczerść za szczerść. Ja obiecuję ci profesjonalną obsługę i lojalność, jeśli ty zagwarantujesz mi, no, powiedzmy 15 foteli w parlamencie.

**SENATOR** – Jak wszystko pójdzie dobrze, dam ci nawet 25. Ale góra 30... Czy mogą być wyściełane dermy?

**POLITYK** – Bez przesady. Nasze tyłki domagają się aksamitów.

**SENATOR** – Albo delikatnej skórki, co?... A niech stracę... A propos, wpierw jednak musimy usunąć wszystkie zawalidrogi, żeby nikt nam nie wpięprzał się w paradę.

**POLITYK** – Wpadłeś mi w słowo, kochany. Przygotowałem właśnie listę osób, które przydałoby się zlikwidować... psychicznie, oczywiście, to znaczy uczynić z nich polityczne trupy i przetransferować w polityczny niebyt.

**SENATOR** (*aż otwiera gębę, usiłując coś zrozumieć*) – Prze co?

**POLITYK** – Słucham?

**SENATOR** – O takiej jednej powiadają, że jest prze?...

**POLITYK** (*nie podejmuje słownej gierki*) – Żeby osiągnąć swoje cele, musimy być twardzi...

**SENATOR** – Ja nie o tym. Zastanawiam się tylko, czy by ich po prostu nie ukatrupić.

**POLITYK** – To zbyt staroświeckie, modne w czasach Szekspira, może Dostojewskiego, ale dzisiaj, w demokracji, to niehumanitarne. Jacyś wścibscy dziennikarze mogliby odkryć prawdę i co, ich też byś ukatrupił?

**SENATOR** – A dlaczego by nie. Widzisz w tym coś złego? Przecież to tylko polityczna, męska gra... Może mamy im w nagrodę zrobić fajkę, a potem wysłać do jakiegoś zagranicznego burdelu na wakacje?

**POLITYK** – Posłuchaj, istnienie żywych politycznych trupów wzmacnia naszą wiarygodność, że... tworzymy autentyczną demokrację. Masy nabiorą się na nasz teatrzyk, jeśli na scenie fikać będą różne, znane skądinąd marionetki. A my pozwolimy im hasać, do pewnych granic. I w odpowiednim momencie...

**SENATOR** – Utniemy im... co potrzeba.

**POLITYK** – Jak zwykle trafiłeś w dziesiątkę. Niech sobie robią te swoje polityczne ruchy, niech tam sobie gardłują. Dajmy im trochę potrzymać władzy. To dyletanci, oni sami się wykołają i to będzie woda na nasz młyn. Dzisiaj na scenie politycznej potrzebni są profesjonaliści.

**SENATOR** – Jak zwykle umiesz mnie przekonać. Co ja bym bez ciebie zrobił?

**POLITYK** – Jednak musimy się określić, czy przejmemy władzę od razu, czy oddamy ją na trochę... najlepiej jakiemuś psychopatycznemu półanalfabecie, który wiadomo, że na wejściu od razu coś spieprzy...

**SENATOR** – Chcę jak najszybciej. Czka mi się już tym czekaniem.

**POLITYK** – Co za piękna słowna gierka.

**SENATOR** – Biję od niej blask orderka.

*POLITYK przejmując zabawę i rapując przez chwilę, bawiąc się świetnie.*

**SENATOR** (*udając węża*) – Prezzes mafii też nie chce już czekać. Na dzień dzisiejszy zdecydowany jest udzielić nam poparcia. Inssspiruje mnie, żebyśmy ukatrupili tego i owego, ma się rozumieć, w obronie narodu. Potem rozzzpisze się wybory i szafa gra.

**POLITYK** – Pięknie robisz węża.

**SENATOR** (*sycząc i poruszając języczkiem*) – Inssspiruje mnie ta gierka. (*porusza się charakterystycznie, jakby miał zacząć rapować*)

**POLITYK** (*z podziwem*) – Jesteś genialnym aktorem... Ja też bym się ku temu skłaniał. Oto lista i sugerowana przeze mnie poetyka działań.

**SENATOR** – Sssugerowana, powiadasz. To tak jak po angielsku, pisze się „sugar”, a czyta się: szszszszuger, szszszszuger bejbi law, law...

*W dalekim tle pojawia się muzyka znanego przeboju, SENATOR zbliża się tanecznym krokiem do POLITYKA.*

**SENATOR** – Operuje się już tym języczkiem, co?

*Gaśnie światło, pozostawiając sytuacyjny niedosyt.*

## SCENA V

*Światło bardziej kameralne. Przy stole KONRAD i KOBIETKA. KONRAD trzyma rękę na zeszycie i patrzy jej w oczy.*

**KONRAD** – Dziękuję, że pani... że przyszłaś. To bardzo miła niespodzianka.

**KOBIETKA** – Siedzisz w tej samotni jak jakiś więzień albo pustelnik. Żał mi ciebie.

**KONRAD** – Mnie też ciebie żal, bo wierzę, że masz szlachetną duszę, choć zadajesz się z tymi szujami.

**KOBIETKA** – Ja żyję w realnym świecie, a ty jesteś... poetą.

**KONRAD** – Uważasz, że poeta to ktoś nierzeczywisty? Przecież możesz mnie dotknąć.

**KOBIETKA** – Boję się o ciebie.

**KONRAD** – A cóż oni mogą mi zrobić?

**KOBIETKA** – Oni mogą...

**KONRAD** (*przerzywa*) – Może zamkną mnie do pudła, jak to już nie raz bywało. Ale to dobra wiadomość, tam będę mógł cierpieć do woli i za kratami napiszę mój najwspanialszy wiersz

**KOBIETKA** (*czując się nieco nieswojo*) – Jednak oprócz poetów istnieją też zwykli, uczciwi ludzie o poetycznych duszach.

**KONRAD** – O poetycznych duszach?

**KOBIETKA** – ...którzy dostrzegają się wzajemnie nie tylko dlatego, że mają piękne wille i luksusowe samochody, ale że są po prostu ludźmi. Jak ludzie potrzebują wsparcia, również tego duchowego. (*siada mu na kolanach*) Oni też chcą bliskości, takiej jak ty i ja... I dają ją sobie.

**KONRAD** (*odsuwa ją delikatnie*) – Niedawno wysłała książka „ambitnego” pisarza, która kończy się totalną orgią. Wojska wysłane do rozgromienia buntowników ogarnia dzikie, seksualne podniecenie. Wszyscy zrzucają w pośpiechu ubrania. Wojskowi i cywile i zaczynają się kopolować jak w jakimś apokaliptycznym śnie. Całą noc, aż do świtu.

**KOBIETKA** (*rozmarzona*) – A jak przyjdzie świt?

**KONRAD** – Rano budzą się ze snu. Pośród sterty porzuconych karabinów, pomiędzy czołgami. Generałowie, żołnierze i zwykli zjadacze chleba, tacy jak ja czy ty. Pojawiają się rydwany pełne owoców i napojów tak delikatnych, jak ambrozja. Ludzie przecierają oczy, posilają się, rozmawiają ze sobą serdecznie jak kochankowie, którzy dopiero co się odnaleźli. Niektórzy płaczą ze wzruszenia i dzielą się pieniędzmi z uboższymi.

**KOBIETKA** – Bardzo piękny sen.

**KONRAD** – Raczej niedorzeczna paranoja. Czysta komercja.

*W rytm narastającej muzyki bębnów KOBIETKA i KONRAD rozbiegają się, zbliżają do siebie. Wolno gaśnie światło.*

## SCENA VI

*Muzyka. Jak ze snu. POLITYK i SENATOR przy stole. Przed nimi stopy akt i wielka karafka z gorzałą, z której nalewają sobie raz po raz. Scena sądu i wykonywania wyroków.*

**POLITYK** – Co myślisz o Gustawie IV? Ta jego doktryna dziewiczej miłości może nam nieco rozłożyć koncepcję przemysłu erotycznego, opartego na wynaturzeniach z sadomasochizmem, pedofilią, gerontofilią włącznie. Zwróć uwagę, jak nowatorskie jest tu połączenie pedofilii z gerontofilią. To swoisty układ komplementarny.

**SENATOR** – A czy afiliacja jest zboczeniem?

**POLITYK** – Afiliacja? Skąd ci to przyszło do głowy?

**SENATOR** – Ostatnio tak przygniata mnie ciężar odpowiedzialności, że dużo studiuję.

**POLITYK** – Co takiego?

**SENATOR** – No, głównie słownik wyrazów obcych, opasłe tomisko. Tyle tam tych słówek, których... (*jakby się wstydził*) w ogóle nie rozumiem.

**POLITYK** – A po co masz rozumieć? Jesteś przecież swój chłop.

**SENATOR** – Ta pier... nie będę się wyrażał... a-filiacja przykleiła się do mnie jak gówno do okrętu. I nie wiem. Co się nauczę, zaraz zapomnam. Już śni mi się po nocach.

**POLITYK** – Powróćmy do Gustawa IV. Czy będziemy go afiliować?

**SENATOR** (*męczy się z odpowiedzią*) – Dla większej pewności proponuję... udusić go... sznurkiem do snopowięzalki.

*Werbel, światło skupia się na katach, którzy prowadzą skazańca, zatrzymują się w miejscu kaźni.*

**HOSTESSA I** (*do skazańca*) – Czy ma pan jeszcze coś do powiedzenia?

**GUSTAW IV** – Precz w perwersję!

**HOSTESSA II** (*imitując taniec na rurze*) – To nie będzie ci oszczędzone.

*Gustaw IV patrzy jak zaczarowany na HOSTESSĘ II; HOSTESSA I zachodzi go od tyłu, dusi sznurkiem do snopowięzalki i chichocząc wywlekają go za nogi ze sceny.*

**POLITYK** (*patrząc za nimi z podziwem*) – Profesjonalistki. Teraz weźmy się za Teodora VII, który upiera się przy zasadzie wierności małżeńskiej. To uderza w nasz przemysł antykonceptyjny i znakomicie rozwijającą się sieć osiedlowych agencji. Jak go załatwimy?

**SENATOR** – Przecinakiem w kręgosłup, na wysokości krzyża.

*Werbel, światło skupia się na katach, którzy prowadzą skazańca, zatrzymują się w miejscu kaźni.*

**HOSTESSA I** – Czy ma pan jeszcze coś do powiedzenia?

**TEODOR VII** – Precz z lewym seksem!

**HOSTESSA II** – Prawy czeka cię w niebie.

*HOSTESSA I podchodzi i gwałci go symbolicznie, a HOSTESSA II uderza przecinakiem w kręgosłup, chichocząc wywlekają go za nogi ze sceny.*

**POLITYK** – Piotr XVIII. Ten kazirodca namawia do wynawiania jednego tylko boga. To zatruwa naszą tak dobrze sprzedającą się filozofię wielobóstwa, zgodnie z zasadą: każdemu według potrzeb. Przecież nekrofil czy seryjny zabójca też ma prawo mieć swojego boga. Zatem...

**SENATOR** – Przewleczenie języka przez odbył. Niech ma...

*Werbel, światło skupia się na katach, którzy prowadzą skazańca, zatrzymują się w miejscu kaźni.*

**HOSTESSA I** – Czy ma pan jeszcze coś do powiedzenia?

**TEODOR XVIII** – Duch ponad wszystko!

**HOSTESSA II** – ...uber alles!

*HOSTESSY chichocząc rzucają się na niego, rozrywają na strzępy i znikają.*

**SENATOR** (*bardzo podochocony*) – No, dalej, dalej. Czy to jest afiliacja?

**POLITYK** (*ignoruje go*) – Teraz Alfons IX. Ten zatęchły dysydent upiera się, że człowiek posiadający legitymację władzy nie ma prawa zabijać bez podania ważnej przyczyny.

**SENATOR** – Proponuję sseperacji sserca od rozzumu.

*Werbel, światło skupia się na katach, którzy prowadzą skazańca, zatrzymują się w miejscu kaźni i bez słowa, w scenie pantomimicznej, jedna pożera serce, druga rozum.*

**POLITYK** (*przygląda im się zachwycony*) – Jak pięknie ująłeś to słowami.

**SENATOR** – Nauczyłem się tego słówka na mojej rozzprawie rozwodowej, kiedy w końcu uwolniłem od tej starej rury... Sseperacja, co za piękne słówko!

**POLITYK** – Jeszcze trochę i zostaniesz językoznawcą.

**SENATOR** – Niegłupia myśl.

**POLITYK** – A gdy dokonamy jeszcze kilku takich sseparacji, to wszystkie sssynekury popłyną do jednej sssakiewki. A ty w niedalekiej przyszłości sstanieś się największym Sss...

**SENATOR** – No, dalej, kto tam w kolejce?

**POLITYK** – Tomasz III. Obsesynie promuje doktrynę nienaruszalnej własności prywatnej.

**SENATOR** – No to co?

**POLITYK** – Prawo do nienaruszalnej własności prywatnej powinni mieć jedynie politycy z imieniem, według zasad uchwalonych przez sejm.

**SENATOR** – Ty to masz jednak łeb... Tomasz III do golenia!

*Werbel, światło skupia się na katach, którzy prowadzą skazańca, jeden z nich uderza go pałką w głowę i wywlekają zabitego ze sceny.*

**POLITYK** – Teraz kolej na Chryzostoma XIII. Antycypowałbym, żeby zrobić z tego jakąś pokazówkę. Wpierw dokonać egzekucji dóbr i w czasie – nawiązującego do tradycji obcinania łąba toporem, w wykonaniu jakiegoś znanego za paśnika albo restlera – rozrzucić jego majątek wśród tłumu.

**SENATOR** (*rozogniony*) – Chryzostom XIII...

*Werbel, światło skupia się na katach, którzy prowadzą skazańca...*

**POLITYK** (*wstrzymuje ich gestem robiąc porozumiewawcze oko do SENATORA*) – Rozprawa odroczone. Na tę okazję pisze się specjalny scenariusz.

*Kaci wyprowadzają skazańca. Światło zmienia się na realne.*

**SENATOR** (*podejmując wątek*) – ... Powiedziałeś tam takie słówko, anty...

**POLITYK** – ... cypacja.

**SENATOR** – Coś ty? Cypacja? I jeszcze anty. No, anty-koncepcja, wiem w czym rzecz... Ale jajca... Ja tak sobie kombinuję... Para-doks. Para to rozumiem, ale co to jest „doks”? A para-sol. „Para” to wiem, ale „sol”?

**POLITYK** – „Sole” to po włosku „słońce”. O sole mio!

**SENATOR** – Niby tak. Ale jak to? Słońce na parę?

**POLITYK** – Jakoś tak wyszło.

**SENATOR** – A ostatnio się mówi. Para-noja. Para-noja. No „para” to ci już mówiłem, ale ta „noja”?

**POLITYK** – „Noja” to od...

**SENATOR** – Dobra, nie tłumacz mi. To i tak niczego nie zmieni. A wszyscy główkują, dlaczego ludzie nie mogą się dogadać.

**POLITYK** – W tym coś jest.

**SENATOR** – Ja powiem więcej. (*zbliżając się do POLITYKA porusza językiem*) Ten język to jajcarz. Można sobie nim nieźle po operować. To dobre.

**POLITYK** – Jesteś wybitnym językoznawcą, masz przynajmniej zadatki.

**SENATOR** – Zzarażbiście mnie to inssspiruje.

**POLITYK** – Par excellence. Congratulation. Co teraz czytasz, Waldku?

**SENATOR** – Word, words, words. To po naszymu się wyklada: słowa, słowa, słowa. Szekspir. Nieźle jajca.

**POLITYK** – A pro po naszej pokazówki z Chryzostomem XIII. Zróbmy to na zasadzie happeningu, w sadzawce pod pomnikiem wieszczą. Każemy im rozebrać się do naga... Wyobrażasz sobie te obwisłe cielska i gęby w świetle czerwonych reflektorów. A każdy z nich ma coś na sumieniu. A nad nimi gołębie pokoju...

**SENATOR** (*łapie pomysł, zachwycony*) – Porazimy ich pędem. Jak byłem dzieckiem, tak we wsi łowiliśmy ryby. Mówię ci, wyływały całymi masami. Nie do przeżarcia.

**POLITYK** – Potem podrzucimy ich do piwnicy rezydencji Chryzostoma XIII i oskarżymy go o tę zbrodnię...

**SENATOR** (*podrajcowany*) – Afiliuję! Afiliuję! Co za profesjonalizm. „Pro-fe-sjo-na-lizm”. Kurewsko pokręcone słówko. Ni z gruchy, ni z pietruchy. To dobre, bardzo dobre.

**POLITYK** – Można by jeszcze poświęcić dla dobra sprawy majątki golasów, tak na wszelki wypadek, jakby się tłum wystarczająco nie nasycił.

**SENATOR** – Myślę, że tamte im wystarczą. Ale genialnie to wymyśliłeś. Sam na to wpadłeś?

**POLITYK** – Nie całkiem. Kiedyś wstawił się tym niejaki Ubu król, twój, par excellence, antenat.

**SENATOR** – Antenat?... To jakiś rodzaj pedryła?

**POLITYK** (*karcaćco, z lekkim przestrachem*) – Nie bądź monotematyczny.

*Scena prawie erotyczna. SENATOR zachowuje się coraz bardziej molestująco. POLITYK broni się jak panienka.*

**POLITYK** – Zostaw, jeszcze ktoś zobaczy i pomyśli czort wie co.

**SENATOR** – A co mi tam. Czytałem, że u Greków to była najwyższa forma miłości. Podobno Sokrates i Platon... I uczniom też kazali. Ty wyobrażasz to sobie? W szkole!

**POLITYK** (*prawie krzyczy uwalniając się z objęć Senatora*) – Zapomnieliśmy o jednym!...

*SENATOR zatrzymuje się zawieszony, patrzy pytająco.*

**POLITYK** – Co zrobimy z naszym poetą Konradem? Ludzie go kochają, recytują jego wiersze...

**SENATOR** (*kpiąco*) – Jak kiedyś zostałem burmistrzem, to taki radny poeta podarował mi jego tomik. Jak to szło?: „Szedł piesek na smyczy, żmija z trawy syczy”...

**POLITYK** – To były jego literackie juvenilia.

**SENATOR** – To znaczy te... męskie, w całości, no nie?

**POLITYK** – Rzeczywiście w całości, ale młodoliterackie.

**SENATOR** – No co, nie jest jeszcze ze mną tak źle? Czasem coś mi dzwoni (*wstuchuje się w siebie*).

**POLITYK** – W dzwonienu to faktycznie jesteś dobry.

**SENATOR** (*śpiewa*)

Komu dzwonią, temu dzwonią.

Mnie nie dzwoni żaden dzwon...

**POLITYK** – A co z rzeszą poetów bezimiennych? Oni dla naszego *status quo* też stanowią pewne zagrożenie.

**SENATOR** – Przecież nikt o nich nic nie wie i nigdy się nie dowie. Niech tam sobie tworzą w tych swoich „artystycznych” piwnicach. Od czasu do czasu zezwolimy na wypromowanie jakiegoś głupka. Przecież każdy władca

powinien mieć chociaż jednego buntowca... W razie co utłuczemy go po prostu w jakiejś cuchnącej szczyńce bramię i... jak kamień w wodę... Ryby też muszą coś z tego mieć.

*Śmieją się.*

**POLITYK** – Ryby muszą jakoś żyć...

**SENATOR** (*podchwytuje*) – Żeby władza chciała śnić.

*Robią z tego rapa. Zabawiają się, zaśmiewają.*

## SCENA VII

*Skąpe światło. KONRAD sam w pokoju. Na stole, oprócz różnych szpargałów, rozłożona księga. Otwiera ją, czyta.*

**KONRAD** (*jakby rozmawiał z niewidzialnym*) – Samotność, cóż po ludziach... (*odkłada książkę*) Mnie ludzie są potrzebni. Nie urodziłem się samotnie i samotnie nie chciałbym umierać. Przez całe lata tworzyłem poezję samotności i ty złapałeś się na ten lep. W skrytości ducha tęsknisz za czymś paranoicznie niebezpiecznym.

Lubisz się bać? Ze strachu rodzi się śmiech, który dźwięczy wszędzie. Jako miedź brzęcząca, jako cymbał brzącający... Czy śmiech z naszej bezradności to wszystko, na co nas stać? (*atakuję*)

„Sprzedam sztuczne rzęsy, spod których nie widać szklanych oczu!”...

*(bierze kwiatek, obrywa płatki)*

...Ale oni budują wciąż kolorowe łagry – hipermarkety... „Jedyna niepowtarzalna okazja. Nie przegap swojej szansy. Ta pasta jest boska. Ta szynka jak marzenie. Tym autem jedzie się do rajów”. I... exodus – kasy połykające żarłocznie twoje życie. I to dzikie podniecenie, jakby ktoś chciał oszukać śmierć i udowodnić za wszelką cenę, że świat rzeczy jest wieczny.

*Wzmaga się muzyka bębnowa, ciemność i narastający śmiech.*

## SCENA IX

*SENATOR i KOBIEŃKA – przejmują śmiech z ciemności.*

**SENATOR** (*śmieje się*) – Powiadasz, że obiecałaś mi dozągoną wierność.

**KOBIEŃKA** (*śmiejąc się*) – I miłość, oczywiście.

**SENATOR** – Sypiasz z nim z poczucia humoru?

**KOBIEŃKA** – Sypiam z nim dla ciebie.

**SENATOR** – Ciekawe. Z nim dla mnie i to z poczucia humoru... Bardzo ciekawe językowo. (*porusza języczkiem*). Będę chyba musiał jeszcze trochę poszczekać? (*Robi pieską, szczeka, łasi się*)

**KOBIEŃKA** – Na razie to tylko wstępna gra.

**SENATOR** (*zawiedziony*) – Bardzo wstępna.

**KOBIEŃKA** – Jak będzie już po wszystkim, posiadasz mnie jak nikt nigdy nikogo nie posiadał.

**SENATOR** (*łasi się*) – Mów do mnie jeszcze.

**KOBIEŃKA** – Widzę, że kochasz poezję?

**SENATOR** – Zdecydowanie miłośną.

*KobieŃka pręży się w erotycznym tańcu, podkręcając tym Senatorem.*

**SENATOR** – Ty jesteś lepsza niż siwucha. Jak jestem z tobą to... nie muszę wcale pić i... tak bardzo chce się żyć. (*Klaszcze w dłonie, przyjmuje charakterystyczną pozę po chwili rapuje*)

Gdy jesteś ty, nie muszę pić  
i tak bardzo chce się żyć.

**KOBIEŃKA** – Powinieneś zostać profesjonalnym raperem. W historii wielu znaczących władców zajmowało się sztuką.

**SENATOR** – No, było nas kilku.

**KOBIEŃKA** (*z podziwem*) – Masz takie chętne i wrażliwe pióro.

*SENATOR nie reaguje na jej aluzję, smutnieje, coś go nosi.*

**KOBIEŃKA** – Co cię ugryzło?

**SENATOR** (*śmieje się*) – Nie wiem. Może sumienie?

**KOBIEŃKA** – Ty masz sumienie?

**SENATOR** – To przez tą pieprzoną szkołę. Takiego Dostojewszczaka udusiłbym własnymi rękami.

**KOBIEŃKA** – Daj spokój, on już nie żyje. To tylko literatura.

**SENATOR** – Nie ma go, a franca gryzie... Oł, sumienie... Raskolnikow miał świętą rację. Żeby osiągnąć jakiś postęp, trzeba iść po trupach. Przerabialiśmy to ostatnio.

**KOBIEŃKA** – Oj, jaki ty jesteś zapracowany. Chodź no tu. Zrobię ci taki masaż, że twoje wyrzuty sumienia będą pękać jak młodzieńczy trądzik.

**SENATOR** (*wzdycha rozmarzony*) Przed nami kupa roboty: podróże, sesje, po sesje. To jest takie... charyzmatyczne. Wiesz, od czasu gdy profesjonalnie zajmuję się językoznawstwem, to robi mi się kociół. No, bo niby wiem, co to jest „chara”, ale to „zmatyczne”? Jak zlepić do kupy to...? Ale wszyscy tak mówią, jak jest super... Na Olimpiadzie był wyścig wioślarzy, co za umięśnione chłopcy... A ten komentor, sorry, komentator, oczywiście, no, mówię ci, ryczał, jakby się miał za chwilę... no, wiesz. „Proszę państwa, Kanadyjczycy wyprzedzają Amerykanów o pół dzioba. To jest takie charyzmatyczne!”... To on też pewnie jakiś pedał albo Żyd...

**KOBIEŃKA** – Jesteś naprawdę zabawny.



**SENATOR** – To mam u ciebie szansę? Z poczucia humoru?

*SENATOR rusza na KOBIETKĘ, która ucieka kokieteryjnie.*

**SENATOR** – Ja dam im taki raj, gdzie nie będzie nocy ani dnia. Ani pór roku. Ani za zimno, ani za gorąco. Tutaj będzie się sobie pracować i wydawać pieniądze. Sprawimy, żeby zarabiali dużo, a wydawali jeszcze więcej. Każdego dnia, więcej i więcej. Damy im tyle per-wersyjnych rzeczy, że za wszelką cenę będą chcieli je mieć.

**KOBIETKA** – Jesteś geniuszem poezji czynu. Taka jestem szczęśliwa, że współtworzymy nowy świat – ojczyzną dobrobytu.

**SENATOR** (*tknięty demonicznym geniuszem*) – Tak. Ja jestem poetą czynu. To ja podpaliłem Rzym. To ja w czasie jednej z ostatnich wojen użyłem gazów bojowych. To ja zbudowałem łagry i obozy koncentracyjne. Przerabiałem ludzi na mydło i na nowe, użyteczne idee. To ja stworzyłem religie i sprawiłem, że od wieków bliźni zarzynają się nawzajem w imię jedyne, sprawiedliwego Boga. To ja uprowadziłem te samolotki i rozwaliłem World Trade Center. Od lat się niszczenie na Wschodzie i Zachodzie w imię miłości i sprawiedliwości dla wszystkich... Dlatego udaję głupka, dobrodusznego i nieszkodliwego psychopata, żeby nikt nie rozpoznał mojej prawdziwej twarzy i nie zdążył mi się przeciwstawić.

**KOBIETKA** – Jestem twoja, zrób ze mną, co zechcesz.

**SENATOR** (*zatrzymuje się i zmienia front*) – Przyprowadź do mnie tego buntowca, Konrada, który walczył o prawa jednostki i narodu. Dzisiaj korzenie tożsamości muszą zostać odrąbane. Jednostka może być tylko jedna – miary. A miarą wszechrzeczy jest pieniądź.

**KOBIETKA** (*jakby zawiedziona, może urażona*) – Przyprowadzę ci Konrada. On zrobi dla mnie wszystko.

**SENATOR** (*drapieźnie, ogarnięty zazdrością*) – I ty z tym starym, wyliniałym knurem?

**KOBIETKA** (*delektuje się jego stanem*) – Jest tylko trochę starszy od ciebie... Ty jesteś zazdrosny!?

**SENATOR** – Dzięki tobie znów rosnę. O!... Złapałem pięknego rapa... „Jestem zazdrosny i rosnę”. (*czaruje ją rapując*)

**KOBIETKA** – To cudne i takie lapidarne.

**SENATOR** (*przerywa rapa*) – Lapi co?... O, mam nowy... Lapi co, lapi nic, oddam życie za twój cyc.

*Rapują, przeciagają się, przekomarzają, rozbierają. Gaśnie światło.*

## SCENA X

*Wchodzi POLITYK. SENATOR i KOBIETKA w akcji. Pełne światło.*

**SENATOR** (*zapinając spodnie*) – Zawsze przychodzisz w porę.

**POLITYK** – Lata praktyki, panie Waldemarze XIV.

**KOBIETKA** (*do SENATORA*) – Uwielbiam to imię.

**SENATOR** – Właśnie rozmawialiśmy o perspektywach polityki i o tym, jak bardzo rosnę.

**POLITYK** (*lustruje go*) – To nawet widać gołym okiem.

**SENATOR** – Ta kobietka zagrzewa mnie do walki o szczęście ludzkości.

**KOBIETKA** – To wielka radość służyć panu, Waldemarze XIV.

**POLITYK** – A czy pani mogłaby mi pomóc, żebym też trochę urósł?

**KOBIETKA** – Jeśli spodoba mi się pański projekt?

**POLITYK** (*rozwija mapę; to mogą być slajdy lub projekcja video*) – To na razie tylko mapa. Idea hipermarketu rodziła się powoli...

**SENATOR** (*przerywa mu*) – Hiper-market. „Market” to znam. Marketing i te inne pierdoły. Ale po co ten „hiper”.

**POLITYK** – „Hiper”, znaczy ponad wszystko.

**SENATOR** – Market, market *uber alles*.

**POLITYK** – Jak tak dalej pójdzie, to zostaniesz poliglota.

**KOBIETKA** – Może jednak kontynuujemy.

**POLITYK** – A więc, idea hipermarketu rodziła się powoli. Od zarania dziejów ludzkości najtęższe umysły świata czyniły wysiłki, żeby ulżyć borykającemu się z przeciwnościami losu człowiekowi, który nie szcędząc trudu usiłował okiełznać wrogą mu naturę...

**SENATOR** – Do rzeczy. Nie traktuj nas jak debili.

**KOBIETKA** – Pan Waldemar XIV ma rację. Proszę nie czytać nam całej pańskiej dysertacji. Mamy jeszcze tyle spraw do załatwienia.

**SENATOR** – Rozwijaliśmy właśnie bardzo ważną myśl...

**KOBIETKA** – I dochodziliśmy do fascynującej konkluzji.

**POLITYK** – Jak państwo chcecie do niej dojść w tym momencie, to przyjdę innym razem.

**SENATOR** – Nie bądź taki obraźliwy. Jak się powiedzie, to nasze nazwiska przejdą do historii, a nawet do... Pisma Świętego.

**POLITYK** – Pisma Świętego to ja bym tu nie mieszał. Tak na wszelki wypadek.

**SENATOR** – Dobrze, pracujemy na własny rachunek.

**POLITYK** – Mogę kontynuować?

**SENATOR** – Kontynuuj. (*do KOBIETKI*) – My skończymy innym razem.

**POLITYK** – Zbiliście mnie z pantałyku. To był dobry wstęp uzasadniający wielopłaszczyznowość i wieloaspektowość naszego projektu.

**SENATOR** (*przedrzeźniając*) – Wielopłaszczyznowość i wieloaspektowość... Dawaj czyste mięso.

**KOBIETKA** – Pachnące czystością mięsko.

**POLITYK** – ... ale tak zupełnie bez wstępu? To jakby zacząć uprawiać miłość bez żadnej gry...

**KOBIETKA** (*kokietuje Senatorem*) – Założmy, że gra już była.

*Polityk nie może zacząć.*

**SENATOR** (*uspokaja KOBIETKĘ*) – No trudno, skoro nie można inaczej, to niech będzie jeszcze raz.

**POLITYK** – Potraktujmy to jako próbę przed pańskim wystąpieniem na najbliższym balu, to znaczy na najbliższym posiedzeniu sejm.

**SENATOR** – Świetny pomysł. Jak zostanę Pierwszym...

**KOBIETKA** (*zachwycona*) – To się to kroci?

**SENATOR** (*rechocze patrząc na nią*) – Kroić to się dopiero będzie.

**POLITYK** – Krawiec kraje, jak mu w porę staje.

**KOBIETKA** – Miał pan na myśli: „jak mu materii staje”.

**SENATOR** – To prawda. Cała rzecz polega na stawianiu w porę.

**POLITYK** (*do SENATORA*) – Czy wiesz, że geniusze rodzą się w pozycji stojącej?

**SENATOR** – Sssugerujesz, że moja matka urodziła mnie na ssstojaka? A ja czytałem, że to „drzewa umierają stojąc” (*puszy się swoją erudycją*)

**KOBIETKA** (*do SENATORA*) – Niech się pan nie irytuje.

**SENATOR** – Żartowałem. (*patrzy na nią*) Ja, *par excellence*, tak z poczucia humoru.

**POLITYK** (*nieco jadowicie*) – Szczerze ci gratuluję. Nad podziw wyszlifowałeś swój język.

*Senator porusza znacząco językiem, patrząc to na POLITYKA, to na KOBIETKĘ.*

**SENATOR** – Zawdzięczam to tej stręczycielce.

**KOBIETKA** (*poruszając językiem*) – Oj, panie Waldemarze XIV.

**POLITYK** – Jak tak dalej pójdzie, zostanie pani naszym nowym papieżem.

**KOBIETKA** – Jeśli pan jest Duchem Świętym, to kto wie.

**SENATOR** – Konkrety, drodzy państwo, konkrety. To nie sejm.

**POLITYK** – Powracając do koncepcji hipermarketu. W oryginale jest już tego kilkaset stron, to na początek. Ale cała istotna treść zawarta jest na jednej stronie. A może i w jednym zdaniu.

**SENATOR** – Właśnie, ostatnio przerabialiśmy o zdaniu. Powiem więcej. To może być zdanie współrzędnie złożone: Bierzmy, co się da i używajmy, ile wlezie.

*Śmieją się.*

*SENATOR i KOBIETKA rapują: bierzmy, co się da i używajmy ile wlezie. POLITYK się nie przyłącza. Stara się ich przekrzyczeć, czytając dysertację. W miarę jego hasła zatrzymują się, jakby chcieli wyłowić z tego rapa.*

**POLITYK** (*w tle ich rapowania*) – A za szklanym murem perfekcyjnie zaprogramowana sieć produkcji. Niedawni klienci zmieniają kostiumy i rekwizyty. Teraz projektują, produkują, opracowują strategię marketingu i promocji. I, jak okiem sięgnąć, hasła:

„Praca czyni wolnym. Urodziłeś się, by mieć. Jesteś bogaty, więc jesteś. Twój towar wierny jak pies”.

**SENATOR** – O, to jest to. Coco-cola. Twój towar wierny jak pies. To będzie tak: yes, yes, yes, yes, yes, yes – twój towar wierny jak pies.

*WSZYSCY rapują – Yes, yes, yes, yes, yes, yes – twój towar wierny jak pies.*

*Sytuacja podobna do ludowej konwencji przyśpiewek. Jeden rap się wypala i zaraz ktoś następny inicjuje kolejnego rapa.*

**POLITYK** (*wskakuje na środek*) – Po raz pierwszy w historii kosmosu jesteśmy kowalami własnego losu.

**SENATOR** (*podchwytuje to i przerabia artystycznie*) – Małeńka aranżacyjka. Po raz pierwszy w historii kosmosu kowalami-śmy są własnego losu

**KOBIETKA** (*klaszcze, podchwytuje rapa*) – Po raz pierwszy w historii kosmosu...

**SENATOR** – Kowalami-śmy są własnego losu.

*Rapują. Ogólna euforia. Akcja zatrzymuje się.*

**SENATOR** (*stropiony*) – ... Zbyt często nie jestem pewny, czy ma być „nie” czy „tak”. Na przykład, kiedy mówię: ten towar jest wystarczający czy niewystarczający, by zaspokoić nasze niezaspokojone czy zaspokojone asspi-racje... No, nie wiem, wszystko mi się pieprzy.

**POLITYK** – A dla kogo dziś ma to jakieś znaczenie, czy coś jest tak czy nie? Byle szło do przodu, byle się napędzało.

**KOBIETKA** (*do SENATORA*) – Zastanawiam się, czy nie nagrać pańskiego wystąpienia, oczywiście, w najlepszym wykonaniu. Poruszałby pan ustami, z półplejbeku, z jakąś seksowną muzyczką w tle.

**SENATOR** (*wyraźnie usatysfakcjonowany*) – Z półplejbeku. (*porusza ustami, imitując przemówienie*)

**POLITYK** – Z jakąś seksowną muzyczką w tle, ach, ty, suchko jedna!

**KOBIETKA** (*grozi mu paluszkami*) – Niech pan się liczy ze słowami.

*SENATOR odchodzi na bok i biedzi się, usiłując wykrzesać z siebie kolejnego rapa.*

**POLITYK** — „Z półplejbeku, z seksowną muzyczką w tle”. Okej, a nawet spoko. (*do KOBIETKI*) Staniesz za nim blisko i gdyby poza protokołem wykrzywił się nie na temat, uszczypniesz go odpowiednio, okej?

**KOBIETKA** — Dokładnie. Nie martw się, nie będzie wpadki. A tej „suczki” nie będę ci pamiętać, skowroneczku.

**POLITYK** — A może jednak troszeczkę?

**SENATOR** (*budzi się z pracy twórczej*) — A co z Konradem? Słyszałem, jak wczoraj na ulicy śpiewali jego piosenkę. Czy nie zdrowiej by było... zwabić go do jakiejś ciemnej bramy i tam grzecznie stuknąć.

**POLITYK** (*jakby chciał bronić KONRADA*) — W istocie on jest pionkiem.

**KOBIETKA** — Jakkolwiek by nie było, on nikomu nie przeszkadza. A nawet przydaje szczególnej pikanterii.

**POLITYK** — Czas na mnie. Do zobaczenia na balu!

*POLITYK wychodzi. SENATOR i KOBIETKA mierzą się wzrokiem.*

*KOBIETKA chichocze, wabi go, być może podśpiewuje jakąś pioseneczkę, jakiegoś subtelnego rapcia.*

**KOBIETKA** — W istocie tak i w istocie nie. Tak tak, nie nie, tak tak...

*To przeradza się w swawolny rapik: „w istocie tak, w istocie nie”. Muzyczka narasta. W tańcu rui zbliżają się do siebie. Światło powoli przygasa. Ciemność.*

## SCENA XI

*KONRAD mocujący się z sobą.*

**KONRAD** — Dziś wypowiedziane „tak”, jutro tłumaczy się jako „nie”. I świat toczy się, jakby nic się nie stało... A przecież każde, najmniejsze nawet słówko, wypowiedziane w przestrzeń, trwa — jest zdolne przekształcić świat, gdy pójdą za nim czyny. Dziś słowo „miłość” sprowadza się do współodczuwania orgazmu i śmierci, która została jeszcze w miarę niezafałszowana. Słowo „odpowiedzialność” utknęło na mieliźnie, dlatego czujemy się pozbawieni oparcia w Kimś, bo nikogo nie ma. „Sumienie” oddaliło się i nikt go nie przyzywa. A Bóg, któremu wciąż jeszcze wznosi się kościoły, tkwi jak marmurowy dinozaur ponad naszym ładem. A nad nami niebo rozgwieżdżone. A ład moralny w nas — to tylko układanka zależna od widzimisię władcy.

Dziś władcą może być każdy, jeśli nie dla kogoś, to przynajmniej dla siebie. Dziś można wszystko. Czyż nie znaczy to, że nie można niczego? Tak łatwo znieważyć, złamać każde święte tabu. Wyzwolona wyobraźnia produkuje monstra, na oczach świata zabija się ludzi, gwałci kobiety, deprawuje dzieci.

Ten świat stał się wesołym miasteczkiem absurdu i okrucieństwa. Śmiejemy się z cierpienia, zaśmiewamy się ze śmierci. Podrygujemy jak kukły, z dnia na dzień tracąc siebie... Tak trudno nam się porozumieć. Dzisiaj słowa służą do omijania prawdy. Bo co stałoby się ze światem, gdyby runął ten najperfidniejszy w historii, niewolniczy system zwany demokracją?...

Skoro tak ma już być, nazwijmy go...

## SCENA XII

*Wchodzi POLITYK. Być może podsłuchuje KONRADA. Przyglądają się sobie jak ludzie znani sobie od dawna, jednak z pewną podejrzliwością.*

**POLITYK** — Sprzedam sztuczne rzęsy.

**KONRAD** — Spod których nie widać szklanych oczu.

**POLITYK** — Świetnie wyglądasz.

**KONRAD** — Miło cię widzieć po latach.

**POLITYK** — Wiele słyszałem o tobie.

**KONRAD** (*mierząc go wzrokiem*) — A ty gdzie się ukrywasz?

**POLITYK** (*uśmiecha się żartobliwie*) — Czuwam nad obrotem rzeczy.

**KONRAD** (*odwzajemnia uśmiech*) — Wciąż pociągasz za sznureczki?

**POLITYK** — To mój prywatny puppet show.

**KONRAD** — Czy nie widzisz, gdzie to prowadzi?

**POLITYK** — Ludzie chcą żyć wygodnie, chcą się bawić.

**KONRAD** — Dlatego trzeba zrobić ich niewolnikami?

**POLITYK** — Oni pragną jedynie ślizgać się po powierzchni i używać, ile się da.

**KONRAD** — To wygodna filozofijka dla producentów władzy. Co tak patrzysz? Przecież wiesz, że dzisiaj produkuje się władców jak maszyny. Pamiętasz, jak kiedyś pragnęliśmy stworzyć inny świat. „Love not war” — pamiętasz? Spotykaliśmy się na placach miast, szczęśliwi, że jesteśmy razem, że dopóki żyjemy, ten świat nie zaginie... I co z tego pozostało? „Love not war” przetłumaczono — „pieprzmy się, a nie wojujmy”.

**POLITYK** — A ty wciąż walczysz z całym światem? Jesteś sam?

**KONRAD** — Nie wiem.

**POLITYK** (*w tonie nieco żartobliwym*) — Zrozum, ludzie chcą naszego hipermarketu. Ten zgiełk zabija w nich lęk. Fetysz zastępuje im Boga, którego już nie ma.

**KONRAD** — Którego wyrzuciliście jak On was kiedyś ze świątyni.

**POLITYK** — Mocne słowa. A *Pismo Święte* jeszcze działa?

**KONRAD** — Wy wszystko umiecie sprowadzić do targowiska.

**POLITYK** – To ludzi podnieca i sprawia, że świat nie podciął sobie jeszcze żył – z nudów.

**KONRAD** – Ten świat podetnie sobie żyły z nadmiaru wrażeń. Nie udźwigniemy tego potęgującego się z dnia na dzień natłoku rzeczy.

**POLITYK** – Hipermarket jest perfekt. To kwintesencja naszej cywilizacji. *Perpetuum mobile* – nasza jedyna wieczność.

**KONRAD** – Kto tam wejdzie, staje się żywym trupem podrygującym pomiędzy półkami. I wszędzie coraz więcej napisów: private, własność prywatna, ale czyja!? Was, kacyków polityki i biznesu, pomazanych nie wiadomo czym i przez kogo... Istotą władzy jest służyć, a nie zniewalać. Władcy winni dawać, nie zabierać. A wy wyrwalibyście z gardła nawet największemu nędzarzowi.

**POLITYK** – Łatwo jest oskarżać, kiedy nie dźwiga się na sobie odpowiedzialności za losy tego świata. Tak łatwo dać ponieść się mrzonkom i artystycznej ułudzie. Ale ludzie chcą jeść. Nie nakarmisz ich ideami. Nie pożywisz ich Panem Bogiem.

**KONRAD** – Ten świat wy stwarzacie dla siebie, spychając ludzkość do roli cierpliwego tłuka. A jak tłuk ma dość, co za problem spreparować mu kolejną rewolucyjkę. Niech się tłuk wyżyje, wyszumi, wyniesie nowego pana wyzwolicie-la... Władcy przemijają, ale wy zostajecie – mistyczne hieny władzy, służalcy mamony. Wysysacie cielsko tego świata, nie pozwalając, by Duch w nim zamieszkał.

**POLITYK** – To bardzo efektowne. Niezwykle efektowne. Szczerze cię podziwiam. Jesteś naprawdę wielkim poetą. Twoje słowa mają ogromną siłę. I tacy, jak ty, są nam dzisiaj potrzebni, by ludzie uwierzyli, że hipermarket jest ich ostatecznym celem. Gdybyś z takim żarem potwierdził to na balu... A będziesz żył do końca swoich dni w dobrobycie, o jakim nawet nie śniłeś, gdzieś na rajskiej wysepce, ze swoją ukochaną Kobietką. Będziesz pisał poematy...

**KONRAD** – Byście mogli, bez żadnego sprzeciwu, cieszyć się z głupoty niewolników pełzających u waszych stóp.

**POLITYK** – A ty, poeto, nie pragniesz władzy!? Ty hipokryto, czy nie pragniesz rządu dusz!? My chcemy tylko materii, a ty tego, co jest wieczne! Twoje uzurpacje są bardziej groźne niż broń masowej zagłady. Przestrzegam cię, jeżeli nie będziesz z nami...

**KONRAD** (*zdecydowanie*) – Nie byłem, nie jestem i nie będę z wami! Moje królestwo nie z tego jest świata.

*POLITYK wybucha śmiechem.*

**POLITYK** – Ty masz paranoję. Powinieneś się leczyć... Taka jest twoja odpowiedź?

**KONRAD** – Tak.

**POLITYK** (*jest zawiedziony*) – Mimo wszystko pamiętaj, ja nie przestałem być twoim przyjacielem i... (*robi niewyraźny gest, jakby usiłował go dotknąć*)

**KONRAD** – Na tym świecie nie ma już dla mnie ocalenia.

**POLITYK** – A może jednak... Jeszcze czas. Wystarczy jedno twoje słowo.

**KONRAD** – Moje słowa umarły we mnie.

**POLITYK** – Proszę cię, podejmij ten kompromis i daj ludziom choć trochę nadziei, że istnieje coś więcej. Oni czekają na ciebie. Ten świat bez poezji zdziczeje, stanie się nie do zniesienia... Bo nikt nie zwalczy hipermarketu – jak przyjdzie czas, zrobimy to sami.

**KONRAD** (*jakby się obudził ze snu*) – Nie rozumiem, o czym mówisz.

**POLITYK** – Na znak, że jestem twoim przyjacielem, wyjawię ci największą tajemnicę. Docień to i zgódź się. Tak, masz rację. Tym światem rządzi pieniądź, władza i kobietka. To wydaje się absurdalne, ale ten świat jest, jaki jest. Nasz świat mówi: jestem, bo jestem. I nigdy nie było jeszcze takiego zjednoczenia światowych elit władzy. Z nami jest wielka mafia, kościoły, światowe centra terroryzmu. Tworzymy niespotykaną dotychczas w dziejach oligarchię wzajemnych interesów. Wierz mi, nas nic nie przemoże.

**KONRAD** – Ale też nic nie uchroni was przed gniewem ludu, co wzbiera jak nieuchronny sztorm.

**POLITYK** – Dzisiaj latarnie są już za wysoko. Za wysoko! Czy ty tego nie rozumiesz?! Gdy przyjdzie czas, puścimy tylko sygnał i nasi terroryści wysadzą w powietrze ten pieprzony hipermarket... A my zaczniemy nasz biznes od początku. Czy to cię nie przekonuje?

*KONRAD jest coraz bardziej zmiażdżony, z trudem łapie powietrze.*

**POLITYK** – To można jeszcze odwlec. Może da się jeszcze tego uniknąć. Od ciebie tak wiele zależy... Jeszcze jedno. Twoja kobietka... ma na imię Róża... Wiedziałaś o tym? Co, nie powiedziała ci nawet swojego imienia?

**KONRAD** (*po dłuższej chwili*) – Zgadzam się.

**POLITYK** (*z ulgą*) – Bardzo się cieszę. Nawet nie wiesz, jak bardzo się cieszę.

**KONRAD** – Przygotuj umowę.

**POLITYK** (*sięga za pazuchę*) – Czeka gotowusienka... tylko podpisz.

*KONRAD bierze umowę, czyta i podpisuje. POLITYK wyrwa mu ją prawie, zabiera kopię i oddaje oryginał z ręki. KONRAD patrzy w kartkę.*

**POLITYK** (*ton bardziej urzędowy*) – To standardowa umowa o dzieło. Trzeba tylko pojawić się w odpowiednim momencie i przeczytać zakontraktowany poemat. W imieniu zarządu gratuluję i dziękuję, że skorzystał pan z naszej oferty.

**KONRAD** – Mógłbyś to sobie darować.

**POLITYK** – To tylko urzędowa formuła, która musi zostać wypowiedziana. Przyjrzyj się lepiej cyfrom. Oczywiście przelejemy na konto. I... kamień w wodę.

*KONRAD nie odpowiada.*

**POLITYK** – Bądź zdrow, przyjacielu, do zobaczenia na balu!

**KONRAD** – Dziękuję za troskę. Bądź zdrow.

*Gwałtownie gaśnie światło.*

### SCENA XIII

*KONRAD przegląda umowę. Chowa ją, gdy wchodzi KOBIETKA. Efektownie ubrana, niezwykle kusząca – witają się jak kochankowie.*

**KONRAD** – Prześlicznie dziś wyglądasz, Rózo.

**KOBIETKA** (*chwila zawahania*) – To dla ciebie, mój ty poeto.

**KONRAD** – Być może dla kogoś jeszcze?

**KOBIETKA** – Ty jesteś najważniejszy.

**KONRAD** – Padła właśnie propozycja, żeby w czasie balu odbyły się nasze zaręczyny.

**KOBIETKA** – Docenili cię jednak.

**KONRAD** – Więc zgadzasz się?

**KOBIETKA** (*zarzuca mu rękę na szyję*) – O niczym innym nie marzę.

**KONRAD** – Ty naprawdę masz na imię Róża?

**KOBIETKA** – Nie wiedziałeś o tym, głuptasku?

*Sentymentalna, słodka muzyka. Zbliżają się do siebie i obejmują. Ciemność. Światła widowni.*

*W czasie przerwy HOSTESSY roznoszą wśród widzów ciasteczka i reklamy-zaproszenia na bal.*

### ODSŁONA DRUGA

#### SCENA XIV

*Bal, czyli posiedzenie sejmku. Na pierwszym planie wielki stół przygotowany do przyjęcia. W głębi obwiązany wstęgą ogromny wór z prezentami. Trwają rozmowy w grupach. Z jednej strony POLITYK i KOBIETKA, z drugiej dwie HOSTESSY i MŁODY CZŁOWIEK przysłuchujący się rozmowie starszych.*

**POLITYK** – Gratuluję narzeczonej tak szczęśliwego wyboru narzeczonego.

**KOBIETKA** (*kokieteryjnie*) – Dzięki.

**POLITYK** – Grunt to mieć poczucie, że jest się młodym i wolnym.

*POLITYK podchodzi do HOSTESS, zaczynają zabawę w salonca.*

**MŁODY CZŁOWIEK** (*do POLITYKA*) – Wolnym każdy być może, gdy robi to, co chce.

**KOBIETKA** – A gdy robi to, czego nie chce?

**MŁODY CZŁOWIEK** (*podchodząc do KOBIETKI*) – Wtedy jest niewolnikiem.

*Bawiące się z POLITYKIEM HOSTESSY aprobują to śmiechem.*

**POLITYK** – Widzi pani, jaka prostolinijna i dojrzała jest dzisiejsza młodzież... A gdybym teraz kazał panu wyszorować sejmowe schody, to kim by pan był?

**MŁODY CZŁOWIEK** – Oczywiście, wolnym człowiekiem. Dla pana i dla pani, madam, zrobiłbym to z przyjemnością.

*Bawiące się z POLITYKIEM HOSTESSY aprobują śmiechem.*

**KOBIETKA** (*do MŁODEGO CZŁOWIEKA*) – A czy istnieje jakieś zwierzę, którego szczególnie pan nie lubi?

**MŁODY CZŁOWIEK** – Szczerze powiedziawszy, nie cierpię żab i pająków.

**KOBIETKA** – Bardziej zielonych czy tych ropuchowatych, z gruzelkami na grzbiecie?

**MŁODY CZŁOWIEK** – Mam wrażenie, że tych ropuchowatych.

**KOBIETKA** – To proszę sobie wyobrazić, że w tej chwili kazałabym się panu rozebrać do naga i udawać ropuchę... Czy też czułby się pan wolny?

**MŁODY CZŁOWIEK** (*z nieco większą trudnością, lecz z pełnym przekonaniem*) – Myślę, że byłoby to do pomyślenia.

*Bawiące się z POLITYKIEM HOSTESSY aprobują śmiechem, nieco histerycznie.*

**KOBIETKA** – A gdybym kazała panu zjeść żywą ropuchę, potem położyć się spać do łóżka wypełnionego pająkami?

**MŁODY CZŁOWIEK** (*nieco zaniepokojony*) – A co ja bym z tego miał?

**KOBIETKA** – A jak kopa w tyłek?

**MŁODY CZŁOWIEK** – Myślę, że można by to potraktować jako swoistą promocję.

**KOBIETKA** – Promocję czego?

**MŁODY CZŁOWIEK** – Choćby mojego profesjonalizmu, gotowości do oddanej pracy.

**KOBIETKA** – Taka praca jest dla pana wolnością?

**MŁODY CZŁOWIEK** – Żeby rządzić, proszę pani, trzeba nauczyć się służyć. Na początku należy wykonywać

wszystko, nawet, jak to pani powiedziała, spać w łóżku z pająkami. To wpajano nam na uniwersytecie. Człowiek, który chce osiągnąć sukces, musi być zdolny do wszystkiego.

*Bawiące się z POLITYKIEM HOSTESSY śmieją się histerycznie.*

**KOBIETKA** – A gdybym, na przykład, w imię pańskiej kariery kazała panu skrzywdzić kogoś, kogo pan nie lubi.

**MŁODY CZŁOWIEK** – Na służbie się nie krzywdzi, proszę pani, na służbie się działa.

**KOBIETKA** – A gdybym kazała panu zabić bliską osobę? No, powiedzmy taką, którą pan lubi i ceni.

**MŁODY CZŁOWIEK** (*po chwili zastanowienia*) – Proszę pani, istnieje coś, co nazywamy zasadą wyższej konieczności.

**KOBIETKA** – I nie byłoby panu żal?

**MŁODY CZŁOWIEK** – Nie czas żałować róż, gdy płoną lasy, proszę pani.

*Bawiące się z POLITYKIEM HOSTESSY śmieją się histerycznie.*

**KOBIETKA** (*śmieje się razem z nim*) – Róż, powiada pan. A zna pan jakąś Różę, powiedzmy Rózię?

**MŁODY CZŁOWIEK** – Mówi pani o kwiatku czy o imieniu kobiety?

**KOBIETKA** (*teatralnym, drapieżnym szeptem*) – A gdybym wydała panu służbowe polecenie, żeby się pan powiesił?

**MŁODY CZŁOWIEK** (*nieco rozbawiony*) – Naprawdę i skutecznie?

**KOBIETKA** – Skutecznie i naprawdę.

**MŁODY CZŁOWIEK** – To... chyba bym się powiesił.

*Bawiące się z POLITYKIEM HOSTESSY śmieją się kurewsko histerycznie.*

**KOBIETKA** (*zdecydowanie ucisza je gestem*) – No i co, zmartwychwstałby pan później?

**MŁODY CZŁOWIEK** – Przyznam, że zaskoczyła mnie pani. Musiałbym to dokładniej przeanalizować.

*POLITYK podchodzi z HOSTESSAMI.*

**POLITYK** – Bawimy się świetnie, ale jest nas trochę mało.

**HOSTESSA I** – Wiadomo już, kto kogo, i to jest tak trochę bez sensu.

**HOSTESSA II** (*do MŁODEGO CZŁOWIEKA*) – Proponuję, żeby pan się teraz nadstawił.

**MŁODY CZŁOWIEK** – Jestem otwarty na propozycje.

*Zabawa w salonowca trwa jeszcze przez chwilę, do momentu fanfar.*

## SCENA XV

*Fanfary, wchodzi SENATOR z KONRADEM. Wszyscy pierzchają na boki, biją brawo.*

*SENATOR zajmuje naczelne miejsce za stołem. Goście uciszają się.*

**SENATOR** – Witam państwa najserdeczniej. To nasz wielki dzień i jestem przekonany, że historia zapisze go wielkimi zgłoskami. Na posiedzeniu komisji otrzymałem właśnie imię, Alfa Pierwszy, co niniejszym ogłaszam.

*Aplauz, burza oklasków.*

**POLITYK** – Gratuluję panu, senatorze, Waldemarze XIV, Alfo Pierwszy. (*zwraca się do wszystkich*) Tak oto przechodzi się do historii.

*HOSTESSY odwiązują wstęgę z wora z prezentami i rozciągają ją na scenie. SENATOR podchodzi z nożyczkami i przecina.*

**SENATOR** (*przecina wstęgę*) – Najnowszą erę czasów hiper-nowożytnych uważam za otwartą.

*Aplauz nie do opisanania.*

**POLITYK** – Dziś z nami są największe umysły i serca. Z radością i satysfakcją przedstawiam państwu sumienie narodu, poetę Konrada, który swoim poematem uwieczni tę chwilę... (*rozlegają się mizerne brawka*) Ale zanim to nastąpi, chciałbym ogłosić jego zaręczyny z tą oto przepiękną kobietką o imieniu Róża.

*Brawa trochę większe. Młody CZŁOWIEK powtarza rozbawiony:*

**MŁODY CZŁOWIEK** (*z podziwem*) – Róża, Różia. Ależ to się pani udało.

**HOSTESSA I** (*do HOSTESSY II o KONRADZIE, niby na stronie*) – Taki stary dziad i ma jeszcze coś do powiedzenia?

*HOSTESSY chichoczą do siebie.*

**HOSTESSA II** (*do HOSTESSY I, niby na stronie*) – Takie dziadziśko, a jeszcze czegoś mu się zachciewa.

*HOSTESSY chichoczą do siebie.*

**MŁODY CZŁOWIEK** (*na stronie do HOSTESS*) – Uspokójcie się, to świetny poeta. Jest w nim tyle buntu i cierpienia. Czyta się go z przyjemnością.

**SENATOR** (*ucisza ich gestem, uśmiechając się pobłaźliwie*) – Proszę państwa, celem pobudzenia apetytu na razie przeczytam tylko listę zjawiskowych prezentów dla naszych chary-zmatycznych narzeczonych.

*POLITYK daje mu znaki ręką.*

**SENATOR** – Zaczniemy jednak od duchowej uczty. Prezenty nam nie uciekną. *(Na mgnienie oka robi ruch, jakby tworzył nowego rapa)*

**POLITYK** – Dziękuję panu Elf... przepraszam, panu Pierwszemu Alfie... Alfie Pierwszemu... przepraszam, to ze wzruszenia...

Proszę państwa, jesteśmy świadkami tworzenia się historii. To nasze wspólne dzieło. Zapamiętajcie ten dzień. Zapamiętajcie też, że dzisiaj przed wami wystąpił, to znaczy za chwilę wystąpi, wielki poeta Konrad, sumienie narodu.

*Następuje cisza. KONRAD wychodzi przed stół i zwraca się do prezydium:*

**KONRAD** – Panie Alfo Pierwszy, panie, panowie. Oto mój poemat, oto mój wkład w historię... *(zaczyna czytać spokojnie, potem z coraz większą pasją, pod koniec wybucha jak szalejący ogień)*

dziękuję ci szatanie za twe wszystkie dary  
dziękuję za wygodne krzesło obrotowe  
na którym chce mi się siedzieć i wiercić bez końca  
dziękuję za codzienne okno, przez które twój świat mnie  
zachwyca

dziękuję za drzwi, tę cudowną możliwość  
zatrzaśnięcia się w każdej chwili  
dziękuję za upragnioną wolność i demokrację  
dziękuję za amerykę tak starannie odzierającą mnie  
ze złudzeń

dziękuję za masę rzeczy tak wartych zachodu  
dzięki nim moje życie nabrało wymiernej wartości  
a ja pod dyktando twych tkliwych podszeptów  
nabrałem wody w usta by żyć bez uprzedzeń  
dziękuję że nauczyłeś mnie sztuki orgazmu  
i tak nieodłącznej od życia sztuki zabijania  
wzrokiem słowem dotykiem gestem prowadzącym  
w nicość

kobietę uczyniłeś centrum mojego pożądania  
wciąż widzę ją czającą się leniwie na smoczej skórze  
w rezydencji na rajskiej wyspie  
dzięki tobie znów stałem się bezwzględny właścicielem  
zachłannych snów o potędze  
neofitą wierzącym w misję przewyciężenia własnego  
przeznaczenia

o śmierci powiedziałeś mi że jest przyjemna  
jak orgazm – twoja najszczytniejsza teologia  
sprowadziłeś ją do nieistnienia  
roztaczając przede mną wizję nieśmiertelnego życia  
i użycia uległych przedmiotów i ludzi  
zapomniałeś o sercu i chwala ci za to  
moje zahartowane pięści walą w głuchy bęben telewizora

niech wie każde stworzenie żeś ty tu jest panem  
hipermarketu rakiety kosmicznej i techniczki  
twojej przenajświętszej trójcy  
tak skutecznie przesłaniającej nam oczy  
przed wizją nieuchronności naszego upadku

*W miarę recytacji, zaciekawienie przeradza się w ośłupienie, SENATOR daje dyskretne znaki POLITYKOWI, ale ten uspokaja go gestem ręki i robi dobrą minę do złej gry. Na końcu rozlegają się niepewne oklaski.*

**POLITYK** *(hamując wściekłość)* – Cóż, dziękujemy poecie za to przejmujące przesłanie. Gratuluję wrażliwości.

**SENATOR** – No, to...

*Melodyjka telefonu komórkowego, POLITYK odbiera i rozmawia na stronie. KONRAD i KOBIEĆKA cały czas patrzą na siebie. KONRAD opuszcza głowę i wychodzi.*

**POLITYK** – Bardzo mi przykro, panie Alfo Pierwszy, ale bezzwłocznie musimy się oddalić.

**SENATOR** *(coraz widoczniej odczuwający dyskomfort sytuacji)* – Cóż, służba nie druźba. Prezenty nie uciekną. Bawcie się państwo dobrze.

**POLITYK** – Służba nie druźba. Takie stare, a prawdziwe. Ale zanim ich opuścimy, panie Alfo Pierwszy, poloneza czas zacząć.

**SENATOR** – Jakiego tam poloneza. Nowa hiper-era, to i nowy taniec. A jego imię HO-HOŁ.

**POLITYK** – To tylko taki idiom, panie Alfo Pierwszy. Ja wyraziłem się idiomatycznie.

*SENATOR nieco zawieszony, jakby się zastanawiał nad „idiomem”. POLITYK daje znak ręką, startuje muzyka. SENATOR jak husarz rzuca się do tańca, a za nim POLITYK i cały sejm. HO-HOŁ. Ho-hoła wokół sali. Po trzecim nawrocie POLITYK z SENATOREM odłączają się od korowodu. Wszyscy żegnają ich oklaskami. Światło powoli przygasa, HO-HOŁ oddala się i cichnie zabierając ze sobą stół i wszystkie rekwizyty.*

## SCENA XVI

*Pusta scena. Cisza. W półmroku pojawia się POLITYK. Czeką chwilę. Na scenę wchodzi KONRAD. Zauważa POLITYKA.*

**KONRAD** – Czekasz na mnie?

**POLITYK** *(z wyrzutem)* – Czy to musiało się tak skończyć?

**KONRAD** – Jestem tylko poetą.

**POLITYK** – Dlaczego mnie zdradziłeś?

**KONRAD** – Ty wcześniej zdradziłeś mnie.

**POLITYK** – Nie czas, żeby się licytować... Słuchaj, myślę, że wszystko da się jeszcze odkręcić. Ogłosimy, że

to był tylko happening. Wystarczy, żebyś wydał tylko odpowiednie oświadczenie, wystąpił w telewizji... Twoja Róża jest załamana. Ona wciąż wierzy w ciebie. Prezenty czekają i przelew.

**KONRAD** – Już wszystko skończone. Ty wiesz o tym lepiej niż ja.

**POLITYK** (*jakby nie wierzył*) – Nie. To nie może się tak skończyć.

**KONRAD** – To nie może skończyć się inaczej.

*Chwila ciszy. KONRAD i POLITYK patrzą na siebie.*

**POLITYK** – To ostatecznie co?

**KONRAD** – Nic.

*Trwa przedłużająca się cisza.*

**POLITYK** – Jesteś o tym przekonany?

*KONRAD nie odpowiada. Jest jakby nieobecny. POLITYK podnosi do góry rękę i nie patrząc na KONRADA, wychodzi.*

## SCENA XVII

*Na scenie pojawia się MŁODY CZŁOWIEK w długim ciemnym płaszczu.*

**MŁODY CZŁOWIEK** (*twardo i bezosobowo*) – Czy ma pan jeszcze coś do powiedzenia?

**KONRAD** – Tak... (*Mówi wolno w ciemność*) Samotność... Cóż po ludziach... Czym śpiewak dla ludu...

*MŁODY CZŁOWIEK wyjmuje z nienacka karabin maszynowy, wybucha salwa. Karabiny jazgoczą ze wszystkich stron. KONRAD pada na scenie. Ciemność i cisza... Zapala się punkter. W miejscu, gdzie leżał KONRAD, bieleje jakaś kartka. Wolno zapalają się światła widowni.*

Szczęśny Wroński



## O spotkaniu zaufania

Historia o zaufaniu jest dotykiem samotności na ulicy wielu dłoni. Tych długo szukałam, a kiedy złączyły się poczułam ich siłę i omdłałość ruchu.

Dziś wiem, że wtedy przeciąłeś mój bieg wśród ostu i kąkolu. Po trosze już wierzę w moc dotyku słów, z których kapie przyjaźń i unosi się świeży dym zaufania.

## W poszukiwaniu okna

Patrzemy na siebie i książki w pokoju co nam potakują. O tym oknie myślę z widokiem na wiosnę pobrużdżoną ciepłem i naszym wzruszeniem. Nie mówmy do i o ciemności, trzeba wybierać dni.

O tym oknie myślę otulonym kroplami rosy w oszklonym uścisku niegaszonego światła. Z prawdziwych słów, których nie usłyszał nikt.

## Wycinanki jesieni

Odezwały się nożyce w stalowym fraku, rach, ciach, mach, mach skracają promienie słońca. Ucieka ciepło Twoich rąk.



Pali się kolorami grunt  
pod stopami lata,  
wiatrem podsycony ognik  
pełnie w objęcia jesieni.  
Otula inne ramiona.

Dźwięczne obcinarki  
metalicznym głosem  
ucinają rozmowy o tym,  
że coś się powtórzy.

### **Wyłęskniony dzień**

To zdarza się niewielu,  
uchwycić bijące serce  
ptaka w locie  
na zielonej łące  
pokrytej szronem.

Niespodziewanie  
jak na obcych  
mamy wiele przestrzeni  
oraz światła.  
To zdarza się niewielu  
bez wstydu  
patrzeć w twarz.

### **Zadzwoię niebawem**

Głuche dni i noce  
słaniają się z oczekiwań,  
w poczekalni uszy  
uważnie łowią dźwięki.

Nie dzwonisz,  
pragnę niewiele  
utrwać spotkania,  
w których mój los  
układasz w całość.

*Anna Zielińska-Brudek*

### **Zapach**

Czy pamiętasz?  
jak pachniały w Inowłodzu moje  
zapachem wilgotnej ziemi,  
mgły co się w ogrodzie skryła,  
konwalii, trawy jedwabistej  
i dymu z komina.  
Czy pamiętasz?  
Jak rzeka cichutko z księżycem gadała,  
a jabłonie jeszcze takie młode  
całe stały w kwiecie  
i śmiały się do nas  
tylko do mnie i tylko do ciebie

Przyszłość niewiadoma,  
teraźniejszość we mgle,  
dobrze było żyć  
w tym dziwnym świecie

Lat minęło wiele,  
maje pachną już inaczej  
i mgły są nie takie.  
Tylko rzeka ciągle gada  
choć już z inną rzeką.  
A jabłonie?  
Nie wiem – czy do mnie,  
czy ze mnie się śmieją.

### **O Jabłoni...**

Już niemłoda rodziła cierpkie jabłka,  
smakowały zapamiętaną przeszłością,  
przez pół wieku zmagająca się z wiatrem  
kpiła sobie z dreszczów i mrozów...  
Pewnej zimowej nocy bóbr smakosz  
wdarł się do ogrodu i wybrał Jabłoń  
dla siebie i młodych na wykwitne jądło.  
Wiosną, już w śmiertelnej godzinie,  
leżąc tak trochę bokiem  
w wysokiej, soczystej trawie,  
jeszcze raz próbowała  
zakwitnąć białym kwiatem.  
Już nie śmiała się jak przed laty  
ani do nas, ani z nas.

Bezdzwięk, bezsens  
i bezdech samotności,  
żał i smutek zakłęte  
w żar letniego popołudnia

on – w hamaku buja,  
już dosięgł obłoków,  
a w jej oczach błyskawice,  
on to czuje – nadchodzi burza.  
Zaciska powieki,  
wargi milczeniem sznuruje,  
by słowa jak gromy – nie grzmiąły.  
Wtedy burza...?  
może przejdzie bokiem...

### Katharsis

Tej nocy raz jeszcze zatańczę z gwiazdami,  
a księżycowi zaśmieję się prosto w twarz,  
sentymentom i łzom powiem – basta,  
nie wrócą już do tamtych, minionych lat,  
co dobre od nich było – zostanie we mnie,  
co nienawistne, niedorzeczne, przykre, złe  
niech gore długo, aż wypali się do cna,  
otworzę okno – popioły rzucę na wiatr.

\* \* \*

Marzenia jak ścięte kwiaty  
umierają powoli  
w śmiertelnym skurczu zastygłe liście  
na serwantce wokół wazonu  
opadłe płatki w rdzawym kolorze  
już po tygodniu nikt nie pamięta  
ich koloru, zapachu i kształtu  
i po cóż było marzyć?

*Iwona Zielińska-Zamora*

### Podróżnik na rynku w Aleksandrii

Puszysty krąg wokół studni radości  
wypić i iść przez pustynię  
Wrócić i znaleźć inny smak  
napoju życia  
Pozostać

Jak pierwszy łyk starego wina  
smakuje każdy nowy dzień  
Jeśli tylko wiatr... nie zasypie studni  
Wiatr? Jest zbyt słaby – ale  
studnia odejdzie gdy zapomnisz drogi  
Odejdzie gdy zaginie słowo  
otwierając bramę  
Nie zapomnij go  
gdy zobaczysz inne miasto

*Warszawa, styczeń 1988*

### Daleka droga

Daleka jest droga  
przed każdym z was  
i nie znajdziesz na niej drogowskazów  
Tylko dotknięciami stóp wyczujesz  
czy to lód przed tobą, czy błoto  
na drodze  
Tylko wzrokiem ogarniesz drogę  
aż do najbliższego zakrętu  
Ale – kto wie

kiedy znajdziesz się tam  
czy znajdziesz się tam  
czy może zatrzyma cię gościnnie zajazd  
i córka gospodarza  
Daleka jest droga  
śmiejesz się mijając zatrzymujących się  
na jej skraju  
kończących bieg na łagodnym zboczu  
choć kto wie – gdzie ty przystaniesz  
któż to może wiedzieć  
Za szczytem jest zielona dolina  
ale łatwo spaść wypatrując do niej  
drogi  
dalekiej drogi

*Kościelisko, 9 lutego 1992*

Błądzą wśród tych samych ulic  
twarze i kurz  
tysiące łamigłówek z bezbarwnych elementów  
Otwieram szklane drzwi – pustka i chłód  
Jakże często zatrzymuję się  
pośrodku długiego korytarza  
Stąd prowadzi wiele dróg  
każda kończy się płonąca przepaścią  
poznałem je  
widziałem tych, którzy zrobili pierwszy krok  
Ale nie można spalić marzeń  
widzę ten obraz – wizję w błękicie  
ona będzie jedyną ucieczką  
dopóki nie znam innej... jedynej  
Jest w nim spokój i muzyka  
tańczące sylwetki na tle księżycy  
Jest tak wiele – dla mnie i...  
chciałbym móc ci go opowiedzieć  
Tobie? A może jej?  
Jeszcze nie wiem, czy to ty właśnie  
tańczysz pośrodku  
Wiem już, że i ogień jest drogą  
Ale czy za nim są właśnie te drzwi?  
Nikt stamtąd nie powrócił  
by opowiedzieć  
Chodź za mną – dojdziemy do skraj  
przepaści  
i wtedy powiesz mi czy mnie kochasz  
Podasz mi rękę  
a płomienie będą tylko oświetlać drogę  
Dotkniesz moich warg i klucz przekręci się  
w zamku  
Za bramą odnajdziemy mój świat

Warszawa, grudzień 1987

Młodo zmarły Jarosław Zieliński (1971-2012) otrzymał w roku ubiegłym Nagrodę Honorową im. ks. Jana Twardowskiego za tom *Słowa i linie*, wydany w wersji poszerzonej pośmiertnie w 2012. Opiekunowie jego spuścizny literackiej (znajduje się w niej m.in. pokaźny zbiór opowiadań SF) założyli Fundację i powołali kapitułę Nagrody Literackiej im. Jarosława Zielińskiego, która w zamyśle jej założycieli będzie promować i nagradzać najciekawsze zbiory wierszy, zwłaszcza młodych twórców, mieszkających z dala od wielkich centrów kultury. O poezji patrona tej nagrody wypowiadają się w tym numerze Stanisław Grabowski i Stanisław Nyczaj.

Red.

## Dialog z ojczyzną

Zostawmy patetyczne gesty  
słowa, które mogą ranić  
zbyt boleśnie

porozmawiajmy  
jak dobrzy znajomi

to nic że od lat  
w separacji

nieważne kto był winien  
jeśli o winie  
może tu  
być mowa

powiedzmy: siła wyższa  
choć jak najbardziej  
z tego świata

nie ma związków  
bez kryzysu  
ale nasz był  
labiryntem  
bez wyjścia

marzyliśmy  
o wzajemnej  
wolności

przede wszystkim  
od siebie

ty by mieć święty  
spokój

jakby odetchnąć  
pełną piersią

złudzeń

2010

## Budowanie

*Wśród wielu zajęć  
bardzo pilnych  
zapomniałem o tym  
że również trzeba  
umierać*

*Tadeusz Różewicz*

Nie mogłem  
nie byłem w stanie  
o tym  
zapomnieć

od pierwszej chwili  
pobytu  
nad Jeziorem Ontario  
jak każdy emigrant  
budowałem  
na ruchomych piaskach

co zbudowałem  
zawaliło się  
choć  
na pierwszy rzut oka  
było budowlą  
solidną  
i nie budziło  
wątpliwości

inni  
nawet chwalili  
ale ja  
szóstym zmysłem  
wyczuwałem  
zdradliwe  
tąpnięcia

wiedziałem nieomylnie  
że nadchodzi  
piękna  
katastrofa

umierałem więc  
codziennie  
zgodnie z instrukcją  
Mistrza

*starannie  
mądrze  
i optymistycznie*

*bez  
straty  
czasu*

2014

## Człowiek

Jest doskonały  
dlatego popełnia błędy

jako zwierzę społeczne  
wymyślił język

miał ułatwić kontakt  
z innymi zwierzętami

precyzyjniej niż dym  
miny i gesty

wyrażać myśli  
uczucia  
i intencje

przez wieki  
poddawał go  
troskliwej  
obróbce

pisał nim  
wiersze miłosne

ody do  
bogów  
których miał  
bez liku

i zwięzłe  
rozkazy

jego uniwersalność  
pozwałała wyrazić  
zawsze sprawiedliwe  
wyroki

Język  
języczek u wagi  
współczesnych  
inżynierów dusz

architektów  
porządku  
i ładu

warunek  
*sine qua non*  
dobrobytu  
i szczęścia

wypełniających  
szczelnie  
gabinety  
sprytnych  
językoznawców

*Luty 2014*

**Edward Zyman** – ur. w 1943 r. w Dobromierzu (Kieleckie) – poeta, prozaik, krytyk literacki, publicysta, wydawca. Od marca 1983 r. w Kanadzie. Autor kilku zbiorów wierszy m.in. *Dzień jak co dzień* (1978), *Co za radość żyć* (1979), *W czym obcym domu* (1981), *Jak noc, jak sen* (1987), *Kim Stwórca mądre te eseje pisze* (2004), *Z podręcznego leksykonu* (2006), tomu felietonów *U Boga każdy błazen* (1987), zbioru pamfletów krytycznoliterackich *Metamorfozy głębin Twoich. Polonijny parnas literacki* (2003) oraz dwu książek biograficznych: *Widzieć dalej niż dziś* (2004) i *Przeznaczenie jest wyborem* (2005). Współredaktor almanachu poezji i prozy *Młody Śląsk Literacki* (1975), pracy zbiorowej poświęconej Wacławowi Iwaniukowi *Podróż w głęb pamięci* (2005) oraz kilkudziesięciu tomów poezji, wspomnień i powieści. Wiersze, prozę, szkice i recenzje publikował na łamach wielu pism w Polsce (m.in. „Współczesności”, „Nowych Książek”, „Nowego Wyrazu”, „Poezji”, „Regionów”, „Tygodnika Kulturalnego”, „Poglądów”, „Opola”, „Przemian”, „Odgłosów”, „Nurtu”, „Faktów i Myśli”, „Akcentu” i „Frazy”) i na obczyźnie („Pulsu”, „Przeglądu Polskiego”, „Nowego Prądu”). Prezes Polskiego Funduszu Wydawniczego w Kanadzie, jeden z członków-założycieli działającej w Toronto Fundacji Władysława i Nelli Turzańskich. Członek Stowarzyszenia Pisarzy Polskich.

## **pętla**

jest w twoich oczach  
kiedy patrzę na mnie  
rodzaj zadumy

jakbyś gdy w teatrze  
akt kolejny mija  
chłonął swoje myśli  
w kontekście scena  
oni on ona ty ja

albo siedząc w auli  
przy studenckiej ławie  
obliczał iloczyn  
różnicy naszej i sumy

dziwi cię zapewne  
przebieg ciągu zdarzeń  
których sekwencji  
nie pojmujesz wcale

bo jakże dostrzec  
sens istnienia zmiennej  
w pryzmacie analizy stałych

wobec stanu poznania  
będąc w niepokorze  
teraz i później albo i do końca  
dumasz tak nad nami

a myśli twe jak pnąca  
zaciskają pętlę

## **rodyjski krzyk**

w uwielbieniu życiodajnej natury  
kipiącej blaskiem od gorąca  
śpiewają rodyjskie cykady

wśród mięsistych płatków i liści  
czerwonych białych i różowych kwiatów  
w krzewach wysokich kryją swe oblicza  
lecz nie głos

a może jest pośród nich królewicz trojański  
nieśmiertelny lecz starzejący się Tironos  
ukochany różanopalcej jutrzeński



Okładka tomu wierszy wybranych autorki w języku polskim i bułgarskim (Sofia 2014)

być może chowa swą maleńką uschniętą postać  
w gałęziach kwiatowego drzewa  
gaworząc głośno o swoich potrzebach

niewykluczone że staruszek ten  
skory jest  
do dzielenia wzruszeń z podobnymi sobie

i wśród wielu innych poruszeń letnich dni  
razem krzyczą zawzięcie

## **sens płaczu**

nie słyszą liście ni trawy  
mojego

ono zamknięte w betonach mieszkania  
odbija się od ścian głuchym echem

nie chcą słyszeć ludzie  
oni tęsknią za śmiechem

może usłyszą bogowie  
jeśli są  
i nie mogąc słuchać zbyt długo  
Heliad żalostnego  
zamienią  
łzy moje rzęsiste  
w myśli strzeliste jak topole  
lub cenne jak bursztyn

a może wysłucha zawsze i wszędzie  
instynkt samozachowawczy

## **śmierć Persefonie**

wydobędę Ciebie z krainy ciemności Adonisie Ukochany  
z szarej rutyny pełnej samotności  
i wiecznej pretensji o drobiazgi lub całokształt  
spod władzy Persefony  
i mrocznego Tartaru wyzwolę Ciebie

choćbym miała iść na wojnę z samym Aressem  
nie ulęknię się jego miecza i zazdrości

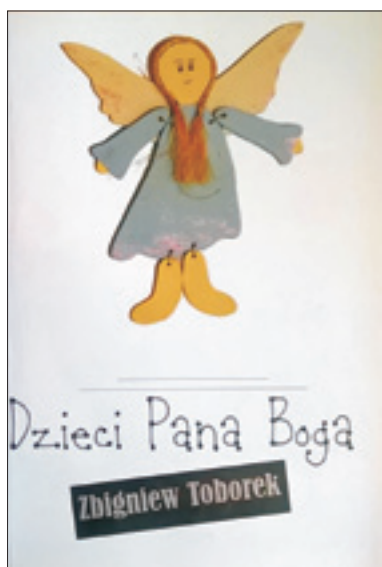
choć wiem jakie cierpienie mnie czeka  
jako że poetki z woli Apolla dotykają więcej  
to nie ugnę się pod ciężarem dzielenia z Tobą przeszłości

i Afrodyty zwyczajem  
będę czekać na kolejną wiosnę

Zdzisław Antolski

## Skazany na heroizm

Zbigniew Toborek, kielecki poeta, z zawodu logopeda (ur. 1956) wydał ostatnio dwie bardzo przejmujące książki poetyckie. Pierwsza to *Dzieci Pana Boga* będąca poetycką refleksją jego spotkań z dziećmi



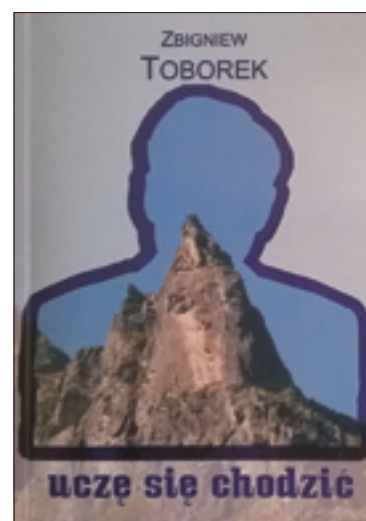
niepełnosprawnymi umysłowo. Wiersze pisane są prostym językiem, ale pełnym zrozumienia i miłości. Z chęci pokazania czytelnikom innego świata, jego problemów, a największym z nich jest nasza obojętność

i brak serca. Nie ma w nich ani grama fałszywej litości, uzalania się nad losem, jest tylko dana nam rzeczywistość, w której musimy się odnaleźć dając innym miłość. Dzięki tym utworom poznajemy nowych ludzi, takich samych jak my, choć czasem bardziej doświadczonych przez los, nieprzystosowanych, ale potrafiących dać radość i umiejącym cieszyć się z życia. Wszyscy bowiem w jakimś sensie jesteśmy „dziećmi Pana Boga”.

Zbigniew Toborek, z zawodu pedagog, a przy tym poeta, we wczesnej młodości uległ wypadkowi; po niefortunnym skoku do wody doznał urazu kręgosłupa. O konsekwencjach tego skoku mówią wiersze zamieszczone w zbiorze *Skazany na heroizm*. Ten wypadek rozdzielił jego życie na dwie połowy, dotychczasowe, beztrioskie raczej dzieciństwo wiejskiego chłopca, niepozbawione przecież zmartwień, ale także pełne magii i czaru oraz życie po wypadku, pełne bólu i cierpienia, i walki o normalne życie, mimo urazu. Już sam wypadek był strasznym szokiem dla młodego, piętnastoletniego chłopca, bowiem po utracie przytomności:

Leciałem blisko nieba  
wydawało mi się że widziałem Pana Boga  
Wróciłem z umarłych  
(*Widziałem Pana Boga*)

Na szpitalnym łóżku dokonuje się u bohatera tych wierszy proces powtórnych narodzin, niemal dosłowny, ponieważ jego ciało zmieniło się: „zostałem tetraplegikiem i tak miało zostać do końca” – pisze z pełną



samoświadomością. Wówczas nie rozumiał, co się stało, czemu nie może chodzić, czy to jakaś kara za grzechy, ale przecież czuł się całkowicie niewinny, ponieważ nie uczynił nikomu nic złego. „Rodziłem się powoli do nieznanego życia/nagi bezbronny jak niemowlę”, pisze autor i jest w tym cała prawda nieszczęścia, jakie go spotkało i późniejszych heroicznych wysiłków powrotu do w miarę normalnego życia, nauki i pracy:

Powiedziano że jak przeżyję  
będę kadłub leżący kadłub  
konsylium lekarskie podjęło decyzję  
nieodwołalną  
nie było żadnych dyskusji  
nie pomogły prośby ani próba przekupstwa  
ze względów ideologicznych lekarze byli nieugięci  
wyrok zapadł

(*Przeznaczenie*)

A jednak, mimo arbitralnego, medycznego wyroku, pacjent nie poddał się okrutnemu wyrokowi i niemalże cudem, ale przede wszystkim wytrwałością i determinacją w ćwiczeniach osiągnął bardzo wiele, możliwość chodzenia i pracy.

Oczywiście, jego sposób poruszania różni się od tego, jak czynią to ludzie całkowicie zdrowi, ale nie jest też przykuty do łóżka. Pracuje z dziećmi niepełnosprawnymi, a to zajęcie jest dla niego źródłem satysfakcji.

W tym samym wierszu *Przeznaczenie* poeta pisze:

Życie albo śmierć  
wybór jednoznaczny łatwy do przewidzenia  
wybrałem życie  
pozostałem wierny swojemu przeznaczeniu  
*per aspera ad astra*  
jedyna droga rysowała się jasno  
poszedłem...  
nie wiedziałem na co się decyduję

A była to prawdziwa droga przez mękę. Wystarczy wspomnieć, że opieka szpitalna pozostawiała wiele do życzenia. Choremu dziecku podawano obiad do łóżka, ale przecież był sparaliżowany, nie mógł samodzielnie jeść. Jednak nikt z personelu szpitalnego go nie karmił, nikomu nie przyszło to do głowy? Lekarz nie wydał odpowiedniego polecenia? Trudne do pojęcia. A jednak zdarzają się takie zaniedbania, przykre jest tylko to, że najczęściej wobec dzieci, które nie potrafią, nie umieją się upomnieć, w dodatku sparaliżowane nieszczęściem, chorobą. W nocy nie dbano o to, że chory ma potrzeby fizjologiczne: „leżałem we własnym kale po uszy”. Na szczęście psychika broniła się w ten sposób, że świat oglądany wydawał się filmem.

Byłem ja i choroba  
i nic więcej nikt więcej  
oglądałem film  
grałem główną rolę [...]   
dzisiaj scena z karmieniem  
zaraz przyjdzie Mama  
przyniesie rosół  
kochana Mama

Wizyty mamy były istotne nie tylko z powodu dodawania otuchy, ale przede wszystkim dlatego, że mały pacjent mógł się wreszcie najeść do syta.

Różne też były reakcje otoczenia na chorobę: oto najlepszy przyjaciel, rówieśnik, zdradził; może się przestraszył, ale tylko raz odwiedził chorego. Wujek, zawodowy kierowca, płakał jak dziecko. Również pierwsza dziewczyna okazała się obojętna, natomiast złożyła wizytę najpiękniejsza dziewczyna w klasie, obiekt westchnień

wszystkich chłopców. Ojciec zniknął, jakby się obraził, że syn przysparza kłopotów, miał go za głupca. Jednak wola walki, chęć życia były bardzo silne:

Na łóżku zamontowano uchwyty  
abym mógł siadać  
rzecz niełatwa  
zważywszy na paraliż nóg rąk  
i dziesięć kilogramów gipsu na szyi i tułowiu  
Nauczyłem się szybko  
instynkt życia był silny  
wrywałem się do świata  
jak ptak do pierwszego lotu [...]   
przestrzeń szpitalnej sali czekała na zdobycie  
szykowałem się do podróży  
na Mount Everest

(*Podróż na Mount Everest*)

Oczywiście Mount Everest jest tu metaforą powrotu do zdrowia, co wówczas wydało się zdarzeniem niemożliwym ze względu na bezlitosną diagnozę lekarską skazującą chorego na leżenie w łóżku do końca życia. Banalny spacer zaś po szpitalnej sali urastał w wyobraźni chłopca do wspinaczki na niebotyczny szczyt Himalajów.

No i najważniejsze wydarzenie:

Uczyłem się chodzić  
po raz drugi  
to bardzo trudne  
wszystko po raz drugi jest trudniejsze  
wiem o tym  
uczyłem się również mówić dwa razy [...]   
najważniejszy jest pierwszy krok pierwszy oddech  
(*Nauka chodzenia*)

Nieraz autor podkreśla w swoich wierszach, że to właśnie młody wiek, a nawet przynależna mu przekora i bunt, pozwoliły na odzyskanie (oczywiście, w pewnym sensie) zdrowia i umiejętności samodzielnego poruszania się. Oto bowiem...

lekarz oprowadzający studentów  
pokazał mój przypadek –  
odkrył mnie nagiego i powiedział  
że nigdy nie będę chodził  
pomylił się  
ale kto wie czy to nie dzięki niemu  
właśnie chodzę

(*OIOM*)

Jednocześnie w tym nastoletnim chłopcu budziło się jakieś poczucie solidarności i wspólnoty

losu. Najpierw patrzył na nieszczęśników: „Tych co nie chodzą nie siedzą/ nie potrafią sami jeść i sikają pod siebie”. To ofiary wypadków, takich właśnie, jaki przytrafił się Autorowi. A przecież całkiem niedawno byli inni, młodzi, piękni, wysportowani

Którzy porywali dziewczęta jednym jasnym spojrzeniem  
a teraz nikt na nich nie chce patrzeć [...]  
więc z tego szpitala uciekłem  
bo brzydziłem się śmierci [...]  
która ma zapach kału moczu i potu [...]  
to nie był mój świat  
moje przeznaczenie  
mój los  
nie zgadzałem się na taką niesprawiedliwość  
stchórzyłem teraz wstydę się  
przepraszam...

Poczucie solidarności z innymi chorymi, ofiarami wypadków, rodzi się dopiero później, jako refleksja człowieka dojrzałego, który dostrzega pewną wspólnotę losów, solidarność z innymi, współczucie. Wtedy dominowała chęć ucieczki, obrzydzenie wobec choroby, pragnienie powrotu do świata ludzi zdrowych, do normalności. Bardzo to głęboka i poruszająca refleksja człowieka świadomego kruchości istnienia.

Po leczeniu w szpitalu nastąpił powrót do domu, ale jakże smutny. Nikt się nie cieszył, nie witał radośnie.

Odtąd z samotnością byłem za pan brat  
zaprzyjaźniłem się  
zostałem skazany na samego siebie  
(Powrót do domu)

Dopiero teraz bohater tych wierszy zrozumiał, że to była obojętność wobec jego cierpienia. Tym bardziej bolesna, że pochodząca od najbliższych.

Te wiersze pisane są przez dorosłego mężczyznę, który robi coś w rodzaju bilansu swojego życia. Spogląda z perspektywy czasu na siebie nastoletniego, ciężko chorego po wypadku, i zastanawia się, jak udało mu się przetrwać kalectwo, pomimo wszystko ułożyć sobie normalne życie. Analizuje swój los z dociekliwością naukowca i czułością poety. Jest z siebie dumny, ale równocześnie widzi ogrom cierpienia, jakiego doznał tamten nastolatek, widzi jego determinację, wolę życia i na swój sposób go podziwia.

Nie wiem jak przeżyłem  
nie rozumiem choć próbowałem  
to nie do pojęcia  
na chłopski rozum powinienem zwariować  
popęlić samobójstwo po raz drugi skoczyć do wody  
wszystko było przeciwko  
umierałem w piekle samotności  
traciłem nadzieję i wiarę  
a potrzebowałem tylko słowa pocieszenia  
ziarenka zrozumienia tyka otuchy  
i nie było mi dane [...]

(Zmowa)

To opuszczenie przez najbliższych jest najbardziej bolesne, gorsze od szpitalnych cierpień i bolesnych zabiegów medycznych. Poczucie sieroctwa. Obojętność doznana ze strony rodziny – matki, ojca, sióstr, tego się nie zapomina do końca życia. Ratunkiem okazała się być miłość dziewczyny. Zakończyła się ona raczej smutno.

Nieszczęśliwe uczucie zdradzone  
kiedy dorosłość zapukała do drzwi  
ale wtedy byłem już silny

Powyższy cytat pochodzi z wiersza *Gwiazdozbiór szczęścia*, który to tekst jest bardzo ważny w całej książce. To jakby słup graniczny, słup milowy. Poświęcony jest pierwszej miłości, która dała bohaterowi siłę przetrwania:

Była to najważniejsza miłość tamtego czasu  
jedyna miłość innego człowieka do mnie  
okoliczność ratująca życie dająca nadzieję

Wiersz ten w przejmujący sposób uświadamia nam obiegową prawdę, głoszoną niemal we wszystkich popularnych piosenkach, że człowiek nie umie i nie może żyć bez miłości drugiego człowieka. Na co dzień o tym nie pamiętamy, w kołowrocie obowiązków zapominamy o tej podstawowej prawdzie, tak zbanalizowanej, niemal ośmieszanej poprzez wielokrotne, bezmyślne powtarzanie. Dopiero postawieni w ekstremalnej sytuacji, wobec choroby czy śmierci, dostrzegamy wagę tej prawdy. Pojmujemy jej istotę. Miłość jest niezbędna do życia, do szczęścia, do tworzenia. Co dała naszemu bohaterowi ta miłość:

Więc zawdzięczam jej tę miarę rzeczy  
co dało podwaliny pod mój stoicyzm  
połączony z odrobiną tragizmu Hioba



Pisze to człowiek dojrzały, patrzący na swoje życie i swoją tragedię z perspektywy czasu. Kiedy już wygasły emocje, rozpacz się „ustabilizowała”, próbujący na chłodno, racjonalnie ocenić swoje życie, dokonujący bilansu. Przecież każdy z nas, zdrowy czy chory, co jakiś czas próbuje sporządzić taki właśnie bilans dotychczasowego życia...

Dalej autor pisze:

Światopogląd który pozwolił na względnie normalne  
życie  
nastolatki po ciężkim wypadku  
z nieprzewidywalnymi skutkami  
przekraczającymi wyobraźnię  
utrata najbliższych i przyjaciół  
a wszystko niewytłumaczalne wciąż nie wiadomo  
dlaczego  
stratą do dziś brzemienneą  
skazującą na heroizm  
który tak czy owak zakończy się klęską

W części drugiej zbioru autor opisuje swoją codzienność, zmaganie się z życiem, ze słabościami ciała. Ale znajdziemy tu także wiersz, który można śmiało nazwać optymistycznym. Jest to niewątpliwie także przesłanie do wszystkich ludzi nieszczęśliwych. Wiersz pod tytułem *Zwyciężyłem* zaczyna się od słów:

Przechrzyłem Los  
wziąłem z życia co chciałem  
na nic nie bacząc.

W czym tkwi tajemnica sukcesu chorego, opuszczonego, jeszcze dziecka na progu dorosłości?

pokochałem siebie  
małego chudego kulawego chłopca  
który do niczego się nie nadawał  
nie uwierzyłem światu  
nie dałem się przekonać  
uwierzyłem w siebie  
w swoją szczęśliwą gwiazdę  
zwyciężyłem

Właściwie tu moglibyśmy zakończyć nasze rozważania, na happy endzie, ale nie jest to takie proste, jak w bajce lub noweli telewizyjnej, ponieważ trzeba dodać, że to zwycięstwo zostało okupione wieloma cierpieniami. Za to autorowi i bohaterowi tych wierszy równocześnie,

należy się szacunek i podziw. Za przewyciężenie tylu życiowych trudności i przeciwieństw i za to, że umiał to oddać w pięknych, poetyckich słowach.

Bowiem ten zbiór wierszy jest napisany bardzo pięknie i prosto. Autor nie nadużywa wielkich słów ani środków poetyckich, tylko tyle, ile to jest konieczne. Zostały te słowa, które są potrzebne i niezbędne. Dlatego jest to poezja dojrzała artystycznie.

O swoim życiu pisze z męską powściągliwością, choć nieobojętnie, jest mocno zaangażowany w nieszczęsnego chłopca, jakim był niegdyś. Dzięki temu, czytelnik jest cały czas po stronie nastolatka i pragnie mu pomóc, choćby myślą i pragnieniem. Ten chłopiec jest wciąż obecny w psychice Autora, dorosłego mężczyzny, który w wierszach dokonuje bolesnego bilansu swojego życia. Bilans ten wypada dodatnio, jednak okupiony został olbrzymim wysiłkiem, zarówno fizycznym, jak i umysłowym oraz emocjonalnym. Głównymi pomocnikami w tej walce były: miłość i wiara w siebie. Najpierw miłość dziewczyny o imieniu Ilona, a potem miłość do siebie i chęć oraz wiara w zwycięstwo. Nawet dziś ta miłość do małego nieszczęśliwego chłopca jest w wierszach obecna. Bo w wierszach Zbigniewa Toborka czas jakby się zatrzymał, wszystkie zdarzenia dzięki Poezji są przeżywane na nowo, trwają. Tak dzieje się, kiedy człowiek mocno przeżywa, kiedy emocje nie pozwalają zapomnieć o przeszłości. Zresztą przeszłość nadal jest obecna w życiu poety, bo pewne niedoskonałości fizyczne zostały na trwałe i nie pozwalają o sobie zapomnieć.

Otrzymaliśmy więc bardzo dojrzałą, męską poezję o walce człowieka z Losem, kalectwem i chorobą, a także z obojętnością ludzi, często najbliższych.

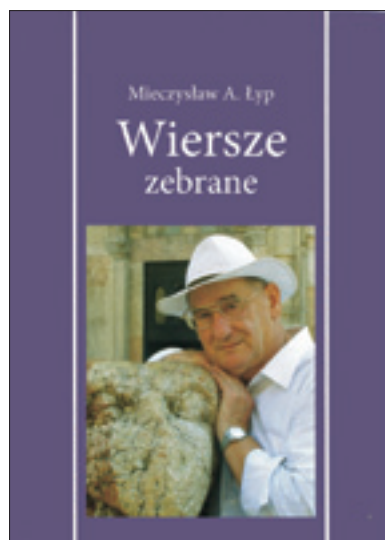
Wiersze te zawierają metafizyczne i filozoficzne refleksje na temat: czym jest życie człowieka, jaki jest jego sens, po co żyjemy? Miłość i chęć życia, wiara w siebie – oto czynniki, jakie pomagały w tej walce. Zwycięskiej walce.

*Zdzisław Antolski*

Zbigniew Toborek: *Dzieci Pana Boga*, Kielce 2014, s.78.  
Zbigniew Toborek: *Uczę się chodzić*, Kielce 2014, s. 114.

## Liryczne spotkania

Mieczysław Łyp, poeta, krytyk literacki, edytor, fotografik jest autorem licznych poetyckich zbiorów: *Na ścieżkach pamięci* (2005), *Ars longa, vita brevis* (2008), *Genius loci* (2009), *W krainie złotej muzyki. Impresje z Futomy* (2010), *Orbis pictus* (2010), *In Arkadia* (2011), *Wiersze z Turcji* (2011), *Panta rhei* (2012), *Dalekie światła Radomska* (2013). Ostatnio opublikował *Wiersze zebrane*, w których rysuje się wyraziście cha-



rakter jego artystycznej osobowości, rodzaj wyobraźni i jakby powiedział Julian Przyboś – oblicze uczuciowe. Same tytuły opublikowanych dawniej zbiorów sugerują, że autor posiada silne inklinacje klasycystyczne.

Tymczasem dyskretny, ale silny liryzm, złożona i niekiedy dosyć hermetyczna metaforyka czynią poetę spadkobiercą rozległej tradycji literackiej. Nie sięgając za daleko można zauważyć, że jest mu bliska zarówno postawa skamandrycka, jak i dziedzictwo Awangardy, ale już przetworzone przez J. Czechowicza, wielkiego piewcę uroków prowincji.

Spotkaniu z czytelnikiem towarzyszy aura prywatności, bliska poufnemu zwierzeniu. M. Łyp rezygnuje z możliwości ukrycia się za podmiotem lirycznym i występuje w roli rzeczywistego autora, który traktuje medium sztuki jako szansę dialogu z tradycją oraz możliwość porozumienia z drugim człowiekiem. Poetycki sens buduje poprzez eksponowanie „naturalnych związków” z miejscem urodzenia, siły więzów krwi, a także delikatnego, ale wysoce ekspresywnego erotyzmu. Gdy chodzi o budowę autorskiego „ja”, odbiorca zyskuje wieloraką pomoc w postaci biogramu, słowa odautorskiego oraz rodzaj dokumentacji fotograficznej dotyczącej ludzi,

spraw, miejsc oraz podróży ważnych dla artystycznej wypowiedzi.

Wierszom z tegorocznego zbioru towarzyszą niezwykle subtelne, harmonizujące z poetyckim klimatem, rysunki Jolanty Jakimy-Zerek. Na dobrą sprawę, tomik wcale by nie stracił, gdyby poprzestać wyłącznie na tym czarno-białym układzie. Mimo to autor, pamiętając zapewne, że „czytelnicy gazet” szukają fotografii i koloru, poszerzył swój poetycki zbiór odpowiednim ikonograficznym aneksem.

Przy lekturze *Wierszy zebranych* M. Łypa nasuwa się uwaga, że jego sugestywny, a nieraz przejmujący liryzm opiera się zarówno na wyborze elementarnych sytuacji egzystencjalnych, jak bogatej, polisemicznej, nierzadko zaszyfrowanej metaforze i śmiałej wyobraźni, co nasuwa skojarzenia z koncepcją poezji integralnej. Poetycka wizja jest zakorzeniona, podobnie jak u wielu twórców związanych pochodzeniem z prowincją lub wsią, w micie tellurycznym Ziemi-Matki. W poezji M. Łypa mit ten łączy się ze szczegółowym, geograficznym konkretem, związanym bądź z topografią radomskiego dzieciństwa, bądź miejscami dającymi inspirację, od Bieszczadów zaczynając, na włoskich miastach kończąc. Przywołane w pamięci postacie osób najbliższych przy całej realności, zachowują bliską styczność z archetypami. Niecodzienne w swej prostocie piękno promieniuje z postaci matki, choć w najczulszym wspomnieniu bytuje również obraz ojca i pożegnanych już bliskich krewnych.

Jednak pamięć o matce wyraźnie góruje. Dość powiedzieć, że we wierszu *W cieniu tęsknoty* postać matki zostaje utożsamiona z Aniołem Stróżem, wzywany „ku pomocy” w codziennej, dziecięcej modlitwie. Miłość do matki stanowi niejako ostateczną miarę uczuć obecną w najściślejszych relacjach z kochaną kobietą:

„wołam – Anno  
Tak ufnie, jak niegdyś  
Mówiłem – mamó”

(Anna)

Mit telluryczny znajduje swoje dopełnienie w chrześcijańskim kulcie maryjnym. W *Antyfonie*

do „Pocieszycielki Strapionych” poeta w modlitewnej tonacji prosi o wybawienie świata „od chciwości i nienawiści”. Wiersz ten koresponduje z innym (*Chocholi taniec*), gdzie stawia dramatyczne pytanie: „za ile srebrników ten świat?”. Pojawia się tu godna uwagi możliwość poszerzenia liryki osobistej o temat społeczny.

Wszystko wskazuje na to, że jedyne remedium na obcość bliźniego, depersonalizację i groźną stronę cywilizacji, poeta widzi w kultywowaniu sztuki i obcowaniu twórczością innych artystów.

Obszerny fragment zbioru stanowią wiersze poświęcone wrażeniom i refleksjom obudzonym

Krystyna Cel

## Świat poetycki Andrzeja Bartyńskiego

Nie sposób nie powiązać twórczości literackiej Andrzeja Bartyńskiego z jego biografią. Biografią niezwykłą, bo gdy czytamy, że jako łącznik AK został wraz z całą rodziną aresztowany przez gestapo, osadzony w więzieniu, że miał wówczas zaledwie dziewięć lat, a w czasie przesłuchania stracił całkowicie wzrok, jest to dla nas nie tylko szokujące, ale i porażające. Tragedie II wojny światowej do dziś dają znać o sobie, a te dotyczące dzieci, którym przyszło zmierzyć się z okrucieństwem wojny, są szczególnie bolesne.

Andrzej Bartyński w roku 1946 przeniósł się z rodzinnego Lwowa do Wrocławia. Podzielił los wielu Polaków z naszych dawnych kresów wschodnich, którzy zmuszeni byli opuścić rodzinne strony, tracąc nie tylko swój dobytek, ale już na zawsze więź ze swoją „najściślejszą ojczyzną”, jak to pięknie określił Stefan Żeromski. Wrocław był tym miastem, z którym na trwałe związał swoje życie A. Bartyński – tu na uniwersytecie ukończył polonistykę, tu miały miejsce jego literackie sukcesy. Można powiedzieć, że Los, choć tak z początku okrutny, miał jednak dla poety coś w zanadrzu, a były tym jego zdolności i literacki talent sprzyjający mu nieustannie przez całą drogę twórczą. Mam w ręku w tym roku wydany tomik poetycki *Uczta motyla*. Dla miłośników poezji to prawdziwa duchowa uczta, że posłużyć się słowem z tytułu zbioru, a ukazuje się ten tomik w 80. rocznicę urodzin autora.

przez sztukę malarstwa, muzykę i architekturę. Poeta zazdrości nawet malarzom ich możliwości ekspresji.

Nie jest to uzasadnione, bowiem kreując swoją wizję świata przeżywanego, M. Łyp prezentuje malarskość w najlepszym wydaniu.

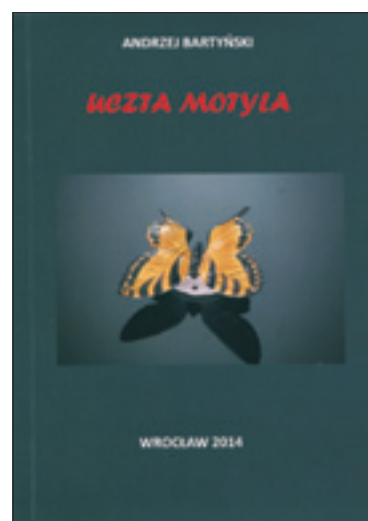
Zofia Brzuchowska

Mieczysław Łyp, *Wiersze zebrane*, Rzeszów 2013.

Po lekturze tych wierszy aż chciałoby się powiedzieć, że poezja prawdziwa, ta co na lata zostaje w pamięci, musi wyptywać z całej gamy przeżyć, doznań i doświadczeń twórcy, pokazać go nie tylko jako poetę, ale jako człowieka ze wszystkim tym, co ludzkie, a nawet powiedziałabym arcyłudzkie. Poeta sięgając po siebie samego, po swoje człowieczeństwo, dociera i do nas – czytelników.

Tych kilka słów o poezji A. Bartyńskiego chciałabym rozpocząć od wiersza szczególnego, jak sądzę, dla samego twórcy – to utwór zatytułowany *Jak kamień*. Przytoczę go tu w całości:

Mamo ja nie płaczę  
bo twardy jestem jak kamień  
ale kamieniem być niełatwo  
gdy się nie widzi czy jest światło  
w życiu oczy mieć warto  
a ja mam tylko noc i noc  
Mamo ja nie płaczę wiedz to  
mówiłaś do mnie – synku walcz  
walczyłem zawsze – nadal walczę  
Mamo patrz ja nie płaczę  
musisz być silny jak Herkules  
mówiłaś Mamo do mnie czule  
mamo ja nie płaczę w ogóle  
tylko czasami ktoś powie w głos



*nie widzieć świata co za los!*  
Trudną mam rolę w nocnym teatrze  
Mamo ja nie płaczę  
czasem zamyszę się przez chwilę  
czy świat jest piękny – i to tyle  
Mówiłaś do mnie  
synku jak żołnierz  
bądź dzielny taki  
Mamo jam gotów  
gotów do walki

Wiele jest w literaturze utworów poetyckich będących apostrofą do matki, jej osobie poświęconych, ale ten wzrusza szczególnie, a w kontekście życia autora potwierdza nie tylko jego nieustanną gotowość do walki, ale i to, że to właśnie jemu udało się przekroczyć samego siebie i z mroku wyjść na światło, kiedy to poezja staje się niosącym jasność drogowskazem.

A. Bartyński potrafi też zachować dystans zarówno do siebie samego jak i do otaczającej rzeczywistości, spojrzeć z lotu ptaka na to, co wokół, zdobyć się nawet na autoironię zaprawioną dozą humoru, jak np. w wierszu *Z balkonu*. Ten właśnie dystans pozwala mu (np. w wierszu *Era-to*, świetnym do recytacji) na widzenie naszego jednostkowego bytu, człowieczego losu jako za ledwie maleńkiego trybiku w przetaczającej się Historii, z jej jakże dużą częstotliwością wojen. Tylko poeta może w jednym wierszu ogarnąć dzieje świata, pokazać w jego niewzruszonej stałości – zmienność.

Z kolei wiersz *Rozmowy poetów* to chyba w całości metafora naszych ludzkich spraw: wielkich i małych. I do końca nie wiemy, które z nich są dla nas naprawdę ważne, które są naprawdę wielkie, a które małe. Autor, „rozpatrując” różnice pomiędzy poetą wielkim a małym, kieruje naszą uwagę na istniejące obok siebie światy – jeden to ten wielki („jak wielkie kolumny historii/ kolumny transportu/ jak Autostrady/ Słońca Księżycy Gwiazd”) – jesteśmy jego częścią, ale ten drugi świat sprowadzony do naszej zwyczajnej codzienności, niekiedy aż nazbyt powszedniej może jest i mały, ale to on jest tym prawdziwym i na tę swoją może małą miarę – wielkim.

Swoisty urok i pewną specyfikę w brzmieniu frazy poetyckiej mają napotkane w tym tomiku ballady (*Ballada o Hance i Ballada o dziewczynie i dziewięciu bransoletach*). Rytm i rym wyczarowują nastrój udzielający się wyobraźni czytelnika. Motywy smutku, żalu, tęsknoty

i melancholii, a także egzotyka sytuacji (Cyganie, księżyc, gwiazdy, mosty, dworce) przypominają momentami klimaty z muzyki country.

Dzięki różnorodności form wierszy: białych i tych klasycznych, rymowanych o rytmie prawie regularnym, niekiedy bardziej swobodnym, ale w sumie melodyjnym (mogących być tekstową propozycją dla kompozytorów) ten tomik staje się w odbiorze pełny i ciekawy.

Andrzej Bartyński, *Uczta motyla*, Wydawnictwo EUROSISTEM, Wrocław 2014, s. 66.

## Misterna gałąź na dobrze obliczonej konstrukcji

O liryce mówi się często, że potrafi „wrazić niewyraźne”. Ale niektórzy badacze literatury uważają, że miarą poezji, a nawet jej warunkiem jest, paradoksalnie odwracając to stwierdzenie, „niewyrażanie wyraźnego”. I, gdy zastanowimy się głębiej, uznamy ten drugi wariant za znacznie trudniejszy. Poeta musi otworzyć się na inne spostrzeganie rzeczywistości, na inne jej kreowanie. Musi w budowaniu swojego poetyckiego świata uciec w symbolikę, niekiedy irracjonalizm czy nawet w metafizykę. Wydaje się, że dwa ostatnie zbiory wierszy Andrzeja Gnarowskiego: *Do końca...* i *Ty...* idą w tym właśnie kierunku. Sposób pisania autora tych tomików pięknie określił Stefan Jurkowski:



poeta andrzej g. pisze wiersze  
jakby budował drzewo  
z nektaru światła z rozkwitłego nieba  
z rdzenia słońca może ze szronu

dźwiga misterną gałąź by zawiesić ją  
na dobrze obliczonej konstrukcji  
[...]

rośnie drzewo rodzi owoc  
w jego cieniu chłodzą się wciąż nowe metafory  
które oplatają pień niczym węże  
syczą swoje pokusy chcą odmienić losy  
świata – świat przeraźliwie milczy

Zacytowane tu fragmenty (także i cały utwór) mogą stać się punktem wyjścia do rozważań o poezji A. Gnarowskiego. Nieprzypadkowo autor tomiku *Do końca...* umieścił ten właśnie wiersz na początku swojego zbioru. O tym tomiku będzie tu mowa, ale najpierw chciałabym zwrócić uwagę na charakterystyczne cechy poezji autora, które sprawiają, że jego wiersze są tak rozpoznawalne i jakże inne od wielu nam znanych. Poeta często ujmuje niektóre wersy w cudzysłów – w kontekście całego wiersza są one bardzo ważne, niekiedy przybierają postać sentencji naprowadzając czytelnika na jakiś ważny trop myślowy. Cytuje nie tylko twórców kultury z różnych epok, ludzi nauki, ale także i tych, np. przyjaciół, znajomych, których słowa stały się w jakiś sposób ważne, godne zapamiętania. Wplata ich wypowiedzi we własny utwór, tak że czytelnik ma wrażenie, iż są one w tym momencie, w tym miejscu niemal niezbędne. Wiele utworów autor opatruje mottem. Niektóre własne frazy ujmuje w nawias. Każdy z tych zabiegów pełni wyznaczoną mu już z góry funkcję i współgra z treścią wiersza. Zaintrygował mnie ów nawias spotykany przecież w poezji, ale nie tak często jak u A. Gnarowskiego i może nie w sposób tak przykuwający uwagę. Sądzę, że wersy ujęte w nawias są tu świadomie i z góry zaplanowane – to mają być słowa ważne, nieobojętne dla wiersza, wzmacniające jego wymowę, podkreślające ideę utworu. Oczywiście są też lirycznym dopowiedzeniem, myślowym przerywnikiem, a czasem refleksją wynikającą z wcześniej wprowadzonego cytatu, jak np. te oto:

Nietzsche: „Bóg umarł”  
(stanął przed plutonem egzekucyjnym. Wśród kosmicznych pyłów. Pozostał po nim dzień roztańczony w kadrze)

albo:

I ma w sobie serce świata  
O Tołstoj (w mozaice zdarzeń) poeta wspomina:  
„Miał wszystko, więc nie miał nic”  
A na Polanie i w Ogrodzie jesień pełna chwały  
Twoje oczy połyskujące uśmiechem. Zima przyczojona

Jak szara suka pod gołym niebem. Martwa przestrzeń  
A prószą płatkami. Baruch Spinoza patrzy w lustro  
i myśli: „Czas ma zawsze czas”. W archipelagu gwiazd  
(nie wierzy że lustra odbijają tylko lustra)

Zdaję sobie sprawę z tego, że zacytowane tu fragmenty nie oddadzą w pełni funkcji cudzysłówów, nawiasów, także i motta; trzeba rozpatrywać je w kontekście całego utworu, bo tylko wtedy się wzajemnie i harmonijnie dopełniają. A każdy wiersz potwierdza, jak wiele artystycznych możliwości dają takie zabiegi i jak zapewne są trudne i wymagają nie lada talentu. Czasem włączenie zaledwie jednego cytatu do wiersza już wymaga wiele uwagi, skupienia, by artystycznie uzasadnić jego obecność.

Zwrócił moją uwagę wiersz *A topole rozbie-  
rają się z liści...* podejmujący temat przemijania obecny w jakże wielu utworach A. Gnarowskiego. I gdybym uznała ten temat nawet za nadrzędny, to chyba nie popełniłabym wielkiego błędu. W dwu siedmiowersowych strofach autor wspomina odejście znanej mu osoby”. Oto pierwsza strofa:

Dziewięć razy obróci się ziemia –  
„Wichura zdarła nocą wszystkie liście z drzewa”  
Roztrzaskając powietrze sięgam coraz wyżej  
Jakby wołaniem z góry (zobaczyć kształt jej twarzy)  
W półmroku wąskiego korytarza. Na ścieżce  
[zagubionej  
w czasie (po roku jej śmierci słyszę zapomniane kroki)  
Wszedłem do mieszkania i powiało pustką

Ale ten utwór ma nieoczekiwane zakończenie tak zapisane:

PS  
Wczoraj umarł Starowieyski za skrzydłami kobiet  
Które mają poruszać ramionami świata

Tego rodzaju dopisek (często spotykany w listach) okazuje się tu niezwykle istotny, wnosi jakby nową artystyczną wartość polegającą na tym, że cała wypowiedź zostaje wzmocniona – te zaledwie dwa wersy potęgują dramat naszego przemijania.

Ciekawym w poezji A. Gnarowskiego jest to, że podmiot liryczny w bardzo wielu utworach zwraca się do ukochanej kobiety. Szerzej pisałam o tym dzieląc się z czytelnikami refleksją po lekturze tomiku *Ty...* Ten wykreowany darem

wyobraźni świat jest jej zadedykowany. Poeta czyni to delikatnie, subtelnie, niekiedy w jednym czy dwu wersach, ale czujemy, że jej postać włączona jest w krwiobieg wykreowanego świata, dopełnia sobą i czas, i przestrzeń, a więc te kategorie, które łączą to, co przecież tak oddalone – Początek i Koniec. Oddalone, a jednak spięte klamrą – może naszego istnienia? W tym właśnie czasie i w tej przestrzeni (od mitologicznej, biblijnej aż po nam współczesną) obecny jest podmiot liryczny, on tu jest duchem sprawczym tego, co się wydarzy, on magią wyobraźni potrafi z niej wywieść świat rzeczy i pojęć, ożywić postacie, wprowadzić je często *in medias res* lirycznej sytuacji, udzielić im głosu, wysłuchać ich racji, ale też i przedłożyć swoją. Wiersze A. Gnarowskiego stają się w tym momencie pełnym artyzmu poetyckim przewodnikiem po świecie kultury. Ale w tym świecie, co chyba najistotniejsze, na pierwszym miejscu jest człowiek przeżywający swoje jednostkowe istnienie, którego, niestety, nieodłączną cechą jest przemijanie.

Czytając wiersze A. Gnarowskiego podziwiać możemy wiedzę, erudycję autora, ale też niezwykłą umiejętność operowania słowem. Niekiedy nie wiemy, która z tych dwu warstw – erudycyjna, filozoficzna czy ta artystyczna, językowa – bardziej nas pociąga.

Andrzej Gnarowski, *Do końca...*, Wydawnictwo Adam Marszałek, Toruń 2010, s. 122.

### **„Rozpiąć słowa na harfie duszy”** (o wyborze wierszy Stanisławy Jarmakowicz)

Dokonanie wyboru wierszy nigdy nie jest rzeczą łatwą dla poety. Spośród tak wielu napisanych ma wyłonić te, które są mu najbliższe, z którymi łączy go szczególne emocjonalne przeżycie, jak i te, które znalazły uznanie zarówno w oczach czytelników, co i w opinii krytyków.

Stanisława Jarmakowicz wybrała chyba tę najwłaściwszą drogę, prezentując swoje utwory w kolejności, w jakiej powstawały. Z każdego tomiku – a jest ich w jej dorobku poetyckim aż siedem – wybrała po kilkanaście wierszy, niejednokrotnie opatrzonych datami. Taki układ pozwala prześledzić nie tylko drogę twórczego rozwoju autorki, ale i to, co na przestrzeni wielu lat stawało się udziałem podmiotu lirycznego

(myślę, że możemy go tu w znacznej mierze utożsamić z osobą poetki) zarówno w odniesieniu do przeżywania własnej codzienności, jak i w szerszym rozumieniu, a więc do tego, co dotyczy przeżywania świata. Świata, który ciągle na nowo niepokoi i na nowo urzeka. Świata, który w wierszach S. Jarmakowicz oferuje nam całą swoją różnorodność barw i odcieni, całe swoje piękno, jakby chciał nas nimi zauroczyć, zniewolić, a tym samym i złagodzić nasze zmagania z przeciwnościami losu. Mamy więc jakby dwa bieguny twórczości poetki: z jednej strony codzienność (każdy przeżywa ją przecież na swój jedyny sposób), z drugiej strony rzeczywistość, w jakiej ma się to nasze „ja”, ta nasza codzienność realizować. To schemat odwieczny naszego uczestnictwa w świecie, będący poniekąd wykładnią naszego życia.

W wyborze Stanisławy Jarmakowicz znajdujemy wiersze o różnorodnej tematyce: obok refleksyjno-filozoficznych, podejmujących trudny wątek przemijania ludzkiego istnienia, są utwory mówiące o urokach natury, potrzebie miłości, trudach życia, pięknie ulotnych chwil czy też okolicznościowe, pisane przy różnych okazjach.

Temat przemijania życia człowieka pojawia się już w początkowych wierszach poetki i towarzyszy jej również w dalszych tomikach – autorka wiele utworów poświęciła Mężowi, utrwalając pamięć o nim. Jego odejście spowodowało pustkę i samotność, z jaką musiała się zmierzyć. Ale życie toczyło się dalej i mimo wszystko trzeba było żyć, mieć jakieś plany: „może nawet coś namaluję – napiszę” (poetka jest również malarką), choć niekiedy pojawiała się smutna refleksja, że przecież to dalej trwające życie nie będzie już takie samo. Stąd też i retrospektywne powroty do wspomnień, przywołanych nieoczekiwanie to zmieniającą się aurą, to porą roku, subtelnym dźwiękiem znanej dawnej piosenki czy zapamiętanym miejscem.



Podmiot liryczny w swojej mądrości rozumienia ludzkiej egzystencji, w którą odejście jest nieodwołalnie wpisane, stara się jednak:

Przyjąć ciszę krzyżącą  
Odległość która dzieli  
Zimno które przenika  
Niebo które słucha

I noc gwiazdami rozmodloną

Niech więc pamięć o bliskich będzie jak „nić powracalna”, a nasza „myśl serdeczna” ciągle biegnie za nimi. W taki właśnie piękny, liryczny sposób poezja S. Jarmakowicz uczy afirmacji życia we wszystkich jego przejawach, nawet tych najboleśniejzych.

Zagłębiając się dalej w utwory poetki, zauważamy w niej przedziwne bogactwo nastrojów: od żalu, tęsknoty, lęku przed samotnością po zdumienie urodą świata, zauroczenie pięknem natury, radością, jakie daje obcowanie z przyrodą. I, co ciekawe, ta różnorodność nastrojów łączy się z bogactwem barw („Ruchem pędzła na własne potrzeby nastroje zmieniam”) – to „wejście w kolor” jest jak wejście do zaczarowanego ogrodu pełnego świetlnych dźwięków i zapachów; stąd można już tylko wynieść „słońce pod powiekami”. Niewątpliwie w kreacji wielu poetyckich obrazów pomagają autorce jej malarskie predylekcje.

Zaciekawiły mnie w tym wyborze wiersze mówiące o poezji, o zmaganiu się z materią słowa i o poecie, który z tym słowem się mierzy.

Wiersze *Muza* czy *Niewdzięcznica* przynoszą skargę na Poezję jako kapryśną i niestałą przyjaciółkę, ale skargę pogodną, lekką, wyrażającą nadzieję, że podmiot liryczny poradzi sobie z ową niewdzięcznicą. W utworze *Odpowiadam*, zaczynającym się od pytania „dlaczego piszę”, które zadaje sobie przecież niejeden twórca, autorka wini za to... ciszę, bo w niej doznaje tego, co nazywamy poetycką weną. I słusznie, bo przypomnę tu angielskiego romantyka Williama Wordswortha, który uważał, że „poezja bierze początek ze wzruszenia rozpamiętywanego w spokoju”. Z kolei w wierszu *Chciałabym* autorka wyraża pragnienia dotyczące swojej poezji, gdy w pierwszej strofie pisze:

Chciałabym moje słowa  
Rozpiąć na harfie duszy  
Niech drgają śpiewne struny  
By pieśnią serca wzruszać

Te słowa można by uznać za poetyckie *credo* Stanisławy Jarmakowicz. Sądzę, że wiersze poetki z Bolesławca potrafią wzruszać swoim głębokim humanizmem, że pisane prosto z serca chwytają za serce odbiorcę. Andrzej Dębowski, doceniając taki właśnie klimat wierszy S. Jarmakowicz, napisał: „Ta poezja rozbudza i kształtuje wrażliwość”.

Krystyna Cel

Stanisława Jarmakowicz, *Wiersze wybrane*, OW „STON 2”, Kielce 2014, s. 144.

Karol Czejarek

## Spotkanie z Janem Chruślińskim w Chmielniku

Przyjąłem zaproszenie na promocję książki Jana Chruślińskiego pt. *Starość zaczęła się wczoraj*, gdyż od dłuższego czasu jestem pod wrażeniem pisarstwa Jana Chruślińskiego. Autora poznałem bardzo dawno temu, jeszcze w latach pięćdziesiątych ubiegłego wieku, kiedy wspólnie uprawialiśmy kolarstwo; On w kadrze LZS-ów ścigał się z powodzeniem na szosie, ja raczej byłem kolarzem torowym. Potem na wiele lat straciliśmy kontakt ze sobą. Los złączył nas ponownie, gdy Janek Chruśliński przyszedł do mnie

z maszynopisem książki *Życie wpisane w historię*, a potem z drugim – *Starość zaczęła się wczoraj*. Do pierwszej napisałem wstęp (zafascynowany jej treścią), a do drugiej – posłowie. Obie książki są znakomite! I stwierdzam to nie jako przyjaciel autora, a literaturoznawca i filolog. Wcześniej jeszcze autor wydał *Rozstania i powroty* i *Tak było... Wspomnienia oficera wojsk drogowych*, które ukazały się w 2009 i w 2010 r. A więc już w sumie 4 książki.



Najnowsza – *Starość zaczęła się wczoraj*, to powieść o człowieku, który dowiedział się o tym, że ma raka i zaczyna walczyć z tą okropną chorobą, z wyrokiem śmierci – jak mu się wydawało. Bohater książki najpierw anali-

zuje życie, jakby już miał się z nim pożegnać, ale wkrótce – po otrząśnięciu się z szoku – podejmuje walkę. Zaczyna o wszystkim, co jeszcze przed nim, myśleć optymistycznie.

Powieść jest historią człowieka, który szczęście znajduje z dala od wielkomiejskiego zgiełku. Który szuka wytchnienia w miejscach otoczonych bujną przyrodą i pachnącymi kwiatami oraz zwykłymi, jakże pięknymi łąkami.

Tę książkę, opowiadającą o kruchości naszego życia, absolutnie warto przeczytać. Jest to książka o dobrze spełnionym obowiązku wobec własnej rodziny, wobec kraju, wobec „małej ojczyzny”, z której się pochodzi, gdzie znajdują się rodzinne korzenie.

Książka uczy przewyżczać trudne chwile, jakie każdego z nas spotykają w życiu. Młodość przeplata się ze starością, a przyjaźń z samotnością.

Gratuluje autorowi tej powieści także z tego względu, że przechyliła ona szalę przyjęcia go w poczet członków Związku Literatów Polskich. Legitymację ZLP uroczystie wręczyła mu podczas promocji książki wiceprezes Kieleckiego Oddziału Władysława Szproch, która odczytała swój zadedykowany pisarzowi wiersz.

Jan Chruśliński jest już autorem dojrzałym o wyrobionym, własnym stylu. Jest pisarzem, który wzrusza i pozwala spojrzeć na życie ludzkie – mimo wszystko – optymistycznie. Także na naszą historię i współczesne właśnie polityczne; pozwala dostrzec w tym wszystkim ogrom cywilizacyjnego postępu naszego kraju.

To była niebywała uroczystość. Nie uczestniczyłem dotąd w podobnej imprezie. Miała miejsce 11 maja w sali kinowej Centrum Kultury, wy-

pełnionej po brzegi publicznością, w obecności władz gminy, na czele z burmistrzem Jarosławem Zatorskim, przy udziale pisarzy Ziemi Kieleckiej i całego miejscowego środowiska. Wpisana była w coroczne Dni „Święta Polskiej Niezapomnianki” organizowane z inicjatywy nieżyjącego już redaktora „pogodowej” radiowej jedyńki – Andrzeja Zalewskiego. Na uroczystość przybyły liczne delegacje z całej Polski, także z pobliskiego Buska-Zdroju, z którego autor pochodzi, a z Chmielnikiem związany jest poprzez żonę.

Przed spotkaniem w Centrum Kultury i na Chmielnickim Rynku w miejscowym kościele parafialnym odprawiono Mszę św. w intencji autora oraz zmarłego – pochodzącego z Świętokrzyskiego – red. Andrzeja Zalewskiego. A homilia wygłoszona podczas tej liturgii oparta została na cytatach omówionej tu książki, którą autor zadedykował żonie Izabeli i synom: Tomaszowi i Marcinowi.

Młodzież Szkoły Podstawowej im. Stefana Żeromskiego w Chmielniku przygotowała specjalne przedstawienie teatralne oparte na promowanej książce Jana Chruślińskiego w reżyserii nauczycielek Danuty Gajek i Anny Idzik. Promocję uświetnił swoim występem baryton Andrzej Zagdański – znany śpiewak Opery Narodowej.

Licznie przybyli goście zwiedzili również Muzeum Żydów, które rozmachem i ekspozycją przewyższa wszystkie tego rodzaju muzea, jakie dotąd widziałem w Polsce. Przed wojną Chmielnik zamieszkały był przez ponad 85% polskich Żydów i ich pamięci poświęcona jest ekspozycja kultury polsko-żydowskiej.

Na długo zapamiętam swój pobyt w Chmielniku, gościnność gospodarzy miasta. Gratuluje też Chmielnikowi wspaniałej Biblioteki i zaangażowanej w jej rozwój kierowniczkę Ewy Wawrzyk.

Karol Czejarek

Jan Chruśliński: *Starość zaczęła się wczoraj...* Wydawnictwo Biblioteka „Bez podziałów”, Kielce 2013, s. 228.

PS. Karol Czejarek jest członkiem Warszawskiego Oddziału ZLP, profesorem Akademii Humanistycznej im. Aleksandra Gieysztora w Pułtusku; tłumaczem m.in. Hansa Hellmuta Kirsta (także redaktorem jego *Dzieł zebranych*; wydał m.in. monografię o Annie Seghers, *Polska między Niemcami a Rosją* (wspólnie z Tomaszem G. Pszczółkowskim), antologię *Sonata wiosenna* i inne.



## Wiersze Marii Włodno na tle nurtów i modeli poezji

Niewielki zbiorek poezji Marii Włodno pt. *Słowa prawdziwe* przeczytałam z prawdziwym zainteresowaniem tym większym, że autorka znana



była do tej pory tylko z prozy. Obecnie raczej rzadko się zdarza zbiorek poetycki, który mówi o czymś ważnym. Poetka przemawia po swojemu, odważnie prezentuje każdy problem, nie schematyzuje formy, dobiera do każdego tematu właściwą

postać językowo-artystyczną. Zasadą naczelną dla niej jest prostota, lakoniczność, wyrazistość, a niekiedy nawet surowość, jeśli tego wymaga temat. Ilustracją takiego stylu będzie wiersz *Podział*: „Wolę być/ znieawidzona/ za mówienie prawdy/ niż kochana/ za śmiałość/ skomponowane kłamstwa”. Odsłania w nim wprost, bez kamuflażu, swoją postawę moralną, ale i artystyczną. Jest to przykład tzw. poezji autentyzmu czy poezji konkretnej<sup>1)</sup>, nurtu dziś mocno rozwiniętego, który cechuje się prostotą, skąpą metaforycznością, choć często całe wiersze są wielką metaforą<sup>2)</sup>. Co do formy tej poezji (jej „ciała”), to nazwałabym ją poezją gołą, bez ozdobników, a co do jej duszy – jest to poezja głębszego sensu. Nie byle jakim asem tego modelu poezji okazuje się Maria Włodno. Co jest jej siłą? „Poetyckość” przytoczonego wiersza przejawia się w specyficznych środkach stylistycznych, np. w tym, że jego idea opiera się na paradoksie i antynomii – sprzeczności znaczeń wyrazów. Język utworów M. Włodno jest prosty, ale jednak rygorystycznie kontrolowany. Słow-

nictwo cyzelowane, najtrafniej dobierane, by lapidarnie, ale precyzyjnie wyrazić myśli. I na tym właśnie polega poetyckość wierszy tego nurtu<sup>3)</sup>: na prostocie, na celnych metaforach, stosowanych z umiarem, na ważkości i precyzji myśli, często na zaskakującym pomysłem, na trafności słownictwa. Utworów na takim poziomie na tle ogólnego zalewu wydawniczego zbiorów poetyckich jest niewiele – ciekawych treściowo, głębokich ideowo i niebanalnych artystycznie. Tomik Marii Włodno się wyróżnia już samą powagą tych założeń.

Najcelniej prezentuje te wiersze w krótkim wprowadzeniu do tomiku sama autorka: „...tematem ich jest życie ze wszystkimi zawirowaniami, radościami i pułapkami, a także porcją refleksji, optymizmu i przestrogi. Te wiersze są szukaniem nowego poziomu, nowych wartości oraz weryfikowaniem starych”. I jeszcze na jedno stwierdzenie warto zwrócić uwagę: „...nie ma w życiu małych spraw ani małych, nieważnych ludzi. Ważny jesteś Ty”. A więc wszystkie sprawy są po ludzku istotne i wszystkie wiersze, ale my przyjrzymy się jednak tylko niektórym. Jakie tematy w tej poezji wysuwają się, według mnie, na pierwszy plan?

Chyba najbardziej znamienne są utwory o tematyce moralno-obyczajowej. Przykładem najtypowszym jest aforystyczny wiersz *Bez drogowskazów*: „Wkrótce/ Zostaną usunięte/ z autostrady/ znaki ostrzegawcze/ i informacyjne jako/ pobrzmiwające kaznodziejstwem./ Szczęśliwej drogi!”. Gorzko-ironiczna pointa zastępuje cały komentarz. Poetka demonstruje, że świadomie wybiera taką tematykę. Czy zatem ten wiersz o bardzo ważnej społecznie treści jest utworem publicystycznym, jak słyszy się czasem zarzuty względem tego rodzaju poezji? Ten współczesny arcykrótki moralitet jest jakby

<sup>1)</sup> Jan Darowski, piszący niekiedy podobnym stylem, powie: „zaraz przyklepię temu jakąś etykietę powiedzmy: poezja konkretna” (Waga powagi).

<sup>2)</sup> Por. T. Dobrzyńska, *Metafora*, Wrocław, „Ossolineum” 1984, s. 6.

<sup>3)</sup> Z. Antolski otrzymał w 1986 r. prestiżową nagrodę im. Andrzeja Bursy za tomik *Okolica Józefa*, charakteryzujący się właśnie surową prostotą i siłą poruszonej problematyki. (W jury konkursowym pierwsze skrzypce trzymał wtedy T. Nowak). A przecież Antolski znany jest też z bogatej metaforyki. To on sformułował zdanie: „Poezja na metaforze stoi”. Ale potrafi też zaprezentować odmienny model poezji – reportażowej, tzw. konkretnej. Podobnie jest z Julią Hartwig i innymi.

bilansem ukazywanych dość często zagrożeń moralnych w naszych czasach. W wierszach *Wybór, Nowoczesność, Gra, Metoda* autorka wytyka dzisiejszemu pokoleniu schematyzm mentalności, płaskość, minimalizm duchowy i myślowy. A są to postawy nagminne. „Miłości wbito nóż w plecy” – powiada z bolesną świadomością grozy.

Można by tę poezję, jak cały nurt poezji autentyzmu, obciążyć pejoratywnym mianem moralizatorstwa. Ale czy była kiedykolwiek wolna od tej tematyki znacząca poezja, zwłaszcza polska? A Mickiewicz, Słowacki, Krasiński, Norwid, Herbert i wielu innych? W poezji światowej choćby genialny Eliot, który bolał nad pustką duchową ludzi swojego czasu (*Wydrążeni ludzie*), nad zaniechaniem ładu moralnego i uważał, że ratunkiem może być powrót do tradycyjnych wartości chrześcijańskich. Jakaż inna tematyka miałaby być „godna” prawdziwej poezji, jeśli nie moralno-egzystencjalna? Czy ma nią być głównie erotyka, często pornograficzna, jak to ma miejsce w dużej części dzisiejszej liryki? Nie mówię o prawdziwej miłości, szerszej niż tylko erotyczna, której etos przewyższa inne. Wszystkie motywy, które są bliskie człowiekowi, mają rację bytu w poezji, jeśli postacią literacką dorastają do tej rangi, jeśli utwór przeżywamy estetycznie, a jego przesłanie, jego sens nas porusza czy przekonuje. Znakomity polski krytyk emigracyjny, wybitny tłumacz poezji i dobry poeta, Jan Darowski, wnikający głęboko w istotę pisarstwa i bycia poetą, słynący z bardzo ostrych sądów o niektórych twórcach i nawet z „piekącego” języka, stwierdza: „Mówimy poeta. Czy oznacza to wiersze? Niekoniecznie. W wielu sławnych wierszach antologicznych nie ma ani jednej kropelki prawdziwej poezji, a niejedno pozornie czysto prozaiczne zdanie jest nią przesiąknięte. Bo poeta jest nie tyle przez dar wiązania i stawiania snopków sztucznej mowy, co przez intencję językową, wiarę w słoworzecz<sup>4)</sup>”. Innym razem (w „Oficynie Poetów” 1970) napisał znamienne słowa: „Sztuka to nie sztuczność, a najlepsze wypowiedzenia się samego życia, czyli etyki, polityki, religii itd. Chyba że nie mówimy o poezji, a retoryce, która mówi, a nic nie wypowiada, która jest sztuką mówienia obojętnie o czym i w jakim celu, byle efektownie.

<sup>4)</sup> J. Darowski... s. 60.

Lecz za sztuką prawdziwą stoi zawsze prawdziwy cel. Im większy cel, tym większa sztuka<sup>5)</sup>”. Musimy jednak oddzielić sztukę, a więc i poezję, od produkcji ideologicznej. Agitacja polityczna czy propaganda typu socrealizm lub narzucana utworom współczesna ideologia, wyjaławiająca duchowo, same się literacko degradowały. Dzieło musi mieć ducha, i to wyrazistego. Utwory M. Włodno go mają.

Własny stan psychiczny i rozwój wewnętrzny człowieka oraz praca nad sobą – to kolejna ważna i licznie reprezentowana grupa tematyczna w jej zbiorze. Najciekawszym przykładem jest wiersz *Poziom orła*. W pierwszej jego części poetka prezentuje sedno sprawy – „być sobą”. Druga część jest apostrofą poetycką zwróconą do „wroga”, tzn. do spersonifikowanych przeciwności człowieka, zewnętrznych lub wewnętrznych, z którymi podmiot liryczny toczy walkę: „Jednak wiedz,/ że wygram ja,/ a ty/ będziesz złotym ogniwem/ w łańcuchu mojego szczęścia”. Choć jest to wiersz wyraźnie o tematyce moralno-psychologicznej, to nie ma tu banalnego moralizatorstwa. Za pomocą środków artystycznych (metafora, apostrofa, personifikacja, rola tytułu), z dużym umiarem użytych, autorka wyraża ważne dla rozwoju osobowości przesłanie – pokonać siebie i wzrosnąć duchowo – wzlecieć. Jan Paweł II wzywał: „Wyptyń na głębie”. Inna metafora – sens ten sam.

Kolejny wiersz z tej grupy to *Niepogoda*, krótki, będący w całości metaforą: „Zawierucha/ śnieg w oczy!/ A ja idę z radością,/ bo taka zawierucha!”. Można go dosłownie rozumieć; stwarza piękny obraz. Ale bardziej nas pociąga druga płaszczyzna znaczeniowa i sens paraboliczny. W życiu, często trudnym, robi się coś wbrew przeszkodom; one służą naszemu wewnętrznemu rozwojowi, są dopingiem w określonym działaniu. Jest to wiersz z rodzaju utworów, można powiedzieć: dydaktycznych, ale nie jest banalnie moralizatorski. To dydaktyka wyższego rzędu. Poetka nie sięga może bezpośrednio po wzorce tego typu moralistów, co np. Miłosz, Różewicz, Herbert albo wybitny, choć jeszcze mało w Kraju znany poeta emigracyjny, pozostający w zakresie tego typu twórczości – Tadeusz Sułkowski. [...] Chodzi o to, aby tylko nie banalizować, a jak widzimy, Włodno nie słyca, zawsze porusza

<sup>5)</sup> J. Darowski, *Eseje*, Rzeszów 2013, s. 110.

istotne sprawy życiowe i ukazuje jakieś głębsze dno. Czasem każe się sedna domyślać i może aż tak mocno je ukrywa w metaforze realiów codzienności, że w pierwszej chwili nie potrafimy go dostrzec.

W tematyce dotyczącej miłości, obejmującej różne jej aspekty, znajduje się w tomiku M. Włodno m.in. bardzo oryginalny liryk *Matka* z nadzwyczaj trafnymi i ciekawymi metaforami, np. „Od świtu/ stoi u wrót Nieba/ z petycjami/ listami pochwalnymi/ i wielką gitarą”. Jest to jeden z piękniejszych wierszy o matce – prawdziwa poetycka perełka.

Warto się jeszcze zatrzymać nad wierszem *Bluźnierca*, który różni się od poprzednich tym, że w tamtych bohater-podmiot liryczny to zwycięzca w walce z przeciwnościami – tu zaś bohaterka jest ofiarą swego fatum, uosobionego w złym człowieku, który ją w dzieciństwie boleśnie zranił na całe życie. „Rana cały czas krwawi./ Piętno nie daje się usunąć./ Dziewczynka ukryta w Dorosłej/ wzywa/ wszystkie potęgi świata”. Wiersz artystycznie wyważony, język krańcowo prosty, ledwie paroma słowami, ale mocno rysujący dramat ludzki. Przy tym temacie przesadna metaforyczność czy jakakolwiek „ozdobność” byłyby rażące. Nie ma tu także nadmiernego „wylewania” żalu, a mimo to wiersz porusza odbiorcę do głębi, spełniając przy tym zasadę poetyckiego piękna.

Postawę człowieka wobec Boga ukazuje inna grupa tematyczna wierszy, ważna w tym zbiorze, np. *Zdumienie*: „Jesteś/ jedyną/ znaną mi osobą,/ która/ umarła z miłości,/ Boże!”. Originalność wiersza polega na tym, że jest zbudowany na obiegowym frazeologizmie „umierać z miłości”, używanym na co dzień tylko w znaczeniu przenośnym, a tymczasem Chrystus-Bóg realnie umarł z miłości do nas. Podmiot liryczny wiersza pragnie siebie i odbiorcę pobudzić do głębszego wnikięcia w ten fakt, każe spojrzeć tak po ludzku, poprzez rozum i serce w istotę religii chrześcijańskiej i uchwycić jej sens. Prostota tego wiersza, opartego na antytezie, jest porażająca. Wstrząsający kontrast: ważność faktu podkreśla tytuł, a miniaturowa forma i umiar języka minimalizują sztuczny patos.

Wiele z tych wierszy lub ich elementów inspirowanych jest Biblią, np. *Hiob*, ukazujący wieczne wadzenie się człowieka z Bogiem. Tu podmiot to ‘wadzenie się’ traktuje w sposób

sarkastyczny, to znaczy kwestionuje jego zasadność? Tego wadzenia się.

Jednym z piękniejszych wierszy, opartym na motywach biblijnych, jest *Sterowanie*, będący wielką metaforą naszego życia. „Wstrząsa nami sztorm/ do szpiku kości./ Zaczepiam żaglem o chmurę/ lecę w przepaść./ Dobijam do dna/ [...]”. Jedyny ratunek, w oczach podmiotu, to zaufać Bogu, oddać się w Jego ręce. Bardzo znany motyw, sprowadzony tu do zwykłej, ciepłej codzienności, nawet z kotem w tle, staje się nam bliski. Metafory pozabiblijne (bardzo ciekawe) w sposób naturalny wyłykają z realiów konstytuacji. Dla mnie porównywalna jest ta poezja z muzyką gospel niezwykłego Johnny’ego Casha (1932-2003), która święciła tryumfy w latach 70-90. XX w. Johnny Cash, twórca tej niewyrafinowanej muzyki, wywodzącej się z muzyki country (cechującej się prostotą i bezpośredniością), miał na celu, jak sam określił, „stworzyć coś codziennego i nadać temu głębszy wymiar”. I takie też przesłanie odczytuję z wierszy M. Włodno, która zapewne nie wzorowała się wprost na Cashu, ale klimat jego muzyki udzielił się naszemu wiekowi i jego autorom.

Wiersze Marii Włodno, nośne z racji tematu, również poziomem artystycznym wyrastają ponad przeciętność, co przykładowo pokazywałam wyżej. Kiedy się po nie sięgnie, to chce się je czytać po kolei w całości. Chce się je smakować, ale i zadumać się nad nimi. Można się nie zgadzać z jej światopoglądem, ale to jest już sprawa pozaliteracka. Każdy poeta ma jednak prawo swoje poglądy wyrażać dowolnie i w dowolnej formie, aby tylko spełniał wymogi piękna i poczucia sensu (lub jego parodii w grotesce). Te wymogi jednak nie są ściśle określone. Próby narzucenia sztuce kanonów formalnych czy merytorycznych skompromitowały się w dziejach literatury. Właściwymi kanonami są nasze gusty i upodobania, czasem trendy epoki, nasze wyrobienie literackie i wrodzony ‘zmysł’, wycucie Piękna, ale także pojmowanie Dobra i Prawdy. Te trzy klasyczne kategorie są nieśmiertelne.

Poezja refleksyjna jest godna uwagi sama w sobie. Tego rodzaju wierszy jest w zbiorze wiele, np. *Bilans*, *Atak*, *Bazar próżności*. Jest też gorzka ironia wobec powszechnego ignorowania wyższych wartości. „Prawda? Wierność? Uczciwość? Bezużyteczne cnoty” – stwierdza lakonicznie i z sarkastyczną goryczą podmiot-

narrator. Mocne skwitowanie. Ostry osąd nasyższych czasów.

W tomiku są też wiersze filozoficzne (np. *Konflikt*), patriotyczne (np. piękny liryk *Warszawa 1944*), polityczno-obyczajowe, są też wielotematyczne i wielopoziomowe, o złożonej wymowie, jak np. *Pościg*, cały metaforyczny, stąd wielorakość interpretacji. Można go odnieść do różnych sytuacji: politycznych, społecznych, osobistych, np. do relacji osobistej z kimś, względnie do tyranii własnego grzechu czy słabości. Autorka wykorzystuje tu motyw biblijny z *Księgi Wyjścia* (14,21-31). Metafora: „ściana wody”, która „Rozstępuje się przede mną”, natomiast „Spada na prześladowców” i zalewa ich – to pomoc Boga, której nie dał On Egipcjanom, symbolizującym tutaj wroga zewnętrznego czy też wewnętrzne-go: „Nie przeszli”.

A ogólne przesłanie tomiku? Nadrzędnym prawem podmiotu lirycznego tej poezji jest system wyższych wartości. Ten podmiot jest przede wszystkim myślący, czujący i wierzący. A podmiotem staje się tu nie tylko osoba obecna wewnątrz wiersza, ale i czytająca. Obok uczucia na równorzędne z nim miejsce wysuwają się intelekt i sumienie, przez które oceniany jest

współczesny świat. Te wiersze są jak reflektory, które przeświełają na wylot dzisiejszego człowieka, postawy ludzi, trendy obyczajowo-moralne. Z postawy podmiotu wynika osąd świata i gorycz z tym związana, ale i nadzieja wyptywająca z wiary człowieka w siebie samego, z jego godności, i z Bożej łaski dla niego. Tylko z tego źródła mogą płynąć ciepłe promienie pocieszenia ludzkiego: z Miłości Bożej. My, ludzie, aż takiego wsparcia, takiego dobra nie potrafimy sobie wzajemnie dawać. I chyba tak było od zarania, od czasów Adama oraz Abla i Kaina. I tę odwieczną prawdę autorka przywołuje: o człowieku, o załączkach w nim dobra i zła, które może dowolnie rozwijać. Takie jest sedno tych głębokich wierszy. Ukazane są wszystkie najważniejsze dziedziny życia i problemy z nimi związane. Przemyślane co do istoty rzeczy, jak i sprawnie a ciekawie wyrażone językowo. *Słowa prawdziwe* to naprawdę dobra poezja – wiersze nie pierwsze lepsze: niezwykle mądre i piękne.

Zofia Korzeńska

Maria Włodno, *Słowa prawdziwe*, Oficyna Wydawnicza „STON 2”, Kielce 2014, s. 64.

Ryszard Koziej

## **„Szczerze do bólu” – o książce *Do szpiku kości* Krzysztofa Jaworskiego**

Ostatnimi czasy na rynku księgarskim pojawiło się i pojawia sporo książek o pokonywaniu choroby. W większości nie pretendują one do miana literatury pięknej, są bardziej pamiętnikami, oczywiście poddanymi w mniejszym lub większym stopniu literackiej kreacji, najczęściej jednak są zapisem przemyśleń cierpiącego człowieka, który podczas choroby na takie przemyślenia, niestety z racji choroby właśnie, ma po prostu czas. Jeżeli choroba jest poważna, to i przemyślenia oscylują wokół najgłębszych filozoficznych zagadnień.

Przytłaczająca większość pamiętników dla samych autorów jest swoistą psychoterapią pomagającą w walce z chorobą, zaś ich wymowa jest jednoznaczna – powstają ku pokrzepieniu

serc i prawdę mówiąc niemal wszystkie treścić można jako opowieści o tym, jak bohaterowie walczyli i jak zwyciężyli. Ten przekaz adresowany jest do wszystkich czytelników, przede wszystkim podobnie cierpiących, ma wlać w nich wiarę, że najgorszą rzeczą w chorobie jest poddanie się; wszyscy inni także mają odnieść z ich lektury jednoznaczne przesłanie – każdy z nas w życiu boryka się z trudnościami często ponad ludzkie siły, a jednak upór i wiara w poradzenie sobie często czynią cuda.

Książka *Do szpiku kości* Krzysztofa Jaworskiego, choć też o chorobie, zasadniczo różni się od zarysowanego wyżej modelu. Też jest pamiętnikiem, a raczej notatnikiem, dawniej mówiono raptularzem, dziś by trzeba użyć swoiste-



go oksymoronu – intymnym facebookiem, tweeterem na własny użytek. Autor staje się jednocześnie bohaterem, nie jest tajemnicą, że Jaworski od lat zmagają się z chorobą nowotworową, jednak stopień literac-

kiej kreacji wyklucza proste utożsamienie; sporo zdarzeń opisanych w notesie choroby to oczywiście fikcja niezwykle charakterystyczna dla stylu twórczości Krzysztofa Jaworskiego.

Bohater to współczesny mężczyzna, który jak wszyscy chorzy na raka, wcześniej nie wierzył, że akurat on może stać się ofiarą tej choroby. Mężczyzna w wieku największej życiowej aktywności nagle zostaje jej pozbawiony i nie tyle naturalny strach przed możliwym końcem, ile właśnie niedogodności samej choroby są źródłem wewnętrznego buntu. Choroba, jej fizjologiczny, często odrażający wymiar, odziera człowieka z jego godności i narrator książki Jaworskiego niezwykle wyczulony jest na ten jej wymiar. Człowiek chory wydaje się być po prostu kimś gorszym, w świecie zmaterializowanym do granic absurdu, czyli świecie konsumpcyjnym, jest jak jakieś urządzenie, zdaje się być egzemplarzem uszkodzonym, wybrakowanym, zepsutym, można go jedynie albo taniej sprzedać, albo wyrzucić.

Dramat polega na tym, że niekoniecznie tak postrzegana jest osoba chora przez innych, ale przez samą siebie i tak skonstruowany został bohater książki Jaworskiego, tyle że to poczucie niższości dotyczy właśnie materii, korpusu, chorego ciała, nie duszy, czy u Jaworskiego raczej świadomości. Bohater książki zdaje się przez chorobę myśleć bardziej intensywnie, dostrzegać to, czego inni, szczególnie towarzysze w chorobie, sąsiedzi na szpitalnych łóżkach w ogóle nie dostrzegają. W ogóle bohater Jaworskiego także w świecie ludzi zdrowych różniłby się właśnie swoją intelektualną wyczuloną wrażliwością obcą zwykłym śmiertelnikom, w sytuacji choroby wrażliwość podlega wyraźnej hiperbolizacji, co wyraźnie przekłada się na język wypowiedzi

bohatera i styl tych zapisków – mocno groteskowy i miejscami absurdalny. To oczywiście stylizacyjny wybór autora, ale mocno motywowany psychologicznie. Wcześniej mówiłem o odczuciu utraty godności towarzyszącym nam w chorobie. Sytuacja w polskim publicznym systemie leczenia jeszcze to potęguje. Bohater w większości zapisów tego intymnego facebooka albo czeka w kolejce w przychodni na kolejne badanie, albo w szpitalu na kolejny zabieg. Czekają i obserwują: pacjentów intelektualnie jakby z innej planety, siebie samego odartego z godności, gdy intelekt przytłacza zepsuta fizjologia, wreszcie swój intelekt, swoje myśli raz chaotyczne, innym razem, dosłownie i w przenośni – do bólu, albo cytując tytuł książki – do szpiku kości dosadne.

Od popularnych pamiętników wychodzenia z choroby książkę Krzysztofa Jaworskiego różni jednak przede wszystkim jej wyraźna literacka kreacja. To nie są luźne zapiski z pola walki, choć pole walki jest oczywistym tłem tej narracji. To nie jest też książka ku pokrzepieniu serc, raczej odwrotnie, mówienie o godności umierania bohater nazywa pieprzeniem. Słów wulgarnych w zapiskach sporo, co tylko podkreśla ich psychologiczny autentyzm. Bohater nie poddaje się chorobie, ale też ma świadomość, że i choroba się nie poddaje, stąd miejscami zapiski przypominają jakiś klincz, zapaśników, z których żaden nie jest w stanie wykonać jakiegokolwiek ruchu.

Książka opatrzona została podtytułem: *Ostatnia powieść awangardowa*. Naturalne pytanie wirtualnego czytelnika brzmi: dlaczego awangardowa? Odpowiedź zamieszczona jest już w pierwszym rozdziale. Każdy z rozdziałów nosi tytuł zaczynający się od słowa „dlaczego”. To jeszcze jedna wskazówka interpretacyjna: choroba burzy dotychczasowy indywidualny porządek świata, ten porządek trzeba budować na nowo jak w dzieciństwie, stąd ciągle powtarzające się pytanie.

Graficznie książka Jaworskiego bardziej przypomina tomik wierszy. Większość rozdziałów to facebookowe, a czasami wręcz tweeterowe niby lakoniczne, ale niezwykle bogate w skondensowaną treść rozważania mieszczące się na jednej stronie. Podobnie jak w tomiku wierszy, gdy jeden się kończy, następny zaczyna dopiero na kolejnej stronie. Jaworski zresztą dba nie tylko o graficzny układ książki, co *notabene* bliskie jest właśnie awangardzie, wykorzystuje

również wszelkie konwencje literackie dla jak najlepszego zobrazowania stanu psychicznego bohatera. Przykładem może być parodia dialogu platońskiego. Oto dwóch (w domyśle greckich) filozofów przyrody toczy w poczekalni przychodni onkologicznej (swoją drogą pisząc ten tekst popełniłem literówkę i wyszło mi przychodni ontologicznej) całkowicie absurdalny i męczący dyskurs. Dla mnie to nic innego, jak zapis swobodnego strumienia myśli człowieka mającego w gorączce i niemogącego zasnąć. Poszczególne rozdziały książki są więc pełne dialogów, są monologami, jeden jest scenariuszem telenoweli, sporo też przykładów prozy poetyckiej. To zapis wewnętrznego stanu bohatera, jego często z bólu i do szpiku kości cynicznych rozmyślań bez

pozytywnej pointy, ale w jednakowym stopniu opis zewnętrznego świata otaczającego bohatera, świata zdeformowanego i znów przez psychikę wymęczoną bólem do szpiku kości chorobą.

To nie jest książka dla tych, którzy sami będąc chorzy chcieliby u autora znaleźć słowa pocieszenia. To nie jest poradnik radzenia sobie z chorobą. To jest opis rozpaczliwej z nią walki. Dla kogo? Dla ludzi zdrowych, którzy mają chęć narzekać nie wiedząc, co ich może jeszcze w życiu spotkać.

Ryszard Koziej

Krzysztof Jaworski: *Do szpiku kości*, Wydawnictwo „Biuro Literackie” 2013.

Anna Maria Musz

## Książki poetyckie Stefana Jurkowskiego

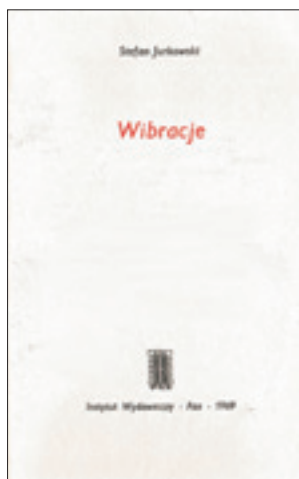
[fragment większej całości]

Początek: *Wibracje* i *Wysokie lato*

### *Wibracje*

Debiutancki tom poety, *Wibracje*, ukazał się w roku 1969. Mała broszurka, wielkości połowy zeszytu, w miękkiej białej oprawie. Jeden z tomików opublikowanych przez Instytut Wydawniczy PAX w serii „Zeszytów Poetyckich”, w której ukazały się także książki m.in. Kazimierza Ratonia, Dionizego Maliszewskiego, Stanisława Srokowskiego czy Aleksandra Nawrockiego.

*Wibracje* to poetycka miniatura – zaledwie 13 wierszy, które zaskakują jednak twórczą dojrzałością i konsekwencją, zwłaszcza biorąc pod uwagę fakt, że napisane zostały jeszcze przez ucznia szkoły średniej. Poetycki debiut Stefana Jurkowskiego pozbawiony był błędów bardzo typowych dla młodej poezji, niezależnie od dekady, w której się ona ukazuje: nie znaj-



dziemy tu ani porywczego, nieprzemyślanego buntu wobec zastanych porządków, ani chęci zmiany świata na własną modłę, patosu ani czułości. Podmiot liryczny unika zdecydowanych sądów i nie rości sobie pretensji do monopolu na prawdę. Zamiast tego twórczo i uważnie obserwuje świat, nazywa i opisuje niepewności, wahania oraz niepokoje. Kocha idealistycznie i wierzy, że dążenie do ideału zostanie nagrodzone – nawet jeśli cel pozostaje niepewny.

*Wibracje* to niezwykły tomik, jeśli spojrzeć na jego znaczenie dla późniejszego dorobku autora. Poetycki styl Stefana Jurkowskiego ulega zmianom, ale mają one charakter raczej ewolucyjny, niż rewolucyjny. Kolejne książki uzupełniają obraz świata (a dokładniej – co szczególnie ważne u tego poety – obraz wszechświata), w żadnym punkcie sobie nie przecząc. Są zatem *Wibracje* wręcz wymarzone, pełnowartościowym źródłem motywów i inspiracji dla kilkunastu książek poetyckich, omówionych w tym rozdziale. To niezwykle spójny, niemal programowy wstęp do całej późniejszej twórczości poety i – wówczas jeszcze zapewne intuicyjne – zasygnalizowanie wątków, które będą dla niego ważne. Spójrzmy choćby na wiersz (\*\*\*) *Idziemy do siebie walczy- my z przestrzenią...*:

Idziemy do siebie walczyliśmy z przestrzenią  
a kroki nasze ciągle ranią ziemię  
tak nieprzychylną naszemu spotkaniu

Słońce zakrywa pragnień moich obłok  
– przedłużam siebie o płód wyobraźni –  
w dłoniach dni przędę naszego zwycięstwa

Czuję własne istnienie w swoim utrudzeniu  
dźwigam swój wielki ciężar nad koronę drzewa  
chcę blisko być – a jestem wciąż daleko

Ty jeszcze niedosiężna – czy idziesz w moją stronę nie wiem  
twoje usta znaczą ślad uśmiechu który mnie zabija  
jedno wiem – że kiedy szedł będę  
to góry ugną czarne grzbiety  
ziemia mi będzie poddana i niebo otworzę

I zobaczmy, w jaki sposób poeta zreinterpretował podobny motyw w wierszu *Idziemy do siebie* z 2012 roku:

krajobraz coraz wyżej ulatuje  
uciekają drzewa w nieznanym kierunku  
dzielą się pola w żółte i zielone kwadraty  
dopóki jeszcze coś je oświetla

nasze kroki uporczywie  
w miejscu  
zbliżają nas?  
oddalają?  
o znikającą busolo naszych złudzeń!

brak punktów odniesienia  
tylko w naszych przestrzeniach wewnętrznych  
rośnie świetlista góra  
na którą z obu stron się wspinamy  
bez żadnego zabezpieczenia

Dwie drogi, dwa dążenia do celu, ale zupełnie różne punkty widzenia. (\*\*\*) *Idziemy do siebie walczyliśmy z przestrzenią...* to spojrzenie globalne: postacie kobiety i mężczyzny umiejscowione w szerszym pejzażu, na nieprzychylnym, pod niesprzyjającym niebem. I wielkie zwycięstwo: ziemia, która podporządkowuje się człowiekowi podążającemu za swoim ideałem, i niebo, które otwiera się przed nim w uznaniu dla bezinteresownego poświęcenia.

O ile wiersz z *Wibracji* staje się uniwersalną przypowieścią o bezinteresownej miłości, o tyle jego reinterpretacja w *Idziemy do siebie* jest kameralnym i osobistym zwierzeniem. Podmiot

liryczny ucieka od świata zewnętrznego i koncentruje się na świecie wewnętrznym – pejzaż drzew i pól zastępuje symboliczna „świetlista góra”, a wszelkie przeszkody należy pokonywać siłą umysłu i uczucia. Idealistyczna wiara w nagrodę i podporządkowanie sobie świata jest już zbędna – ważny okazuje się tylko cel, dla którego warto zaryzykować wszystko. Ale te dwa wiersze nie przeczą sobie – w obu padają pytania o możliwość spełnienia i w obu podmiot liryczny podejmuje podobną decyzję: konsekwentnie zmierza w obranym kierunku.

Charakterystycznym motywem wierszy z tego okresu twórczości Stefana Jurkowskiego jest poszukiwanie przestrzeni. Dominują tu panoramiczne pejzaże, rozległe przestrzenie i konteksty historyczne. Tę przestrzeń widać nawet w pierwszym wierszu z tomu – (\*\*\*) *Las – powiedziec* – i zjawia się przeogromny...):

*Las – powiedziec* – i zjawia się przeogromny

Wymówić – Ziemia – i oto  
całą ją mieć pod sobą w okrągłym majestacie [...]

Napisać – Człowiek – i z mułu słów  
ciało ulepić wypełniające przestrzeń całą [...]

Człowiek funkcjonuje w rzeczywistości materialnej, ale także rzeczywistości złożonej ze słów. „To miejsce jest środkiem świata oraz słowa/ które wypowiedzisz w godzinie zachwytu” – czytamy w wierszu *Środek świata*. Świat słów, pojęć i świat materialny współistnieją na równych zasadach. W kolejnych tomikach poeta wielokrotnie powraca do autotematyzmu i bardzo często nakłada owe dwa światy: opisując rzeczywistość przy pomocy prawideł typowych dla języka i odwrotnie – doszukując się w świecie słów mechanizmów znanych ze świata ludzkiego. Ale cytowany wcześniej wiersz jest ważny z jeszcze jednego powodu – spójrzmy na dwa końcowe wersy:

I wciąż stajemy przed Lasem Ziemią i Człowiekiem  
w pierwszy o ostatni dzień stworzenia

Wizję powtarzalności świata, która pojawia się tutaj po raz pierwszy, poeta kontynuuje i wzbogaca w wielu późniejszych utworach. Historia jest powtarzalna, koniec świata to powrót do początku, śmierć pozwala przejść do stanu, w którym czeka się na kolejne narodziny, a ludzkie życie składa się ze stałych elementów –

choć wcale nie pozbawia go to piękna. W tomie *Codzienny plac zabaw* z 2007 roku, w wierszu *Ciągłość* czytamy:

przecież początek i koniec tworzą koło  
i trwa taniec –

Poeta podkreśla często, że czas – w naszym, „ludzkim” pojęciu – nadaje się tak naprawdę tylko do porządkowania ludzkiej egzystencji, ale nie przystaje do prawdziwej, uniwersalnej rzeczywistości. To człowiek „sadzi drzewa czasu/ nasiona godzin” [...]. Tymczasem – poza nim – kosmos, bieg wydarzeń, przestrzeń, myśl – rządzą się swoimi prawami. Wróćmy znów do *Środka świata*:

To miejsce jest środkiem świata oraz słowa  
które wypowiedzisz w godzinie zachwytu  
swą egzystencją wewnątrz tego koła  
skąd myśl tak równo kulistość obiega  
i jeden punkt znaczą wszystkie linie kroków

Kim jest podmiot liryczny tych wierszy? Po jego dokładniejszą charakterystykę trzeba sięgnąć do następnych tomów Stefana Jurkowskiego. W *Wibracjach* mówiący nie zwierza się bowiem z własnych doświadczeń, nie mówi także wiele o własnej osobowości, sytuacji i kondycji (społecznej lub historycznej). Koncentruje się raczej na relacjach, w których funkcjonuje. Mówi co czuje, nie mówiąc jeszcze, kim jest. Jednak z jego słów można odtworzyć przynajmniej najważniejsze rysy osobowości.

W debiutanckim tomiku jest zatem jeszcze poważny i do bólu prawdziwy (choć zaledwie kilka lat później zamieni się w niezwykle celnego ironistę, bezbłędnie punktującego wszelkie słabości i niedoskonałości człowieka oraz stworzonego przez niego świata). Ma świadomość uczestnictwa w wydarzeniach i mechanizmach, które są od niego potężniejsze – może dlatego w pierwszych wierszach tomu ukrywa się całkowicie za filozoficzno-historycznym obrazem. To człowiek, który widzi i czuje więcej, niż ogół, nie boi się także formułować uniwersalnych przestań, jak w zamykających tom *Tragediach*:

Słowo kładziemy i ono jest wieczne  
– śmierć będzie wspólna światu oraz człowiekowi –  
z naszych kości powstaną kontynuatorzy  
znów będą świat zakańczać  
świat niezakończony

To jednak także wrażliwa jednostka, która odbiera i przeżywa świat zarówno na poziomie intelektu, jak i uczuć: pyta o przyszłość, dąży do celów, kocha, traci, wierzy – żyjąc w poczuciu, że świat (także ten jednostkowy) jest zmienny i zmierza raczej ku katastrofie:

Odchodzę  
w siebie ścieżką mi nieznaną  
i ty odchodzisz w Wielką Tajemnicę

Jesteśmy zgubieni pośród własnych myśli  
i już się pewnie nigdy nie znajdziemy

### **Wysokie lato**

Rok 1975 przynosi pierwszą pełną (jeśli wziąć pod uwagę objętość) książkę poetycką Stefana Jurkowskiego: *Wysokie lato*, wydaną – podobnie jak tom poprzedni – przez Instytut Wydawniczy PAX, a zredagowaną przez Alicję Grajewską. Pięć lat później ta sama redaktor pochyli się zresztą także nad *Zagrożeniem*, odciskając na obu książkach charakterystyczne, niezatarte piętno pewnego uporządkowania. O ile bowiem charakterystyczną cechą późniejszych książek poetyckich Stefana Jurkowskiego jest swobodne przenikanie się i powracanie tematów, o tyle w *Wysokim lecie* i w *Zagrożeniu* zwraca uwagę wyraźne łączenie utworów w cykle poetyckie.

*Wysokie lato* zostało zauważone przez krytykę i przyniosło 27-letniemu autorowi Nagrodę Młodych im. Włodzimierza Pietrzaka. Ta niezwykle spójna tematycznie książka nawet dziś zwraca uwagę, ze względu na bogactwo wyobraźni i rozmach, z jakim poeta opisuje przestrzeń (nie tylko realną, ale także tę ważniejszą – metafizyczną) i czas.

W pierwszych wierszach pojawia się historia, w skali uniwersalnej, ciągła – od początku świata





(„kawału gliny z raj”) do współczesności. W kolejnych utworach z tej globalnie pojmowanej historii wyodrębniają się dwa pojęcia – prawda i pamięć – w skali makro (dziejów ludzkości) i mikro (indywidualnych doświadczeń jednostki). Wreszcie podmiot liryczny koncentruje się na jednostce – na sobie – i na własnych relacjach z drugim człowiekiem. I od tej chwili to właśnie osobista perspektywa staje się sercem opowieści, a historia uniwersalna i mechanizmy nią rządzące docierają do jednostki z zewnątrz.

Kluczem do zrozumienia sytuacji podmiotu lirycznego jest wiersz *Wysokie lato*, który dał tytuł całej książce. Czym jest „wysokie lato”? Może oznaczać apogeum, ale może oznaczać także dojrzałość. Sięgnijmy do samego wiersza (przytaczam go w całości):

Wybiegasz nagle na estradę plaży  
za tobą tropy a przed tobą bitwa  
skudlona fala wyrwa ci ziemię

Tu się oglądasz – komediant strwożony  
a wkoło płoną krzewów dekoracje  
ktoś w ciebie patrzy  
ktoś unosi rękę

Stoisz – a obok przechodzą twe czasy  
więc najpierw wojsko z kasztanów żołędzi  
chłopięcy pałasz wydaje komendy  
później obłoków najłżejsze rumaki  
i znów młodzieniec z zasępionym czołem

Aż wreszcie człowiek – z twojej fotografii –  
z wiotką na ustach gałązką brzeziny  
wokół się łamią lasów ornamenty  
dzwon się zahacza w kolce dzikiej róży

nie wiesz doprawdy co to wszystko znaczy  
twych tropów nie ma – zakończony powrót  
procesja przeszła tyś został jak aktor  
– wciąż w jednym miejscu liczysz piach okłasków

Gdzieś tam zastuka wnet stolarski młotek  
łopata z sykiem zsunie się do piekieł  
a ktoś się patrzy ktoś na ciebie czeka

Wysokie lato – powiadają mędracy

Więc jednak – dojrzałość. Teatr dotychczasowego życia, przesuwany przed oczami i przewidywanie przyszłych scen – aż tego – symbolicznego – stukania „stolarskiego młotka” i wizji zsuwającej się do piekieł „łopaty”. Podmiot

liryczny znajduje się w kulminacyjnym momencie „przedstawienia”, w którym uczestniczy, ale także w kulminacyjnym momencie życia. I jak często w chwili takiego właśnie przesilenia ma wrażenie, że nic go już nie czeka. A jednak i ten teatr, i lęk, i niepokój przyszłości – nie są prywatnym spektaklem. Tajemniczy „mędracy” widzą w nim powtarzalną prawidłowość.

Dojrzałość, w którą wchodzi podmiot i zarazem bohater poezji Stefana Jurkowskiego, nie ma zatem wymiaru jednostkowego. To cała ludzkość dojrzewa. Człowiek współczesny, opisywany przez poetę, czuje się zmęczony wszystkimi minionymi epokami, po których otrzymał nietypowy „spadek”:

Tak znajdujemy: kawał gliny z raj  
szczętek zwierciadła – zimny strzęp kosmosu

(\*\*\* Śmiech...)

Tyle udaje się znaleźć, gdy zaczynamy zadawać pytania o pierwotną przyczynę wszystkiego, o prawdziwy, obiektywny świat, pozbawiony kategorii i pojęć stworzonych przez człowieka. Poeta realistycznie odmalowuje wewnętrzne rozdarcie między przemijalnością:

już nas niewiele  
w tym białym świetle

woskowa siatka wyobraźni  
niby wdowi kwef ochrania pamięć  
i topi się w kawałku lustra

(\*\*\* już nas niewiele...)

a upartą i niepokorną wiarą w to, że nic się jeszcze nie skończyło:

Za bardzo jesteśmy żeby nas nie było  
– patrzmy na krzyże w krajobraz rzucone  
jak tajne litery które wiatr zna tylko  
[...]

Za dużo nas w sobie by uwierzyć można  
że wiatr już nas włożył między listy swoje  
i za nami stoją inni zadufani...

(\*\*\* Za bardzo jesteśmy...)

Co daje ludziom odwagę, by istnieć? Paradoksalnie: obecność człowieka realizuje się nie w jego własnym poczuciu tożsamości, tylko we współistnieniu z innymi ludźmi. Własna wiara (w

siebie) jest nietrwała, a jedyną formą trwania – jest „pamięć drugich”, jak w wierszu (\*\*\*) Żyjemy tylko poprzez pamięć...). Może właśnie dlatego tak ważne miejsce zajmują w omawianym dziele najbliższe i najbardziej osobiste relacje, jakie mogą zaistnieć między dwojgiem ludzi.

*Wysokie lato* – obok wierszy filozoficznych – przynosi bowiem cały cykl utworów ciepłych, o subtelnym liryzmie, w tym znane szerszemu gronu czytelników: *Włosy kobiety słońcem prześwietlone*, (\*\*\*) Drzwi za sobą zamykasz...) czy (\*\*\*) Jesteś mi cieniem...), które trafiły do późniejszych wyborów poezji Stefana Jurkowskiego. Koniecznie trzeba tu jednak odnotować, że nawet liryzm, tęsknota, miłość, rozstania czy niespełnienie stają się wyłącznie pretekstem do opowiedzenia uniwersalnej historii. W *Wysokim lecie* nawet uczucia i osobiste relacje między ludźmi są bowiem wpisane w szerszy kontekst kulturowy. Można nawet odnieść wrażenie, że już w tych wierszach zarysowywała się perspektywa, rozwinięta wiele lat później w jednym z najbardziej znanych utworów poety – *Właściwie z tomu Codzienny plac zabaw*:

właściwie o wszystkim już napisano  
i chłód jesieni  
doczekał się poematów i elegii w deszczu  
właściwie ty już byłeś i ja byłem z tobą  
i nasze rozmowy też już kiedyś były

cała historia słowa metafory  
– mieszanka pamięci i naszych emocji  
bez żadnych granic brzegów kontynentów

nasza rzeczywistość jak owoc jabłoni  
mieszczący w sobie cały kosmos drzewa:  
wszystkośmy opisali oplakali wszystko

właściwie to też było – od początku świata –  
odkąd ludzkość w człowieku  
a człowiek  
w ludzkości

Bohaterowie *Wysokiego lata* nie mają wprawdzie jeszcze tej nieustannej świadomości, że ich historia jest powtórzeniem wydarzeń, które stały się udziałem wielu poprzednich pokoleń, ale już dostrzegają, że „fortuna kołem/ zwykła się wtaczać w kręgi coraz inne” (\*\*\*) Oto się ze mnie rodzisz...), a oni sami są „bogatsi o wiedzę wszechludzkiej niewiedzy” (\*\*\*) dziecko moje...). Miłość w *wysokim lecie* ma wiele odcieni, ale

nie popada w skrajności. Czasem nie spełnia się z winy niewypowiedzianego słowa, innym razem karmi się nadzieją, licząc, że jednak nie wszystko stracone i ratując się tym, co jeszcze trwa:

że choć tyle zatrzymać ta noc dla nas może  
ile najmniejszy motyl w skrzydełkach uniesie

(\*\*\*) dziecko moje...)

Obok zawiedzionych nadziei i niespełnień, jest jednak także nieustannym oczekiwaniem, czuwaniem i troskliwością. Codziennym świętem i dostępną ludziom świętością, dla której chce się „palcom wystawić szczerozłoty klasztor” i jest się gotowym „w błędzie coraz głupieć” (*Bunt liryczny*). Okazuje się siłą, która wszystkie dotychczasowe wartości obraca wniwecz i odsuwa na dalszy plan. Jeśli wsłuchać się znów w rozsądny głos „starszyny”, można także usłyszeć, jak:

A mówią mędrcy, że – T o świat przemienia  
że w krwi jest zaczyn szalonej niewiedzy  
większej niż pożar cichszej niż głąb rzeki

(*Bunt liryczny*)

Ale bliskość w *Wysokim lecie* to także ciepło domu i trud jego budowania. I tu znów docieramy do historii uniwersalnej, ponieważ „dom” równa się „kosmos”. „Taki wszechświat czynię” – powie podmiot liryczny w wierszu *Czynności domowe*, rozważając, że nawet po wykonaniu wszystkich prac pozostanie zawsze „ziarenko piasku – niewymiecione”, zatem żadne ludzkie działanie nie jest doskonałe.

Bohater *Wysokiego lata* bardzo ostrożnie rozpatruje zresztą kwestię „doskonałości”. Właściwie tylko w jednym przypadku decyduje się na idealizację świata, gdy w *Powrotach* opowiada o wspomnieniu dzieciństwa, które staje się najdroższą mu ojczyzną. I choć w tym tomie ironia jest jeszcze o wiele łagodniejsza, niż zaobserwujemy w późniejszym dorobku poety, tu przyjmuje ona szczególną formę. Człowiek – marząc, w myśl *Mojej piosnki* Norwida – o powrocie „Do kraju tego” [...], utopijnie tęskni przecież za ojczyzną już nieistniejącą: „wolną od wstydu podniesionej pięści, za to gdzie w złamanym chlebie/ czytamy twarze wszystkich naszych bliskich”.

Anna Maria Musz

## Wokół poetyckiej książki *Cienie na rozwietrze* Aldony Borowicz

„Modłę się więc za wiek samotności”  
Czyżbym między brzegami budowała pustelnię:  
własną Kapadocję, w której znikną niepokoje?

Aldona Borowicz, *Daleś mi zbyt wiele wyobraźni*

Skoro nie da się powstrzymać przemijania, bo jest ono wpisane w kod każdego życia, to czy da się zmylić samotność odzywającą się w nas? Zmylić, zgubić, stłumić jej podszepty. Często uciekamy w zawrotność życia, „jakby właśnie ten bieg był najważniejszy w historii wszelkich prawd” (*Z wydarzeń pewnego październikowego dnia czyli jesień 1977*). Ale czy nie jest to aby metoda zgubna? Tak czy owak, rozsiada się w naszej psychice dokarmiany własną udręką kornik, ta samotność w tłumie, lub u boku drugiej osoby; „jesteśmy ze sobą / na odległość aż ośmiu milionów lat świetlnych / choć przez ścianę słyszymy oddech” (jw.). Skąd bierze się owo graniczne i dławiące poczucie? Z niezrozumienia przez bliźnich naszego wewnętrznego świata? Po części tak. I gdybyśmy nawet chcieli go objaśnić, wyartykułować, to i tak nie mamy pewności, czy zostaniemy właściwie zrozumiani. Każdy wiek, każde pokolenie ma swoją wieżę Babel. A przecież oprócz różnic na poziomie językowym są jeszcze inne między nami, wynikające z najgłębszych przekonań. Mówienie o intuicyjnie skonstruowanym systemie wartości czy naszej obecności w świecie jest tak trudne, jak niemożliwe było niegdyś przekonanie przez Giordano Bruno współcześnie mu żyjących (nawet myślicieli) do swoich spekulacji kosmogonicznych. Koniec końców spłonął na stosie. A dziś jego wizji (wtedy niepopartej badaniami naukowymi) nikt nie neguje. Może urodził się za wcześnie, może myślami szybował za wysoko? Na pewno uderzał swoją prawdą w tamtą XVII-wieczną próżnię. A to jest już samotność podobna tej, gdy nie można znaleźć własnego miejsca w życiu. Choć „już w chwili poczęcia zostałeś skazany na włóczęgę” (*Z wydarzeń pewnego październikowego dnia czyli jesień 1977*). Próbuujemy miejsc, ludzi, a tak naprawdę dryfujemy za szczęściem, które – jeśli w ogóle zagości – nagle w okamgnieniu

umyka („gdzieś jednak istnieje radość światła / nawet w deszczowym lecie”; (\*\*\*) Gdzieś wciąż ukryta jest radość...). I zbieramy w codziennej wędrówce błyski i rozpaczę, które nas kształtują. Lecz to nagromadzone „bogactwo” skazuje nas niejednokrotnie na samotnię. Przejornie ukrywamy ją przed innymi, co najwyżej odważamy się na wiersz.

Uwięziona w swoim wnętrzu pije piwo i płacze  
A na gałęzi niepozorny rudzik wskrzesza życie  
(*Stara kobieta pisze donos z rajy*)

Myślałam o tym, czytając *Cienie na rozwietrze* Aldony Borowicz. Rozumiałam jej artystyczną odstonę samotności, tak jak ona wiedziała, że tylko wierszem można powiedzieć to niewyraźne uczucie. To i wiele innych, bowiem w jej poetyckiej książce jest bardzo duże nagromadzenie motywów i tropów, filozoficznych przemyśleń wplecionych w codzienność. Jest znakomitą obserwatorką i świetnie rozpoznaje zjawiska. A epizody, okruciny i strzępy układa w logiczną i jej własną koncepcję świata. Oczywiście sytuuje w nim siebie i nie kryje własnych postaw wobec zjawisk. Nie, nie ma w niej buntu (w wierszach), jest tylko zdystansowane i mądre racjonowanie „porcji”, które przynoszą dni, dodajmy, nie zawsze są one łatwe i nie zawsze przyjemne. No, ale jak tu walczyć z ubywaniem nas w nas i nadziei w nas („bo już jest nas mniej we mnie o jedną”; *Przerwany dialog*). W tej nieodzowności rodzi się pełna zrozumienia postawa wobec przemijania i kolei losu, co się dostrzega w wierszach.

a przecież mój dom wzniesiono na fundamencie ich kości  
(*Wieczór wspomnień*)



Pocieszające są w tym naszym przemijaniu pewne zmiany związane z przewartościowaniami, o czym zdaje się mówić „między wierszami” Borowicz. Gdy tracimy po trosze siły i urodę ciała, przychodzi piękno dojrzałości, a słabnące oczy widzą nie tyle ostrzej, co głębiej. „W Wielki Piątek zrozumiałam przebiegłość / jaszczurek, śmigających między głazami” (*Próba samotności*). Dosyć pojemne są te dwa wersy i bardzo charakterystyczne dla autorki. Jej kościołem jest przyroda, natura w najczystszej postaci. To jej obrazami opisuje stany ducha, jej używa do porównań i metafor. Może dlatego, że jest człowiekiem z lasu, z krwi i kości właśnie, które z pełną świadomością oddaje swojemu podglebiu pomału.

Bądź pozdrowiona  
leśna drogo

Czy pamiętasz jeszcze moje bose stopy  
(\*\*\* Bądź pozdrowiona...)

A Bóg, ten wszechmogący, czy pojawia się w obrazach tak, jak najbliżsi ludzie, którym autorka składa hołd za to, że byli lub że są obecni w jej dniach? Owszem, Bóg jest obecny w wierszach ale raczej w domyśle, bardziej wyraźny tam, gdzie stajemy oko w oko z doczesnością, a nawet powszedniością życia („Wracam / z pustką w oczach / z deszczem / z kurczakiem / który połknął własne skrzydła” (*List*)).

nadal nie wiemy czy pomoże nam Bóg  
w zrozumieniu tajemnicy naszej golgoty  
(\*\*\* Gdzieś wciąż ukryta jest radość...)

I uprawomocniona jest taka niepewność, gdy „nadal nie wiemy kim jest homo sapiens” (*Gdy wyjdzie ryba*).

Bohaterka liryczna utworów Borowicz wciąż poszukuje związków bezpośrednich, czyli mentalnych i fizycznych, jak również duchowych z otaczającym ją światem, co przejawia się nie tylko w okazywaniu poczucia wspólnoty z przyrodą (o czym było), ale i z gatunkiem, i swoimi przodkami.

szukam wciąż rodowodu swoich przodków  
nie wiem czy powstałi z wody ognia czy prochu

I dalej w tym samym wierszu:

w śniętych rybach dzieńg wyświechtane symbole  
skąd do mnie przyszedł nie wiem może z ufności  
a może z bólu lub poczucia wspólnoty gatunków  
(*Gdy wyjdzie ryba*)

Światopogląd, który ukradkiem nam podrzuca, jest bliższy naukowemu, bliższy darwinizmowi niż religijnym dysputom. Ale bezwzględnie w wierszach pierwszy głos ma człowieczeństwo pokazane poprzez empatię, lub przez myśl wynagradzającą i słowo „w zamian”, gdy już nic więcej nie można zrobić.

Rozmawiała ze mną  
o wojnie  
i dziecku

Płonęła cała  
trzymając je na ręku  
(*Taniec cementarny*)

W wiersze autorka wpisała wiele ludzkich odruchów, są jak jej własne ślady. Znakomicie wczuwa się (podmiot liryczny) w rozpacz drugiej kobiety, która „kotłuje się / w takt pieśni żałobnej” (jw.). Umie też pochylić się nad czworożnym domownikiem; o, gdyby nie „wspólna smycz”, mogliby być jednością.

ale Trotyl niknie w zaspie zżerany cukrzyca  
przecież jest wybrańcem wspólnego Boga,  
który obdarzył go łaską ludzkiej choroby

by wreszcie się uczłowieczył i wyszlachetniał  
(*Spacer*)

Niezwykle przejmująco Borowicz potrafi mówić poezją o innych (bez których nie byliśmy, kim jesteśmy). Ona filtruje przez swoją psychikę emocje i doświadczenie (konstrukcja psychiczna), świat i ludzi, którzy są jej bliscy, z którymi łączą ją lub łączyły więzy krwi bądź przymierze intelektualne.

Moja matka niegdyś na wpół francuskie dziecko  
biegała do szkoły boso ale zawsze w wytornym  
kapeluszu  
Gdy została eremiką była oddechem lasu  
[...]

Moja matka leżała w szpitalu z odciętą nogą  
Już nie była sarną  
Stała się odłamaną gałęzią w pustelni

I wciąż jest zadrą we mnie  
(*Zamiast fotografii rodzinnej*)

Wiersz bez tytułu zaczynający się od słów: „Puste gniazda spędzają sen z powiek” poświęcił światnemu poecie Zbigniewowi Jerzynie (pojawia się on po raz drugi w *Powidokach z lotu ptaka*).

Jeszcze żyjesz, a już myślą o pochówku.  
Na przekór wszystkim nigdzie nie odchodź.  
Odstaw sanki, aż rdza pokryje płozy.

Tom Jerzyny wydany jako ostatni przed jego śmiercią zatytułowany był *Saneczki*. To warto wiedzieć, ażeby dostrzec na tym i innych przykładach, jak Borowicz koduje w wierszach zdarzenia, „zderzenia” i wypadki. Jak poddaje je poetyckiej obróbce, by nie były wyłącznie informacją czy publicystyką, ale by tworzyły „cień zadumy”, liryczne sensory, które nie tracą na aktualności.

Literackie (oraz malarskie) tropy i konotacje pozostawiła w wielu utworach (*Upadłe anioły*, *Sceneria dantejskiego piekła*, *Wieczór zapomnień*, *Kiedy goj patrzy na ziemię*), co świadczy o jej dużych związkach nie tylko z polską, ale i światową twórczością pisarską. Spójrzmy na piękny wiersz *Ekelöfowa przejrzystość dnia*. Ekelöfowa, czyli jaka? Czy przypadkowy czytelnik lub nawet ten lubiący wiersze jest po jednokrotnym przeczytaniu „przejrzystości dnia” to dookreślić? Być może, ale mnie potrzebne były encyklopedyczne wzmianki, by zrobić sobie do tego obrazu „horyzont rozumienia”. Dopiero gdy poznałam się z pokomplikowanymi życiorysami szwedzkich pisarzy (i z próbkami ich twórczości) Gunnara Ekelöfa i jego żony Gunnel Bergström, którą ze względu na usposobienie, styl życia (porzuciła Gunnara dla Karin Boye, lesbijki) i jej samobójczą śmierć porównuje się w Szwecji do Sylvii Plath, otworzyła się przede mną – trudna nawet do zwerbalizowania – przestrzeń, wielka jak nordyckie niebo i morze, w którym nurza się ogromna złożoność ludzkich natur, psychik i do tego uwarunkowań kulturowych i geopolitycznych. I takimi przestrzeniami do odkrywania operuje Aldona Borowicz.

Gunnel nie płakała. I deszcz też nie padał. A on szedł obcy,  
przez martwe wrzosowisko, ku wiecznemu drzewu, ku agonii.

I zaśpiewał Karin pieśń o diamentowym ostrzu na promie.  
Tak długo, aż wreszcie pojął, Panie, czym jest zawilość dnia.

Zatem mamy do czynienia z poezją erudycyjną, wielowątkową, wielopoziomową i wymagającą od odbiorcy sporej wiedzy z różnych

dziedzin oraz czytelniczego obycia. Jest ona jak tajemnica, którą chce się rozebrać, warstwa po warstwie. Oczywiście każdy wiersz można czytać i przyswoić już choćby tylko na podstawie rzucanych sygnałów i odebranego nastroju. Jednakże dopiero wnikanie w treści i doszukiwanie się w wątkach również pozaliterackich prawd, daje prawdziwe poczucie czytelniczej satysfakcji. W tych wierszach można się rozsmakować.

Jeśli przyjrzymy się temporalnemu wektorowi książki, wówczas zauważymy, że zaczyna się od jesieni i kończy na jesieni, co może sugerować wpisanie „życia” w pory roku, które w tym przypadku stanowią najodleglejsze jej tło („Nie warto prowadzić rozmów o doskonałości pór roku”; *Kiedyś z tamtej strony przyjdzie sen*). W układzie tym pojawia się więc i maj, i wiersz *Kasztań*, który sygnalizuje jeden z ważnych subtematów książki, czyli wątki społeczno-polityczne.

Na początku nigdy nie ma aspektów politycznych  
tylko przypadek  
ofiary

Co potem  
zamazane perspektywy  
powszechna ślepotą  
modlitwy

Wiemy, że nawet historia lubi się powtarzać, nie mówiąc o cyklach przyrody, zgodnie z którymi żyjemy. Zatem i wtedy, i wczoraj kwitły kasztany. I wtedy, i teraz giną ludzie z absurdalnych powodów. Bo polityka jest tym absurdem stawianym ponad wartość najwyższą, ponad życie. Autorka zdaje się nam to uzmysłowić w zacytowanym wierszu, datowanym na 18 maja 1983 roku. „Matka mdleje w oknie / w trumnie zgasło słońce / Oto jak umiemy zabijać perfidnie” (jw.). Czy tą matką była Barbara Sadowska? Czy tym chłopcem był pobity na śmierć przez milicję Grzegorz Przemyski? Szyfry w wierszu i data na to wskazują.

Borowicz, jak na poetkę przystało, znakomicie komentuje przemiany kulturowe, cywilizacyjne (*Wielebny Billy idzie na wojnę z Disneylandem*) czy zwyczajowe. Za przykład może posłużyć wiersz *Nowomoda*, w którym użyła „zajebistej” mowy potocznej. W *Ars poetica* natomiast zapisała z pospolitości ekshibicjonistycznych postaw w wielu współczesnych wierszach, mówiąc: „Nic mnie nie obchodzą wasze cipki i penisy”. Wykorzystuje wtedy język satyry, ironii, niekiedy też

bawi się autoironią, co świadczy o dystansie do samej siebie lub do obserwowanych zjawisk, niekoniecznie mądrych. Czy o uśmiech nie przyprawi ten wywiad w misyjnej telewizji: „Co teraz pan czuje przed swoim zejściem / i jak odbiera nasz świat” (*Klasyk współczesności w misyjnej TVP*). Ale nawet i z tych, zdawałoby się, weselszych obrazków wyziera jakiś smutek i postępująca korozja. Tak, te wiersze są smutne. Słowa sięgają jakichś nostalgicznych pułapów, a wszystko z zadumą spogląda w swoje przemijanie i ciszę.

Wczoraj przyniosłeś zmiążdżone irysy:  
Ostatnie kwiaty, więcej już nie będzie,  
bo ogród zryły buldożery i dźwigi,  
zabij więc w sobie cholerne metafory.  
(*W dolinie śmierci*)

W książce stykamy się z mnogością motywów i odston. Są rozsypane jak szkiełka w kalejdoskopie, których sumy i odbicia (w naszym pojmowaniu i duszy) dają obrazy i układają się w widnokreśli. Ale wszystkie je spina jakiś transcendentny wymiar. W nich tajemnica życia i to, że sam człowiek jest tajemnicą, mają pozostać nieodgadnione, choćbyśmy nawet chcieli inaczej. To nas skazuje na rozważania, równie potrzebne jak niewiadoma w równaniach.

W te rozważania wplecione są od czasu do czasu wątki wzięte z życia, a wśród nich wspomniane tropy społeczno-polityczne, które są rodzajem małych (?) detonatorów. Jedne pochodzą z zalewających nas doniesień prasowych, a niektóre w najnowszej historii Polski mają swoje miejsce i datę, która pojawia się wtedy i pod wierszem. Zawsze jednak w ten czy inny sposób wpisują się w nasze dni i wewnętrzne kody, wpływając na prywatne kosmosy. Świat zewnętrzny połączony jest z naszym wewnętrznym, a tego wychodowanego w nas nie da się nijak odizolować od wspólnego. I o tym wie Borowicz. Prawdę tę zawarła już choćby w konstrukcji samej książki (sekwencje tematyczne), a trzeba wyjaśnić, że nie jest to wybór utworów w klasycznym ujęciu chronologicznym, lecz takie zestrojenie ze sobą wierszy, by opowiadały o ludziach i świecie, który współtworzą i zostawiają w nim swój godny, nikczemny czy zwyczajny ślad. Ona pokazała swój świat, a właściwie poetycki dowód na to, że „Každy człowiek jest światem” (tytuł tomu Gunnara Ekelöfa).

Autorka daleka jest od powierzchowności w wierszu i to zarówno, jeśli chodzi o temat, jak i środki stylistyczne. Stara się omijać typowe sposoby na poezję, pokazując, że odwieczne tematy daje się opowiedzieć oryginalnym językiem („Dostrzegam kontur topoli wokół której płóży się liryzm”; *Krajobraz z dziecięcym wózkiem*). I wprowadza wspomniane wcześniej szyfry oraz własne kody. Powtarzające się w różnych konfiguracjach trawy, są w tej poezji bodaj synonimem życia („Pragniesz też bujnej trawy / chcesz żyć”), natomiast skały i głazy – jego twardym odpryskiem: „Świętość głazu jest losem” (*A głaz pokochał ręce Syzyfa*). W tych pejzażach przechadzają się jeszcze cienie. Potrafią zniknąć, „gdy się nocą wraca do swojego siedliska” (*Powidoki z lotu ptaka*), a w *Scenerii dantejskiego piekła* „Gdy drzewa wysychają cień pozostaje taki sam”. I są wreszcie tytułowe *Cienie na rozwietrze*, które niepokojąco gasną wraz z ubywaniem dni, „więc nie gaś światła w ciemności / Kiedyś przejdzie tędy człowiek / na spotkanie własnego cienia” (*Twoja muza umiera*).

Jest tylko prostota słów  
i nagość

Biały horyzont  
przez który trzeba przejść  
(*Klasyk współczesności w misyjnej TVP*)

Z trzech tylko słów kluczy (jest ich więcej) odpowiednio uszeregowanych możemy skonstruować oś o dosyć wymownym przekazie; trawa – kamień – cień, czyli: życie – los – nieuniknione. A można tę oś jeszcze rozbudować i wpisać weń rzekę, skrzydło (najczęściej odrąbane). Tak, nimi też daje się metaforycznie mówić o nas, ludziach.

*Cienie na rozwietrze* to bardzo wartościowa lektura, wywołująca przedziwny stan czystości ducha (komunia). Zastanawiam się, czy spowodowany jest on prostotą wypowiedzi (język), czy szczerością i szlachetnością tonów? Ale tego już każdy sam może dociekać. Dodam tylko, że tak pomyślany wybór wierszy właściwie jest jak niepojęte życie, które zdaje się być poza wszelkim orzekaniem.

Elżbieta Musiał

Aldona Borowicz, *Cienie na rozwietrze*, Wydawnictwo Adam Marszałek, Toruń, 2014, s. 80.

## Haiku kunsztownie rymowane

„Każdy wiersz haiku jest obrazkiem-szkicem, który notuje aktualny stan jakiegoś wycinka świata w sposób najpełniejszy, ponieważ oddaje jego barwę, muzykę, nawet zapach i całą otaczającą go atmosferę, działającą na uczucia poety i czytelnika” – konstatowała Agnieszka Żuławska-Umeda, tłumaczka obszernego wyboru japońskiego haiku. Wyboru opublikowanego przez Ossolineum w 1976 r. z licznymi kaligramami Yukio Kudō, w klasycznym dla tradycji gatunku układzie tematycznym czterech pór roku – takich autorów-klasyków, jak Matsuo Bashō, Saikaku czy Yosa Buson. Tłumaczył klasyków haiku także Czesław Miłosz, tchnął zachętę do prób w polskich poetów Stanisław Grochowiak, uwieńczonych oryginalnym tomem Lecha Konopińskiego *Haiku bez liku* z roku 2007.

Nie dziwię się, że Wawrzyniec Marek Rak poszedł tropem ciekawej i wymagającej rymowego kunsztu formuły Lecha Konopińskiego. Oddał w swoim zbiorze ducha haiku powszedniego. Gotowego zmierzyć się z każdym codziennym przeżyciem, będącym okazją do chwili zastanowienia się, wzruszenia:

Nieustraszone  
gładko męża zwycięża  
am-bitna żona

Jarzące słońce  
i osy w sianokosy  
suszy na łące

Proces starzenia  
swój krzyżyk dźwiga starzyk  
w grzyba go zmienia

ale też zwyczajnego dowcipu (nawet jak dopuszczała haikowa otwartość na mniej wybrednych odbiorców, chcących się swobodnymi skojarzeniami zabawić – rubasznego), kiedy indziej żartu obrazowo-sytuacyjnego (w tym słownego w miarę leksykalnej igraszki):

Ma cenne zbiory  
mieni się od kamieni  
na nerki chory

Marzą rodacy  
by święty Biurokracy  
chodził bez pracy

Intymne chwile  
zwłaszcza moment *no comment*  
wspominam mile

Haiku w sylabowym rytmie wersów 5-7-5 i przy dbałości o rymy w klauzulach pierwszego i trzeciego oraz dodatkowy rym w wersie drugim w swoistym transie powstawania-obmyślania-precyzowania niejako samorozkręca się, trochę nieomal rozzuchwała. Wciąga czytelnika do intuicyjnego udziału we wspólnej pysznej zabawie. Co ważne dla konwencji gatunku – zabawy iście poetyckiej. Do takiej przysposabiał W.M. Rak koncept poprzez kolejne tomy satyryczne: *Spod figowego listka* (2001), *Nagie fraszki* (2002), *Romans z fraszkami* (2004), *Figlarne okruchy* (2007), *Wielobarwne fraszki* (2010), *Satyra maziarskiego scyzoryka* (2012).

Poczuł się w formule haiku jak w swoim żywiole.

Wawrzyniec Marek Rak, *Markowe haiku*, opracowanie graficzne Ireny Nyczaj, Kielce 2014, OW „STON 2”, s. 143.



## Obrachunki z czasem

I

Beata Kępińska mogła debiutować tomem wierszy przed wydaniem w 2011 pierwszej swej powieści *Sielsko i diabelsko*. Ale sukces w prozie, także drugiej powieści *Zaradna* (2012), sprawił, że poezja – bliska jej od dawna – znajduje książkowy wygłos dopiero teraz, gdy wbiega na półki księgarskie powieść trzecia *Taniec z czarownicą*. To spotkanie diametralnie odmiennych form literackich jest jak raz fortunne. Czytelnicy poznają ulubioną autorkę pełniej, również w intymnym akcie lirycznego zwierzenia. Kiedy czyni obrachunki z czasem, który trzeba w porę pochwycić, by wyrazić swoje ważne duchowe przesłanie, demaskuje wykroczenia wobec preferowanych przez liryczny podmiot wartości ze strony ludzi o kamiennych sercach i „twardych rękach [...] żyjących bez bojaźni, / co zakatowali swe zaleknione dzieci / i czują tylko strach o nikczemne życie” (z *Litanii*). A skoro to niepokoi, trzeba wybawiający paradygmat tych wartości na tyle przywołać i na nowo uświadomić, żeby stał się na powrót odniesieniem i drogowskazem.

Apostrofa w cytowanym wierszu do Boga – „pełnego mądrości i sprawiedliwości”, „nieomylnego i doskonałego”, „miłującego wszelkie stworzenie”, „miłosiernego” – kończy się w surowym rozrachunku jednakowoż żądaniem nieprzebaczenia win, „nawet w ostatniej godzinie”. Tym bardziej że „ja” liryczne „moherowe, niemodne, stare” jest bezradne wobec dobiegającego z okna „jazgotu celebry i polityki” i jest – wy-



raziwszy żądanie dolegliwego sumienia – poniekąd szczęśliwe, że bytuje w czterech kątach poza tego jazgotu zasięgiem, gdzie „od głupoty wszędzie aż ślisko”. Bezsilność bezprawiem ironii losu wymusza pogodzenie się ze *status quo*,

ale daje też swoisty przywilej dystansu, odgroźnienia się, zamknięcia w sobie przed zewnętrznym procesem, w jakim nieuchronnie „świat urządzony jest po nowemu, / wrogi poprawnościowemu bezsensu” (z *Natrętnych pobudek*).

Godne podkreślenia jest silne, choć i niepozabawione wspomnianego dystansu – wyrażane go żartem, z lekką karykaturalnym zobrazowaniem godnej przecież pożałowania sytuacji ludzi starzejących się i schorowanych, zapobiegliwie poddających się różnorodnym zabiegom rehabilitacyjnym – uwrażliwienie autorki na przykre *signum* nieodwracalnego przemijania czasu, na odczuwanie go „każdą komórką, / każdą starzejącą się tkanką, / tępiejącymi zmysłami”, ustawiczne konstatowanie jego postępującej dezaktualizacji rodzącej żal za minionym i rozterkę z powodu krótkotrwałości chwil teraźniejszych wymykających się nazwaniu.

Teraźniejszość dogorywa,  
zanim wymknie się słowo.  
Trwa krócej niż mgnienie powieki,  
zużywa jak impuls.

(z wiersza tytułowego)

W tej trudnopochoynej migotliwości „przygoda”, jaką nęci przyszłość, wymyka się spełnieniu. Malejąca perspektywa owej przygody nakazuje chwycić czas taki, jakim się jawi. A objawia się właśnie spowalnianą w udręce cierpień codziennością.

W wierszu poświęconym szczekocińskiej katastrofie kolejowej wiara w nieuchronne przeznaczenie sugeruje – wobec ludzkiej bezsilności (gdy „stalowe potwory wymknęły się / [...] elektronicznej kontroli”) – potrzebę pokornej zgody z wyrokami losu.

II

Warto nadmienić o wruszającym w tym tomie sugestywnym obrazowaniu „metafizyki” zachowania się rzeczy, które z naszego przywiązania do nich obdarzamy na tyle dużym sentymentem, że odwdzięczają się emanacją człowieczej wrażliwości, stając się niejako naszym lustrem.

W wierszu *Szantaż emocjonalny* rzeczy „nieustannie zabiegają o uwagę, / kradną czas, domagając się, by wciąż je muskać, / natłuszczać,



/ nawilżyć". A w innym (*Nie wszystko było jak trzeba*) te z najbliższego otoczenia zmarłej przyjaciółki, Eli, nie pozwoliły o sobie zapomnieć, zaniepokojone nagłą zmianą „wybuchnęły spazmem”:

Buntowały się zamknięte w szafie  
suknie o nienagannym kroju,  
gustownie dobrane apaszki,  
misterne broszki i korale,  
bo na największą gałę  
przed tron Najwyższego  
poszła nudna, skromna czerń.

Szydzą z nich srebra w kredensie,  
wyczyszczone przed świętami,  
ale ich wypolerowany uśmiech  
też jest cokolwiek niepewny.

Tak oto – podpatrzonym tkliwie przez poetkę – niemym zachowaniem się rzeczy wypowiedziany został cały ogromny żal i nieukoiony ból po stracie ukochanej osoby.

### III

Wiersz *Niebezpieczne słowa* zaświadcza, że Beata Kępińska ma pełną świadomość zgubnych skutków działania słów „zabójczych”, rzucanych „w niebo na wiwat”, niszczących tak dotkliwie, że „czasem mówiący sam sobie strzela w stopę”. Niesprawiedliwy krytyk, zoil, „słowem może

odstrzelić pisarzowi rękę”, a usłużnie fałszywy „pochlebca – głowę”. Wiersz przecież powstaje nie dla zabicia nudy czy popisowania się, lecz z przymusu, konieczności zapisania nawet kiedy jest późna pora (północ) i rozsądek nakazuje odpocząć. Trzeba – czytamy w *Niesubordynacji* – wstać z postania, bo

Głowę pali poduszka,  
rękę ciągnie do pisania,  
oczy widzą w mroku,  
wypatrują poezji w kosmosie.  
Serce uprawia jogging,  
zdyszane galopuje,  
zapomniawszy o wieńcówce.

W wierszu *Obraz*, dedykowanym pamięci wspomnianej przyjaciółki, jakże urzeka namalowany słowami – z całą subtelną synestezją – pejzaż. Zaś w wierszu *Odeszła* „cisza słów uwięzłych w gardle” przejmująco wyraża „stone brzemie słów niewyptakanych”.

To ledwie refleksje-podpowiedzi. Wiersze każdy Czytelnik odbierze najpełniej sam, wnikając w nie własną wrażliwością. Na pewno wiele skorzysta.

Stanisław Nyczaj

Beata Kępińska, *Schwycić czas*, Kielce 2014, OW „STON 2”, s. 96 (w tym liczne zdjęcia)

Janusz Termer

## Z porą roku życia się godzę...

### ○ wierszach Joanny Kłaczyńskiej

Autorka tego tomiku wierszy<sup>\*)</sup> jest absolutną debiutantką. Nigdy dotąd bowiem nie pisywała – nic w każdym razie na ten temat nie wiadomo – i nigdzie nie publikowała swoich tekstów literackich. Jest osobą, jak to sama z nieco przekorną kokieterią podkreśla mocno już w samym tytule zbioru – *Przed zmierzchem*, mówiąc zwyczajną prozą – kobietą dojrzałą, życiowo doświadczoną, rodzinnie i zawodowo spełnioną – jako matka dzieciom, żona znanego prozaika (Włodzimierza Kłaczyńskiego) i praktykująca z powodzeniem lekarka!

A jednak – zaiste, jakby zakrzyknął niezapomniany Jerzy Waldorff, niezbadane są i liczne ogromnie drogi dojścia do literatury. Joanna Kłaczyńska postanowiła „sprawdzić się” w zupełnie nowej dla siebie roli i dziedzinie sztuki, literaturze, w tej jej odmianie, jaką jest pisanie wierszy, uprawianie poetyckiego poletka. Ku zaskoczeniu wszystkich: rodziny i znajomych (a może i samej siebie?!) przedstawia teraz i wydaje na świat ten oto właśnie debiutancki zbiór swoich wierszy. Wierszy – powiedzmy to od razu – ogromnie interesujących, wręcz niekiedy zaskakujących i intrygujących swą oryginalną zawartością.

Poruszających czytelnika dojrzałością widzenia złożoności i problematyczności człowieczego bytowania w świecie, jak i swoiście „naturalną” poetyką; warsztatową autoświadomością oraz wpływającą stąd prawdziwie bezpretensjonalną prostotą ekspresji i zarazem różnorodną tematycznie przestrzennością horyzontów widzenia rozmaitych atrybutów istnienia. Rozległością walorów poznawczych tutaj się pojawiających. I to w równie nieodparcie bezpośrednio „naturalny”, wręcz oczywisty sposób.

O czym więc traktują wiersze Joanny Kłaczynskiej?

Najłatwiej byłoby powiedzieć, że o życiu ją otaczającym. Niby tylko o tym osobistym, codziennym, dookolnym, bliskim, dobrze znanym i „oswojonym”, a więc rzeczywistości pozostającej na „wyciągnięcie ręki”. Posłuchajmy na przykład wiersza *Moja poezja*:

to zwykłe życie.  
Z pracą, kotem, psem  
i niezwykłym człowiekiem,  
który pozwala sobie czasem dokucać.

Albo brzmiącego nieco gorzką nostalgicznie dojrzałą mądrością wiersza *Moja jesień*:

Lato wolno w jesień  
przechodzi.  
Słońce mgliście przez drzewa  
przygrzewa.  
Z drzew powoli spadają już  
liście.  
Wiatr je niesie do miasta,  
rozwiewa.  
Lato moje już za mną  
zostało.  
Jesień witam pogodnie,  
spokojnie.  
Do roboty za wiele  
już nie mam.  
Z porą roku i życia  
się godzę...

Ale i inne wiersze, nie tylko te w podobnej tonacji i aurze utrzymane, nie pozostawiają złudzeń, że chodzi o coś więcej niż tak częsty dzisiaj, nie tylko pośród debiutantów poetyckich, autobiografizm, wąski horyzont wyłącznie osobistego przeżycia z rodzaju „jednorazowego użytku” czy wyłącznie solipsystyczny i narcystyczny tak zwa-

ny „mały realizm codzienności”. Wsłuchajmy się na przykład w wiersz *Nasz dom*:

Widzą cię oczy satelitów,  
jesteś kroplą błękitu  
w bezmiarze przestrzeni.  
Otula cię woal oddechów,  
osłania tarcza energii.  
Słyszają cię.  
Gwar fononów nie ginie.  
Jesteś cudem,  
przypadkiem,  
kreacją.  
Laboratorium życia.  
Naszym domem.  
Ziemią.

Owe „inne” wiersze to znaczące poetyckie wyznania wiary, to m.in. utwory dedykowane profesorowi Włodzimierzowi Sedlakowi, twórcy słynnej teorii światła, Jarosławowi Iwaszkiewiczowi (*Ty byłeś w gwiazdozbiorach/ na Pegaza skrzydłach./ A mnie Euterpe tak późno dotknęła*) czy sparaliżowanemu wybitnemu angielskiemu uczonemu Stephenowi Hawkingowi. Wyraża w nich autorka swoje egzystencjalne przekonania najgłębsze, bardzo osobiste owszem, ale przecież mówi o sprawach dotyczących nas wszystkich. Dotyczących tajemnic i paradoksów ludzkiego istnienia w świecie, niespodzianek ludzkiej duchowości. I intymnego przeżycia. Potrzeby poszukiwania sensu i trwałych punktów oparcia w tym zagmatwanym i problematycznym świecie dramatycznie sprzecznych idei, hochsztaplerki naszej codziennej, nie tylko tej quasi intelektualnej (patrz: znakomity wiersz *Suplikacje*), ale i gry społecznych czy politycznych pozorów; zwykłej wrzawy i blagi medialnej atakującej nas zewsząd. Jak w przejmującym wierszu *Pamięć*:

Pamięć  
jak nowotwór złośliwy  
nacieka twoją terażniejszość.  
Węzły codzienności  
już nie blokują  
przerzutów choroby.  
Cierpisz.  
Czekasz  
na skuteczne lekarstwo,  
które poda ci Ojciec Czas.  
Czekaj cierpliwie.  
Kolejka.

Widzi też te problemy na sposób – bliski w formie i w sposobie myślowej artykulacji – przypominający nieco wiersze „Księżda Paradoksa” (jak nazwała Jana Twardowskiego autorka jego wydanej niedawno biografii), a co m.in. zobaczyć można na przykład w wierszu o szczęściu *W hołdzie Stephenowi Hawkingowi*:

Szczęście, to wyciągnąć rękę  
i przytulić dziecko.  
Szczęście, to założyć buty  
i ruszyć w drogę.  
Szczęście, to ufać bezgranicznie  
bliskiej osobie.  
Szczęście, to nie mieć pragnień.  
To mieć rozum  
odpowiedni do możliwości.  
To dlatego geniusz w fotelu na kółkach  
może zazdrościć osiłkowi tępoty.

A to przecież nie wszystko. To nie wszystkie tematy. Nie wszystkie wątki i motywy, do jakich odwołuje się Joanna Kłaczyńska w swych wierszach. Niektóre z nich mogą się wydać w tym kontekście nawet nieco konwencjonalne, jak poetyckie nawiązania i odniesienia do własnych turystycznych podróży do Grecji, Macedonii czy na Bliski Wschód. Ale i tutaj autorka wystrzega się banału, wytartych klisz czy zachłyśnięć egzotycznością. Zawsze są to wiersze „osobiste”, bo przypieczętowane i naznaczone stemplem autorskiej wrażliwości. Ale są także ciekawymi i wartymi życzliwej uwagi. Próbami odwołania do tradycji lirycznych, szczególnie nut horacjańsko-czarnoleskich, do melodii klasycznych partytur wielogłosowej melodyki poezji polskiej, acz bliższej na pewno bardziej romantycznej niż sentymentalnej proveniencji.

I, dodajmy, odnosi się to co wyżej również do tych „innych” jeszcze wierszy z tego zbioru. Zwłaszcza owych liryków poświęconych otaczającemu ją najbliższemu jej światu przyrody oraz domowym zwierzątkom, pupilom współczesnego mieszkańca miasta. Patrz na przykład wiersz *Poetka*, w którym autorka łączy łagodny i dyskretny humor opisu zalet mądrości i urody własnej poczciwej domowej kotki o imieniu Safona, z równie dyskretnie taktownymi odwołaniami do twórczości owej powszechnie znanej „poprzedniczki” wszystkich europejskich poetek, słynnej starogreckiej Safo.

Bardzo ujęły mnie nie tylko te wspomniane wyżej jako przykłady, ale i liczne inne wiersze z tomiku *Przed zmierzchem*. Toteż z przyjemnością dzielę się tymi uwagami o nich z jego potencjalnymi Czytelnikami. Polecając przy okazji ich lekturę, jak i wszystkich utworów tego poetyckiego zbioru Joanny Kłaczyńskiej, autorki tak pięknie i z godnością pogodzonej ze światem i własnym życiem (z porą roku życia się godzę...). Polecając je zarazem z głębokim przekonaniem uwadze wszystkich tych, którzy nie mieli dotąd jeszcze okazji do bezpośredniego zetknięcia się z nimi. A to głównie ze względu za ich nieodparcie pociągającą i wciągającą urodę, a zwłaszcza za ów, rzadki dziś, prosty i „naturalny”, czysty lirycznie poetycki głos i tonację bez fałszywych nut i nieznośnej minoderii, za ów zawarty w nich spokojny, dojrzały, kojący dystans – zawsze tak wyraźnie obecny w tym autorskim, poetyckim widzeniu spraw świata tego.

Pozostają także z nadzieją na „ciąg dalszy” tej tak udatnie rozpoczętej poetyckiej wędrówki i przygody.

Janusz Termer

Joanna Kłaczyńska *Przed zmierzchem*, Wyd. Sowell, Rzeszów 2014, s. 79.



## Dwugłos o Jarosławie Zielińskim

Stanisław Grabowski

### „Nie wiem, czy potrafię gdzieś dojść”

Ty, który nie masz dwudziestu lat  
Kimże jesteś, że wyciągasz dłoń do steru  
a nie wiesz nawet dokąd płynie ten okręt  
Wierzysz w swą szczęśliwą gwiazdę  
Ale co pozostanie, gdy skończy się noc?



Napierają na mnie, otaczają mnie słowa, wizje, metafory, które stworzył JAROSŁAW ZIELIŃSKI. Dużo ich. Zadziwia ilość pytań, które poeta stawia sobie, ale i czytelnikowi. Jest bezlitosny w ich zadawaniu.

To właśnie, zdaje się sugerować, odróżnia poezję od prozy. Nieustanna wiwisekcja. Kim jesteśmy, dokąd idziemy, czego pragniemy. Kim jestem – ja, kim jesteś – ty, kim jesteśmy – my, wy, oni.

Dlatego lektura tomu Słowa i linie Jarosława Zielińskiego to bolesna lekcja dla wszystkich, którzy się z nim zetkną. Daty pod wierszami w tej książce nie są przypadkowe. Świadczą na przykład, że poeta już jako czternastolatek (tak jest) posiadał wysoką samoświadomość, że spoglądał na świat uważnie, bardzo uważnie, czuł się jego obywatelem, niektórzy mówią: kosmopolitą, co ma być niby pejoratywną oceną. Bo posłuchajmy owego czternastolatka:

Kiedy zamkną przed tobą drzwi domu radości  
staniesz zamysłona wśród tanecznego kręgu  
wejdź do ogrodu smutku  
Tu każdy krzak nosi imię twych marzeń  
Powiew wiatru rozprasza skłębione myśli  
Każde drzewo odpowiada szelestem  
westchnień  
[...]

Czyż nie ma tu altruizmu, i to w najczystszej postaci. I początku miłosnego dialogu, jaki prze-

wija się przez cały ten tom. Miłość niejedno ma imię, jakaż to banalna konstatacja wobec ogromu tych słów, jakie poeta złożył w jej ofierze. Tworząc jej obrazy nie dość że wyrafinowane, to krystaliczne, szczere, chciałoby się rzec: uczciwe. Ja i ty. Niby tak niewiele, a to cały świat, jaki rozgrywać się może w słowach, gestach, spojrzaniach. Między dwojgiem ludzi. Są tacy, którzy porównują miłość do gry, autor nie chciał w tym uczestniczyć. Jego miłość napędzały emocje, wiara, może i naiwna dla obserwatorów z boku, ideały z epoki romantyzmu, bo przecież ten obraz nie mógł być z XXI wieku:

Ciągle stoisz  
ze starym kwiatem w dłoni  
Ciągle patrzysz na moje okno  
[...]  
myślisz o tobie i mnie  
samotny na ulicy

Tak, Jarosława Zielińskiego można by nazwać ostatnim romantykiem i poetą szczęśliwym [*poetae felix*]. Urodzony w 1971 roku był przecież kimś najzupełniej innym niż jego poprzednicy, choćby najwięksi. Nie musiał na przykład ani dnia służyć politycznym celom, czy koteriom. Pewnie też nie chciałby, co w PRL-u spychałoby go na margines, odcinało np. od państwowego mecenatu.

Jeśli jednak ktoś ceni wolność tworzenia musi zdawać sobie sprawę, że cena za nią należy do najwyższych. Jarosław Zieliński był orędownikiem takiej postawy, na co mamy dowody w jego poezji aż nadto wyraźne i częste.

Zacytowany na początku tej recenzji fragment pochodzi z wiersza zatytułowanego Idź i patrz. Czy sugeruje polemikę z herbertowskim, jakże patetycznie brzmiącym: „Idź bo tylko tak zostaniesz przyjęty do grona zimnych czaszek do grona twoich przodków: Gilgamesza Hektora Rolanda obrońców królestwa bezkresu i miasta popiołów”. Przepraszam za ten przydługi cytat. Nowym pokoleniom wydaje się być niepotrzebny ten antyczny sztafaż. Cenią konkret, ścisłość i prostotę wypowiedzi. Reprezentują już inną wrażliwość, inne przesłania im towarzyszą. Stąd to krótkie „Idź i patrz” Rozglądaj się uważnie. Przypatruj. Nie ufaj tylko słowom, przyglądaj się

rzeczywistości. A onaż nie tylko s k r z e c z y , jak chciał inny poeta. Ona jest niezwykle bogata i skomplikowana. Napływa ku nam nieustannie z Twitterów, internetowych serwisów informacyjnych, telewizji i radia, z billboardów na ulicach, atakuje w tysiącach innych miejsc, otacza nas niby... noc. A „noc” jest jednym z kluczowych słów w poezji Zielińskiego. Noc to symbol zamęcenia, niepokoju, tajemnic, postępów, których nie czynimy za dnia.

W wierszu *Annabel* słowo „noc” nieprzypadkowo powtarza się aż cztery razy:

pomyślałem – noc w twych ramionach  
[...]  
Smak pierwszej nocy  
[...]  
Noc jest krótka  
[...]  
noc już się skończyła  
[...]

Zresztą, to wiersz niejako „klasyczny” dla poetyki Zielińskiego, w której mamy cały wachlarz słów związanych z nocą: ciemność, poranek, cień...

Bo słowa-klucze wiodą nas wyraźnie ku określonym postawom i emocjom, pejzażom i metaforom. A oto kilka innych z kręgu nocy obecnych w omawianym tomiku: mrok, latarnia, świeca, całun, pochodnia, ciemne ulice, księżyc, czerń, cień, gwiazda, sen, zmierzch...

Zresztą już tytułami swoich wierszy wywołuje określony klimat, budzi określone refleksje: *Lot do gwiazd, W blasku światła, Wieczór, Wieczorne morze, Zachód słońca, Pieśń o zmroku, Spór o brzasku, Księżniczka mówi dobranoc, W zachodzącym słońcu, Gdy zmierzch, Cień wspaniały, Noc, Noce, Rankiem...*

Gdybym jednak tę poezję chciał ograniczyć tylko do tego wątku, bardzo bym ją zubożył. Inne ważne słowo-klucz w tym tomie to słowo „podróż”. Już starożytni twierdzili: *Navigore necesse est, vivere non est necesse*. Nie wiem, na ile poeta przejął się tą maksymą, niemniej motyw podróży jest obecny w całym tomie, o czym świadczą nie tylko podpisy pod wierszami. Podróż, a przykład dał Homer, to przecież zasadniczy wątek ludzkiej egzystencji i kultury. Nie wszyscy piszący zostali zapamiętani, jak np. Kerouac ze swoim *W drodze*, jednak podróżować trzeba koniecznie...

Jarosław Zieliński w wierszu *Podróże po skarby*, niejako programowym, pisze:

Musimy podróżować  
rozglądać się na wszystkie strony  
obejmować wzrokiem w posiadanie  
nowe skarby  
[...]  
Musimy rozglądać się na wszystkie strony  
podczas podróży nie zapominać  
że nie może zakończyć się  
wraz z rozpakowaniem walizek  
[...]

Czy, poza miłością, to jest właśnie to, dla czego warto żyć?

Dlaczego, co nas napędza w podróży po świecie, co zmusza do wyrzeczeń, czyż nie poszukiwanie tego drugiego, tej drugiej osoby, kogoś myślącego i czującego jak my. W *Biciu serca* czytamy:

Jesteśmy samotni i bezradni  
pośród doskonałej maszyny świata  
Potrzebujemy płonących głowni wskazujących drogę  
i nocy pełnych tłumnych okrzyków  
by wejść w nią bezboleśnie  
uwierzyć, że na zewnątrz klębi się zło

Tak, dziś piekło to nie my. To właśnie obrona przed samotnością skazuje nas na poszukiwanie miłości, na nieustanną podróż do źródła. I dużo o niej pisze Jarosław Zieliński:

A może jestem tylko samotnym wędrowcem  
ciemną sylwetką w świetle latarni  
[...]  
(z wiersza *Ja*)

Cóż to znaczy  
odnaleźć się w wędrowce  
Patrzeć na kurz zapisany śladami  
wielkich czarnych samochodów  
[...]  
(z wiersza *Reportaż*)

idę ścieżkami tajemniczego ogrodu  
pod rękę z kolorowymi snami  
[...]  
samotny poznaję ogród  
(z wiersza *Serce ogrodu*)

Noc, miłość, podróż, to trzy topusy, bodaj najbardziej wyraziste w liryce Zielińskiego. Sięga

też do innych, jak: dom, zabawa (taniec), woda... Zwłaszcza ten ostatni wiąże się z bachelardowską symboliką, co podpowiadają obecne prawie w każdym liryku takie słowa jak: burza, płacz, deszcz, rzeka, strumień, studnia, wino, krew, okręt, rana, port, plaża, fale, morze, mgła, brzeg, łązy, stocznia...

*Słowa i linie* to zbiór utworów poetyckich, które zostały podzielone na dwanaście rozdziałów (każdemu z nich towarzyszy trafna grafika], do lektury których należy wielokrotnie powracać; tyle tu wątków, znaków zapytań, tropów, motywów i przesłań, które podpowiada kondensacja treści, wręcz ich aforystyczna precyzja. Poeta pisze zwięźle, oszczędza nam zbędnych epitetów, nie nadużywa metafory, nie unika ironii czy też prozajizmów, jakby sygnalizując tym, że pragnie być jak najbliżej ludzi i ich spraw, że angażuje się w obronę podstawowych imponderabiliów, za którymi stoi tradycja, rozsądek, prawda, szacunek do drugiego człowieka, stała potrzeba kontaktu z nim, zrozumienia go.

Należy jeszcze dodać, że poezja nie była dla niego biegiem po zaszczyty, orderzy czy sławę. Traktował ją bardzo osobiście, intymnie. Twierdził, że słowa zapisane w strofki mogą być „najdoskonalszym pamiętnikiem, bo czytając je mogę zobaczyć siebie samego z przeszłości, zobaczyć, ile się zmieniłem. Czy napisałbym jeszcze raz to samo? Często już nie. Czy zaprzeczyłbym temu, co mówi ten wiersz? Byłaby to najgorsza rzecz, która mogłaby mi się zdarzyć”.



Zbiór wspomnień i wypowiedzi krytyków o Jarosławie Zielińskim, Warszawa 2014, Wydawnictwo Książkowe IBIS

Wielka, ogromna szkoda, że już nie przeczytamy nowych wierszy Jarosława Zielińskiego. Poeta zmarł niespodziewanie w sierpniu 2012 roku. Miał 41 lat. Od najmłodszych lat mieszkał na warszawskim Ursynowie. Ukończył studia na Uniwersytecie Warszawskim. Od szkolnych lat pisał wiersze, których jednak w prasie nie publikował. W 1994 roku wyszedł jego pierwszy tom pt. *Słowa i linie*.

Wydany w listopadzie 2012 roku recenzowany przeze mnie tom o tym samym tytule przynosi wiersze z tej pierwszej książki, ale i wiele nowych, nieznanych wcześniej poza internetem. Gdyż, jak napisał Piotr Matywiecki we wstępie do tej poetyckiej księgi, Jarosław Zieliński „był uczestnikiem, najbardziej może w dziejach kultury szerokiej wspólnoty czytelniczej – wspólnoty internetu. Tam nawiązywał istotne rozmowy o poezji i literaturze [...]”.

Informatyka, poza poezją, była chyba jego główną pasją i miał spore osiągnięcia z nią związane. Był znany jako autor i redaktor w takich internetowych domenach jak: Nieoznaczone.net; Wikipedia; Labirynty.net; Poszukiwania.net; Blogosfery.pl; Altamagusta.pl; Słowa.art.pl; Winter.pl. Pracownik w takich firmach informatycznych jak: Hewlett-Packard Polska, Compaq Computer, Digital Equipment Polska czy Lotus Development Polska. Tyle w największym skrócie o poecie, który pięknie wydanej książki, którą mam przed sobą, już nie zobaczył, choć do końca pracował nad jej koncepcją. W wierszu *List ze złego poranka* czytamy:

zatrzymałem się  
Nie wiem już dokąd iść  
którędy  
Nie wiem, czy potrafię gdzieś dojść

Tak pisał we wrześniu 1990 roku. Wielokrotnie jeszcze szedł dalej, podróżował, kochał i pisał. Aż do sierpniowego dnia 2012 roku.

Pamiętajcie o nas – nasłuchujemy w oddali  
czy nie skrzypią schody do dzwonnicy.

Stanisław Grabowski

## Kreacje czarnoksiężnika prostych słów

Zafascynowanie cyberprzestrzenią, skomplikowanymi działaniami technicznymi w internetowej sieci szło u Jarosława Zielińskiego w parze z fascynacją światem wyobraźni i magią poetyckiej wypowiedzi. Sfery te dopełniały się i, jak się zdaje, wzajemnie stymulowały. Zaświadcza to prowadzony przezeń blog (cytowany przez Stanisława Grabowskiego w postowie), wiele mówiący o poezji, inspiracjach do wierszy, pracy nad tekstami.

Kreacje z marzeń, wyobraźni rozbudzonej pragnieniem miłości mówią o spotkaniach, wspólnie jakby przeżywanych sytuacjach, o zamieszaniu w przyszłości w wybranym wspólnie mieście, o czym np. marzy 17-letni poeta w wierszu z lipca 1988 roku:

To miasto będzie kiedyś nasze  
spacer ciemnymi ulicami  
blisko... tak blisko...  
Będzie zapachem twoich włosów  
dotykem warg

Może czas wyleczy mnie z marzeń  
z dwunastu pięter patrzę w przyszłość  
szyby mokre od deszczu  
w dole jasne plamy latarni  
smugi samochodowych świateł  
pospieszne kroki spóźnionych gości

Odwracam się w głąb pokoju i biorę cię  
w ramiona  
Na chwilę – jak w angielskiej piosence  
The dreams came truth  
Na chwilę...  
Wystarczy tylko list na skrawku chemicznej  
reklamy  
Kilka słów... marzenia  
opowieść o naszym mieście

Czyli marzenia mogą okazać się prawdą, mogą się spełnić. To co jest opowieścią, staje się przepowiednią. Relacja z przyszłego zdarzenia ziszcza się przez antycypację (spacer idących blisko siebie, zapach włosów, dotyk warg, wzięcie w ramiona). Ale przecież to szczęście dopiero „będzie”, gdy „może czas wyleczy mnie z marzeń”; mówi się o „liście”, zapisie „kilku słów”

na skrawku reklamowej ulotki. Wiersz wynikły z marzenia niczym snu na jawie jest projekcją tego, czego by podmiot oczekiwał od partnerki, projekcją siebie, sprzyjających okoliczności. Projekcją urzekającą ciepłem uczucia, wyrażonym subtelnie nastrojem.

Ale niespełnionemu wedle oczekiwań pragnieniu towarzyszy ciągła rozterka. Zapał, poryw, wielkie przejęcie wyobrażonym spotkaniem zakochaną ostudza rezygnacja.

Wszelako jakże liczy się ten „błysk wspomnienia wyrywający z szarej ciemności”, bo podmiot „będzie w jego kręgu” tak długo, „póki nie zgaśnie”.

Często kreowany jest świat jak z baśni, np. w wierszach: *Serce ogrodu*, *Park marzeń* czy *Rozmowy*:

może gdzieś głęboko ukryta  
śpisz pod dachami pałaców z pięknych słów.  
czy znasz bajkę o królewnie?

Z wiersza *Kolacja*:

Rozmawiacie o poezji [...]  
poecie – czarnoksiężniku prostych słów.  
Księżniczka poprawi włosy,  
biały rękaw sięga po wino  
na dziedzińcu pałacu ze snów.

Marzenia przeplatają się z niepokojem o przyszłość, radość słonecznych dni z męką bezsenności. Obietnice zawarte w słowach z niemożliwością nie tylko ich spełnienia, ale nawet wysłuchania (przez Boga).

W wierszu z końca listopada 1989 roku napotkana (wyobrażona?) w gwarze kawiarnianej sali piękna kobieta ze srebrną broszą jednym spojrzeniem rubinowych oczu spomiędzy złotych włosów wprowadza bohatera lirycznego w inny, lepszy świat. Daje się porwać do tańca i na długi wspólny wieczór. Nad ranem po obudzeniu, gdy „otula się szalem/ kryjąc płaszczem srebrną broszę/zabiera marzenia/ innego świata”.

Stałym leitmotiwem wyobraźni Jarosława Zielińskiego są postaci kobiet lub dziewczyn spotkanych w życiowej wędrówce, rozdających wszędzie swój urok:

Trzymam w ramionach  
małą tancerkę  
Czuję jej ciepłe dłonie

zapach długich włosów  
Małe kolczyki połyskują w ciemności

Postaci kobiet, dziewczyn pozostawiających wymowne ślady, które zaświadczać o obecności. W wierszy oddane to zostaje subtelną prostotą opisu, sugestywnie, np. w tym pt. *Wizerunek*:

Powiedziały mi [o niej] część ziarenka [piasku]  
dotykające  
jej stóp, trwające na nich chwilę,  
by pozostać na drodze  
Powiedział mi część wiatr szarpiący  
krótkie włosy, próbujący poruszyć  
wielkie drewniane korale opinające szyję

To dominująca w tomie poetyckim magia miłosnych wzruszeń, niepokojów i rozterek, przemawiająca do czytelnika subtelnym liryzmem.

Pamiętajmy, że jest też wymowna, choć niewielka, część wierszy problemowych włączających się w nurt refleksji społeczno-politycznych.

Podmiot jest krytyczny wobec rzeczywistości drugiej połowy lat osiemdziesiątych ubiegłego wieku. Przypomina ostrzeżenia przywódców w rodzaju „Kto nie jest z nami – jest przeciwko nam”, pisze o pustce wokół zbuntowanych, kontestujących, inaczej myślących. Szkicuje życiorys „biednego małego człowieczka”, zagubionego pomiędzy obietnicami władzy ofiarowującej w darze za dostosowanie się do reguł gry „złocony stołeczek” i uśmiech a tłumem zbuntowanych karcącym ugodowe posłuszeństwo pogardą. Wiersz *Bicie serca* z września 1987 roku kończy strofa:

Wy, którzy władacie młodością: oddajemy  
wam  
duszę i ciało; nie pozwólcie by nasze serca  
zabiły niespokojnym rytmem – i być może...  
Ktoś kiedyś i nam rzuci w twarz te słowa

Jednak rodzący się w sercu bunt wygasza się w wątpleniu i niewiarą we własne siły („twoje słowa odbijają się echem/ pośród ruin spalonych miast”), obawą, że ci tryumfujący, nim doczekają się fanfar, „znikną w pozodze”, bo historia kołem się toczy, choć mogą się przeciw one ludzi perspektywą, iż kiedyś „znów gdzieś zakrzykną: zwycięstwo!”.

Zdaniem Jarosława Zielińskiego, wiersz jest zapisem jedynie jakiejś prawdy o sobie samym. W *Rozmyślaniach* czytamy:

Przecież tylko mówię o sobie  
i zmyśleniem jest w tym lustrze  
każdy z was

Ta prawda często była gorzka, była zapisem przygnębiającego smutku, nawet tego „smutku spełnionych marzeń”, który „wciska się w serce”, zapisem poczucia dotkliwego osamotnienia, niezadowolenia ze „złych wyborów”, po których w pamięci zostawały ledwie dobre chwile.

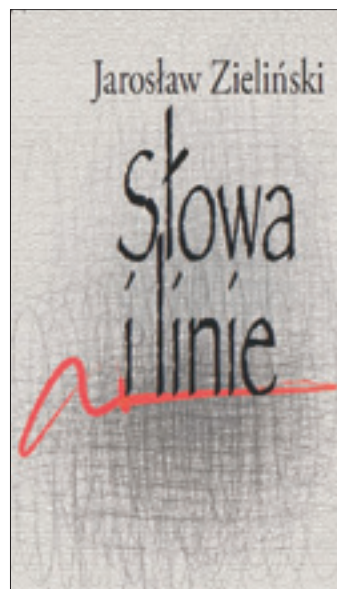
Ale ten poeta potrafił też wykreować intersubiektywne sytuacje zabawne z poczuciem dystansu:

Rankiem zwykle czujesz  
Że musisz zrobić  
Coś, by Bóg w ciebie uwierzył – mówisz.  
– I robisz to? – pytam.  
– Tak, przez część dnia. Później o nim zapominam.  
– Na długo?  
– Na tyle, by popełnić wiele głupstw –  
mówisz patrząc na mnie,  
jakkbyś chciała przebaczenia.

Więc i taki bywał nasz „czarnoksiężnik prostych słów”. Acz przecież nie słów zwykłych, banalnych – dodajmy, usatysfakcjonowani lekturą czytelnicy. Będzie nam brakowało Twoich mądrych, a i tych wymownie żartobliwych lirycznych prawd, Jarosławie!

Stanisław Nyczał

Wypowiedź podczas promocji tomu *Słowa i linie*, zorganizowanej przez Annę Wolską – dyr. Biblioteki Publicznej na Ursynowie





## Kultura poza obiektywem

Rynek literacki w Polsce od kilku lat wyraźnie ubożeje; coraz mniej mówi się o nowej polskiej awangardzie poetyckiej i coraz mniej publikacji polskich autorów trafia na rynek, a w mediach usłyszeć o polskim poecie, współczesnym prozaiku, ich nowych książkach – to już rodzynek w cieście. Kurczą się z roku na rok fundusze na kulturę polską, maleją w błyskawicznym tempie kwoty przeznaczone na dofinansowanie domów kultury i na organizację dobrych, mądrych, wartościowych imprez literackich. Wszystko, co dzieje się do tej pory na rynku literatury, jak wydawnictwa książkowe, imprezy plenerowe czy wieczory autorskie – dzieje się przede wszystkim dzięki osobistemu zaangażowaniu samych zainteresowanych twórców, dzięki finansowaniu przedsięwzięć z ich prywatnych oszczędności. Placówki kultury coraz rzadziej wynagradzają pisarzy za ich publiczne wystąpienia, promujące rodzimą literaturę. Zalewają nasz rynek książki zagranicznych autorów, które w większości przypadków ustępują niejednej książce polskiego pisarza. Ale tak się na szczęście składa, że utrzymujące się jeszcze kluby i organizacje kulturalno-literackie, dzięki wielkiemu zaangażowaniu członków i kierownictwa, kosztem własnego czasu i własnych skromnych funduszy – działają prężnie, skupiają twórców i przynajmniej w skali lokalnej starają się ich promować, ożywiając „lokalne życie kulturalne”. Do takich mogą zaliczyć coroczny Festiwal Poezji Słowiańskiej, organizowany staraniem Aleksandra Nawrockiego – wydawcy i redaktora naczelnego kwartalnika literackiego „Poezja Dzisiaj”, coroczne spotkania poetów i malarzy pod nazwą „Prezentacje Świdnik...”, organizowane przez RSTK województwa lubelskiego w Świdniku pod patronatem Rady Krajowej RSTK, Festiwal Polskiej Poezji i Piosenki Patriotycznej w Lubaczowie, Nadmorskie Spotkania Literackie w Dźwirzynie i Międzywodziu, organizowane staraniem Barbary Jedleckiej, czy wreszcie plenery literackie w Zakopanem, Kazimierzu Dolnym, Staszowie, które odbywają

się pod auspicjami kieleckiego Oddziału Związku Literatów Polskich z udziałem prezesa Stanisława Nyczaja, redaktora naczelnego „Świętokrzyskiego Kwartalnika Literackiego” i Oficyny Wydawniczej „STON 2” w Kielcach.

Wspomnę o tym ostatnim nieco szerzej, ponieważ w czerwcu 2013 roku w Kazimierzu Dolnym odbył się plener literacko-malarski już po raz czwarty, zorganizowany przez Fundację „Nadmorskie Spotkania Literackie”, przy wsparciu Oddziału Związku Literatów Polskich w Kielcach.



Jan Rychner (drugi z lewej) wśród uczestników pleneru w Kazimierzu Dolnym

Uczestniczyła w nim grupa poetów z Warszawy, Kielc, Radomia, Lublina, Wrocławia, Bolesławca, Ostrowca Świętokrzyskiego, Włoszczowy, a komisarzem był Stanisław Nyczaj, prezes kieleckiego Oddziału ZLP.

Istnieje wielka potrzeba spotykania się osób zainteresowanych literaturą, malarstwem czy muzyką i duże zapotrzebowanie na utrzymanie działalności skupiającej twórców z różnych dziedzin. Służy to wzbogacaniu języka, wspieraniu ludzi zdolnych i wrażliwych, rodzimych współczesnych pisarzy, muzyków, malarzy, a tym samym powiększaniu wspólnego dorobku narodowego.

Poezja i kazimierskie klimaty w połączeniu z piosenką poetycką stanowiły doskonałą kanwę dla prezentacji twórców.

Na program składały się wiersze o różnej tematyce. Liryka miłosna przeplatała się z poezją refleksyjną, dotykającą zarówno spraw ogólnoludzkich, jak tego, co niezwykle w dniu powszednim. Atrakcją były pojedynki na fraszki, aforyzmy, limeryki. Wieczory urozmaicała poetyckimi piosenkami Wanda Stańczak – poetka, satyryk, prezeska II Warszawskiego Oddziału Stowarzyszenia Autorów Polskich. Do południa odbywały się warsztatowe konsultacje indywidualne z komisarzem grupy, a w godzinach popołudniowych koncerty poetycko-muzyczne. Na początek odtworzone zostały z płyty CD *Kazimierskie klimaty*, skomponowane w czasie imprezy w roku 2012 przez Jana Piskorza do tekstu piszącego te słowa.

Zespołowe spotkania uczestników pleneru odbyły się w kazimierskiej Bibliotece Publicznej pod przewodnictwem Stanisława Nyczaja, Bibliotece Miejskiej w Puławach – biesiada literacka pn. „Kobieta, jak poezja, rozkwita wiosną”, prowadzona przez Alicję Patey-Grabowską (poetkę, eseistkę należącą do SPP, uhonorowaną tytułem profesora Międzynarodowej Akademii Literatury i Sztuki La Crisalide w Katanii), w nałęczowskim sanatorium poświęcone liryce miłosnej z prezentacją flortypii (liścieni) Elżbiety Wodały<sup>1)</sup>.

W Restauracji u Państwa Swarzewskich w Kazimierzu Dariusz Kaźmierczak z Włoszczowy promował swą nową powieść: *Dorwać drozda*, ja tom prozatorski *Meandry losu*, zaś Stanisław Nyczaj jubileuszowy numer „Świętokrzyskiego Kwartalnika Literackiego” z 2012, wydany w 15-lecie czasopisma. Wieczory literackie były suto zaprawione piosenkami i dowcipami.

<sup>1)</sup> Prezentowaliśmy jej oryginalną graficzną sztukę w ubiegłorocznym numerze 1-2 „SKL” na portalu Świętokrzyskiej Biblioteki Cyfrowej.

Jan Rychner

PS

Wśród nowych uczestników zwróciłem uwagę na młodą i dobrze zapowiadającą się Agnieszkę Hajec z Czernicy Wrocławskiej, autorkę tomików: *Drżenie myśli* (2010), *Po obu stronach tęczy* (2011), *Bezdroża marzeń* (2011), *Pejzaże codzienności* (2012). Agnieszka Hajec – podobnie jak znane już nam dobrze Krystyna Cel, Grażyna Kowalska, Ewa Wojtasik, Iwona Zielińska-Zamora – najlepiej odnajduje się w liryce miłosnej. Czy świat, jaki otwiera swoimi

wierszami, jest nowy, świeży, niepowtarzalny? Z tomiku na tomik jest on wzbogacany, coraz ciekawszy. Ile w tych wierszach (charakteryzujących się poetycką prostotą) piękna, poszukiwania uczuć wyższych, nadziei i szczęścia? – będzie jeszcze nie raz okazja porozmawiać.  
J.R.

Kazimiera Szczykutowicz

## Wiekowe różnice

Lata szkolne Stefana Żeromskiego, upamiętnione w kieleckim muzeum, to kałamarze, stalówki, piórniki drewniane, liczydła, prawdziwa szkolna ława i język rosyjski. „Tiema” – na tablicy.

150 lat temu urodził się ten, który do tej pory tu jest i wszyscy – niżsi i wyżsi – czują to i szanują.

Patrząc na fotografie z lat szkolnych Żeromskiego i na dzisiejsze realia dostrzega się różnice. Bo to, mimo że na Kielecczyźnie kamienie takie same jak wówczas, nasze ręce ujmują je na inne sposoby.

Między fałdami Gór Świętokrzyskich wyrosło wiele okazałych domów (niekiedy opuszczonych lub niezamieszkałych), także Szklany Dom, a ludzie bezdomni, jak z powieści, są nadal. Szklany Dom nie jest przezroczysty, lecz przenika przezeń promyczek kultury.

„Rozdziobią nas kruki wrony” – w innym kontekście niż ujął Żeromski, ale wciąż aktualne.

Echa leśne nadal słychać – jeszcze nie wszystkie drzewa wycięto. Puszcza jodłowa, jak sobie życzył, własnym językiem przemawia, Wisła płynie tym samym korytem.

Na bruk upadają żywi, dosłownie i w przenośni. W *Nagim bruku* (1906) czytamy: „Wszyscy byli odziani w tandetne miejskie gałgany, kupione w sklepach starzyzny”. Cały wiek minął, a sklepy ze starzyzną są i dziś oblegane. Siłaczek jest coraz więcej, a współczesny Doktor Piotr... – różnie to bywa.

Gdyby Stefan Żeromski znał dzisiejsze realia, gdyby mu dane było zmartwychwstać w którymś z pisarzy, jego twórczość byłaby jeszcze bardziej jędrna i soczysta. Przestrzenie, światłocienie, cienie i półcienie przesuwają się i przenikają nas na wskroś. Chcemy czy nie, mknie terazniejszość szybciej niż Wierna Rzeka czy Wisła, a róża na przedwiośniu ubiera się w kwiaty, nie gubiąc kolców.

Wiek sto lat przykrywa Stefana Żeromskiego. Patyna czasu omija jego gładkość. A pióro wryło wyraziste napisy, które są nieśmiertelne.

(ciąg dalszy z II strony okładki)

## II. Twórczość plastyczna Władysławy Szproch

Jako plastyczka uprawia malarstwo (olej, akwarelę, pastel, akryl, collage), rzeźbę w drewnie, rysunek (piórko, tusz), ilustracje do książek, znaki firmowe, plakietki i odznaki turystyczne. Jest autorką *Drogi Krzyżowej* w drewnie. Jej ulubionym tematem jest krucyfik. W ciągu 30 lat wykonała ich kilkaset.

Artystka debiutowała indywidualną wystawą rzeźby w roku 1977 w Klubie „Budowlani” w Kielcach. Do tej pory zorganizowała 133 wystawy indywidualne i wzięła udział w 234 wystawach zbiorowych. Zdobyła za twórczość plastyczną wiele nagród i wyróżnień. Jej prace zdobią wnętrza w kraju i za granicą (Niemcy, Holandia, Francja, Szwajcaria, Węgry, Belgia, Szwecja, Ukraina, Serbia, Jordania, Słowacja, Czechy, Kanada, USA).

Władysława Szproch jest członkinią Stowarzyszenia Artystów Plastyków Świętokrzyskich od roku 1983, a więc już przeszło 30 lat. Jest osobą ogromnie zaangażowaną w organizowanie działalności statutowej (plenery, wystawy, opracowania katalogów, konkursy, pozyskiwanie finansów).

Otrzymała następujące odznaczenia państwowe:

1. Brązowy Krzyż Zasługi – 11 IX 1996
2. Zasłużony Działacz Kultury – 14 X 2002
3. Srebrny Krzyż Zasługi – 14 V 2003
4. Złoty Krzyż Zasługi – 8 V 2012
5. Brązowy Medal „Zasłużony Kulturze Gloria Artis” – 25 IX 2007



Na uroczystym spotkaniu w Chmielniku wiceprezes Kieleckiego Oddziału ZLP Władysława Szproch wręcza legitymację członkowską Związku Janowi Chruślińskiemu  
Fot. z archiwum Władysławy Szproch



Władysław Szproch: *Po tej stronie błękitu*,  
tech. komputerowa



Władysław Szproch: *Bez tytułu*, akryl,  
płyta